



PIOTR BORLIK

TEATR POWIEŚĆ GROZY LALEK

VIDEOGRAF

PIOTR BORLIK

# TEATR LALEK

V I D E O G R A F

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Dedykacja*

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Epilog

*Dla M.*

# Prolog

Sylwia nigdy nie lubiła tapet. Kojarzyły jej się z pożółkłymi ścianami pokoju, w którym dorastała, z tym ohydny odcieniem starych wymiocin. Wówczas radziła sobie, zaklejając uszkodzone lub zabrudzone miejsca plakatami, przedstawiającymi ulubione kapele. Większość powierzchni poświęciła zespołowi Eurythmics, choć z biegiem czasu jej gusta muzyczne uległy zmianie, zmierzając w stronę coraz cięższych klimatów – Guns N’Roses czy Aerosmith, znalazło się nawet miejsce dla polskiego Kryzysu.

Teraz nie mogła sobie pozwolić na taki ruch. Zapłaciła majątek mężczyźnie uchodzącemu w Warszawie za najlepszego designera, by przygotował dla niej indywidualny projekt aranżacji wnętrz. Była zadowolona z większości jego pomysłów, ale wytapetowanie głównej ściany salonu przekraczało wszelkie granice. Chciała pogonić tego pozał się Boże wizjonera, lecz jej mąż piał z zachwytem nad każdą przedstawioną przez niego propozycją. W końcu poszła na kompromis, uzyskując w zamian możliwość wyboru miejsca, gdzie spędzą nadchodzące wakacje. Od lat marzyła jej się Brazylia, a teraz mogła wreszcie zabrać tam swego bojaźliwego męża, który wciąż powtarzał, że to niebezpieczny kraj. Po powrocie i tak zerwie tapetę i wszystko wróci do normy.

Rozsiadła się wygodnie w ulubionym fotelu. Intensywny czerwony kolor i klasyczna forma tworzyły fantastyczne zestawienie, sprawdzające się niemal w każdych okolicznościach – tak przynajmniej twierdziła kobieta, od której kupiła go za pięć

tysięcy złotych. Choć słono przepłaciła, to lubiła te wysokie podłokietniki i miękkie siedzenie, idealne do zatopienia się w lekturze.

Tym razem jednak o czytaniu nie mogło być mowy. Po minucie starań z westchnieniem odłożyła najnowszą książkę Grocholi na stolik. Jej wzrok wciąż uciekał w stronę narożnika, gdzie ciemnoszare roślinne wzory, nawiązujące do barokowych ornamentów, postanowiły właśnie odkleić się od ściany. Starła się o tym nie myśleć, skupić się na czymś innym, przygotować plan wycieczki. Miała wiele rzeczy do zrobienia: znaleźć odpowiedni hotel, gwarantujący transport z lotniska oraz pełną bazę SPA, wynająć przewodnika, który oprowadzi ich po miejscach niedostępnych dla zwykłych turystów, oraz najważniejsze – dokonać rezerwacji w najbardziej ekskluzywnych restauracjach, aby zasmakować wszystkich kuchni Ameryki Południowej. Wszystko to nagle straciło na znaczeniu. Każdy kolejny milimetr odchodzącego od ściany materiału zdawał się wydawać dźwięk zbliżony do skrobania paznokciami po powierzchni tablicy.

Pięćdziesiąt złotych za metr kwadratowy. Stawka, która rzekomo miała gwarantować profesjonalną usługę, okazała się zwykłym zdzierstwem. Odwalili fuszerkę, spartaczyli prostą robotę, więc ona w zamian zafunduje im piekło. Reklamacja to mało powiedziane, będą musieli zwrócić pieniądze i poprawić rażące zaniedbania. Już ona zadba o to, by nikt z jej znajomych nie zatrudnił ich do żadnej pracy. Każdy dom, garaż, studio, nawet płot czy szopa nie będą dla nich dostępne. Niech szukają zleceń na obrzeżach miasta, gdzie konkurencja zje ich niskimi cenami.

Narożnik stał się nagle punktem centralnym, jądrem

mieszkania, wokół którego niczym elektrony krążyły jej myśli i emocje. Ujemny ładunek tworzył formę wciąż przybierającej na sile wściekłości. Na nic zdały się lekcje radzenia sobie ze stresem, warsztaty jogi z indyjskim mistrzem czy wielogodzinne medytacje. Żadna metoda nie mogła okiełznać tego, co w niej narastało. Wciąż wpatrzona w odchodzący fragment tapety, wbiła paznokiec wskazującego palca w ekologiczną skórę fotela, rozrywając szew. Kolor pastelowej róży z jej ulubionego lakieru zmaćił idealną czerwień powierzchni mebla, która w połączeniu z czarnymi nóżkami miała tworzyć klasyczne zestawienie, nigdy niewychodzące z mody. Pomimo oporu przeciągnęła palcem wzdłuż dłuższej krawędzi podłokietnika, tworząc wąską szramę, spod której wyłaził gąbczasty materiał. Rzuciła okiem na swoje dzieło, unosząc lekko kąćki ust. Wcześniejsza złość zniknęła, pozostawiając pustkę. Żadne inne emocje nie zdołały zająć jej miejsca, jakby wszystko, co czuła, ulotniło się w powietrzu. Powoli wstała. Kocie ruchy i kuszące kołysanie biodrami nie zdołały ukryć nienaturalnej sztywności rąk, dłoni zwisających tak, jakby pozbawione były kości. Reszta sylwetki prezentowała się normalnie. Atrakcyjna twarz, która pomimo nadciągającej czterdziestki nie wymagała ingerencji chirurgicznej, jak zawsze tętniła aurą wyniosłości, odziedziczoną po matce.

Sylwia od najmłodszych lat prezentowała się niczym członkini rodziny królewskiej, nawet po domu chodząc z wyprostowanymi plecami i podniesioną brodą. Już jako szesnastolatka otrzymywała propozycje udziału w pokazach mody i sesjach zdjęciowych, przez co rzuciła szkołę na kilka miesięcy przed maturą. Zarabiała sama na siebie, więc groźby rodziców nie robiły na niej najmniejszego

wrażenia. Koleżanki zazdrościły jej urody i powodzenia, chłopcy zaś tracili dla niej głowy. Potrafiła to wykorzystać, dzięki czemu pięła się coraz wyżej, aż wreszcie trafiła na wybieg w Mediolanie. Tam go poznała. Wysoki, opalony mężczyzna, ubrany w szarą sportową marynarkę od Ermenegildo Zegna, która stanowiła świadectwo dobrego smaku i wielu zer na koncie, obserwował ją z szelmowskim uśmiechem, zarezerwowanym dla amantów filmowych. Czuła na sobie jego wzrok, gdy prezentowała kolejne kreacje włoskiego domu mody. Miała wówczas osiemnaście lat, on wyglądał na trzydzieści. Musiał być kimś ważnym, bowiem siedział na najlepszym miejscu, otoczony dwiema blondynkami w obcisłych kieckach eksponujących silikonowe biusty. Wyglądały jak aktorki filmów porno, z wargami dobrymi tylko do jednego. Nie rozumiała, dlaczego pokazywał się z takimi kobietami. Zupełnie nie pasowały do jego stylowego wizerunku. Krótko przystrzyżone włosy z asymetrycznie uniesioną grzywką, odsłaniającą niewielką bliznę nad prawym okiem, modnie przycięty zarost, do tego koszula i krawat znanego polskiego projektanta, z którym kiedyś współpracowała. Wszystko tworzyło zgrany zestaw, idealny na okładkę ekskluzywnego magazynu. Za kulisami usłyszała, jak inne modelki plotkują na jego temat i dopiero wtedy skojarzyła twarz z nazwiskiem. Był Polakiem, znanym projektantem mody, mieszkającym na stałe w Warszawie. Podobno poszukiwał wyróżniających się kobiet do nawiązania stałej współpracy. Poczwała wtedy, jak przyspiesza jej akcja serca. To był ten moment i ten facet, nie mogła tego zaprzepaścić.

Trzy miesiące później pojechali razem na Majorkę. Ekskluzywne hotele, wystawne kolacje, rejsy jachtami i droga



bizuteria. Była w siódmym niebie, a towarzyszył jej anioł w ludzkiej skórze, o obłądnej muskulaturze i grubym portfelu. Zakochała się bezgranicznie. Był obietnicą spełnienia marzeń, wystarczyło tylko zmusić go do małżeństwa, a ona знаła na to najlepszą metodę.

Kacperek urodził się dziewięć miesięcy później. Dziś był już dorosłym mężczyzną, a ona miała przed sobą obraz uznanego hiszpańskiego ekspresjonisty, który wraz z mężem kupili za, bagatela, dwadzieścia tysięcy euro. Zabawne, nigdy wcześniej nie obejrzała go dokładnie. Wpatrywała się w malowidło, nie potrafiąc zrozumieć, co autor miał na myśli. Kobieta o zielonej skórze, której zdeformowana twarz wyglądała, jakby przesadziła z botoksem, trzymała w rękach bliżej nieokreślony przedmiot. Kojarzył jej się ze skrzypcami, ale równie dobrze mogła to być broń lub sucha gałąź. W tle z rozłożystego drzewa, powykęcane na wszystkie strony, zwisały pomarańczowe owoce.

Nawet nie zorientowała się, kiedy wbiła palce w płótno, przedzierając twarz kobiety na dwie części. Ponownie uniosła kąciki ust w lekkim uśmiechu. Czuła ulgę, choć wciąż było jej mało. Pragnęła, by cały pokój wyglądał jak naderwana tapeta. Podeszła do drewnianego stołu i przejechała po nim paznokciami, łamiąc jeden z nich, lecz nawet nie zwróciła na to uwagi. Westchnęła z rozkoszą, patrząc na dwie płytkie rysy, które udało jej się wykonać w lakierowanej powierzchni. Jej uwagę przykuła ulubiona część pomieszczenia. Dwa metry ściany wyłożonej czerwoną cegłą miały dodawać całości klasyczny, surowy nastrój. Popatrzyła chwilę na solidną konstrukcję, po czym z zapalem zaczęła ją drapać, wykonując ruchy niczym dziecko kopiące dziurę

w piaskownicy. Nie miała przy sobie łopatkki ani wiaderka, zresztą i tak w niczym by nie pomogły. Cegła była nienaruszona, a dłonie kobiety szybko pokryła krew. Ona sama również sprawiała wrażenie, jakby nic się nie stało, choć połamane paznokcie i pozrywany naskórek świadczyły o czymś innym.

Po kilku minutach, gdy na podłodze pojawiły się czerwone plamy, a z jej palców zwisały kawałki skóry, ukazując żywe mięso oraz biel kości, Sylwia wydała z siebie głośny jęk. Nie był to jednak objaw bólu, który powinna odczuwać. Wręcz przeciwnie, zaczęła ciężko oddychać, jakby zbliżała się do osiągnięcia orgazmu.

Podniosła dłoń, teraz bardziej przypominającą zardzewiałe grabie, i przejechała nią po twarzy, zostawiając na skórze czerwone smugi. Zatrzymała ją dłużej na ustach, by po chwili wbić w nie to, co zostało z zadbanych paznokci. Gdy na dolnej wardze pojawiła się pierwsza kropla krwi, kobieta ryknęła, tym razem wydając odgłos w niczym nieprzypominający ludzkiego. Brzmiała jak wilk, który po wpadnięciu we wnyki odgryza sobie kończynę, by odzyskać wolność. Rozkładając ręce, padła na wznak na parkiet. Powieki wciąż miała otwarte, lecz zamiast tęczywek i źrenic w oczodołach widać było jedynie przekrwione białka. Leżała tak chwilę, a z lewego kącika jej ust sączyła się cienka strużka śliny, spływająca wzdłuż policzka. Sylwia dyszała, jakby zaraz miała się udusić. Zamknęła wreszcie oczy, lecz wcale nie zamierzała odpoczywać. Z całej siły wbiła palce w parkiet, szorując resztkami połamanych paznokci i wystającymi spod ciała kośćmi o lakierowane klepki. Poruszała dłońmi w zsynchronizowany sposób, jakby ruchy te ćwiczyła latami. Z jej ust znowu zaczął dobiegać coraz głośniejszy jęk, tym razem jednak znacznie wyższy,

przechodząc stopniowo w pisk.

Podłoga wokół niej przypominała stylem obraz, który niedawno zniszczyła. Ekspresyjna forma przekazu polegała na wydrapaniu dziesięciu równoległych rowków o różnych głębokościach, ozdobionych krwawymi smugami. Być może znawcy sztuki doszukaniliby się weń jakiejś ciekawej metafory, lecz nikt nie zgadłby, że autorka odczuwała przy tym rozkosze, których nie mógł zapewnić jej żaden mężczyzna.

Choć dawno powinna paść z wycieńczenia i skrajnego bólu, to sprawiała wrażenie, jakby wciąż było jej mało. Podniosła się i poszła w stronę kuchni, zostawiając za sobą ślad czerwonych kropli niczym Jaś i Małgosia znaczący w lesie drogę powrotną okruszkami. Ona jednak nie miała zamiaru wrócić do pokoju z odklejającą się tapetą, dopóki sama nie poczuje, jak to jest, gdy część ciała odrywa się od całości.

Podłoga, wyłożona płytkami gresowymi, sprowadzonymi na zamówienie z Francji, tworzyła biało-czarną szachownicę. W centralnym punkcie ustawiony był wysoki blat wykonany z hebanowego drewna, dodatkowo zabezpieczony szklaną powłoką. Choć sama nalegała na jego zakup, ani razu nie miała okazji z niego skorzystać. Była to strefa dla niej obca, zarezerwowana dla ludzi z niższych klas. Opłacali pomoc domową, która prócz sprzątanía i prac w ogrodzie również gotowała, specjalizując się w kuchni śródziemnomorskiej. Wcześniej przez kilka miesięcy mieli nawet kucharza z Korei, jednak Sylwii szybko zbrzydły tamtejsze smaki.

Teraz była w domu całkiem sama, Natalia przyjdzie dopiero za godzinę. Byli z niej zadowoleni, choć już dwukrotnie spóźniła się

do pracy. Ostrzegli ją, że kolejna wpadka oznacza rozwiązanie umowy, a że kobieta samotnie wychowywała córeczkę, bardzo zależało jej na pracy. Zawsze szukali tego typu ludzi, uwikłanych w kłopoty finansowe, dawali bowiem gwarancję pełnego zaangażowania, nie jeździli na urlopy, bez słowa skargi przystawali na bezpłatne nadgodziny. Wcale nie trzeba było sięgać po Ukraińców, co ostatnio zyskało na popularności wśród ich znajomych.

Sylwia usiadła na wysokim stalowym stołku i położyła stopy na chromowanym stelażu. Jej oczy, w których brakowało źrenic, sprawiały wrażenie ślepych. Po chwili podniosła dłonie, jakby podziwiając manikiur. Przez kilka sekund obracała nimi przed twarzą, po czym gwałtownie wstała i podeszła do okna, pod którym znajdowały się szuflady ze sztućcami. Otworzyła pierwszą z góry i chwyciła nóż do filetowania. Nie miała pojęcia, że służył właśnie do tego, lecz idealnie pasował do jej planów.

Ośmiocalowe ostrze wychodzące z drewnianej rękojeści połyskiwało w promieniach słonecznych wpadających przez okno. Przez krótką chwilę wyglądała jak zwykła gospodyni. Podniosła nóż wyżej, jakby chciała w jego głowni zobaczyć własne odbicie. Nie zatrzymała się jednak, przykładając ostrze do policzka i naciskając, aż z gładkiej skóry popłynęła ciemnoczerwona krew. Kropelki opadały na białe kafelki, niczym rosa z długich źdźbeł trawy. Gdy wbiła się dostatecznie głęboko, przeciągnęła nóż szybkim ruchem w dół, a następnie w stronę nasady nosa, tworząc niezgrabną literę V. Następnie zaczęła podważać skórę, niczym wprawiony fileciarz, wycinając kilkucentymetrowy płat, który zwisał z jej twarzy tuż pod starannie pomalowanym okiem.

Cały czas patrzyła na ogród, otoczony murem z szarego łupku. Goście zawsze komplementowali bogactwo roślin i ozdób, choć ona nie przepadała za przebywaniem na świeżym powietrzu. Irytowały ją muchy i komary, zaś pajaków bała się bardziej niż ciasnych pomieszczeń, w których od razu traciła przytomność.

W zamyśleniu pociągnęła za płat skóry na policzku, przyglądając się idealnie zielonej trawie oraz bukszpanom, równo przyciętym w niewielkie piramidki i obsypanym wokół białymi kamyczkami. Kilka metrów dalej rozpościerał się trypoziomowy skalniak. Była z niego wyjątkowo dumna, sama wybierała kwiaty w katalogu. U góry niebieskie dzwonki, różowe goździki i biała skalnica, pośrodku wrzosy oraz wrzośce we wszystkich możliwych kolorach. Dolną część zajmowały większe rośliny, których nazw nie potrafiła spamiętać, więc zwykle kończyła opis na wrzosach.

Wyszła na taras. Choć ogród prezentował się wspaniale, to miała teraz na głowie inne zajęcia, ważniejsze niż podziwianie roślinności. Minęła komplet wypoczynkowy, na którym jej mąż czasem zasiadał ze swymi znajomymi, by przy drogiej whisky grać w karty na duże sumy. Zeszła po schodkach i skierowała się do drewnianej szopki z narzędziami. Nie lubiła tego pomieszczenia, zawsze ogarniał ją tam dziwny niepokój, a po dłuższej chwili przebywania w środku robiło jej się słabo. Była tam tylko dwa razy w życiu, gdy szukała obrażonego Kacperka. Jako chłopiec czasem bywał naburmuszony pomimo całodobowej opieki guwernantki, potrafił być wówczas wyjątkowo nieznośny. Krzyczał, uciekał z domu, otwarcie manifestował niezadowolenie. Psycholog twierdził, że wynikało to z braku rodzicielskiej miłości. Nie rozumiała go, Kacper miał przecież wszystko, czego potrzebował.

Najlepsze zabawki, lekcje angielskiego, tenisa, jazdy konnej – wszystko, o czym inne dzieci mogły jedynie marzyć. Ewidentnie wdał się w ojca, który również nie potrafił docenić szczęścia, jakie go spotkało, gdy poznał ją w Mediolanie. Wytykał jej, że całymi dniami nic nie robi, choć sam w swojej firmie często się obijał, zamiast powiększać ich wspólny kapitał.

Zwisająca z policzka skóra podskakiwała z każdym jej krokiem. Sylwia minęła granitowe kule, które zamówili przed laty. Chcieli zrobić z nich unikatową fontannę, lecz gdy zobaczyła podobny pomysł w telewizji, zaniechała go, uznając za dobry dla motłochu. Mąż już dawno miał się ich pozbyć, ale jak zawsze odwlekał wszystko w nieskończoność. Otworzyła drzwi szopy, które wydały przy tym nieprzyjemny pisk. Ogrodnik powinien dostać po pensji za tak rażące zaniedbanie. Zajmie się tym później, teraz miała pilniejsze zadanie.

Weszła do środka i rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Było ciasne i panował tam zaduch, przez co ograniczyła swoje poszukiwania do pierwszego z brzegu sekatora nożycowego. Świetnie nadawał się do kontynuowania dzieła, które rozpoczęła w kuchni. Z nożycami w ręku wyszła na zewnątrz. Oparła się plecami o drewnianą konstrukcję i podwinęła suknię od Elisabetty Franchi, kupioną dwa lata temu we florenckim butik. Szybko jej się znudziła, głównie przez złote zdobienia na talii, które po kilku miesiącach zaczęły ją denerwować. Od tamtego czasu zakładała ją sporadycznie, głównie po to, by widział to mąż, często narzekający, że nie nosi rzeczy, na które wydaje majątek. Suknia była brudna od krwi płynącej z jej twarzy i dłoni. Podwinęła ją aż do pępka, odsłaniając koronkowe majtki. Drugą ręką otworzyła sekator

i zbliżyła go do ciała. Pomimo codziennego aerobiku, czemu zawdzięczała zgrabną sylwetkę, udo nie zmieściło się pomiędzy ostrzami, których rozpiętość była za mała. Przesunęła sekator w dół, aż do łydek. Zacisnęła ramiona narzędzia, lecz po przecięciu gładkiej, wydepilowanej skóry, zwykle pachnącej wanilią, z której popłynął strumyczek krwi, poczuła opór. Z irytacją chwyciła rąbek sukni w zęby. Potrzebowała drugiej dłoni, by z odpowiednią siłą ścisnąć sekator. Syknęła i upuściła narzędzie. Czerwona ciecz tryskała z jej łydki niczym woda z węża ogrodowego, podlewając idealnie przyciętą trawę. Kobieta przyglądała się temu przez chwilę, po czym wróciła do szopy. Już nie przeszkadzała jej ciasnota pomieszczenia. Była zbyt pochłonięta realizacją planu, by pamiętać o takich drobiazgach. Gdzieś z ogrodu dochodził delikatny dźwięk dzwonek wietrznych.

Sięgnęła na półkę po trójzębne pazurki do pielienia, na których z dezaprobatą stwierdziła śladową ilość czarnej ziemi. Kolejny błąd ogrodnika, o jeden za dużo. Być może założy z tapeciarzami spółkę nieudaczników specjalizujących się w partaczeniu roboty. Nie wyczyściła zabrudzonej powierzchni, ryzyko zakażenia nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Przyłożyła ostro zakończone krawędzie pazurków do łydki i podważyła nimi skórę, próbując ściągnąć ją z ciała, tak jak wcześniej na policzku. Oddychała głośno, lecz miarowo. Wyprostowała się i cisnęła metalowe narzędzie w kąt. Potrzebowała czegoś mniejszego i ostrzejszego. Nie mogła znaleźć niczego odpowiedniego pośród sprzętu ogrodniczego, więc spokojnym krokiem ruszyła w stronę domu. Do przyścia Natalii pozostało jeszcze około pół godziny, musiała działać sprawnie.

Wróciła tą samą drogą. Zatrzymała się dopiero w salonie, tuż przed ścianą z odstającą tapetą. Syknęła na nią jak dziki kot, głosem pełnym nienawiści. Najchętniej zerwałaby ją na miejscu, lecz czas gonił. Podeszła do barku, z którego wyjęła stalowy, pokryty dodatkową warstwą teflonu korkociąg, prezent od jednego z kontrahentów. Uśmiechnęła się ostatni raz. Przyłożyła spiralę do zamkniętej powieki i wbiła w nią ostrą końcówkę. Nie wydała przy tym żadnego odgłosu, nawet gdy przebiwszy powiekę, starannym ruchem kierowała zakrwawioną śrubę wzdłuż brwi w stronę nosa. Jej twarz zalała się czerwienią. Gdy napotkała opór, przycisnęła metalową końcówkę mocniej, aż z rany wyciekł mazisty płyn. Ciało szkliste oka wypłynęło na zewnątrz niczym na wpół ścięte białko jajka.

Kobieta zatoczyła się, jakby zaraz miała stracić przytomność. Nie czuła bólu, było to coś bardziej zbliżonego do irytującego łaskotania. Wyciągnęła korkociąg z oczodołu, wytarła dokładnie w zakrwawioną suknię i odłożyła na miejsce. W ustach czuła słodki smak, lecz wciąż nie osiągnęła spełnienia. Z przyjemnością kontynuowałaby swe dzieło, ale musiała się spieszyć. Nie chciała być nakryta przez służbę, było to zbyt... intymne.

Wróciła do kuchni i chwyciła używany wcześniej nóż. Odwróciła lekko głowę, ponownie słysząc dźwięk dzwonków. Musiał się rozszaleć wiatr, gdyż brzdękanie biło po uszach, denerwując ją. Wzięła głęboki wdech, jakby zaraz miała zanurkować pod wodę, przyłożyła ostrze do szyi i szybkim ruchem podcięła sobie gardło.

Sylwia, bądź to, co z niej pozostało, upuściła narzędzie zbrodni, by dokończyć dzieła pokiereszowanymi dłońmi. W powstałą ranę



wsunęła palce, by z całej siły pociągnąć skórę podbródka do góry, odsłaniając mięśnie i ścięgna. Skóra trzymała się mocno, więc musiała kilka razy szarpnąć ją z całej siły, aż dotarła do samego czoła. Poruszała ustami, prawie niewidocznymi w krwawej masie, w którą zamieniła się jej twarz. Sekundę później ciało runęło na podłogę, a oderwane fragmenty zwisały z niego, niczym znienawidzona tapeta. Teraz mąż przynajmniej zrozumie, co miała na myśli, mówiąc, że jej nie cierpi.

# Rozdział I

„Pomagamy ludziom odkrywać zasoby schowane tak głęboko, że dawno zdążyli już o nich zapomnieć” – z uśmiechem pełnym politowania przeczytał najnowszy slogan na stronie konkurencyjnego gabinetu.

Od czasu do czasu warto porównać oferty kolegów po fachu, wyrastające ostatnio jak grzyby po deszczu. Gdzie nie spojrzeć sami eksperci, którzy za jedyne dwieście złotych pomogą ci odkryć ukryty potencjał, dzięki czemu dostaniesz upragniony awans, a dziewczyny w klubach będą ustawiać się w kolejce, byle tylko posłuchać twojej elokwentnej gadki. Gdy dodać do tego bestsellerowe podręczniki skutecznego odchudzania, zarządzania, uwodzenia czy przewodzenia, można by pomyśleć, że sukces mamy na wyciągnięcie ręki. Nie przypadkiem jednak wszystko to rymowało się z „przyrodzenia”. Lata praktyki pokazały Konradowi, że porady te są warte tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Dumny z olśniewającego odkrycia, rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu. Urządzając gabinet, dołożył wszelkich starań, by te dwadzieścia metrów kwadratowych prezentowało się okazale. Certyfikaty na ścianach, drogi ekspres ciśnieniowy, aby klienci mogli przynajmniej skosztować prawdziwej kawy, i wreszcie jego ulubiony element wyposażenia – nieprzyzwoicie wielkie dębowe biurko, którego nie powstydziliby się żaden ekscentryczny milioner. To nic, że mebel zajmował sporą część powierzchni. Robił wrażenie i kojarzył się z dobrobytem

i profesjonalizmem, co w tej branży było rzeczą niezbędną.

Na dzisiaj już skończył. To był całkiem dobry dzień, łatwe pieniądze. Trzech stałych klientów, przy których nawet nie musiał się starać. Czy był cynikiem? Czy postępował wbrew etyce zawodowej? Owszem, ale mimo to ludzie – ku jego skrywanemu zdumieniu – po godzinnych sesjach wychodzili pełni energii i wiary we własne możliwości.

Zasiedział się. Już dawno powinien opuścić gabinet, zrobić weekendowe zakupy i wrócić do czekającej w domu Weroniki. Wciąż jednak tkwił w wygodnym fotelu, bawiąc się monetą obracaną między palcami, pamiątką z zagranicznych wakacji. Nabrał już w tym wprawy. Wyćwiczone ruchy sprawiały wrażenie, jakby moneta sama płynęła od kciuka w stronę małego palca. Przyspieszał po każdej kolejnej rundzie, by wreszcie cisnąć ją wysoko w powietrze.

– Sówka, idę do baru. Węże – zakupy.

Złapał monetę i z impetem przełożył na drugą dłoń. Węże. Skrzywił się z dezaprobatą i dłuższą chwilę patrzył na uparte zawijasy, które za nic nie chciały przybrać kształtu sowy, po czym zacisnął pięść.

– No dobra, do trzech razy sztuka.

Uśmiechnął się, gdy w dwóch kolejnych rzutach wypadł ptak, lecz następne znowu były zawijasy. Opuszką kciuka pogładził powierzchnię monety, niczym gracz w kasynie modlący się o wyrzucenie siódemki. Nie lubił hazardu. Zbyt dużo wiedział o psychologicznych haczykach, zarzucanych na niczego nieświadomych klientów, zaczynając od najprostszego paradoksu hazardzisty, inaczej złudzenia gracza, który nie potrafi rozróżnić

zdarzenia losowego od zaleźnego. Po tym, jak koło ruletki kilkakrotnie zatrzyma się na czerwonym polu, większość będzie przekonana, że prawdopodobieństwo wypadnięcia kolejnej czerwieni jest mniejsze niż czerni, co było oczywistą nieprawdą. Następnie wymienić mógł heurystyki dostępności i reprezentatywności, kończąc na efekcie subaddytywności, który prócz dziwnej nazwy opierał się na wyświechtanym frazesie, że kasyno zawsze wygrywa.

Często powtarzał klientom, by brali życie we własne ręce, by wyszli z wygodnej strefy komfortu i zaczęli podejmować trudne decyzje. Wypadałoby samemu zastosować się do tych jakże trafnych rad.

– Remis, ze wskazaniem na sowę – powiedział zdecydowanie, wstając z fotela. – Los tak chciał.

Wyrzwał za okno, na ulicę zalaną czerwcową ulewą. Niebo wyglądało, jakby ktoś przypadkiem rozlał na nim atrament. Konrad wyobraził sobie, jak chwyta jedną z chmur i wyżyma niczym mokry ręcznik, fundując miastu darmowe malowanie ulic na różne odcienie granatu. Ludzie tak narzekają na swoje szare życie, przynajmniej nabrałoby trochę kolorów.

Wciąż lubił fantazjować, pomimo przekroczenia magicznej bariery czterdziestych urodzin. Kreatywne myślenie nieraz przydało się podczas sesji z klientami. Na oczekaniu potrafił wymyślać nowe ćwiczenia czy metafory, ułatwiające spojrzenie na problem z innej perspektywy. Najczęściej jednak korzystał z wyobraźni, gdy trafiał na wyjątkowo nudnego klienta. Siedział wtedy naprzeciwko takiego delikwenta, potakując ze zrozumieniem i współczuciem, a w głowie robiąc przegląd

średniowiecznych tortur. Łamanie kołem, wyrywanie paznokci, przypalanie. Im bardziej nużących zwierzeń wysłuchiwał, tym okrutniejsze były wyobrażenia.

Przeklinając w myślach brak parasola, uprzątnął zalegające na biurku papiery i wyłączył komputer. Powinien wysłać choćby lakoniczną wiadomość do Weroniki, żeby nie czekała z kolacją, ale wątpił, czy w ogóle ją to interesowało. Od wielu tygodni unikali siebie wzajemnie, jakby w obawie przed rozpętaniem kolejnej kłótni. Wspólne śniadania stanowiły szczyt ich starań, choć zazwyczaj i tak kończyło się na tym, że on przeglądał w telefonie najnowsze wiadomości sportowe, a ona wertowała strony kolorowych pism. Sam już nie był pewien, czy wolałby się z nią rozstać, czy próbować namówić do rozwiązania ich małżeńskich problemów. Najchętniej poczekałby, aż sprawy ułożą się same, ale życie nie było takie łatwe.

Wziął do ręki telefon, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi gabinetu. Podniósł głowę, zerkając na kalendarz i zastanawiając się, czy aby przypadkiem nie zapomniał o umówionym kliencie. Tylko raz dopuścił do podobnej wpadki, dawno temu, lecz sprawy z Weroniką nieco go dekoncentrowały, przez co nie mógł wykluczyć takiej ewentualności. Niemniej dochodziła już dwudziesta – musiałby być strasznie rozkojarzony, żeby zaplanować spotkanie z pacjentem o tak późnej porze.

Przeleciał wzrokiem po pomieszczeniu. Ludzie przychodzili do niego po pomoc w uporządkowaniu swojego życia, a niewiele rzeczy mogło być gorszych dla jego reputacji niż bałagan w gabinecie. Wszystko jednak było na swoim miejscu. Nałożył czarną marynarkę, wygładził spodnie, po czym z uśmiechem

profesjonalisty podszedł do drzwi i je otworzył.

– Dobry wieczór – powitał stojącego przed nim nieznanego, taksując go wzrokiem. – W czym mogę pomóc?

Mężczyzna był niższy od niego o kilkanaście centymetrów. Jego pokryta kilkudniowym zarostem twarz nie wyróżniała się niczym szczególnym. Wyglądał na czterdziestolatka, choć pojedyncze siwe włosy na skroniach i widoczne w kącikach oczu kurze łapki równie dobrze mogły oznaczać, że miał już za sobą pięćdziesiątkę. Patrzył na Konrada z zaciekawieniem. Podkrążone oczy i mokre od deszczu, przylegające do czaszki włosy nie wpływały korzystnie na jego wygląd, ale z pewnością Weronika określiłaby go jako przystojnego. Doradziłaby zmianę garderoby, wypominając typowe męskie błędy, takie jak spodnie moro, jej zdaniem zarezerwowane dla wojskowych, a zamiast koszuli w kratę zasugerowałaby coś mniej wzorzystego. Na dobre słowo mogły liczyć jedynie zamszowe buty, które i tak nie stanowiły najlepszego wyboru ze względu na ulewny deszcz, i trzymana w ręku czarna teczka ze sztucznej skóry.

Zaklął w myślach, zorientowawszy się, że cały czas myśli o Weronice i o tym, co by powiedziała o wyglądzie jego gościa. Wprawdzie chwilę wcześniej zamierzał poinformować ją o swoich wieczornych planach, ale nie powinien tak się rozpraszać w obecności potencjalnego klienta. Jako psycholog nie mógł sobie na to pozwolić.

– Dobry wieczór. Przepraszam, że tak bez uprzedzenia. –

Mężczyzna, nieświadomy jego myśli, bacznie przyglądał się terapeutce. – Pan Konrad Małecki?

– To zależy.

Nieznajomy zmarszczył czoło w wyrazie zaskoczenia, a dłonią odsunął włosy za ucho. Ten ruch był niekontrolowany, na co odruchowo zwrócił uwagę Konrad, automatyczne zachowanie, z którego mężczyzna pewnie nie zdawał sobie sprawy, a co ułatwiało odczytanie jego emocji.

– Jeśli Małecki wisi panu jakieś pieniądze lub jest pan niezadowolonym mężem jednej z klientek, to muszę pana rozczarować, ale pojechał już do domu. – Terapeuta uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby. – W każdym innym wypadku zapraszam do środka. Ma pan ochotę na kawę?

Już w momencie wypowiedzania żartu zdał sobie sprawę, że nie był to najlepszy pomysł. Każdy nowy klient potrzebował trochę czasu na oswojenie się, zarówno z nim, jak i z samą sytuacją uczestniczenia w terapii, polegającej na powierzeniu swoich sekretów zupełnie obcemu człowiekowi. Czasami nieostrożny komentarz wystarczył, żeby kogoś spłoszyć. Zazwyczaj zaczynał od analizy zachowań pacjentów, obserwował ruchy, sposób stawiania kroków, ton głosu czy gestykulację, naśladując ich, by czuli się możliwie jak najbardziej komfortowo. Tym razem jednak nie miał na to siły ani ochoty. W głowie wciąż tkwiła mu Weronika.

Otworzył szerzej drzwi i odsunął się na bok, wyciągając dłoń w geście zaproszenia. Mężczyzna przestąpił próg, lecz zamiast przejść dalej, stanął w korytarzu i oglądał wiszące na ścianach certyfikaty. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale sprawiał wrażenie, jakby próbował zapamiętać przeczytane informacje, a nie po prostu je przejrzeć.

– Może podam panu jakiś ręcznik? – Konrad zamknął drzwi. – Kto by pomyślał, że tak się rozpada. Ja sam też nie wziąłem ze

sobą parasola.

– Nie, dziękuję. – Mężczyzna wreszcie oderwał wzrok od ścian.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Robert Kozłowski, pracuję dla „Super Faktu”. Wiem, że już późno, ale możemy zamienić parę słów?

„Właśnie zamieniamy” – pomyślał terapeuta, zegnając wizję kolejnego stałego klienta. Gość wyglądał na sympatycznego, ale sam fakt pracy dla brukowca specjalizującego się w wylewaniu szamba na ludzi odbierał mu prawo do życzliwego traktowania. Niemniej nie wypadało wyrzucić gościa na deszcz, tym bardziej że takie zachowanie mogło go sprowokować do napisania wyjątkowo ostrego materiału. A o taki nietrudno. Konrad był świadom, jak postrzegano jego zawód. Sam często nazywał siebie naciągaczem i szarlatanem. Co innego jednak ogólna opinia o profesji psychologa, a personalny atak na łamach ogólnopolskiego pisma.

– Jeśli będę mógł jakoś pomóc, to nie omieszkać tego uczynić.

– Ponownie zganił się w myślach za niepotrzebne wygłupy. Musiał bardziej zważać na słowa, mając świadomość, że jego rozmówca notuje w głowie każdą wypowiedź terapeuty. – To jak będzie z tą kawą?

– Jeśli to nie problem. – Mężczyzna rozpromienił się w uśmiechu. – Mam nadzieję, że nie oderwałem pana od niczego ważnego. Spróbuję zająć jak najmniej czasu.

„To po co chcesz kawę? Pytaj do woli, i tak później przekręcisz wszystkie odpowiedzi, by pasowały do wcześniej przygotowanej koncepcji artykułu. Usłyszysz: «W mojej pracy kładę nacisk na zrozumienie klienta», a napiszesz: «Wyciskam z klientów jak najwięcej pieniędzy»”.



– Mleko, cukier? – Psycholog podszedł do ekspresu i zaczął podgrzewać filiżanki.

– Czarna, możliwie nie za mocna.

Konrad lubił zaparzać kawę, lubił cały ten rytuał. Wyglądał teraz jak profesjonalny barista. W rzeczywistości wystarczyło jedynie włożyć filtr ze zmieloną kawą i wcisnąć przycisk, ale można było odnieść wrażenie, że wykonuje wyjątkowo skomplikowane czynności, wymagające nie lada wprawy.

Dziennikarz zaczął powoli spacerować po gabinecie, wszystkiemu uważnie się przyglądając. Jego uwagę przykuło dębowe biurko, co zresztą było naturalną reakcją większości gości. Konrad lubił myśleć, że działo się tak za sprawą starannie wykonanych szczegółów secesyjnego mebla, tylko pozornie wyglądającego na niezgrabny kolos. Wprawne oko dostrzeżało prostotę sztuki użytkowej, która zamiast bogatych ornamentów czy motywów roślinnych, tak popularnych w ówczesnie wytwarzanych meblach, zachwycała minimalizmem i wyczuciem smaku.

– Art nouveau – powiedział z nieskrywaną dumą, widząc zainteresowanie gościa. – Czyli nowa sztuka. Namęczyłem się, żeby znaleźć to cudo, chociaż wtarganiu go na drugie piętro towarzyszyły prawdziwe męki.

– W sensie że antyk?

– Można tak powiedzieć – odparł Konrad, czując się jak spoliczkowany. Może nie było to dzieło sztuki, ale znaleźć tak stonowane francuskie biurko secesyjne stanowiło nie lada wyzwanie. – Proszę, usiądźmy wygodnie.

W powietrzu rozszedł się przyjemny aromat, kiedy napełnił

filiżanki gorącym, ciemnym płynem, zwieńczonym delikatną pianką o nieco jaśniejszym odcieniu. Terapeuta przeszedł przez gabinet i postawił filiżankę na szklanym stoliku, oddzielającym dwa fotele stojące przy ścianie. Zapach kawy wypełnił całe pomieszczenie, pomagając Konradowi rozluźnić mięśnie, spięte w oczekiwaniu na rozmowę. Kusilo go przez moment, by dolać odrobinę trzymanej w szufladzie whisky, ale ostatecznie uznał to za niestosowne. Usiadł na jednym z foteli i dłonią wskazał gościowi drugi.

– Bardzo ładny gabinet – skomentował dziennikarz, siadając na wyznaczonym miejscu. Teczke położył na ziemi. – Musiał pan włożyć sporo wysiłku w jego urządzenie.

– W rzeczywistości to nie ja targalem tego klamota. – Terapeuta zażartował, zapominając o wcześniejszym postanowieniu, by dowcipy ograniczyć do minimum.

Dziennikarz odpowiedział uprzejmym uśmiechem i upił łyk kawy, wzrokiem wciąż wodząc po pomieszczeniu. Przez chwilę rozkoszował się smakiem, co Konrad przyjął za komplement. Szanował ludzi, którzy doceniali dobrą kawę, zamiast zalewać ją mlekiem i dodawać syropów smakowych. Mógł wyjąć jeszcze maślane ciasteczka, ale uznał, że jego gość, jako osoba żerująca na ludzkiej tragedii, nie zasługiwał na tak bogaty poczęstunek. Chociaż jakby spojrzeć na to z innej perspektywy, mieli ze sobą wiele wspólnego...

– Panie Konradzie... – Mężczyzna poprawił się w fotelu, a jego głos przybrał jakby bardziej oficjalny ton. – Przejdźmy może do konkretów. Tak jak już wspomniałem, pracuję dla redakcji „Super Faktu”, dla którego aktualnie piszę serię artykułów kryminalnych.

– Kryminalnych? – powtórzył ze zdziwieniem terapeuta.

Teraz to on był zbity z tropu. Spodziewał się standardowych pytań o etykę zawodową i rzeczywiste sukcesy w dotychczasowej pracy czy choćby oskarżeń o wykorzystywanie ludzkich słabości w celach zarobkowych.

Dziennikarz sięgnął po teczkę i położył ją na kolanach. Z impetem otworzył zamek i poszperał chwilę w środku, by wyjąć zeń dyktafon i kilka zmiętych kartek.

– Owszem, kryminalnych. – Spojrzał na Konrada pytającym wzrokiem. – Nie będzie panu przeszkadzało, jak nagram naszą rozmowę?

– Wolałbym tego uniknąć – odpowiedział ostrożnie terapeuta. –

Zaintrygowało mnie to, ale obawiam się, że pomylił pan adres. Moi klienci to raczej przeciętni ludzie, nieradzący sobie z problemami mniejszego kalibru. Powinien pan porozmawiać z psychiatrą, i to najlepiej więziennym.

Mężczyzna, jakby nie zwracając uwagi na jego słowa, włączył dyktafon i rozłożył papiery na przeszklonym blacie. Były to głównie zdjęcia przedstawiające zakrwawione ciała. Konrad szybko odwrócił wzrok, woląc nie przyglądać się im zbyt dokładnie.

– Proszę to wyłączyć – powiedział zdecydowanym głosem.

– To tylko formalność, proszę się tym nie przejmować. Z tego, co wiem, pan również często korzysta z nagrań i nawet używa pan do tego kamery.

Terapeuta zmarszczył czoło, patrząc na niego z rozdrażnieniem. Gość zaczął działać mu na nerwy. Nie dość, że zabierał mu piątkowy wieczór, to jeszcze nic sobie nie robił z grzecznej prośby, która zaraz zamieni się w wyproszenie z gabinetu. Widocznie

dziennikarskie hieny nie przywykły do uprzejmych rozmów, zamiast nich preferując ucieczki przed ochroniarzami celebrytów przyłapanych na alkoholowych libacjach czy małżeńskich zdradach.

– Proszę to wyłączyć albo będę zmuszony zakończyć nasze spotkanie. Zawsze, kiedy kogoś nagrywam, jest to elementem terapii i nigdy nie robię tego bez wyraźnego przyzwolenia. –

Konrad wypił ostatni łyk kawy i wyprostował się. – Proszę też schować te makabryczne zdjęcia.

– Jak pan sobie życzy. – Dziennikarz skrzywił się, ale włożył niewielkie urządzenie z powrotem do teczki, pozostawiając papiery na stole. – Proszę na to spojrzeć. To są zdjęcia z miejsca zbrodni, konkretnie z dwóch miejsc. Te tutaj... – Przesunął kilka kartek w stronę terapeuty. – ...przedstawiają panią Sylwią Karczewską, a pozostałe inną pana klientkę, niejaką Agatę Płóć.

Konrad poczuł ciarki na plecach. Znał obie kobiety. Rzeczywiście uczęszczały do niego na terapię, choć Agata nie dawała znaku od ponad miesiąca, nie przychodząc na ostatnie umówione spotkanie. Z Sylwią z kolei rozmawiał zaledwie pięć dni temu, gdy wraz z mężem przyszła na sesję małżeńską. Było to dopiero drugie spotkanie, lecz kobieta okazywała taką wylewność, że wiedział już o niej więcej niż o większości swoich klientów.

– Proszę to schować. – Konrad wstał i odsunął się od stolika. – Nie sądzę, by to były zdjęcia powszechnie dostępne i zapewne policja nie byłaby zbyt zadowolona z pańskiego postępowania, ale nie będę wnikał, jak wszedł pan w ich posiadanie. Będzie to jednak jedyny ukłon w pana stronę.

– Chcę tylko zadać kilka pytań. – Mężczyzna nawet nie ruszył

się z miejsca, uważnie spoglądając na terapeutę. – Proszę mi opowiedzieć o problemach, z jakimi do pana przyszły. To naprawdę zajmie zaledwie kilka minut.

Życzenie dziennikarza zakrawało na bezczelność. Konrad wprawdzie nie był dyplomowanym lekarzem, jednak obowiązywała go ścisła tajemnica. Nie mógł z nikim rozmawiać o przebiegu terapii, tym bardziej w zaistniałej sytuacji. Zresztą tematy, które przepracowali, nie mogły mieć nic wspólnego ze śmiercią kobiet. Dziennikarz dał się ponieść wyobraźni, szukając zależności tam, gdzie ich nie było.

– Proszę opuścić gabinet – powtórzył Konrad. – Inaczej zadzwonię do redakcji i poinformuję pana przełożonego o pańskim zachowaniu.

– Nie dziwi to pana? Dwie pańskie pacjentki, obie zamordowane w tak... – Dziennikarz znacząco podniósł brwi. – ... spektakularny sposób? To nie może być przypadek. Oba morderstwa bez wątpienia zostały dokonane przez tę samą osobę. Proszę tylko na to spojrzeć.

Chwycił zdjęcia, zwracające uwagę kolorem czerwieni, i wyciągnął w stronę terapeuty. Konrad zignorował ten gest, przyglądając się siedzącemu mężczyźnie i próbując odczytać jego myśli. O co właściwie mu chodziło? Podejrzewał go o coś? Raczej nie, nawet dziennikarze nie mieli tak wybujałej wyobraźni. Więc o co? Poszukiwał seryjnego mordercy, wyszukującego kobiety zmagające się z problemami współczesnego świata? Prędzej uwierzyłyby w psychopatę, który uważając siebie za głos sprawiedliwości, atakuje psychologów, psychoterapeutów, trenerów osobistych czy choćby dziennikarzy, karząc ich za

niemoralność.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – spytał zniecierpliwiony. – Nawet gdybym coś wiedział, nie mógłbym o tym powiedzieć. Doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę. Gwarantuję, że zgłosiłbym na policję, gdyby cokolwiek zagrażało moim klientom. Poszedł pan niewłaściwym tropem, a teraz pójdzie do domu czy gdziekolwiek będzie pan wolał, byle dalej ode mnie.

– Potrzebowałbym zapoznać się z materiałami z sesji. – Mężczyzna brnął w zaparte. – Może zechce pan...

Konrad wyrwał dziennikarzowi zdjęcia, chwycił teczkę i wepchnął papiery do środka. Następnie, mocno zaciskając na niej dłoń, przemierzył gabinet w kierunku wyjścia.

– Zaraz to samo zrobię z panem – powiedział, otwierając drzwi i wyrzucając teczkę na hol, przez co jej zawartość wyleciała na wyłożoną szarą wykładziną podłogę. Część papierów wypadła, a dyktafon przekoziółkował z grzechotem, zatrzymując się dopiero na ścianie. – Mam wezwać ochroniarza? Naprawdę tego właśnie pan chce?

Dziennikarz nerwowo poderwał się z miejsca i rzucił Konradowi groźne spojrzenie. Włosy zdążyły już mu przeschnąć, ale wciąż niedbale opadały na czoło. Zagniewana mina nie pasowała do jego twarzy.

– Jak pan chce – rzucił, prawie warcząc, po czym wyszedł na korytarz i schylił się, by podnieść teczkę. – Ja tak tego nie zostawię, masz pan moje słowo. Wiem, że siedzisz pan w tym głęboko. Jeśli myślałeś, że przyszedłem tu, nie zbadawszy uprzednio sprawy, to cóż, nie jesteś pan nieomylny.

Konrad nie miał ochoty na słowne przepychanki. Z impetem

zamknął drzwi, zagłuszając niewyszukane przezwiska, jakimi na pożegnanie obdarował go dziennikarz. Miał jednak nadzieję, że za kilka dni nie ukaże się artykuł o bydgoskim terapeutę, mordującym swoje klientki w brutalny sposób. Swoją drogą, jeśli Agata i Sylwia nie żyły, w gazetach i w Internecie na pewno znajdzie coś na ten temat. Skoro dotarł do niego dziennikarzyna z brukowca, to wizyta policji lub zaproszenie na posterunek pozostawały jedynie kwestią czasu. Wypadało poznać choćby podstawowe informacje na temat ich spraw.

Dopiero teraz dotarło do niego to, co zobaczył na zdjęciach. Wstrząśnięty, zamknął oczy i oparł się plecami o drzwi gabinetu, wzdychając głęboko.

\* \* \*

Ostatecznie nie uprzedził Weroniki o swoich planach. Sam zresztą nie wiedział, gdzie poniosą go nogi, zwłaszcza że deszcz wreszcie dał za wygraną, a chmury się rozstąpiły. Wyszedłszy z budynku, minął wtuloną w siebie parkę wpatrzoną w niebo. On czarował dziewczynę opowieściami o gwiazdnych konstelacjach, ona słuchała z fascynacją. Konrad odprowadził ich wzrokiem. Sam co najwyżej mógłby opowiedzieć krótką historię lotów na Księżyc, które interesowały go, gdy był jeszcze szczeniakiem, lecz wątpił, by zdobył nimi uwagę jakiegokolwiek kobiety.

Postanowił przejść się na starówkę. Później zobaczy, który lokal skusi go brakiem hałaśliwych studentów i dudniącej muzyki. Po samochód wróci następnego dnia, co da mu pretekst do wyjścia z domu.

Odetchnął głęboko. Wprawdzie nie mógł beztrוסko błędzić

z głową w chmurach – raz, że wiatr je przewiał, a dwa, że groziło to wdepnięciem w jedną z licznych kałuż – lecz przynajmniej deszcz oczyścił powietrze, nadając mu świeżości, tak potrzebnej w miejskich aglomeracjach.

Do ścisłego centrum miał nieco ponad dwa kilometry i wystarczająco czasu, by poukładać myśli. Te naprzemiennie krążyły wokół Weroniki i zamordowanych kobiet. Wątpił, by dziennikarz rzeczywiście dysponował konkretnymi dowodami wiążącymi obie zbrodnie, lecz nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Próbował przypomnieć sobie przebieg ostatnich sesji z Sylwią i Agatą. Z tą pierwszą było łatwiej, w końcu ich spotkanie odbyło się zaledwie przed pięcioma dniami. Wcześniej współpracował z jej mężem, który po osiągnięciu sukcesu na skalę światową nie potrafił zmusić się do projektowania kolejnych wzorów. Sprawy nie ułatwiała wiecznie niezadowolona żona i syn, typowy rozpieszczony dzieciak, obwiniający rodziców za błędy wychowawcze.

Po dziesięciu sesjach z Jackiem wspólnie stwierdzili, że czas rozpocząć małżeńską terapię wraz z Sylwią. Była to kobieta ekspresyjna. Podczas dwóch spotkań zdążyła wyrzucić z siebie więcej niż przeciętny klient przez kilka miesięcy pracy z terapeutą. Z łatwością przychodziło jej obwiniać męża za własne nieudane życie zawodowe. Konrad doskonale pamiętał spojrzenie kobiety, pełne złości ukierunkowanej na Jacka. Jeśli miałyby obstawiać, które z tej dwójki zamorduje małżonka, postawiłby w ciemno na Sylwię.

„Ile można jeździć do tych makaroniarzy? – przypomniał sobie jej słowa, gdy na pierwszym spotkaniu, zamiast opowiedzieć



o sobie, zaczęła narzekać na wakacyjne plany. – Rok w rok te same hotele, plaże, sklepy. Oszaleć można”. Jacek wówczas zerkał na nią z politowaniem. Konradowi również na twarz cisnął się podobny grymas, ale nie mógł sobie pozwolić na ten luksus. Przywołał maskę spokoju i wyuczonym przytakiwaniem kamufłował pogardę dla kobiety, która nic nie musiała robić w życiu, tylko ładnie pachnieć i zakładać kreacje od najdroższych projektantów.

Terapeuta rozumiał wcześniejsze dylematy swego klienta, który zamierzał ją zostawić. Ostatecznie, w wyniku przepracowanych sesji, Jacek postanowił dać jej jeszcze jedną szansę i zgodził się na wylot do Brazylii, jako na ostateczną próbę, by wskrzesić swoje uczucie do niej. Czy był w stanie ją zamordować? Czy swym nieustającym monologiem doprowadziła go do ostateczności? Konrad westchnął. Wątpliwe.

Ze wspomnień wybiły go wibracje telefonu, schowanego w wewnętrznej kieszeni marynarki. Pewnie Weronika sobie o nim przypomniała. Jako terapeuta doradziłby im odbyć poważną rozmowę, być może skorzystać z usług specjalisty, jednak wiedział dobrze z doświadczenia, że najpierw musi sam poradzić sobie ze swoimi uczuciami do żony.

– Szewc w dziurawych butach chodzi – powiedział pod nosem, wyjmując telefon. Planował wcisnąć czerwoną słuchawkę, jednak na ekranie widniało zdjęcie Tymona, kumpla jeszcze ze studiów, którego lubił nazywać swoim najlepszym przyjacielem. Uśmiechnął się i odebrał połączenie. – Co tam, bracie?

– Co ty, zakochany czy ogłuchłeś? – Niski, chropowaty głos rozbrzmiał w słuchawce. Jego właściciel był lekko zdyszany, jakby

właśnie gdzieś biegł. – Odwróć się, do cholery.

Konrad spojrzął za siebie. Potężny mężczyzna we flanelowej koszuli, nasuwającej skojarzenie ze skandynawskimi drwalami – co zresztą pasowało do jego postury – szedł za nim szybkim krokiem i wymachiwał dłonią.

– Ech, trzeba było nie odbierać – terapeuta rzucił do telefonu. – Muszę pamiętać, by zostawiać to ustrojstwo w domu.

Rozłączył się, nie dając Tymonowi szansy na ripostę. Rozmyślenia musiały pochłonąć go do tego stopnia, że nie usłyszał nawoływań przyjaciela – tubalnych nawoływań, gdyż Tymon regularnie zdzierał sobie gardło na stadionie bydgoskiego Zawiszy. Choć sylwetką przypominał stadionowego chuligana, to wystarczyło przyrzeć mu się bliżej, by dostrzec inteligentne spojrzenie, prześwietlające człowieka lepiej niż rentgen. Flanelowa koszula była jego nieodłącznym atrybutem, przez co Konrad nieraz sobie z niego żartował, jednak w połączeniu z granatowymi dżinsami i skórzanymi półbutami tworzyło to nawet niezłe połączenie. Śmiało mógł uchodzić za wzór męskiej urody, zwłaszcza że zawsze był starannie ogolony, a jego krótko ostrzyżone włosy wciąż tak gęste, jak dwadzieścia lat temu.

– Wołam cię i wołam – oznajmił zdyszany Tymon, gdy znaleźli się naprzeciwko siebie. – Od kiedy tak szybko chodzisz? Nie mogłem cię dogonić.

– Boś skapcaniał jak stary ramol. – Wpadli sobie w objęcia, poklepując się po plecach. Różnica zasięgu ramion sprawiała wrażenie, że Tymon jest jego starszym bratem. – Zawsze byłeś powolny, nie to co ja.

Konrad poczuł kilka mocniejszych klepnięć, po których zapiekły

go plecy. Wchodzenie w misia z niemal dwumetrowym mężczyzną o konstytucji rugbyisty nie było najlepszym pomysłem, ale zwykli się tak witać od czasów studenckich. Zwykle uderzał swym wątłym ciałem o umięśniony tors towarzysza, tym razem jednak okazała oponka nie tyle zamortyzowała zetknięcie, co wręcz otuliła go jak puchowa poduszka. Tymon rzeczywiście przytył ładnych kilka kilogramów. Nie było tego widać po twarzy, a luźna koszula skutecznie ukrywała fałdki.

– Spasłeś się jak świnia – oznajmił radośnie Konrad. – Nie spodziewałem się, że doczekam tej chwili. Wreszcie możemy iść razem na basen i to ty będziesz ten brzydszy.

– Chyba że ktoś spojrzy na zawartość naszych kąpielówek – odpowiedział przyjaciel, równie rozbawiony. – Przyznaję się bez bicia, popadłem w syndrom kuwady. Odkąd Anka zaszła w ciążę, to pałaszuję kotleta za kotлетem, że już o drożdżówkach i tortach nie wspomnę.

Jak na dwóch psychologów przystało, ich rozmowa od razu zбочyła na zawodowy temat. Mężczyzna odczuwający objawy ciąży nie był niczym nowym, jednak widok przyjaciela obrośniętego dodatkową warstwą tłuszczu stanowił dla Konrada nie lada zaskoczenie. Zdawał sobie sprawę, że to objaw zmian hormonalnych spowodowanych silnymi emocjami. Wzrost estrogenów i prolaktyny kosztem testosteronu stanowił pretekst do kolejnych żartów, tak więc wieczór zapowiadał się na bardzo wesoły. Nawet wizyta dziennikarza i szokujące odkrycie faktu zamordowania jego pacjentek wypadło mu teraz z głowy.

– Skoro jesteś w ciąży, to rozumiem, że alkoholu nie pijesz? – drażnił przyjaciela, z uśmiechem obserwując jego reakcję. – Może

choć piwo z soczkiem strzelisz?

– I tak skończy się na tym, że będę ci wzywał taksówkę, bo sam do domu nie trafisz. Chodź do Londonu, stawiam pierwszą kolejkę.

Pub, usytuowany w piwnicy starej kamienicy, stanowił jedną z ich ulubionych miejscówek. Kameralny wystrój, przyjemna, niezagłuszająca rozmów muzyka, ściany i sufit wyłożone cegłą nadającą specyficzny klimat, a do tego brak zasięgu telefonu gwarantowały udany wieczór. Konrad zgodził się więc bez oporów, w głowie układając sobie listę żartów z przyjaciela.

Pomimo późnej pory i niedawnej ulewy powietrze było ciepłe. Dopiero teraz Konrad spostrzegł, że szybki marsz zbyt go zmęczył, aż na skroni poczuł kropelki potu. Zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię. Wcześniejsza rzeźkość zniknęła, ustępując miejsca standardowej letniej duchocie, która nawet późnym wieczorem doskwierała mieszkańcom dużych miast. Tymon pomimo nadwagi nie wyglądał na zziąjanego, wręcz przeciwnie, stawiał długie kroki, jakby spieszył się na promocję piwa w ramach *happy hours*.

\* \* \*

Pierwsze dwa kufle opróżnili przy barze. Brak rezerwacji w piątkowy wieczór okazał się stanowić nie lada problem i gdyby nie ich silna determinacja, by poczekać na wolne miejsce, pewnie skończyłby się przedwczesną zmianą lokalu. Ostatecznie udało im się zająć stolik zwolniony przez grupkę studentów, którzy postanowili przejść do bardziej młodzieżowego miejsca, gdzie według powtarzanych przechwałek planowali „wyrwać trochę świeżego towaru”.

Konrad z ulgą przyjął ewakuację hałaśliwej ekipy. Wysokie

barowe stołki nie należały do najwygodniejszych, poza tym ciągnące się przy kontuarze kolejki nie pozwalały na swobodną konwersację. To – oraz fakt, że wypił już litr odprężającego napoju – sprawiło, że dopiero przy trzecim kuflu Konrad odważył się opowiedzieć przyjacielowi o nietypowym gościu, którego odprawił w równie nietypowy sposób.

– Słyszałeś o jakichś wyjątkowo makabrycznych morderstwach w ostatnich dniach? – Zmarszczył brwi, słysząc własne słowa. – W sensie u nas, w Bydgoszczy. Był u mnie facet, podawał się za dziennikarza i nie uwierzysz, czego ode mnie zażądał.

– Zgaduję, że nie autoryzacji wywiadu. – Tymon spojrzał na niego zaciekawiony i rozsiadł się na krześle sprawiającym wrażenie wygodnego niczym fotel z masażem. Wyglądał na oczekującego ciekawej historii, która choć w małym stopniu oderwie go od myśli lawirujących wokół przyszłego potomka. –

Miałem kiedyś jednego klienta z kolorowego periodyku. Po kilkunastu latach pracy stwierdził, że tworzenie informacji wyssanych z palca rzeczywiście mogło być nieetyczne, uwierzysz? To była jedna z tych chwil, kiedy na usta samo cisnęło się: „No nie pierdol, serio?”. Krew człowieka zalewa, gdy zamiast tego musi pochwalić pieprzonego odkrywcę Ameryki za przełomową myśl.

Konrad rozumiał go aż za dobrze. Sam określał to cynizmem terapeuty. Obcowanie z dziesiątym rozwodnikiem, który po latach odkrywa, że porzucenie rodziny dla młodej studentki wcale nie było najlepszym życiowym wyborem, wymagało czasem odreagowania. Pół biedy, jeśli ów nieszczęśnik po prostu żałuje swojej decyzji i próbuje odnaleźć się w nowej sytuacji, mozolnie odbudowując relacje z porzuconymi dziećmi. Częściej występowały

jednak przypadki bardziej frustrujące, kiedy tacy ojcowie, nie poczuwając się w najmniejszym stopniu do winy i wieloletniego zaniedbania swoich już dorosłych pociech, mają im za złe brak zaproszeń na święta, śluby czy chrzciny nigdy niewidzianych wnucząt.

– Ten był inny. – Konrad zrobił pauzę, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie nazwisko mężczyzny. – Nie wiedziałem nawet, że brukowce mają swoich dziennikarzy śledczych.

Wypity alkohol pozwolił mu nieco zdystansować się do całej sytuacji. Wcześniejsze oburzenie ustąpiło miejsca lekkiemu zrozumieniu, wszak sam na miejscu redaktora za wszelką cenę próbowałby zasięgnąć jak najwięcej informacji. W takich wypadkach pojęcie etyki zawodowej schodziło na boczny tor.

– Chodzi o morderstwa dwóch kobiet – kontynuował. – Niewiele wiem o sprawie, ale obie ostatnimi czasy przychodziły do mnie na terapię. Nie mam pojęcia, jak ten fagas się o tym dowiedział, ale skoro on był w stanie, to tylko czekać, aż ktoś jeszcze mnie z tym powiąże.

– A co tu powiązywać? Zakupy pewnie też robiły w jednym sklepie, a jakoś nikt nie fatyguje się do kasjera.

W głosie przyjaciela słysząc było drwinę, jakby zupełnie zbagatelizował problem. Konrad nie wiedział, czego oczekiwał po tej rozmowie, ale z pewnością liczył na poważne potraktowanie sprawy. Nawet jeśli nic nie łączyło go z morderstwami, to każdy terapeuta w jakiś sposób związywał się ze swoimi klientami, a dwie z nich zostały niedawno brutalnie zamordowane.

Tymon najwyraźniej dostrzegł w twarzy Konrada odbicie tych myśli, gdyż nagle spoważniał i przysunął się bliżej, opierając łokcie

na drewnianym stole. Przez chwilę spoglądał na niego uważnie.

– No dobra – rzucił, patrząc mu prosto w oczy. – Mów dokładnie jak było, bo widzę, że naprawdę cię to gryzie, ale z góry uprzedzam, że jeśli jesteś seryjnym mordercą, to wybrałeś kiepski moment na wyjście z cienia. Nie możesz zostać u mnie, bo po dwóch dniach dobrowolnie oddasz się w ręce policji. Uwierz mi na słowo, z ciężarną Anką nie wytrzymasz pod jednym dachem. –

Zaśmiał się i pociągnął duży łyk piwa. – Przepraszam, żartowałem. A teraz serio, mów, o co w tym wszystkim chodzi.

W normalnych warunkach Konrad odpłaciłby przyjacielowi kąśliwą ripostą, jednak tym razem wcale nie było mu do śmiechu. Dwie niewinne kobiety zostały zamordowane, a sprawca najprawdopodobniej wciąż przebywał na wolności. A co, jeśli dziennikarz nie był w błędzie? Być może zabójca rzeczywiście kierował się jakąś pokrętną logiką, wzięwszy sobie na cel jego klientów? Co, jeśli nie zareaguje i życie straci kolejna z odwiedzających go osób? Brzmiało to na tyle irracjonalnie, że Konrad nie mógł wypowiedzieć tej myśli na głos.

– Zasadniczo wiem tyle, ile ci powiedziałem – rzucił, odruchowo sięgając po kufel. W środku została jedynie resztką piwa, choć gotów był przysiąc, że dopiero co brał pierwszy łyk. Wydawało się to prawdopodobne, wszak naczynie jego kompana było niemal pełne. – Dwie z moich klientek zostały zamordowane. Pewnie w Internecie można znaleźć więcej informacji, ale nie zdążyłem poczytać o tych sprawach. Akurat zamierzałem wychodzić, gdy przyszedł ten dziennikarz. Pokazał mi kilka zdjęć z miejsc zbrodni... – Wzdrygnął się na to wspomnienie. – ...ale widać było jedynie krew. Dużo krwi. Zresztą nie miałem ochoty na nie

patrzeć. Póki co wiem tyle, co poruszaliśmy z pacjentkami w trakcie odbytych sesji. A z tego, co pamiętam, to niczym się nie wyróżniały. Żadna nie wspominała o wrogach, nikt ich nie śledził, nikt im nie groził. Nic, co pomogłoby pomóc w śledztwie. Ale te zdjęcia... Mówię ci, były straszne.

Tymon nagle wyprostował się, a na jego twarzy zagościło prawdziwe zainteresowanie. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale najpierw sięgnął po kufel i przyłożył go do ust. Przez kilka sekund, podczas których duszkiem opróżnił jego zawartość, wyglądał jak za najlepszych studenckich lat, gdy na wyścigi osuszali butelki z piwem. Wówczas potrafił nie uronić ani kropli, lecz tym razem broda aż świeciła mu się od złocistych kropelek.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że chodzi o tę babkę obdartą ze skóry? – powiedział w końcu, nieco za głośno, zwracając uwagę parki siedzącej przy sąsiednim stoliku.

Kobieta o krótko ostrzyżonych blond włosach rzuciła im zdziwione spojrzenie, a jej partner z dezaprobatą pokręcił głową. Patrzyli tak na nich potępiająco przez kilka sekund, odwracając wzrok dopiero, gdy Tymon wydał z siebie donośne beknięcie, słyszalne zapewne nawet na niewielkim, wydzielonym w sąsiednim pomieszczeniu parkiecie.

– Z dwojga złego lepiej w tę stronę – rzucił, ocierając mokrą brodę. – Za stary na to jestem. Czuję, jakbym zaraz miał puścić pawia.

Konrad otaksował przyjaciela wzrokiem, oceniając, czy rzeczywiście grozi mu zwrócenie zawartości żołądka. Pomijając cichą czkawkę, Tymon prezentował się nie gorzej niż godzinę



wcześniej. Jego wzrok był skupiony, a szelmowski uśmiech zdradzał myśli o zamówieniu jeszcze jednej kolejki.

– Wychodzi na to, że wiesz więcej ode mnie. – Konrad skinął w stronę barmana, dając mu znak, by ten przyniósł dwa kolejne kufle. – Nim zalejesz się w trupa, uchyl mi choć rąbka tajemnicy.

– W trupa, powiadasz, lepiej bym tego nie ujął. Ty to chyba telewizji w ogóle nie oglądasz, trąbili o tym na okrągło przez kilka ostatnich dni. Jakaś wymuskana żona uznanego projektanta mody, wiesz, takiego, co to robi ubrania, w których nikt normalny nie wyszedłby na ulicę, została napadnięta w ich domu w Osielsku. Sprawa jest o tyle nietypowa, że jej ciało było poharatane, jakby ktoś urządził sobie na nim poligon doświadczalny. Gdzieś czytałem, że ten sadysta najprawdopodobniej nawet jej nie znieczulił.

Urwał, gdy zaprzyjaźniony barman przyniósł zamówienie. Żłocisty napój, zwieńczony idealnie wymierzoną ilością piany, przyciągnął jego wzrok niczym ponętna dwudziestolatka w przykrótkiej spódniczce. Konrad uznał, że ciężarna żona najwidoczniej nie pozwala na wiele Tymonowi, czego efektem było między innymi wygłodniałe spojrzenie, charakterystyczne dla osób spuszczonech ze smyczy na jeden wieczór. Zazwyczaj chęć odreagowania kończy się brakiem umiaru, czego właśnie przykład miał przed sobą.

– Może złuzuj trochę – powiedział Konrad, gdy jego kompan łąpczywie pociągnął dwa solidne hausty. – Tak zapuściłeś brzucha, że nie zataszczę cię do domu.

– Nie gadaj takich bzdur, bo jeszcze uznam, że się o mnie troszczysz. Na czym to ja skończyłem? – Tymon podniósł wzrok,

gładząc się po brodzie. – No, ta kobitka ponoć była cięta na żywca. Policja nie podała do publicznej wiadomości dokładnych szczegółów, co z nią zrobili, ale wiadomo, że babka miała poranione palce, rozwalone oko, no i przede wszystkim zdartą skórę z twarzy. Wyobrażasz to sobie?

– Coś wiadomo o sprawcy? Może było ich kilku?

– Pierwszego dnia poszukiwali jej męża. Wcale bym się nie dziwił, gdyby to właśnie on za tym stał. Zresztą całe to środowisko projektantów jest nieźle pojebane. Wychudzone modelki, uzależnienie od prochów, rozpasanie seksualne. A te ich kreacje? Cekiny, pawie piórka, węże boa, nawet na potańcówkę w remizie bym czegoś takiego nie założył.

– Czyli sprawcy nie ujęli?

Tymon przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu. Dopiero po kilku sekundach zreflektował się, że jego wypowiedź nieco zboczyła z głównego tematu. Próbował wprawdzie zatuszować to szybkim toastem za spotkanie, ale Konrad doskonale widział zakłopotanie w oczach przyjaciela. Szybko wypity alkohol najwyraźniej zdążył mu już lekko zaszumieć w głowie.

– Ponoć mąż sam zgłosił się na policję następnego dnia po nagłośnieniu sprawy. Był na jakimś zagranicznym wyjeździe i o wszystkim dowiedział się od syna, tak przynajmniej mówi oficjalna wersja. A tę drugą babkę to kiedy zabili?

Siedząca przy sąsiednim stoliku kobieta podniosła się z krzesła, przykuwając uwagę Konrada. Patrzyła już na nich wcześniej, kiedy zaczęli rozmawiać z Tymonem o morderstwach, teraz również rzuciła im ukradkiem dziwne spojrzenie spod zmarszczonych brwi. To prawda, nie krępowali się zbyt

obecnością innych osób, a rozmowa o zrywaniu skóry z twarzy niekoniecznie należała do tematów mile widzianych w knajpie.

Konrad przez dłuższą chwilę zawiesił na kobiecie wzrok, korzystając z faktu, że odwróciła się profilem. Nie była przesadnie atrakcyjna ani nawet charakterystyczna, ale miała ładne rysy twarzy. Nieco przypominała Sylwię. Terapeuta poczuł dreszcz na plecach, wyobraziwszy sobie, jak umarła jego pacjentka. Szybko spuścił wzrok i skierował go na przyjaciela. Pytający wzrok Tymona przywrócił go do rzeczywistości.

– O co pytałeś? – rzucił zakłopotany. Dopiero co wypominał koledze stan lekkiego upojenia, podczas gdy najwyraźniej sam narzucił sobie zbyt szybkie tempo.

– No, ta druga kobietka. Jeśli to ma być ten sam sprawca, to miejsce zbrodni powinno się czymś wyróżniać. Kojarzysz, kiedy doszło do zabójstwa?

Ostatni raz widział Agatę Płóć przeszło miesiąc wcześniej. Zwykle sesje planował z minimum trzytygodniowym odstępem, by klient zdążył przepracować omawiane tematy i wyciągnąć nowe wnioski. Oznaczało to, że równie dobrze mogła zginąć albo wczoraj, albo miesiąc temu. Być może umarła w tym samym czasie co Sylwia.

– Zaraz ci powiem, kiedy dokładnie z nią rozmawiałem. –

Konrad wyjął z kieszeni telefon i na ekranie dotykowym wszedł w aplikację kalendarza. Przyciemnione światło utrudniało odczytanie drobnych ikonki. – Dziesiąty maja, godzina dwunasta.

– Czyli równo miesiąc przed masakrą w domu tego projektanta. Będziesz musiał wpisać w przeglądarce... – Tymon urwał, marszcząc czoło. Jego oczy nagle rozszerzyły się i przez chwilę

wyglądał, jakby nad głową rozbłysła mu animowana żarówka, zwiastująca genialną myśl. – Zaraz, zaraz... było coś w telewizji. Zdażyłem już zapomnieć, bo nie trąbili o tym tyle, co o tej oskórowanej, ale rzeczywiście przypominam sobie sprawę z Kujawsko-Pomorskiego. Znaleźli ją w domu, miała wyrwane wszystkie zęby, paznokcie i włosy. Nawet rzęsy!

Słowa przyjaciela wprawiły Konrada w osłupienie. Jeśli rzeczywiście Agata została zamordowana w tak brutalny sposób, to nie mogło być mowy o przypadku. Aż dziwne, że jeszcze nie odwiedziła go policja. Poczul dreszcze na całym ciele na myśl o psychopacie polującym na jego pacjentów.

– Nie, to zupełnie bez sensu. – Sam siebie próbował uspokoić. – Po co ktoś miałby znęcać się nad moimi klientami? W imię czego, reklamacji?

– A bo ja wiem – skwitował Tymon, wzruszając ramionami. – To już prędzej powinien zamordować ciebie.

Jeśli to miało uspokoić Konrada, to przyniosło zgoła odmienny efekt. Jak nic, wracając do domu, co rusz oglądać się będzie za siebie, niczym siedmiolatek pierwszy raz idący samodzielnie do szkoły.

– Nie chcę o tym myśleć – syknął, po czym wziął kilka łyków piwa. Tym razem to on zostawał w tyle, a poczucie ciężkości i cisnący pęcherz podpowiadały, że stan ten raczej nie ulegnie już zmianie. – Pomówmy o czymś przyjemniejszym. Macie już imię dla dziecka?

– Weź mi nawet nic nie mów. Anka wymyśla jakieś dziwactwa, jakby chłopak nie mógł nazywać się po prostu Paweł, Piotr albo Krzysztof. Nie masz pojęcia, jak świat poszedł naprzód z imionami.

Gdzie nie spojrzysz jakiś Cyprian czy inny Olivier, a potem dziwią się, że tożsamość narodowa zanika pośród...

Konrad rytmicznie przytakiwał głową, choć w rzeczywistości nie słuchał przyjaciela. Jego problemy rodzinne, choć z pewnością bardzo istotne, były dlań jedynie iluzoryczne. Choć nie chciał dopuszczać do siebie takich myśli, to w rzeczywistości zazdrościł mu udanego życia małżeńskiego, nawet jeśli Anka powita podchmielonego męża z przysłowiowym wałkiem w rękach. Przynajmniej wciąż jej zależało na Tymonie, skoro żywiła do niego uczucia, które sam wraz z Weroniką nie wiadomo nawet kiedy utracili.

## Rozdział II

Przyłożyła chłodny metal do karku mężczyzny. Nożyczki cicho szcęknęły, a drobinki włosów z szelestem zsunęły się po śliskim materiale na podłogę. Trzymanym w drugiej dłoni grzebieniem przesunęła po czuprynie klienta, który baczным spojrzeniem śledził w lustrze każdy jej ruch, marszcząc czoło na najmniejszy odstający kosmyk, jakby lada chwila miał wstać z krzesła i samemu zacząć się strzyc.

Był przystojny, choć zyskałby wiele, zastępując naburmuszoną minę życzliwym uśmiechem. Większość mężczyzn zapominała o tym drobnym geście, ale ten przynajmniej miał świeżo umyte włosy, co stanowiło miły wyjątek. Czasami pleć brzydsza zbyt dosłownie podchodziła do znaczenia owej brzydoty, zapominając o podstawach higieny. Co jak co, ale fakt, że mycie głowy było w pakiecie ze stryżeniem, nie oznaczał, że Elżbieta lubiła dotykać przetłuszczonej czupryny.

Po dwóch nieudanych próbach nawiązania rozmowy z klientem myśli fryzjerki powoli odpływały w stronę nadchodzącego wieczoru. W salonie prócz niej pozostała jeszcze Kamila, blondwłosa stażystka, której dłonie zapewne lepiej nadawałyby się do przerzucania węgla niż cieniowania włosów, choć całkiem nieźle radziły sobie z nakładaniem farby. Pomimo szczerych chęci Elżbieta nie mogła podjąć z nią współpracy, głównie z powodu średniej prezencji, która w tym fachu odgrywała niebagatelną rolę. Łatwiej powierzyć swój wizerunek ślicznej, drobnej kobiecie

o przyjemnym uśmiechu niż posiadaczce dziesięciu serdelków w miejscu palców. Powinna powiedzieć jej to od razu, zamiast niepotrzebnie wzbudzać nadzieję, ale jakoś nie potrafiła przekazać złej wiadomości. Będzie musiała o tym porozmawiać na następnym spotkaniu z Konradem.

W zasadzie nie miała żadnych planów na wieczór. Małe zakupy, może jakiś spacer, wszak wypadało wreszcie złapać choć odrobinę czerwcowego słońca. Koniec końców i tak legnie przed telewizorem, oglądając talent show i komentując w myślach stylizacje uczestników. Gdy poczuje wyrzuty sumienia z racji bezowocnego spędzania czasu, zacznie usprawiedliwiać się, że wieczorna ramówka telewizyjna to idealna okazja do śledzenia nowych trendów, które będzie mogła wykorzystać w swojej pracy.

Wyjmując maszynkę do strzyżenia, kątem oka spojrzała na stażystkę. Dziewczyna zamiotła podłogę i kończyła porządkowanie kosmetyków. Nie można było odmówić jej pracowitości. Może jednak zasługiwała na szansę, choćby na ćwierć etatu?

„Stop! – zganiała się w myślach. – Znowu zaczynasz uszczęśliwiać innych swoim kosztem. Zrób z niej jeszcze twarz salonu, a plakaty z tymi wielgaśnymi paluchami zawieś na słupach ogłoszeniowych. Musisz jej podziękować za zaangażowanie, przeprosić i zwalić winę na chwilowy zastój w interesie. Nie, to nie przejdzie, przecież widzi, że terminarz pęka w szwach. No to skłam, że kilka kobiet narzekało na źle nałożoną farbę, a ty nie możesz sobie pozwolić na utratę stałych klientek. A może jednak dać jej... Nie! Elżbieta, przestań, pamiętaj, co mówił Konrad. Nie musisz nikomu się tłumaczyć, w końcu to ty jesteś szefową!”.

Skrzywiła usta, słysząc hałas dochodzący z szafki z farbami, gdzie Kamila najwyraźniej przewróciła kilka butelek. Łoskot pojemników zagłuszył cichą melodię dochodzącą z głośników.

– Przepraszam! – krzyknęła dziewczyna.

Ela z niezadowoleniem pokręciła głową, po czym wzdrygnęła się. W salonie panował przeraźliwy chłód, na przedramionach miała gęsią skórkę.

– Podkręcałaś klimatyzację? – zwróciła się do dziewczyny kucającej przy szafce. – Zimno tu jak w psiarni.

Siedzący w fotelu mężczyzna zmarszczył czoło, do którego przyklejone były drobne włoski. Po jego skroni spłynęła kropelka potu, zbijając Elżbietę z tropu. Albo klient bardzo stresował się strzyżeniem, co wyjaśniać mogło dotychczasowe milczenie, albo to ona była przewrażliwiona.

– Zimno? – Kamila wyprostowała się i odwróciła w stronę właścicielki salonu. – Ja musiałam zdjąć fartuch, tak tu gorąco. Klimatyzacja jest wyłączona od dwóch dni, myślałam, że na pani polecenie.

„Rzeczywiście” – przypomniała sobie. Poprzedniego dnia jedna z dziewczyn tak wychłodziła salon, że Elżbieta musiała pracować z kurtką narzuconą na plecy. W ogóle ten czerwiec był wyjątkowo chłodny.

– Może się pani przeziębiła? – Dziewczyna otarła czoło. – Mogę dokończyć strzyżenie, jeśli chce pani wcześniej wrócić do domu. Lepiej odpocząć i wyspać się porządnie, niż rozchorować. Tutaj wszystko posprzątane, jeszcze tylko przelecę podłogę na mokro, i już.

Kobieta omiotła uważnym wzrokiem wnętrze salonu. Posadzka



wyłożona kamiennymi płytami rzeczywiście wyglądała na czystą, pomijając okolice jej fotela, na którym klient czekał na dokończenie strzyżenia. Pozostałe trzy stanowiska również prezentowały się schludnie, wszystkie akcesoria leżały na swoich miejscach. Nawet lustra lśniły czystością.

Wbrew sobie z uznaniem pokiwała głową. Musiała przyznać, że zaangażowania dziewczynie nie brakowało. Zawsze goniła fryzjerki, by zostawiały po sobie porządek, a Kamila wzięła na siebie ciężar sprzątnięcia za wszystkie.

– Dam radę – odparła, z trudem opierając się pokusie wcześniejszego wyjścia. – Jak skończysz z tą szafą, to jesteś wolna.

Wróciła do pracy. Ruchy jej dłoni były szybkie i oszczędne, niemal automatyczne, jakby zaprogramowane. W tle słychać było radiową spikerkę, narzekającą na falę upałów. „Może to objawy menopauzy” – pomyślała, lekko przechylając głowę mężczyzny, by złapać lepszy kąt. Inne kobiety zwykle skarżyły się na gorąc, ale być może u niej organizm reagował inaczej? Nie miała kataru, gorączki, kaszlu czy jakichkolwiek objawów przeziębienia, przyczyna jej stanu musiała więc leżeć gdzie indziej.

Coraz trudniej było jej utrzymać nożyczki w skostniałych od zimna palcach. Na szczęście pozostało niewiele, jedynie wygolić trymerem bokobrody i pracę można uznać za skończoną. Oczyszczywszy pędzlem kark i czoło mężczyzny z włosków, wzięła do ręki suszarkę, by wymodelować fryzurę, i kciukiem przesunęła włącznik. Na jej ciało buchnęła fala gorącego powietrza, wywołując u niej mimowolny dreszcz rozkoszy. Elżbieta prawie załkała, gdy skóra poczuła upragnione ciepło, i przymknęła powieki, zatapiając się w tym uczuciu. Przez chwilę przeniosła się z lodowatego salonu

na piaszczystą plażę, a zamiast luster i obracanych foteli fryzjerskich otaczały ją parasole pokryte liśćmi palmy i kusząco rozłożone leżaki, zapraszające do leniwego odpoczynku. Słońce czule muskało jej skórę, tak jak matka gładzi dłonią po policzku dziecka. Rozluźniła napięte plecy i wciągnęła do płuc gorące powietrze. Było idealnie.

Jednostajne brzęczenie suszarki brzmiało teraz jak szum morza. Przypomniało jej wakacje w Chorwacji, ten ostatni wyjazd z Radkiem, trzy lata temu, zanim drań ją rzucił. Pojechali do Dalmacji, wieczory spędzali na spacerach, w restauracjach lub w łóżku, a ona była szczęśliwa i wierzyła, że tak już będzie zawsze. Pomyśleć, że narzekała wtedy na upały!

– Pani Elżbieto! – Do rzeczywistości przywrócił ją zaniepokojony głos stażystki. – Wszystko w porządku?

Otworzyła oczy. Na wpół przytomna, spodziewała się ujrzeć smukłą sylwetkę barmana obsługującego plażowiczów. Wysportowany Mulat z tacą pełną kolorowych drinków okazał się niemłodą kobietą, patrzącą na nią z szaleńczym uśmiechem. Ubrana w czarne, połyskujące spodnie, nieco zbyt mocno opinające obfite uda, białą koszulę, nieudolnie maskującą brzuszek, oraz firmowy fartuch – stanowiła synonim brzydkiego starzenia. Trzymaną w dłoniach suszarkę do włosów, działającą na najwyższych obrotach, skierowaną miała prosto na twarz, przez co jej włosy szalały, odsłaniając siwe odrosty. Co to za fryzjerka, która nie potrafi zadbać o własną fryzurę?

– Pani Elżbieto? – Zaniepokojona dziewczyna stanęła tuż przed nią, zasłaniając jej sylwetkę odbitą w lustrze. – Co się dzieje?

– Przepraszam, muszę... – Ela urwała, nie próbując nawet

ukryć zakłopotania. – Dokończysz pana, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, wepchnęła stażystce w dłonie wciąż włączoną suszarkę i spieszny krokiem ruszyła do pomieszczenia socjalnego. Na plecach czuła wzrok dziewczyny. Nie musiała nawet się odwracać, by widzieć ten charakterystyczny wyraz twarzy, którym ludzie obdarzają pijaka leżącego na środku chodnika czy chorego na zespół Tourette, w niekontrolowany sposób wymachującego rękoma i głową. Darmowa atrakcja, o której można wieczorem opowiedzieć znajomym. Całe szczęście, że Kamila ani bezimienny klient nie mieli na tyle refleksu, by nakręcić jej wyczyn telefonem, co przecież teraz stanowiło pierwszą reakcję przechodniów na jakiegokolwiek nietypowe wydarzenie. Złapie cię atak padaczki? Nikt ci nie pomoże, ale za to będziesz gwiazdą w Internecie. W autobusie napadnie cię zgraja pijanych nastolatków? Owszem, pobiją cię, ale przynajmniej czyjeś nagranie będzie dowodem w sądzie na winę małoletnich chojraków oraz znieczulicę reszty pasażerów, która zamiast spróbować pomóc, wlepiała wzrok w szyby.

Elżbieta westchnęła głęboko, zamykając za sobą drzwi. Usytuowana na tyłach salonu klitka, nazywana przez pracownice „spizarnią”, pełniła rolę składzika i pokoju socjalnego. W jednym kącie znajdowała się niewielka lodówka na posiłki przynoszone do pracy przez dziewczyny, zlew oraz stół z czajnikiem elektrycznym, całą resztę pomieszczenia natomiast zajmowały fotele jeszcze sprzed remontu salonu, które miała wystawić na aukcji internetowej wiele miesięcy temu, kilka mioteł i mopów, kupionych hurtowo, by uzyskać niższą cenę, specjalnie wydzielona szafka z materiałami łatwopalnymi i różne inne przedmioty. Już

dawno powinna uporządkować to miejsce, zwłaszcza że dziewczyny jadły tam drugie śniadanie. Jako dobry pracodawca, a tak o sobie myślała, musiała zapewnić odpowiednie warunki do spędzania przerwy. Może jednak potrzebna jej była pomoc dodatkowej osoby, choćby w kwestiach administracyjnych?

„Nie myśl o tym teraz – zganiła się, opierając plecami o jedyny niezastawiony fragment ściany. – Zrobiłaś z siebie gwiazdę wieczoru. Co to w ogóle miało być? Wspomnienia z Chorwacji ożywione podmuchem suszarki? Zachowałaś się jak wariatka, nic dziwnego, że Radek uciekł od ciebie przy pierwszej lepszej okazji. Skup się! To nie było normalne. Może masz jakieś zaburzenia psychiczne? Konrad, zadzwoń do Konrada, on coś poradzi”.

Znała siebie na tyle, by wiedzieć, że jeśli od razu nie chwyci za telefon, to najprawdopodobniej znajdzie zaraz tuzin powodów, by tego zaniechać. Nie będzie przecież zawracać głowy terapii, który pewnie robi teraz coś bardzo ważnego. I tak nie powie jej niczego odkrywczego, co najwyżej rzuci garść lakonicznych porad, by zdystansowała się, odpoczęła od pracy i skupiła na czymś przyjemnym. Pewnie zaleci spacer i przewietrzenie umysłu. Poza tym nie chciała wyjść na jakąś świruskę, bo zamiast wizyty u siebie Konrad poleci zapisanie się do psychiatry!

– Cześć, Konrad – powiedziała, usłyszawszy głos terapeuty. Jeszcze dwa sygnały, a rozłączyłaby połączenie i wyłączyła głos w telefonie. – Przepraszam, że zawracam głowę, ale masz chwilę?

– Jasne – odpowiedział radosnym głosem. – Co tam słyhać?

I co teraz? Prosto z mostu opowiedzieć o incydencie z suszarką? Przyznać, że przez kilka chwil zupełnie odleciała, a co gorsza, wciąż korciło ją, by w ten nietypowy sposób ogrzać sobie różne

części ciała, włącznie z... Nie, przecież nie przejdzie jej to przez gardło.

– Ela, jesteś tam? – W tle słychać było ciche trzaski, jakby ktoś deptał po suchych gałązkach.

– Tak, tak, przepraszam, po prostu nie jestem pewna, jak zacząć. Wiem, że sesję mamy dopiero za tydzień, ale może dałbyś radę wcisnąć mnie wcześniej, na przykład w poniedziałek?

Do trzasków dołączyły coraz głośniejsze szумы. Mógł być to efekt słabego zasięgu lub po raz kolejny psuł jej się telefon. To już trzeci smartfon, który odmawiał posłuszeństwa w ciągu ostatniego pół roku, utwierdzając ją w przekonaniu, żeby trzymać się z dala od wszelkiej maści nowinek technologicznych. I tak dobrze, że potrafiła obsługiwać domowego laptopa, który wprawdzie działał coraz wolniej, ale przynajmniej był niewrażliwy na jej niszczycielską aurę.

– Myślę, że jest to wykonalne – odparł, wciąż uśmiechnięty, co słychać było w jego głosie. Zazdrościła mu tego wiecznego optymizmu. – Patrzę właśnie w kalendarz i najlepiej pasowałoby mi na dziesiątą. Może być?

– Super! Raz jeszcze przepraszam za kłopot.

Zganiła się w myślach za to ciągle przepraszanie. Jak nic Konrad zaraz zasypie ją mądrościami o większej wierze w siebie. Oczywiście będzie miał rację i ona doskonale o tym wiedziała, ale nie zmieniało to faktu, że wysłuchawszy monologu terapeuty, na usta cisnąć jej się będą jedynie kolejne przeprosiny.

– Albo nie, nie przepraszam! – krzyknęła w nagłym przypływie energii. Zapewne słychać ją było w całym salonie, co w połączeniu z wcześniejszym zachowaniem wystawi jej nie najlepszą opinię

w oczach klienta i stażystki, ale w tej chwili mało ją to interesowało. – Płacę ci za to, więc chyba mogę choć ten jeden raz poprosić o zmianę terminu, co nie?

– No brawo! – zaśmiał się Konrad, a trzaski w słuchawce zaczęły jeszcze bardziej zakłócać odbiór. – Zuch dziewczyna. Słuchaj, mam teraz chwilę czasu, więc jak chcesz, to możemy omówić impuls, który nakazał ci wykonać telefon. Brzmiałaś, jakby stało się coś poważnego.

– Sama nie wiem. – Z chęcią rzuciłaby jakimś żartem, ale nie miała żadnego na podorzędziu. Wcześniejszy okrzyk był szczytem jej możliwości. – Na samą myśl o tym czuję zażenowanie, a jakbym miała... Poczekaj chwilę.

Przerwała, słysząc kroki zbliżające się do drzwi składziku. Zasłoniła dłonią aparat, by Konrad nie usłyszał stażystki. Nie miała pojęcia, gdzie dokładnie zamontowano mikrofon, więc skryła w dłoniach cały telefon. Logicznie rozumując, powinien znajdować się w dolnej części, jak najbliżej ust użytkownika, jednak wolała dmuchać na zimne.

Rozległo się ciche pukanie.

– Pani Elżbieto... – Kamila delikatnie uchyliła drzwi, rzucając jej zatroskane spojrzenie. Wyglądała lepiej niż wcześniej. Dopiero po chwili Elżbieta zorientowała się, że dziewczyna zmieniła strój z roboczego na zwykły, najwyraźniej skończywszy obsługiwać klienta. – Wszystko w porządku?

Jej ubranie zdradzało zamiłowanie do mody. Jednocześnieowy jedwabny kombinezon w głębokim odcieniu granatu musiał kosztować kilkaset złotych, a pasujące do niego czółenka również nie wyglądały jak pierwsze lepsze buty z przeceny. W tym stroju

wyglądała całkiem atrakcyjnie. Elżbieta zakłęła w myślach. Wygląd dziewczyny wytrącał jej z rąk główny argument przemawiający za nieprzedłużeniem umowy. Może powinna zmienić fartuchy, skoro przez nie pracownice wyglądały mniej atrakcyjnie? Będzie musiała później o tym pomyśleć.

– Nie widzisz, że rozmawiam przez telefon? – parsknęła nieprzyjemnie. – Idź do domu, a na jutro przygotuj mi propozycję nowych strojów do naszego salonu. Tylko nic drogiego.

– Strojów? – Kamila przez chwilę wpatrywała się w Elżbietę, jakby szukając jakiegoś podstępu. Było to pewnie spowodowane wrogim tonem głosu szefowej, który zamiast szansy na wykazanie się pasował bardziej do nagany. – To znaczy oczywiście, że przygotuję. Dziękuję!

Wyglądała, jakby z radości chciała ucałować pracodawczynię. Ostatecznie jednak zreflektowała się, być może mając w pamięci niedawny incydent z suszarką, i jedynie radośnie dygnęła. Elżbieta odwzajemniła uśmiech, mając nadzieję, że zakończy to konwersację.

– Ale mnie jutro nie ma w grafiku...

Kobieta przewróciła oczami, kiedy jej cierpliwość została wystawiona na próbę.

– Przyjdź na dwunastą, a teraz proszę, pozwól mi dokończyć rozmowę, bo zaraz zmienię zdanie.

Kamila raz jeszcze dygnęła i bardzo delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Elżbieta uśmiechnęła się z satysfakcją. Pomimo jej dziwnego zachowania ten wieczór nie był całkowitą porażką. Aż żałowała, że Konrad nie słyszał tej rozmowy, przynajmniej miałby dowód, że wreszcie stała się bardziej stanowcza. Właśnie,

Konrad!

– Już jestem – rzuciła pośpiesznie do telefonu. – Przepraszam, że kazałam ci czekać.

– No i wróciliśmy do punktu wyjścia. Znowu przepraszasz. Oj, Ela, Ela, zaraz pomyślę, że kiepski ze mnie terapeuta.

Gdyby tylko wiedział, w jak wielkim był błędzie. Jeszcze przed chwilą czuła się, jakby traciła rozum. Nie potrafiła postawić na swoim, nie umiała zwolnić słabej pracownicy i popadała w zachowania niezwłocznie prowadzące do zakładu zamkniętego. Teraz jednak świat wyglądał jakoś inaczej. Szybka decyzja o zmianie służbowej garderoby sprawiła, że wcześniejsze troski odeszły w niepamięć. Może po prostu nadszedł czas na zmiany? Nie poprzestanie na nowych fartuchach, każe wysprzątać pomieszczenie socjalne, wyremontuje kuchnię w swoim mieszkaniu i przede wszystkim zrobi coś ze swoim ciałem.

– Nie masz racji, Konrad – stwierdziła, uśmiechając się szeroko. – Dziękuję i do zobaczenia w poniedziałek.

Rozłączyła się, czując pod skórą, że ten wieczór nie dobiegł jeszcze końca.

\* \* \*

Wyszędłszy z salonu, stwierdziła, że przyjemne spędzenie wolnego czasu może być trudniejsze, niż zakładała. Absolutnie nie miała ochoty na żadne kluby z głośną muzyką, a samotna kolacja w eleganckiej restauracji, zamiast podtrzymać pozytywne nastawienie, wpędziłaby ją w depresyjne myśli. Najchętniej poszłaby do teatru, ale bydgoska scena w wakacje zwykła zawieszać działalność. W głowie odrzucała kolejne opcje. Wachlarz możliwości kurczył się z minuty na minutę, ograniczając do kina



lub zakupów w butikach – przynajmniej nie tych tanich sieciówkach, lecz bardziej ekskluzywnych.

Wzdrygnęła się na samą myśl o zatłoczonych salach, śmierzących popcornem i potem. Ostatni raz na seansie była jeszcze z Radkiem i nie wspominała tego najlepiej. Film może i nie należał do najgorszych, głównie ze względu na przystojnego George'a Clooneya, grającego ojca dwóch nastoletnich dziewczyn, których matka leżała nieprzytomna w szpitalu. Facet starzał się w piękny sposób, lecz nie zmieniało to faktu, że w kinie przesadzono z klimatyzacją, a siedząca kilka rzędów niżej grupka młodzieży głośno komentowała każdą scenę, psując w ten sposób cały klimat. Jak w takim razie mogła spędzić ten wieczór, żeby zrealizować swoje plany? Nie chciała z nich rezygnować, zaprzepaścić tej nagle odkrytej energii.

Zatopiona w myślach szła ulicą, korzystając z ładnej pogody. Przez chwilę wpadło jej do głowy, by zadzwonić do Izki lub Marioli, ale Izie córka podrzuciła na weekend dziecko, a Mariola pojechała do spa. Płaczące niemowlę nie zapowiadało niczego dobrego, ale może wziąć przykład z koleżanki i wybrać się do gabinetu odnowy biologicznej? Od kiedy Radek ją zostawił, zapomniała o tego typu przyjemnościach. Rozmarzyła się. Jacuzzi, manicure, masaż, sauna...

Myśl o saunie przypomniała jej o zajściu z suszarką. Zdążyła już ochłonąć, lecz wciąż pamiętała to dziwne uczucie, które zmusiło ją do skierowania sobie nadmuchu na twarz. Przeszywający chłód, jakby naga wylądowała na mrozie, i przemożna potrzeba ogrzania ciała. Racjonalny umysł podpowiadał, że to niemożliwe, że przecież w salonie panowała

normalna temperatura, że było tam ciepło, lecz jej ciało nie przyjmowało tego do wiadomości. To boskie wrażenie, gdy strumień gorącego powietrza pieścił ją, muskał skórę, przeganiał ziąb i rozpalał od środka niczym wytrawny kochanek doprowadzający kobietę do orgazmu. Z lekkim wstydem przypomniawszy sobie, jak się w tamtej chwili czuła. Pulsujące ciepło w podbrzuszu, opanowujące całe ciało, sprawiające, że z trudem łapała oddech... Na samo wspomnienie zaczęły ją palić policzki, a usta rozciągnęły się w uśmiechu rozkoszy. Tak, z pewnością interwencja Kamili oderwała ją od nadciągającego spełnienia.

– Co ty pieprzysz, kobieto?! – syknęła, zatrzymując się na środku chodnika. – Jaki orgazm? Poczulaś nagły przypływ ciepła, pewnie z powodu odwodnienia, i tyle.

Spojrzała na zegarek. Było już po dwudziestej, za późno na spa. Może jutro wcześniej wyjdzie z pracy, nie miała po południu wypełnionego kalendarza. W dalszym ciągu jednak nie wiedziała, jak spędzić dzisiejszy wieczór.

Rozejrzała się. Szła zatopiona w myślach, odruchowo kierując kroki w stronę mieszkania i nawet nie zauważyła, kiedy dotarła do galerii Drukarnia, znajdującej się u zbiegu ulic Gdańskiej i Jagiellońskiej. Obiekt zarówno nazwą, jak i wyglądem nawiązywał do mieszczących się tam niegdyś Zakładów Graficznych, w których pracowali jej ojciec i dziadek. Nie uważała się za osobę sentymentalną, co nie zmieniało faktu, iż była to jedyna galeria handlowa, do której wpadała od czasu do czasu.

Od własnych czterech kątów dzieliło ją zaledwie pięć minut spaceru, toteż wizja aktywnego spędzenia czasu stopniowo odpływała w niebyt na rzecz tradycyjnego wieczoru przed

telewizorem. Nie mogła jednak pozwolić sobie na bierne oglądanie ramówki, nie dzisiaj, nie kiedy postanowiła, że będzie szczęśliwa! Jeśli teraz da za wygraną, to nie będzie różnić się niczym od tych wszystkich ludzi rokrocznie wmawiających sobie, że od pierwszego stycznia zrzucą zbędne kilogramy, przestaną palić czy wreszcie powiedzą szefowi, co o nim myślą.

„Radek – pomyślała. – Wszystkie te lata spędzałaś pod jego dyktando. To on decydował, gdzie pojedziecie na wakacje, co zjecie na obiad, co obejrzycie w telewizji. Nigdy nie pozwalał ci wziąć do ręki pilota, a po jego odejściu grzecznie trzymałaś się tych przyzwyczajzeń. Nie przepadał za ambitniejszymi produkcjami, nudziły go. Ciągłe ci policjanci i złodzieje, te same twarze grające niemal identyczne role. Od wielkiego dzwonu raczył puścić komedię romantyczną, ale i tak wyłączał w połowie, nie szczędząc złośliwych komentarzy”. Dzisiaj zmieni te przyzwyczajenia.

– Deska serów, oliwki, wino i hiszpańskie kino – rzuciła na głos, zwracając na siebie uwagę przechodzącego obok mężczyzny. Ubrany w krótkie spodnie i koszulkę polo, najwyraźniej nie wiedział, że dojrzały mężczyzna nie powinien chodzić w krótkich portkach. Stara Ela z zakłopotaniem odwróciłaby wzrok, lecz od dzisiaj nie pozwoli sobie na takie zachowanie. – Almodovar, proszę pana, taki reżyser. Gdyby pana ubiór wyglądał stosowniej, być może zaprosiłabym pana na seans, ale, niestety, musi pan obejść się smakiem. Pozdrawiam serdecznie.

Mężczyzna spojrział na nią dziwnie, ale zignorował ją i ruszyła w kierunku głównego wejścia do galerii. Jej serce zaczęło łomotać, kiedy zdała sobie sprawę, że ponownie zachowuje się jak wariatka. Wbiegła do centrum handlowego i skręciła do pierwszego lepszego

sklepu, byle tylko oddalić się od nieznanego.

\* \* \*

Do mieszkania wróciła po dziewiątej. O ile nieobecność Radka pozwalała jej na podjęcie decyzji, jaki film obejrzeć, tak w kwestii zakupu wina wolałaby zasięgnąć jego rady. Ogrom butelek z różnych stron świata przyprawiał o zawrót głowy, zwłaszcza że nie miała rozeznania w tym temacie. Spędziła w sklepie dobre dziesięć minut, zanim podszedł do niej sprzedawca, oferując pomoc. Ostatecznie zdecydowała się na wytrawną Rioję – pasującą do wieczoru hiszpańskiego – która wedle etykiety zamieszczonej na butelce idealnie komponowała się z kozim serem.

Schowawszy alkohol do lodówki, wzięła się za przygotowywanie przekąsek. Wyłożyła na blat cztery rodzaje serów, oliwki nadziewane papryką, dojrzewającą szynkę – niestety włoską – melona i winogrona. Przyjdzie jej przyplacić nadprogramowymi kaloriami, ale ten jeden raz mogła sobie pozwolić na wszystko. Jak świętować, to z pompą.

Z zapałem tworzyła z serów, wędliny i owoców kompozycje kuszące nie tylko dla podniebienia, lecz także wzroku. Smakołyki wyglądające jak z programu w telewizji kontrastowały z wystrojem kuchni. Starła się omijać spojrzeniem staromodne kafelki na ścianach, szafki pamiętające poprzednie stulecie czy płytę kuchenną, na której regulacja działała jedynie na dwóch palnikach. Jeszcze w tym tygodniu przejrzy katalogi i wypyta znajomych o godnego polecenia fachowca, który przemieni to mało reprezentacyjne pomieszczenie w elegancki kącik rodem z kolorowych pism.

Krojąc jedzenie ostrym nożem, w myślach planowała już

metamorfozę kuchni. Z lekkim żalem zrezygnowała z wyspy, której zawsze zazdrościła filmowym gospodyniom – to pomieszczenie było zbyt małe, by mogła sobie pozwolić na dodatkowe zajmowanie powierzchni. Przypomniała sobie niedawno przeglądany katalog Ikei, znaleziony w skrzynce na listy. Skupi się na jasnych kolorach, dużej liczbie szafek z półkami uginającymi się od przetworów własnej roboty i profesjonalnym ekspresie do kawy, by nigdy nie pić już tego rozpuszczalnego tworu, który z konieczności zalewała dużą ilością mleka.

„Chcesz być jak bohaterka wiejskiej komedii romantycznej – stwierdziła, na chwilę przestając kroić ser. – Naczytałaś się książek o rozwódkach zaczynających życie na nowo i myślisz, że ty też tak możesz? Może od razu zbuduj dom na Mazurach i zrób z niego pensjonat. Faceci zlecą się ze wszystkich stron, a ty pogonisz ich w diabły, w międzyczasie praktykując medytację. Zejdź na ziemię”.

– Pieprz się, pesymistko – powiedziała na głos, mocniej zaciskając palce na rękojeści noża, i wróciła do przygotowywania jedzenia. – Będiesz szczęśliwa, czy tego chcesz czy nie. Zacznieś od przemiany mieszkania, poświęcisz sobie więcej uwagi, zacznieś spotykać się z ludźmi. A dzisiaj upijesz się winem i zaśnieś na kanapie. Koniec tematu.

Z zadowoleniem spojrzała na swoje dzieło. Przekąski wyglądały wyśmienicie. Drewniana deska pełna plastrów sera przeróżnego rodzaju, ozdobionych pojedynczymi oliwkami i winogronami, oraz kawałki melona owiniętego w szynkę parmeńską zapraszały do degustacji. Uśmiechnęła się szeroko i zaniósła je na stolik przed kanapą, na której zasiadła.

Westchnęła zadowolona. Salon stanowił jej ulubione pomieszczenie. W przeciwieństwie do pozostałych pokoi czuć w nim było przestrzeń, a duże, narożne okna wpuszczały mnóstwo światła. Starą kanapę wyrzuciła zaraz po tym, jak Radek się wyprowadził, nie mogąc znieść myśli, że gził się na niej z inną – podobnie zresztą postąpiła z łóżkiem w sypialni. Nowa sofa była duża, skórzana i bardzo elegancka. Kolorem jasnego beżu pasowała do brązu reszty mebli oraz kremowych zasłon. Przyszło jej na myśl, że do wystroju pasowałyby tabliczki z motywującymi sentencjami, jakie widziała dzisiaj w sklepie: „Jesteś piękna” lub „Potrafisz wszystko”. Może wróci po nie następnego dnia.

Włączyła telewizor i z oferty filmów na żądanie dostępnych w sieci kablowej wyszukała Almodovara. Miała spore zaległości, więc wybrała najbardziej intrygujący tytuł. *Skóra, w której żyję* pasował do jej samopoczucia, a skupiona mina Banderasa na okładce jedynie potwierdzała słuszność podjętej decyzji.

Odwlekała moment rozpoczęcia projekcji, delektując się widokiem kuszącego jedzenia, pełnego kieliszka i zestawu aromatycznych świec. Te ostatnie przydały się nie tylko do nadania intymnego klimatu, lecz także pomogły zamaskować intensywny zapach, by nie powiedzieć smród jednego z serów. Początkowo myślała, że dała sobie wcisnąć zepsuty produkt, jednak w smaku okazał się całkiem przyzwoity.

Rozsiadła się wygodnie i włączyła film, zamierzając w pełni cieszyć się urokami życia singielki. Na czterdziestocalowym ekranie, za zakup którego zganiła niegdyś Radka, zawitała znajoma sylwetka przystojnego południowca z szelmowskim uśmiechem. Westchnęła. Tak powinien wyglądać współczesny

mężczyzna – prosty, czarny strój, gładko ogolona twarz i zadbana fryzura. Dlaczego polscy faceci noszą przed sobą mięsień piwny, nie zwracają uwagi na źle dobrane stroje, nie mówiąc już o regularnym myciu włosów? O ile jeszcze za młodu starają się zachować pozory dobrego wyglądu, tak z wiekiem zupełnie o tym zapominają, równocześnie wymagając od swych żon, by te były wymuskane jak modelki.

Odgoniła te myśli większym łykiem wina. Nieco zbyt cierpkie, przypominało smakiem sfermentowany sok z aronii, lecz po zagryzieniu serem dało się jakoś wytrzymać. Powinna wybrać coś łagodniejszego, jakieś półsłodkie młode winko lub szampan, idealnie pasujący do celebracji nowego wcielenia kobiety sukcesu.

Pierwsze kilkanaście minut filmu zapowiadało ciekawą historię, Elżbieta jednak większą uwagę skupiała na skąpanych w słońcu krajobrazach. Z zazdrością podziwiała zatoczki z lazurowym morzem, bezchmurne niebo i opaleniznę aktorek. Pragnęła przenieść się do nich, uciec od mrozów i deszczów, całymi dniami wygrzewać ciało w południowym słońcu, po prostu korzystać z życia.

Otuliła się dodatkowym kocem, czując doskwierający chłód. Alkohol powinien ją rozgrzewać, podczas gdy jej dłonie drżały z zimna. Zatrzymała film i wstała z kanapy, by sprawdzić, czy nie zostawiła któregoś z okien otwartych, powodując przeciąg. Przeszła wszystkie pomieszczenia i ze zdziwieniem stwierdziła, że uchylony był jedynie lufcik w kuchni. Co więcej, zawieszony na balkonie termometr wskazywał dwadzieścia dwa stopnie, a ona miała na sobie grube skarpety, dres i polar, rzekomo nadający się na wysokogórskie wspinaczki, gdzie temperatury schodziły

przecież grubo poniżej zera. Dlaczego więc było jej tak zimno?

Wróciła do pokoju i duszkiem wypłała pół kieliszka wina, krzywiąc się, jakby zjadła świeżą cytrynę, po czym usiadła na kanapie i znów włączyła film. Nie odrywając oczu od telewizora, wyciągnęła rękę, by poprawić jedną ze świec, niebezpiecznie przechyloną. Grany przez Banderasa chirurg plastyczny posuwał się coraz dalej, eksperymentując na tajemniczej kobiecie, z którą Elżbieta powoli zaczęła się utożsamiać. Bohaterka miała uzyskać skórę niewrażliwą na wszelkie czynniki zewnętrzne, co aktualnie bardzo pasowałoby zziębniętej fryzjerce.

Jakby niesiona tą myślą, przyłożyła dłonie do świecy. Delikatne drganie płomienia wyglądało jak zaproszenie do intymnego tańca. Przypomniał jej się oglądany przed laty program, gdzie amerykańska znachorka dzieliła się z widzami wiedzą na temat żywiołu ognia. Podobno czarownice wierzyły, że w płomieniu zapalonej świecy żyje salamandra – duch ognia potrafiący spełnić każde życzenie, przemawiający za pomocą ruchów płomienia i topniejącego wosku. Każda barwa płomyka świecy zarezerwowana była dla określonego zastosowania. Elżbieta zapamiętała jedynie, że pomarańczowy kolor odpowiadał za przyciąganie sławy i powodzenia towarzyskiego.

Wiedziała, że nie ma w tym cienia prawdy, że to tylko zapachowe świeczki kupione w supermarkecie, że nie ma żadnej magicznej salamandry spełniającej życzenia, a mimo to ogień ją przyciągał. Nie potrafiła odsunąć ręki od ogrzewającej siły, przywracającej życie w skostniałych palcach. Kojące uczucie jakby przenikało przez skórę do krwiobiegu, sprawiając, że krew płynęła szybciej, pieszcząc każdy milimetr zziębniętego ciała. To było jak



kąpiel w źródle wody termalnej, ukrytym pośród wysokich zasp śnieżnych. Najchętniej zanurzyłaby się cała w ogniu i tak już została, niedostępna dla zewnętrznego świata, który prócz chłodu nie miał jej nic do zaoferowania.

Wzięła świecę do ręki i przysunęła bliżej, wpatrzona w płomień, który zatańczył pod wpływem gwałtownego ruchu. Czyżby chciał jej coś powiedzieć? Może spełnić życzenie? Przez chwilę zastanowiła się, czego mogłaby sobie zażyczyć. Odpowiedź przyszła od razu – odpowiedzialnego faceta, któremu nie w głowie będzie ganiać za młodymi lafiryndami, który nie będzie flirtował z każdą nowo zatrudnioną pracownicą salonu, wrażliwego i dowcipnego, a przy tym spokojnego i potrafiącego ją wysłuchać. Będzie miał własne mieszkanie i dobrą pracę, lecz gotów będzie rzucić wszystko i polecieć z nią na wycieczkę dookoła świata.

Chociaż nie, po co jej jakiś gamoń? I tak po kilku miesiącach, w najlepszym wypadku po kilku latach wyjdzie na jaw jego prawdziwe oblicze. Zamiast wina w eleganckich restauracjach będzie żłopać piwo przed telewizorem, powołując się na potrzebę odreagowania stresu w pracy. Ta z kolei będzie pochłaniać go coraz bardziej. Pojawią się dalekie delegacje, spotkania z kontrahentami albo raczej kontrahentkami. Czar pryśnie, pozostawiając ją z otwartymi ranami, do których zabliznienia nie wystarczy już siła. Nie, w jej życiu nie było miejsca na kolejną porażkę. Nie potrzebowała nikogo, byle tylko to rozkoszne ciepło nigdzie nie odeszło.

Było jej coraz przyjemniej. Trzymana przed twarzą świeca niemal muskała płomieniem skórę, a kropelki gorącego wosku spływały po dłoni. Przymknęła powieki, zbliżyła usta do lekko

przechylonej świecy i zlizwała kapiący wosk, niczym perwersyjna rozpustnica nasienie kochanka. Oprócz palenia warg poczuła coś więcej. To nie było zwykłe uniesienie. Nie potrafiła tego opisać, ale miała wrażenie, że lewituje wysoko nad ziemią, że jej dusza opuściła ciało, doznając tego, co buddyści nazywali wygaśnięciem cierpienia, nirwaną.

Nawet nie zauważyła, kiedy zrzuciła z siebie koc. Nie zwracała już uwagi na film, okrzykniętym mianem skandalicznego, choć stanowił swego rodzaju grę wstępną do tego, co się z nią działo. Stopiony wosk, kapiący na usta i twarz, sprawiał więcej rozkoszy, niż była w stanie sobie wyobrazić. Gorąca ciecz szybko zastygała, tworząc na jej ciele gładki pancerzyk. Ogarnęła ją błogość. Nigdy wcześniej nie przeżyła tak mocnych impulsów, a czuła, że najlepsze jeszcze przed nią.

Nie chciała się spieszyć. Współzycie z mężczyznami zawsze odbywało się w pośpiechu, jakby każdy facet oglądał zbyt dużo filmów dla dorosłych, gdzie erotyczne zbliżenie odarto z intymności i ukazano jako mechaniczną rąbankę. Szybkie ruchy, rach-ciach i po sprawie. Może samcom to wystarczało, ale kobieta potrzebowała więcej. Niestety, tak jak wiele jej koleżanek dostosowało się do wymogów współczesnego świata, pozwalając na przedmiotowe traktowanie seksu, o grze wstępnej nawet nie wspominając.

Tym razem pozwoli sobie na pełnię przyjemności. Przysunęła bliżej świecę. Drżący płomień dotknął jej długich, luźno rozpuszczonych włosów. W powietrzu rozszedł się nieprzyjemny swąd spalenizny, jednak Elżbieta nie zwracała na to uwagi. Powoli ogarniało ją błogie ciepło.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonek. Kobieta jęknęła z frustracji. Było jej tak dobrze, nie chciała teraz przerywać, by odebrać telefon. Zostało tak niewiele do spełnienia, jednak ciepło w podbrzuszu wygasało wraz z narastającym hałasem dzwonka, który kłuł w uszy, ogłuszał, nie pozwalając skoncentrować uwagi na rozkoszy.

Elżbieta otworzyła szeroko oczy i z cichym okrzykiem zaczęła gwałtownie gasić dłońmi tłące się włosy. Na szczęście nie doszło do żadnych poważnych szkód – najwyraźniej upojona winem przysnęła i przewróciła się na nią świeca. Telefon zadzwonił w ostatnim momencie.

Ugasiwszy płomień, pobiegła do łazienki po mokry ręcznik. Owijając sobie nim włosy, spojrzała żałośnie w lustro. Na twarzy miała ślady parafiny i kilka oparzeń. „I tyle ze wspaniałego wieczoru” – westchnęła sama do siebie.

Wracając do salonu, sięgnęła po telefon, by zobaczyć, kto dzwonił. Wyświetlacz był ciemny i nie reagował na dotyk ani naciskanie przycisków, najwyraźniej zepsuł się na dobre. Zmarszczyła brwi. Dopiero teraz zorientowała się, że dźwięk dzwonka brzmiał inaczej niż ustawiona przez nią melodyjka.

\* \* \*

Dni poprzedzające spotkanie z Konradem spędziła, zmieniając swoje życie. Tak jak zaplanowała, nie były to wielkie kroki na nowo definiujące jej osobę, lecz stopniowe wdrażanie drobnych ulepszeń. Na pierwszy ogień poszły robocze fartuchy. Propozycje przedstawione przez Kamilę wprawdzie nie były najgorsze, ale zbyt mocno odbiegały od stylu Elżbiety. Dziewczyna częściowo miała rację, iż zmieniać stare czarne uniformy na nowe czarne

uniformy to tak, jak co roku na wakacje wyjeżdżać w to samo miejsce – niby sprawdzone, ale brak w tym finezji i oryginalności. Ostatecznym zwycięzcą został kolor cappuccino, jako wystarczająco delikatny i nowoczesny, by zaspokoić potrzeby kobiet w każdym wieku.

Równie dobrze poszło jej z planowaniem remontu kuchni. Wybudowana niedawno w Bydgoszczy Ikea kuszyła niskimi cenami, ale nie miała szans w starciu z indywidualną ofertą poleconego przez Izę stolarza. Mężczyzna na stałe współpracował z firmą BFM, jednak po pracy dorabiał sobie do pensji prywatnymi zleceniami. Ela domyślała się, że pan Józef, bo tak miał na imię, lwią część pracy wykona podczas ośmiu godzin etatowych zajęć, ale nie był to jej problem. Ważne, że z niej nie zdzierał, a oferowana jakość usług zdecydowanie przewyższała meblowe sieciówki.

Do wdrożenia zostało jeszcze wysprzątanie pokoiku socjalnego w salonie oraz zorganizowanie wyjazdu na kilkudniową odnowę biologiczną. To ostatnie będzie musiało jeszcze chwilę poczekać, gdyż dotychczasowe wydatki nieco nadwyrężyły jej budżet, niemniej i tak była z siebie dumna, o czym planowała zaraz opowiedzieć terapeutce.

Na miejsce dotarła dziesięć minut przed czasem. Na pierwszym spotkaniu ustaliła z Konradem, że w takich wypadkach może śmiało pukać bez obawy wtargnięcia na inną sesję. Tak też zrobiła, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu ekscytacji. Polubiła te rozmowy, wręcz się od nich uzależniła, choć początkowo była sceptycznie nastawiona. Najważniejsze, że widziała efekty ich wspólnej pracy.

– Cześć, Ela, jak zawsze zwarta i gotowa – Konrad powitał ją, otwierając drzwi. – Wchodź, zapraszam do środka.

Ubrany był jak zwykle nienagannie i elegancko – granatowe spodnie wyprasowane w kant, biała koszula bez żadnych wzorów i popielata sportowa marynarka. Pomimo szerokiego uśmiechu wyglądał na zmęczonego, jakby miał za sobą nieprzespaną noc.

„Ciekawe, czy ma dzieci – pomyślała, wchodząc do gabinetu. – Żonę ma na pewno, a przynajmniej nosi obrączkę. Parę razy opowiadał o wyjazdach rodzinnych, ale nigdy nie wspomniał o swoich pociechach”. Na jego miejscu obok certyfikatów potwierdzających ukończenie ładnie brzmiących kursów powiesiłaby coś prywatnego, w stylu „Nagroda dla najukochańszego tatusia na świecie”. Ociepliłoby to klimat w gabinecie. No i to biurko... Kto mu doradził wstawić tak wielki kłopot?

– Byłeś u fryzjera – zauważyła, kierując się w stronę fotela. – U mnie masz pierwsze strzyżenie gratis, polecam.

– Ach tak! – Uderzył otwartą dłońią w czoło. – Na śmierć zapomniałem. Ale ze mnie gapa. Przysięgam, że następnym razem zajrzę do twojego salonu.

– Polecam, mamy akurat nowiutkie fartuchy, zresztą czuję, że to miejsce kwitnie razem ze mną. – Dotknęła swoich świeżo pofarbowanych i ułożonych włosów.

Mina Konrada zdradzała zainteresowanie. „Pewnie mało który klient zaczyna tak pozytywnym akcentem” – stwierdziła w myślach. Po cóż chodzić do terapeuty, by rozprawiać o cudownym życiu? Większość jego klientów musiała zadrećać go depresyjnymi opowieściami o bólu istnienia, kłopotach rodzinnych

czy wypaleniu zawodowym. Wcześniej ona również nie szczydziła mu dołączających wyznań, ale to już była przeszłość.

– To mi się podoba. – Klasnął w dłonie. – Kawy? Biała, bez cukru, z lekko spienionym mlekiem, dobrze pamiętam?

– W najdrobniejszym szczególe.

Rozsiadła się wygodnie w fotelu. Na szklanym stoliku leżały dwa kryształowe półmiski z cukierkami i kruchymi ciastkami. Konrad rozpoczął swój taniec przed ekspresem, a w powietrzu rozniósł się aromatyczny zapach zmielonych ziaren. Będzie musiała podpytać go o markę ekspresu. Kawa w jego gabinecie zawsze była świetna.

Po chwili miała przed sobą białą filiżankę po brzegi wypełnioną kuszącym płynem. Na delikatnej kremowej piance widniał jakiś wzór, ale nie mogła go rozszyfrować.

– To miał być kwiatek. – Konrad najwyraźniej zauważył jej konsternację i skrzywił się z zakłopotaniem. – Proszę o wyrozumiałość, dopiero uczę się fachu baristy.

– Wybaczam. – Uśmiechnęła się szeroko.

W jego towarzystwie czuła się wyjątkowo swobodnie. Wiedziała, że to niebezpieczne, czytała o kobietach zadurzonych w swoich terapeutach. Łatwo pokochać opanowanego i błyskotliwego mężczyznę, który potrafi cię wysłuchać, zwłaszcza że niejednokrotnie poruszali tematy bardzo intymne. Choć tego typu rozmowy były jednostronne – on nigdy nie zwierzał się jej ze wstydliwych sekretów lub pragnień – czuła wytworzoną między nimi więź, a to już łatwo mogło niechcący przerodzić się w coś większego. Na dodatek Konrad był bardzo przystojny. Czy jej również groziło takie zauroczenie? Nie, nie mogła sobie na to

pozwolić.

Zmarszczyła brwi i delikatnie potrząsnęła głową, chcąc przepędzić głupie myśli.

– Dzisiaj chciałabym z tobą porozmawiać o dwóch rzeczach. Ostatnio dużo myślałam. Możemy zaczynać?

Mężczyzna usiadł na przeciwległym fotelu i spojrzał na nią z uśmiechem – tworząc przy tym przeurocze zmarszczki w kącikach oczu – po czym machnął lekko dłonią w jej kierunku, zapraszając do kontynuowania wypowiedzi. Ela wzięła głęboki oddech.

– Jak widzisz, jestem w dobrym nastroju. A co ciekawe, wszystko zaczęło się od naszej rozmowy telefonicznej. Gdy wybierałam twój numer... Albo nie, o tym dopiero później. –

Skrzywiła się lekko z niesmakiem, słysząc swój bełkot. Miała mu tyle do powiedzenia, ale jednocześnie nie chciała tracić czasu na przydługawy monolog. Szkoda, że sesja nie mogła trwać dwa razy dłużej. – W każdym razie chciałam ci powiedzieć, że wreszcie wzięłam się za swoje życie. Ten stan zawieszenia po zerwaniu z Radkiem trwał zdecydowanie za długo. Tak mi teraz głupio, że zadręczałam cię beznadziejnymi historiami o tym, że w życiu nie spotka mnie już nic dobrego. To było takie melodramatyczne, nie sądzisz?

– Daleki jestem od wystawiania tego typu ocen. – Przeurocze zmarszczki pogłębiły się, ale terapeuta zachował powagę. Siedział z palcami uformowanymi w piramidkę, co Elżbiecie kojarzyło się z politykami. Nie było to pozytywne skojarzenie.

– Wiem, wiem, ty musisz być poprawny w każdym aspekcie. Ale domyślałam się, co sobie myślałeś, i dziękuję za twoją

cierpliwość. – Przez chwilę patrzyła na niego, licząc, że zaprzeczy, ale mężczyzna tylko patrzył na nią wyczekująco. Westchnęła i kontynuowała wypowiedź: – Postanowiłam zmienić swoje życie. Chcę się bardziej podobać sama sobie, zadbać o siebie, zdecydowałam też wyremontować kuchnię. Mam jedynie problem ze stażystką, na pewno kojarzysz, opowiadałam ci o niej. Mężczą mnie mieszane uczucia w stosunku do niej. Nie radzi sobie jeszcze dobrze ze wszystkim, nie jest wystarczająco atrakcyjna. Wiem, że to źle brzmi, ale nazwa „salon piękności” mówi sama za siebie. Zdaję sobie sprawę, że się stara, ale chyba rozminęła się z powołaniem. A ja jestem na siebie zła, że od razu jej tego nie powiedziałam. Im więcej mija dni, tym trudniej mi odebrać dziewczynie marzenie o stałej pracy. Z drugiej strony nie mogę przecież utrzymywać osoby pracującej gorzej od pozostałych. Sama już nie wiem, co zrobić.

Westchnęła i nie bardzo wiedząc, co dalej powiedzieć, wzięła do ręki ciasteczko i filiżankę z kawą, dając do zrozumienia, że już skończyła. Terapeuta patrzył na nią z uwagą, rytmicznie potakując głową. Zwykle zwiastowało to jakieś ćwiczenie lub dłuższą opowieść. Przypuszczenia Eli potwierdziły się po kilku sekundach ciszy, gdy Konrad wstał i podszedł do biurka, z którego wziął kilka czystych kartek. Trzy z nich położył na pustym kawałku podłogi, przez co tworzyły jakby wierzchołki dużego trójkąta. Następnie wyprostował się i spojrzał prosto na nią.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytał, rozbijając ją bezpośredniością. – Mam podjąć decyzję za ciebie? Czy może problemem jest to, że nie potrafisz przekazać jej złej wiadomości?

– Nie, chodzi o to... – Przerwała. Sama nie wiedziała, w czym



problem. Zdążyła polubić tę dziewczynę, ale nie powinna kierować się sentymentami. – Chodzi o to, że nie wiem, co z nią zrobić. I zdaję sobie sprawę, że nie możesz mi w tym pomóc, więc może lepiej od razu przejdźmy do drugiej sprawy, którą chciałam omówić.

Konrad położył dłonie na biodrach w postawie pewnego siebie samca alfa, który zaraz skarci ją za niezdecydowanie. Gdyby go nie znała, najpewniej przestraszyłaby się tej pozy.

– Ela, proszę, podejdź do mnie. – Wyciągnął dłoń w jej kierunku i skinął zapraszająco. – Chcę pokazać ci pewną metodę, która może przydać się zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym.

Kobieta nie protestowała, wręcz z entuzjazmem podeszła do terapeuty, stając tuż przed nim. Lubiła wymyślane przez niego zadania, choć często wymagały od niej sporo wysiłku umysłowego, inwencji twórczej lub niekiedy wyznania głęboko skrywanej prawdy. To było ciekawsze niż sucha gadanina, poruszanie problemów z dzieciństwa i doszukiwanie się w nich ukrytych zależności rzutujących na dorosłe życie. Ufała Konradowi. Wiedziała, że wybór zadań zawsze był przemyślany, a nie stanowił dzieła przypadku. Mimo to przed każdym czuła się zestresowana, co próbowała zamaskować uśmiechem i pewnym krokiem.

– Super, to będzie naprawdę łatwe. Stań tutaj. – Terapeuta wskazał jedną z kartek, na której posłusznie stanęła. – Jak widzisz, mamy trzy arkusze. Każdy odpowiada za określoną pozycję w omawianej relacji. W tym przypadku skupimy się na tobie i twojej stażystce, ale równie dobrze możesz samodzielnie stosować to do innych osób.

Teraz to Ela rytmicznie przytakiwała głową.

– Pierwsza kartka, ta, na której stoisz, odpowiada za pozycję „ja”. Nie jest to nasze pierwsze ćwiczenie, ale i tak ci powtórzę, żebyś rozluźniła się i skupiła myśli na zadaniu. – Spojrzał na nią uważnie. – Jesteś gotowa?

– Zobaczymy. – Kobieta uśmiechnęła się nerwowo. Czowała przyspieszone bicie serca. To irracjonalne, ale całe jej ciało było spięte od stresu.

– Teraz wyobraź sobie, że stoi przed tobą Kamila. Ma na sobie nowy, bardzo ładny fartuch, w którym jednak nie wygląda wystarczająco dobrze. Obserwuj ją dokładnie, zwróć uwagę na jej prezencję, jak się zachowuje, jaką ma gestykulację, mowę ciała. Widzisz ją?

– Mhm.

– Super. Teraz powiedz mi, co widzisz, co czujesz, czego doświadczasz w relacji z Kamila. Co jest sednem tej relacji? Jak twoje zachowanie wpływa na tę relację? Co mogłabyś i chciałabyś zmienić?

Też mi pytanie! Doskonale przecież wiedział, że miała w stosunku do niej mieszane uczucia, rozmawiali już o tym. Swoją drogą, interesujące, że zapamiętał jej imię. Ciekawe, czy wszystko notuje.

– Cóż... – zaczęła po chwili namysłu. – Widzę uśmiechniętą, pulchną blondynkę, która stara się w pracy. Kilka rzeczy zdążyła opanować, ale z większością radzi sobie poniżej przeciętnej. Co jest sednem relacji? Chyba właśnie jej kiepskie zdolności manualne. Czy ja mam na to wpływ? Nie wiem, chyba nie, trudno powiedzieć.

Wbrew jej oczekiwaniom Konrad nie wyglądał na

niezadowolonego, wręcz przeciwnie.

– Doskonale. Pamiętaj, proszę, wszystko, co do tej pory powiedziałaś. Stań teraz na przeciwległej kartce. – Dłonią wskazał kolejny arkusz. – Wyobraź sobie, że tam, gdzie przed chwilą stałaś, wciąż patrzy na ciebie Elżbieta. Ty natomiast wejdź w skórę młodej stażystki. Przyjrzyj się swojej rozmówczyni, tym razem od drugiej strony. Jak wygląda właścicielka salonu fryzjerskiego? W co jest ubrana? Co czujesz w relacji z nią? Czego doświadczasz? Jak twoje zachowanie wpływa na tę relację?

A to heca. Tego się nie spodziewała. Że niby miała teraz opisać samą siebie z perspektywy tej dziewczyny? Przecież nie miała pojęcia, co też siedzi w głowie takiej młódki. Jeszcze niedawno wyśmiałaby Konrada za głupie polecenie. Zdążyła jednak docenić jego profesję i zrozumieć, że za wieloma ćwiczeniami, pozornie sprawiającymi wrażenie bzdurnych i niepotrzebnych, ukryte były techniki ułatwiające spojrzenie na problem z innej strony. Nie pozostało więc nic innego, jak dostosować się i opisać samą siebie oczami Kamili.

– Cóż... – zaczęła, krzyżując ręce na wysokości piersi i lekko wykrzywiając usta. – Pani Ela to typowa samotna kobieta. Ubiera się w nudny sposób, tak jak i nudne jest całe jej życie. – Przerwała i potrząsnęła głową. – Nie, zagalopowałam się. Jeszcze raz. –

Zamknęła oczy, wzdychając przy tym ciężko. – Pani Ela ubrana jest w elegancką garsonkę. Ma duże doświadczenie i wszyscy ją lubią. Jest dla mnie miła, choć wciąż stara się utrzymywać dystans. Z innymi dziewczynami rozmawia swobodniej niż ze mną.

– Jak myślisz, czym jest to spowodowane?

– Serio, mam mówić jako Kamila? – Elżbieta spojrzała na niego

z niezadowolaniem. – To jakieś dziwne. Przecież nie znam jej myśli.

Mężczyzna nie odpowiedział. Patrzył na nią skupiony, jakby wcale nie usłyszał zadanego pytania. W jego spojrzeniu nie było widać ponaglenia, lecz czuła, że cierpliwie czeka na dalszy ciąg opowieści. Jak on to robił?

– No dobrze, spróbujmy – odpowiedziała, spuszczać wzrok. – Dlaczego nie rozmawia ze mną jak z innymi? Jestem nowa, może to nic niezwykłego. Nie wiem, nie znam się. Może nie jest ze mnie zadowolona? Może nie chce nawiązać ze mną bliższej relacji, by nie robić mi nadziei na zatrudnienie po zakończeniu stażu?

– Dobrze. Zapamiętaj wszystko, co powiedziałaś. Przed nami jeszcze jedna pozycja. Stań teraz, proszę, na trzeciej kartce. –

Poczekaj, aż kobieta zastosuje się do polecenia, po czym skinął zachęcająco głową. – Przyjrzyj się pozycji, w której stoją Ela i Kamila. Wyobraź sobie, że jesteś zewnętrzną obserwatorką. Jesteś zdystansowana. Nie znasz żadnej z kobiet. Powiedz mi, jak one wyglądają? Jaka relacja zachodzi pomiędzy nimi?

O ile udawanie Kamili okazało się łatwiejsze, niż zakładała, o tyle obiektywna obserwacja sytuacji z boku sprawiała wrażenie niewykonalnej. Nie potrafiła tak po prostu zdystansować się wobec gryzącego ją dylematu! Poczwała narastającą irytację. To zadanie to czyste teoretyzowanie. Nie omieszka przed wyjściem wspomnieć o tym Konradowi. Na razie jednak potulnie dokończy zabawę, by nie wyjść na pesymistkę, z góry zakładającą niepowodzenie.

– Patrząc na nie z boku, można odnieść wrażenie, że dzieli je różnica pokoleniowa. Trudno wręcz tego nie zauważyć. Różnią się w zasadzie pod każdym względem.

– Przyjrzyj się dokładnie. Jesteś klientką oczekującą na strzyżenie, po raz pierwszy jesteś w tym salonie fryzjerskim, nie znasz nikogo, nie masz żadnych uprzedzeń. Siedzisz na kanapie i obserwujesz otoczenie. Zwróć uwagę, jak właścicielka rozmawia ze swymi podwładnymi. Czy z Kamilą rozmawia inaczej? Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje? Co widzisz?

– No... – Zawahała się. – W sumie z wyglądu wcale się tak od siebie nie różnią. Śmieszne, niby mają inny kolor włosów, no i wiadomo, dzieli je spora różnica wieku, ale mimo to są jakby do siebie podobne. Mają podobną gestykulację, a gdy mówią, to akcentują w podobny sposób. Równie dobrze Ela mogłaby być matką Kamili. Dziwne, że wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– Nie zwróciłaś uwagi, bo jesteś pierwszy raz w tym salonie.

– No tak, tak, oczywiście, panie terapeuto.

Zaśmiała się i zalotnie puściła mu oczko. Dopiero po chwili zorientowała się, jak dalece niestosowne to było. Aż dziwne, że jej twarzy nie zalał rumieniec. Chyba rzeczywiście robiła coraz większe postępy. Lekko odkaszlnęła, by ukryć zakłopotanie, po czym kontynuowała:

– Rzeczywiście teraz widzę, że obie panie są do siebie podobne. Ale w takim razie właśnie powinny łatwiej znaleźć ze sobą kontakt. Sama nie wiem... Jak tak na nie patrzę, to wydaje mi się, że Elżbieta ma do tej dziewczyny negatywne nastawienie. Traktuje ją inaczej niż pozostałe, nie żartuje tak z nią. Niby widzi, że ta daje z siebie wszystko, ale zamiast doceniać starania, skupia się jedynie na porażkach. Wszystkie dziewczyny na początku miewają problemy, temu przecież służy staż, aby nabrały doświadczenia. Gdyby tylko Ela poświęciła młodej więcej czasu... –

Przerwała i przez chwilę patrzyła na mężczyznę podejrzliwie. – O cholera, Konrad, ja cię zabiję! Albo nie, ozłocę, ale później zabiję!

Terapeuta roześmiał się, wracając do naturalnej, sympatycznej pozy. W mgnieniu oka zmienił się w uśmiechniętego, wyluzowanego faceta, choć jeszcze przed chwilą był stanowczy jak sierżant z filmów wojennych, który budzi świeżych rekrutów o świcie, każąc im przez dwie godziny biegać wokół poligonu.

Kobieta stała jeszcze przez chwilę w miejscu, zastanawiając się nad własnym odkryciem. Zdała sobie sprawę z banalności rozwiązania problemu, który dopiero co urastał do miana nierozstrzygalnego. Wcześniej sądziła, że brak urody i lekka otyłość dyskwalifikowały dziewczynę na starcie, podczas gdy sama stanowiła kontrargument ku takiej decyzji. Najważniejszy przecież był zapal, którego Kamili nie mogła odmówić. Reszta przyjdzie z czasem.

– Usiądziemy? – Konrad podszedł do stolika i wziął do ręki butelkę z wodą. – Napijesz się czegoś zimnego? Straszny dzisiaj skwar, a ja paraduję w koszuli z długim rękawem.

„Skwar...” – powtórzyła w myślach. To przypomniało jej o zajściu z suszarką, od którego właściwie powinna zacząć. Temat stażystki był mniej znaczący i sama nie wiedziała, czemu poruszyła go na początku. Jakby miała nadzieję, że nie wystarczy im czasu, by zwierzyć się Konradowi ze swojego wyjątkowo dziwnego zachowania. Dlaczego? Przecież ufała terapii, dotychczas nie ukrywała przed nim niczego. Czyżby bała się odkryć prawdę?

– Konrad, jest jeszcze jedna sprawa. Stało się coś dziwnego –

zaczęła. – Chyba znowu potrzebuję hipnozy.

## Rozdział III

O dziewiątej trzydziści zostawiła swoje czerwone renault clio na ulicy sąsiadującej z gabinetem Konrada Małeckiego. Przez dobry kwadrans z rozbawieniem obserwował, jak kobieta szuka wolnego miejsca, ze wszystkich sił unikając parkowania równoległego, wpasowując się tym idealnie w stereotyp baby za kółkiem. Kusiło go, by wyręczyć ją w tych jej pokracznych próbach zmieszczenia się między białym samochodem dostawczym a śmietnikiem, nawet jeśli miałby przypłacić to spaleniem kamuflażu. Na szczęście udało się jej w końcu, za trzecim podejściem, dzięki czemu obserwowana przez niego Elżbieta Jaworska mogła podążyć na umówione spotkanie.

Miała zgrabne nogi, zczesane do góry zadbane włosy i nosiła elegancki kostium. Poza tym nie wyróżniała się niczym specjalnym, typowa kobieta po czterdziestce z lekką nadwagą. Z własnych źródeł wiedział, że jest rozwódką, tak więc miał nadzieję złapać ją na jakieś miłe słówka. Zresztą o to martwić się będzie później, teraz najważniejsze, żeby zyskać jej sympatię bez wzbudzania podejrzeń, w całkowicie naturalny sposób.

Mógł po prostu udać zamyślonego i wpaść na nią niby to przypadkiem. Wydawało się to najłatwiejszym wyjściem, wolał jednak działać w bardziej przemyślany sposób, korzystając ze sprawdzonych wcześniej metod. A tych w zanadrzu miał cały repertuar. Oczekiwał, że wizyta u Małeckiego zajmie kobiecie koło godziny, więc dysponował czasem na przygotowanie. Mężczyźnie



Elżbiety przy parkowaniu nasunęły mu myśl, by niepostrzeżenie przebić oponę w jej samochodzie, a następnie, gdy już kobieta wyjdzie z gabinetu i załamie ręce, pospieszyć z ratunkiem, niczym rycerz w lśniącej zbroi, zamiast miecza dzierżąc w dłoni klucz do kół. Ostatecznie dylemat rozwiązał kierowca dostawczaka stojącego obok clio, który po kilkunastu minutach zwolnił miejsce, zapraszając do skorzystania z jednej z najstarszych metod nawiązania kontaktu. W ten sposób absolutnie uniknie podejrzeń.

Wjechał na zwolnione miejsce postojowe i parkując, spokojnie, jakby robił to setny raz, przerysował bok czerwonego samochodu swoim lusterkiem – delikatnie, tak by nie musiał zapłacić zbyt wiele za nowy lakier. Naczelny bardzo niechętnie zwracał pieniądze za tego typu akcje, toteż Paweł wszelkie koszty operacyjne musiał brać na siebie. Ewentualnie naciągnie Roberta, który zresztą sam zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Ten głupek początkowo samodzielnie chciał poprowadzić śledztwo dotyczące dwóch morderstw, lecz spieprzył sprawę i zbyt wcześnie skonfrontował Małeckiego, tym samym skazując się na działanie z drugiej linii. Paweł nie miał zamiaru popełnić tego błędu, dlatego też postanowił zagrać szarmanckiego przedstawiciela handlowego skandynawskiej firmy działającej w branży paliwowej.

Wysiadł z auta i z zadowoleniem obejrzał efekty swoich działań. Długa na kilkadziesiąt centymetrów rysa była niczym dzieło sztuki – wystarczająco głęboka, by sprawca mógł poczuć się do winy, lecz niewymagająca zgłoszenia zajścia na policję czy do ubezpieczyciela. Wszystko załatwił bezpośrednio, przełamując w ten sposób pierwsze lody.

Miał jeszcze pół godziny. Stał oparty o maskę swojej srebrnej

skody fabii i palił mentolowego papierosa, zastanawiając się, jak spożytkować nadwyżkę czasu. Kawiarnia naprzeciwno, kusząca klientów aromatycznym zapachem kawy, przypomniła mu, że wyszedł z domu bez śniadania. Wprawdzie nie odczuwał głodu, ale lepiej przystąpić do akcji z pełnym brzuchem, zwłaszcza jeśli mogła potrwać kilka godzin. Najpierw gromkie przeprosiny, poparte obietnicą rekompensaty, wspólna kawa, by odreagować stres, a później wspólny spacer – zakładając, że od razu uda mu się przekonać ją do siebie – lub powrót do zawodowych obowiązków, poprzedzony wymianą numerów telefonu i umówieniem się na kolejne spotkanie, tym razem w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Oby tylko Jaworska nie chciała zapłaty z góry. Na wszelki wypadek wypłacił z bankomatu kilka stówek, jednak były to już ostatnie jego pieniądze na koncie, a do wypłaty pozostały jeszcze dwa tygodnie. Gdyby nie nadzieja na wypromowanie nazwiska, to machnąłby na Roberta ręką i odrzucił zlecenie jako wymagające zbyt dużych nakładów finansowych. Działanie pod przykrywką niosło ze sobą spore koszty, a na te po prostu obecnie nie mógł sobie pozwolić. Na szczęście w tym wypadku stanie na lakierniku i dwóch, może trzech kolacjach, do których przy sprzyjających wiatrach dorzuci się Jaworska. Właścicielka salonu fryzjerskiego na pewno nie należy do biednych, a być może jako kobieta wyzwolona nie pozwoli za siebie zapłacić.

Gdy tylko wszedł do zatłoczonego lokalu, od razu zaatakował go gwar, jakby znajdował się w samym sercu tureckiego bazaru. Wszystkie stoliki były zajęte. Mógłby wprawdzie wcisnąć się między dwóch młodych mężczyzn, ubranych w niemal identyczne

ciemnoszare garnitury, lecz czułby się jak sardynka w puszcze. Postanowił więc wziąć kawę i kanapkę z serem na wynos, choć prawie go zatkało na widok ceny. Dwadzieścia złotych za taki zestaw było wysoką, wręcz zaporową dla niego kwotą, lecz nie chciał zepsuć wrażenia na kobiecie niespodziewanym burczeniem w brzuchu. Przynajmniej zapiekana kanapka wyglądała zachęcająco, a zapach kawy niwelował negatywne odczucia, spowodowane podaniem napoju w plastikowym kubku.

– To będzie dwadzieścia pięć złotych. – Uśmiechnięta sprzedawczyni położyła paragon obok podanego zamówienia.

– Dwadzieścia pięć? – zdziwił się. – Przy wejściu jak byk jest napisane, że taki zestaw kosztuje równe dwie dychy.

Dziewczyna raz jeszcze spojrzała na paragon, po czym wychyliła się przez ladę, by spojrzeć na tablicę z aktualnymi promocjami. Wyglądała na studentkę pracującą na część etatu. Jej kręcone czarne włosy opadały na drobne ramiona, co wyglądało dość apetycznie, choć dziennikarz wolałby, aby jako osoba podająca pożywienie nosiła włosy związane.

– Przykro mi, ale promocja obowiązuje do godziny dziesiątej – stwierdziła, podnosząc na niego wzrok, wciąż szeroko uśmiechnięta.

Mężczyzna spojrzał na zegarek i poczuł, jak kipi w nim złość. Spóźnił się dokładnie sześć minut, głównie z powodu poprzedniego klienta w kolejce, który nie potrafił wybrać pomiędzy średnią a dużą kawą, a kwestia dobrania słodkiej bułki kosztowała go co najmniej tyle, co wybór nowego mieszkania.

– Niech pani nie robi sobie żartów – powiedział, próbując zachować spokój. – Wszedłem tu przed dziesiątą, więc promocja

powinna mnie obowiązywać.

– Przykro mi, takie mamy zasady.

Dziennikarz czuł na sobie palące spojrzenia innych osób z kolejki. W myślach pewnie nazywali go sknerą, sępem próbującym wytargować pięć złotych. Przeklinali go, choć większość na jego miejscu przecież postąpiłaby podobnie. Już nawet nie chodziło o te pięć złotych, co o sposób traktowania klientów.

– A widziała pani taki film z Michaeliem Douglasem? – Paweł położył obie dłonie na ladzie. – Nazywał się bodaj *Upadek*.

– Człowieku, zapłać wreszcie. – Stojący na końcu kolejki chłopak z wielkimi słuchawkami na uszach jako pierwszy stracił cierpliwość. – Jak tak żydzisz, to ci dołożę piątaka.

– Piękny film o doprowadzeniu mężczyzny do skraju wytrzymałości – kontynuował dziennikarz, olewając młodziaka. –

Jest tam taka scena w barze szybkiej obsługi, polecam, by pani sobie obejrzała i puściła kolegom w ramach seansu poglądowego, do czego może doprowadzić zła obsługa klienta.

Z portfela wyjął dwa banknoty dziesięciozłotowe i położył je na kontuarze. Czuł satysfakcję, gdy dziewczyna spuściła wzrok i wzięła pieniądze, nie odzywając się ani słowem, a on spokojnie opuścił kawiarnię ze swoim zamówieniem. „Udało się postawić na swoim” – pomyślał, pociągając łyk kawy. Był już przygotowany na nieprzyjemną rozmowę z ochroniarzem, o ile takowego zatrudniają w kawiarniach, lub kierownikiem zmiany. Wykpiłby się bez problemu, pokazałby legitymację dziennikarską i postraszył niepochlebny artykułem na temat nieprzyjemnej obsługi i naciągania klientów, lecz tym razem nie zaszła nawet taka

potrzeba.

\* \* \*

Jaworska opuściła biurowiec dokładnie dziesięć minut po jedenastej. Paweł zdążył się wynudzić i co chwilę spoglądał niecierpliwie na zegarek. Słońce nabrało już odpowiedniej mocy, zmuszając go do poszukiwania zacienionych miejsc. Pech chciał, że parking, na którym stały oba zarysowane samochody, nie osłaniały nawet drzewa, przez co we wnętrzu aut panowała nieprzyjemnie wysoka temperatura. Kobieta jednak nie miała się szybko o tym przekonać.

Paweł odpalił kolejnego papierosa, czyniąc ostatnie mentalne przygotowania do nowego wcielenia. Spodziewał się zaobserwować metamorfozę fryzjerki, która z zaciekawienia nieznanym stojącym przed jej autem powinna przejść do gniewu i rozżalenia na widok uszkodzenia. Tym większe było jego zdziwienie, gdy zamiast wiązanki przekleństw i złorzeczeń usłyszał jedynie pytanie:

– Domyślam się, że to pana sprawka?

– Tak... – odparł, nieco zbity z tropu. – Najmocniej panią przepraszam, rozmawiałem akurat przez telefon i... Zresztą sama pani widzi.

Kobieta obeszła samochód. Lekko zmrużyła oczy, sprawdzając powagę szkody, ale poza tym na twarzy Elżbiety widniał spokój, jakby terapeuta w czasie sesji podał jej xanax lub inne świństwo otępiające zmysły. Dziennikarz zresztą podejrzewał, że wcale nie było to aż tak nieprawdopodobne.

– Każdemu może się zdarzyć – stwierdziła powściągliwie. – To mi wygląda na płytką ryse, ale i tak będę musiała pojechać do

warsztatu. To jak będzie, spisujemy oświadczenie czy załatwimy sprawę na miejscu?

Przeklął w myślach własną głupotę. Nie docenił jej. Skoro zarządzała dobrze prosperującym salonem fryzjerskim, to z pewnością niejednokrotnie miała do czynienia z cwaniaczkami próbującymi ją naciągnąć. Powinien był o tym pomyśleć i lepiej się przygotować, zamiast robić awanturę o cenę kanapki. Nie mógł tak po prostu zapłacić lub podać swoich danych do ubezpieczenia, bo na tym by się skończyła rozmowa.

– Naprawdę bardzo mi przykro. – Wyrzucił papierosa na ulicę i zgasił go butem, uśmiechając się przepraszająco. – Oczywiście pokryję wszystkie koszty, bezapelacyjnie. Może usiądziemy gdzieś na spokojnie i napijemy się czegoś? Ja stawiam, w ramach przeprosin. Zestresowałem się, a na tym słońcu można oszaleć.

Otarł czoło, przypatrując się kobiecie, która odpowiedziała mu zdecydowanym spojrzeniem. Z bliska wyglądała atrakcyjniej, choć była od niego o kilka lat starsza. Braki w wyglądzie nadrabiała eleganckim strojem i pewnością siebie, która nijak nie pasowała do danych zebranych przez Pawła. Miała przecież być zamkniętą w sobie samotną kobietą, podatną na męskie wpływy. Owszem, sukces zawodowy dodał jej wiary w siebie, ale przybita zdradą męża, rozwodem i kolejnymi klęskami na tle uczuciowym zapisała się w końcu na sesje u psychoterapeuty. Przez chwilę przeszło mu przez głowę, że stażystka, od której wyciągnął podstawowe informacje, mogła kłamać, ale szybko stwierdził, że przecież nie miała powodów. Aczkolwiek z babami nigdy nie wiadomo.

– To jak będzie z tą kawą? – Z tylnej kieszeni spodni wyjął portfel. – I tak muszę wypłacić gdzieś pieniądze, żeby zapłacić za

szkodę.

Fryzjerka nie odpowiedziała. Kucnęła przy drzwiach samochodu, przyglądając się dokładniej rysie. Dziennikarz był pełen podziwu dla jej spokoju, sam w podobnej sytuacji zareagowałby zupełnie inaczej. Zwymyślałby niedzielnego kierowcę od najgorszych, domagając się wezwania policji lub sowego zadośćuczynienia.

– Dobrze, niech stracę – stwierdziła, prostując się. – Naprzeciwko jest kawiarnia, ale kawa w taki upał nie jest najlepszym pomysłem. Kofeina odwadnia organizm, proponuję raczej jakiś świeżo wyciskany sok.

I bardzo dobrze, nie chciał wracać do feralnego lokalu, gdzie na pewno zapamiętała go kelnerka. A nuż jeszcze wspomniałaby coś, co by go zdekonspiowało, na przykład o tym, że przez pół godziny stał na parkingu, czekając na Elżbietę, zamiast zostawić za wycieraczką kartkę ze swoim numerem telefonu.

– Tam, na rogu, jest spokojniejsze miejsce. – Wskazał bistro, które zauważył wcześniej, spacerując po okolicy. Nikt nie zwrócił tam na niego uwagi, knajpka rzeczywiście była bardziej kameralna, a mniejsza liczba klientów gwarantowała znalezienie wolnego stolika. – Mam alergię na te wszystkie nowoczesne kawiarnie, gdzie napoje podają w plastikowych kubkach. A w ogóle to jestem Paweł.

Wyciągnął dłoń i uśmiechnął się szeroko.

– Ela. – Po krótkiej chwili wahania kobieta odwzajemniła gest. Jej dłoń była delikatniejsza, niż zakładał. Skórę miała gładką i przyjemną w dotyku, jakby dopiero co wyszła z salonu kosmetycznego. – Jeśli już koniecznie tak panu zależy, to niech

będzie i bistro. W końcu trzeba dać losu szansę, może wpadliśmy na siebie... To znaczy, może wpadł pan na mnie nie bez powodu?

„Gdyby tylko wiedziała” – pomyślał, ukrywając triumfalny uśmiech. Była trudniejszym przypadkiem, niż zakładał, ale teraz już miał ją w garści. Poflirtuje, poda ramię do wyplakania i babka powie mu wszystko, co chce wiedzieć. Potrafił umiejętnie postępować z kobietami. Zadbał o najdrobniejsze szczegóły, które mogłyby go wydać, wyjął z portfela zdjęcia dzieciaków, a biały ślad na palcu po obrączce zakamufłował plastrem opatrunkowym, dla niepoznaki obwijając nim cały palec.

– A ponoć to kobiety mają problemy z parkowaniem – zażartował. Poczucie humoru, a zwłaszcza umiejętność śmiania się z siebie, zawsze zdobywało mu punkty u płci pięknej. – Pani tu mieszka?

– Nie, przyjechałam... – Zawahała się, a jej pewny wyraz twarzy na ułamek sekundy ustąpił zakłopotaniu. Szybko jednak odzyskała rezon. – Mam tu kontrahenta, a pan?

„No przyznaj, że chodzisz do psychologa, to nam wszystko ułatwi” – pomyślał Paweł. Będzie mógł stwierdzić, że sam poszukuje specjalisty, gdyż nie może poradzić sobie po rozstaniu z żoną. Wtedy nawet nie będzie musiał ukrywać śladu po obrączce!

– Miałem zobaczyć się ze znajomym, ale w ostatniej chwili odwołał spotkanie. Jego strata, ja z pewnością nudzić się nie będę.

Dostrzegł uśmiech na jej twarzy. Zbyt wcześnie jeszcze na ofensywę, ale na drobny komplement mógł sobie pozwolić. Najważniejsze, by nie zachowywał się ze zbytnią pewnością siebie, tego typu strategia była skuteczna w niewielu przypadkach. Większość kobiet wolała najpierw poczuć się swobodnie,



zapanować nad sytuacją, by następnie móc bez obaw otworzyć się i zaufać. Poczul lekkie wyrzuty sumienia na myśl o Baŝce, ale szybko odepchnął to uczucie. Przecież nie miał zamiaru jej zdradzać, to tylko śledztwo dziennikarskie.

Przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie zacienionym chodnikiem udali się do bistro. Zapach kwitnących lip oszałamiał, a brzęczenie uwijających się między gałęziami pszczół powiadamiało wszystkich o prawdziwym rozpoczęciu lata. Dziennikarz pożałował, że pierwsze spotkanie z Elżbietą to zbyt wcześnie, by pozwolić sobie na cytowanie fraszek Kochanowskiego – w innym wypadku *Na lipę* od razu skradłoby jej serce. Nic tak bowiem nie działało na dojrzałe kobiety jak wrażliwy adorator, wyrażający myśli za pomocą poezji – oczywiście dopiero na bardziej zaawansowanym etapie znajomości, gdy pozostałe warunki idealnego kandydata na męża zostaną już spełnione. Przedwczesne wyciąganie asa z rękawa groziło zaszufładkowaniem jako wiecznie błądzący w chmurach, niepoprawny romantyk, który nie dość, że nie w głowie mu stabilizacja, to na dodatek zapewne nie śmierdzi groszem.

Zajęli miejsca tuż pod oknem, ukazującym niezbyt ciekawy widok na parking pełen samochodów. Fotel, w którym usiadł dziennikarz, wręcz zapadł się pod nim. Miękki materiał w kolorze ziaren kawy sprawiał, że poczuł się jak na łóżku wodnym, co w tym momencie nie było pożądanym efektem. Z miny Elżbiety odczytał podobne myśli.

– Jakby chciało mnie wessać – zazartował, próbując wygodniej usiąść. – Domyślam się, dlaczego jesteśmy tu jedynymi klientami.

– W sensie, że pozostali wyszli, bo źle im się siedziało?

„O matko – westchnął w myślach. – Jak można było nie złapać tak oczywistego żartu? Nie, durna babo, w sensie, że pozostałych pożarły wygłodniałe fotele. To nie była jadłodajnia dla ludzi, tylko z ludzi!”. Ugryzł się jednak w język.

– Sam nie wiem, o co mi chodziło. – Uśmiechnął się. – To co, w ramach przeprosin proponuję coś słodkiego. Sernik?

– Wolałabym pięćset złotych i zamiar na solidnego fachowca. – Kobieta spojrzała na niego uważnie i cicho westchnęła. – Jest pan bardzo miły i w ogóle, ale... Widzi pan, życie mnie nauczyło, że mężczyźni nie zachowują się w ten sposób, gdy im na czymś nie zależy. Więc bardzo chętnie zjem jabłecznik, najlepiej na ciepło, z gałką lodów waniliowych, ale dopiero gdy wypiszemy oświadczenie lub zapłaci pan odszkodowanie.

Paweł zacisnął dłoń pod stołem. Trzeba było przebić tę cholerną oponę, wtedy wyszedłby na bohatera. Że też ze wszystkich kobiet szukających porad u psychologa musiał akurat trafić na taki przypadek! Skoro jest taka twarda, to po co w ogóle chodzi na tę terapię?

Zanim zdążył wymyśleć coś zgrabnego w odpowiedzi, z opresji wyratował go kelner. Ubrany w całości na czarno mężczyzna z głową ogoloną na łyso pojawił się jakby znikąd, w dłoniach dzierżąc notes. Wyglądał na znudzonego, choć równie dobrze mógł być zły na jedynych klientów, odrywających go od czegoś znacznie przyjemniejszego.

– Dzień dobry, czy mogę przyjąć od państwa zamówienia? Uprzedzam, że kuchnię mamy jeszcze zamkniętą.

– Przecież widział pan, że jeszcze nawet nie zerknęliśmy w menu – odparł podenerwowany Paweł. – Proszę dać nam jeszcze

chwile.

Zmusił się do uśmiechu, by nie wyjść na ostatniego buca. Czuł, że kobieta wymyka mu się z rąk, choć jeszcze przed chwilą był przekonany o czymś zgoła innym. Trzeba było pójść do jej salonu fryzjerskiego i na miejscu piąć z zachwyty nad profesjonalną obsługą czy gustownym wystrojem. Zapłaciliby trzydzieści złotych i nie musiałby ciągle przeproszać. Skrzywił się na samą myśl o głupiej stracie gotówki. Przecież nie zapłaci pięciuset złotych, musi stargować co najmniej do trzystu.

– Przy sobie mam sto pięćdziesiąt – odpowiedział przepraszająco. – Tak jak mówiłem, po więcej musiałbym udać się do bankomatu.

– Taka rysa chyba kosztować mnie będzie więcej. – Elżbieta westchnęła. – Może jednak powinniśmy spisać to oświadczenie?

– To zrobmy tak: dam pani to, co mam, czyli sto pięćdziesiąt złotych, a w ramach wdzięczności za wyrozumiałość zaproszę panią na kolację. – Zaprezentował najlepszy ze swoich uwodzicielskich uśmiechów i mrugnął zachęcająco. – Może ten piątek?

Kobieta odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem.

– Nigdy nie umiałam się targować, niech będzie.

Bingo! Przez chwilę napędziła mu strachu tymi pięcioma stówkami, ale ostatecznie stanęło na jego. W zasadzie to upiekł dwie pieczenie na jednym ruszcie, nie musząc martwić się o aranżowanie kolejnego spotkania. Co więcej, im dłużej rozmawiał z Ela, tym wydawała mu się sympatyczniejsza.

– A teraz ciacho? – Podniósł się, by z tylnej kieszeni wyjąć portfel. Ostrożnie, by kobieta nie zauważyła reszty wypłaconych

wcześniej pieniędzy, wysunął umówioną kwotę i położył na stoliku. – Tylko... – Udał zafrasowanie. – Hm... oskubała mnie pani do gołego. Mam nadzieję, że można tu płacić kartą.

Ledwo skończył zdanie, a w jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Paweł wyjął komórkę i nie patrząc, wyciszył dźwięk, po czym położył aparat na szklanym blacie wyświetlaczem do dołu. Ignorował sygnał nie tylko ze względu na dobre maniery – rozpoznał dzwonek przypisany do żony, z którą nie bardzo mógł aktualnie rozmawiać.

– Nie odbierze pan? – spytała Elżbieta, chowając gotówkę do torebki. – Proszę się nie krępować, mamy w końcu początek tygodnia, przez weekend różne sprawy mogły się nagromadzić.

Nie chcąc wyjść na gburę, dziennikarz sięgnął ponownie po komórkę. Już miał napisać zdawkowe: „Jestem na spotkaniu, oddzwonię później”, gdy zobaczył nową wiadomość od Roberta. Dotknął palcem symbolu koperty. „Cokolwiek robisz, rzuć to – przeczytał. – Wysłałem ci mejla. Kurwa, to będzie prawdziwa bomba!!!! Oddzwoń ASAP”.

Paweł poczuł ciarki na całym ciele. Znał swego kolegę na tyle, by mieć pewność, że sprawa była naprawdę pilna. Pogłębianie znajomości z Elą musiało poczekać, tym bardziej że plan na dzisiaj wykonał już w stu procentach.

\* \* \*

Do mieszkania wrócił kwadrans przed piętnastą. Miał nadzieję nikogo tam nie zastać, lecz z kuchni dochodziły już odgłosy krzątaniny, a powietrzu unosił się zapach zupy ogórkowej. Baśka najwyraźniej wróciła wcześniej, niż zakładał, co komplikowało jego plany.

– Cześć, kochanie! – krzyknął, siląc się na radość w głosie. – Co dziś tak szybko?

W odpowiedzi usłyszał brzdęk talerzy i donośne szuranie. Dlaczego ona nie podnosi wyżej nóg? To naprawdę takie trudne? Zazwyczaj mu to nie przeszkadzało, ale dzisiaj wyjątkowo nie potrafił powściągnąć nerwów. Czuł cisnący się na język komentarz, jednak nie miał czasu, by tracić go na niepotrzebne sprzeczki. Wiadomość od Roberta musiała być prawdziwą bombą.

– Kiepsko się czułam, to mnie puścili do domu – odpowiedziała, wychodząc na korytarz i machając mu dłonią na przywitanie.

Dziennikarz przyjrzał się żonie dokładniej. Wyglądała na zdrową. Gdyby zamiast spodni dresowych i podkoszulka założyła jakąś sukienkę, to spokojnie mogłaby z miejsca pójść na sesję fotograficzną. Zawsze podziwiał ją za naturalną urodę, dzięki której nie musiała spędzać godzin przed lustrem, by wyjść z domu. To samo dotyczyło jej gęstych, czarnych loków, które od razu po wstaniu z łóżka układały się w fajną fryzurę. Ona oczywiście twierdziła inaczej, zazdroszcząc innym kobietom prostych włosów.

– Muszę jeszcze coś zrobić – rzucił, całując ją w policzek. Najważniejsze, że dzieciaki siedziały jeszcze w szkole, im trudniej byłoby wyjaśnić, że tatuś ma pilną pracę i pod żadnym pozorem nie można mu przeszkadzać. – Tylko mnie nie zaraż, bo mam takie zlecenie, że wreszcie odbijemy się od dna.

– Może najpierw coś zjesz? Rano nawet nie ruszyłeś śniadania.  
– Kobieta zwróciła uwagę na owinięty plastrem palec. – Co ci się stało w dłoń?

– Później, teraz naprawdę jestem bardzo zajęty. – Machnął jedynie ręką, nie chcąc tłumaczyć, czemu zdjął obrączkę i zakleił

ślad, po czym poszedł do salonu.

Pomieszczenie optymistycznie nazywane „dużym pokojem” w rzeczywistości było niewiele większe od przeciętnej sypialni. Stanowiło to konsekwencję wydzielenia trzech pokoi na pięćdziesięciu czterech metrach kwadratowych, byle tylko dzieciaki miały swój własny kąt. Początkowo Paweł nie potrafił przyzwyczać się do ciasnoty, zwłaszcza że w jego rodzinnym domu sam salon zajmował powierzchnię większą niż całe obecne mieszkanie. W dniu przeprowadzki poprzysiął sobie, że to stan przejściowy, że odłoży trochę pieniędzy, kupi działkę w Czarnowie lub Toporzysku i postawi dom z prawdziwego zdarzenia. Od tego dnia minęło już pięć lat, lecz w końcu na horyzoncie pojawiła się realna szansa zarobku. Nie odpuści, choćby miał nieco nagiąć przy tym prawo.

Usiadł w swoim ulubionym fotelu i powiódł wzrokiem po wyposażeniu pokoju. Jasnobrązowe szafy oraz dopasowany kolorystycznie stół dostali w prezencie od jego teściów, jako ułatwienie nowego startu. Już wówczas były używane, a teraz po prostu były zużyte. Jedyne komplet wypoczynkowy prezentował się odpowiednio. Przy jego zakupie pozwolili sobie na szaleństwo, uznając, że przed telewizorem spędzają tak dużo czasu, że warto zainwestować w wygodne siedzisko. Szkoda tylko, że sam odbiornik liczył zaledwie czterdzieści cali, nie mówiąc już o braku złącza HDMI, do którego mógłby podłączać komputer, by tak jak jego koledzy z pracy oglądać pirackie filmy z komputera na dużym ekranie. Ale to już niedługo, powtórzył sobie w duchu.

Wziął laptop na kolana. Program pocztowy jak zawsze ładował się ponad minutę. Przebiwszy się przez śmieciowe wiadomości

o cotygodniowym kolegium, pożegnaniu jakiegoś grafika, który odchodził właśnie na emeryturę, czy zapytaniem nowego dziennikarza w redakcji o wspólny wypad na spływ kajakowy w Bory Tucholskie, dotarł wreszcie do mejla od Roberta.

*Paweł, jest petarda! Znajomy pracujący w ochronie Al-Techu zdążył zrobić kopię nagrania z ich monitoringu, nim policja zarekwirowała całą dokumentację. Nie uwierzysz, co tam się działo. Zresztą co ja Ci będę pisał, masz wszystko w załączniku. Tylko włącz to gdzieś w odosobnieniu, bo, kurwa, film jest naprawdę mocny.*

*A teraz garść informacji. Facet z nagrania to Roman Brzyski, młodszy inżynier pracujący w dziale technologicznym. Dwa miesiące temu – dlaczego, kurwa, dowiedziałem się o tym dopiero teraz?!?!?! – odjechał cały ten cyrk, dokładnie dziesiątego kwietnia. Rozumiesz?*

*10 kwietnia – Roman Brzyski*

*10 maja – Alicja Płóć*

*10 czerwca – Sylwia Karczevska*

*Nie muszę chyba dodawać, że wszyscy byli klientami Konrada Małeckiego. Jak jeszcze ktoś mi powie, że ten pedałek nie ma z tym nic wspólnego, to nie wiem, co zrobić.*

*Mamy bombę. Obejrzyj film, tylko nie pokazuj go nikomu, najlepiej zgraj na jakiegoś pendrive'a czy coś i schowaj głęboko, a całą wiadomość skasuj.*

*Czekam na telefon. Musimy ustalić, co dalej. Gadałeś z tą fryzjerką? Nie ma co się obijać, bo ktoś nam sprzątnie temat sprzed nosa!!! Już czuję piekło, które rozpętamy!*

*R.*

Wiadomość przeczytał trzykrotnie, by niczego nie przeoczyć. Jeśli to, co pisał Robert, było prawdą... Na samą myśl biło mu

szybciej serce. To nie był temat na artykuł czy nawet serię cotygodniowych tekstów. Aż prosiło się, by napisać bestseller, książkę sprzedawaną w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a po prawa ekranizacji stać trzeba będzie do niego w kolejce. Kto wie, na ile języków ją przetłumaczą. Oczyma wyobraźni już widział Roberta Więckiewicza w roli psychopatycznego psychologa zabijającego swoich pacjentów.

Z wypiekami na twarzy włączył film. Nagranie zaskakiwało wysoką jakością, lecz, niestety, nie miało dźwięku. Na pierwszym planie krzątał się mężczyzna ubrany w szary, sięgający kostek fartuch, najpewniej strój roboczy. To musiał być Roman Brzyski. Pomieszczenie, w którym się znajdował, zapewne warsztat, wypełnione było masywnymi maszynami, różnego typu frezarkami i tokarkami. Paweł lekko zmrużył oczy i nachylił się nad laptopem, próbując zauważyć jak najwięcej szczegółów. Urządzenia wyglądały na wyłączone. Choć nagranie nie pokazywało godziny, Paweł założył, że była to nocna zmiana, w przeciwnym razie na pewno ktoś korzystałby z tych wszystkich maszyn.

Brzyski poruszał się powoli, małymi kroczkami, lekko schylony. Wyglądał, jakby się skradał, ale ponieważ w pomieszczeniu nie przebywał nikt oprócz niego, takie zachowanie było pozbawione sensu. Po chwili jednak dziennikarz przestał o tym myśleć, gdyż mężczyzna na nagraniu podszedł do stołu, na którym leżały porozrzucane narzędzia, podniósł kombinerki i ścisnął serdeczny palec lewej dłoni, włożony między metalowe szczęki. Siłował się dłuższą chwilę, po czym odrzucił kombinerki i chwycił leżący obok młotek.

Na sam widok Pawłowi zrobiło się słabo. Inżynier chyba



pomylił gwoździe z własnymi palcami, gdyż rytmicznie uderzał w nie narzędziem, wprasowując je w powierzchnię metalowego stołu. Paweł prawie słyszał odgłos pękających kości. Płynne ruchy masakrowały palce jeden po drugim. Na pierwszy ogień poszedł kciuk, który wytrzymał pięć uderzeń. Rekordzistą okazał się palec serdeczny, biorąc na siebie siedem trafień, nim wyglądem zaczął przypominać sflaczałą dętkę.

Scena trwała zaledwie dwie minuty, ale to wystarczyło, by dziennikarz poczuł mdłości. Cały filmik trwał równy kwadrans. Jeśli dalej nagrano podobną makabrę, to dobrze, że nie uległ namowom Baški na talerz ogórkowej. Nie przepadał za leżącym na podłodze brunatnym dywanem w staromodne wzory, ale niekoniecznie uśmiechało mu się ścierać zeń własne rzygowiny. Zaciek po winie udało się ukryć pod stołem, lecz ciasne pomieszczenie nie zniosłoby kolejnego wazonu czy doniczki z kwiatem, którą trzeba by przykryć rozległą plamę na środku pokoju.

Paweł położył dłoń na ustach, oglądając dalej z przejęciem, jak świętej pamięci Roman Brzyski podchodzi do ściany, pozostawiając za sobą czerwony ślad na podłodze. Wiszące tam elektronarzędzia nie zwiastowały niczego dobrego. Mężczyzna zdrową dłonią chwycił szlifierkę kątową i wrócił z nią na wcześniejsze stanowisko.

Dziennikarz miał nadzieję, że obserwowanemu mężczyźnie nie wystarczy przewodu, lecz ten rozciągnął się bez problemu. Inżynier oparł łokieć o stół, pomagając sobie w utrzymaniu równowagi. Urządzenie było ciężkie i nieporęczne do trzymania w jednej ręce. Brzyski zapewne włączył je, gdyż tarcza zaczęła się

obracać. Paweł zawsze był przekonany, że tego typu narzędzia posiadały zabezpieczenia nakazujące użycia obu dłoni, by uniemożliwić uruchomienie przez przypadek, jednak zapewne w większości firm usuwano takie blokady. Patrzył zafascynowany, jak wirująca tarcza zbliża się do lewej dłoni mężczyzny, połyskującej czerwienią i bielą zmasakrowanych palców, by po chwili wywołać czerwony rozbryzg. Drobne kawałki ciała poleciały w powietrze wraz z fontanną krwi. Mężczyzna na nagraniu wytrwale dociskał szlifierkę do dłoni, jakby chcąc wypolerować sobie kość. Z niewzruszoną miną zmienił pozycję urządzenia i zaczął przesuwac tarczą to w przód, to w tył, jakby zamiast własnego ciała kroił kawał szynki na drobne plasterki. Po trzech minutach odsunął urządzenie, podziwiając efekt. Jakimś cudem uniósł zmasakrowaną kończynę i z całych sił zaczął uderzać nią o blat. Po kilku potężnych zamachach kość puściła, a przedramię bezwładnie zawisło w powietrzu, trzymając się jedynie na skrawku skóry.

Paweł sapnął z obrzydzeniem i zatrzymał nagranie. Przymknął oczy, starając pozbyć się z pamięci obrzydliwego widoku. Spodziewał się czegoś mocnego, ale tego było za wiele. Jak to w ogóle było możliwe? Jakim cudem Brzyski nie zemdlał z bólu, z szoku wywołanego okaleczeniem i utratą krwi? Dziennikarz pomasował skronie i zaczął się zastanawiać, czy to oznaczało, że Sylwia i Agata również same zadały sobie te wszystkie rany. Dotychczas myślał, że dochodziło do morderstw, ale film ewidentnie pokazywał scenę samobójstwa.

Co jeszcze mogło wpaść do głowy temu facetowi? Może najpierw odrąbie sobie rękę, by zaraz ją z powrotem przyspawać? Na samą

myśl zrobiło mu się słabo. Przypomniawszy sobie zwłoki Agaty Płoc. Jeśli sama, bez znieczulenia i w pełni przytomna, wyrwała sobie wszystkie zęby i włosy, to nie wiedział, czy chce dalej oglądać to nagranie.

Aż dziwne, że do tej pory policja nie nagłośniła sprawy. Już po drugim trupie powinni powiązać fakty i skontaktować się z psychologiem, by chociaż wypytać go o szczegóły terapii, a z tego, co mówił Robert, nic takiego nie miało miejsca. Po śmierci Sylwii już nawet największy idiota by do tego doszedł. Nie dość, że wszyscy zginęli w makabryczny sposób w równych odstępach czasowych, dokładnie dziesiątego dnia miesiąca, to w dodatku uczęszczali do tego samego specjalisty. Czego im jeszcze trzeba było, kolejnego trupa?

Pomyślał o Elżbiecie. Nie wyglądała jak samobójczyni o masochistycznych zapędach, ale pewnie o pozostałej trójce można było powiedzieć to samo. Przeszło mu przez głowę, żeby uprzedzić kobietę, ale przecież nie mógł tego zrobić. Nie teraz, kiedy nie mieli jeszcze napisanego choćby konspektu książki.

Ilu taki psycholog mógł mieć pacjentów? Kilkunastu? Kilkudziesięciu? Skoro spotkania odbywają się średnio raz w miesiącu, a za jedno spotkanie Małecki pobiera dwieście złotych, to by utrzymać wysoki poziom życia, musiałby pracować z co najmniej trzydziestoma osobami. Nie sposób wszystkich śledzić. Do dziesiątego lipca pozostały jeszcze ponad dwa tygodnie, do tego czasu będą musieli uporać się ze śledztwem i przekazać informacje policji.

– Co tam oglądasz? – Zza pleców usłyszał głos Baški. – Myślałam, że piszesz.

– Co ty robisz? – Odruchowo zamknął laptop. Jak mógł nie usłyszeć tego cholernego szurania? – Mówiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzać! Czy to takie trudne? Czy ty zawsze...

Urwał w pół zdania. Nie chciał się kłócić, nie teraz, gdy dopiero co widział pogrążonego w amoku faceta znęcającego się nad własnym ciałem. Paweł przygryzł wargę. Targały nim emocje, które powinien stłamsić, a wyładowanie ich na Bogu ducha winnej Baśce było po prostu nie fair.

– Przepraszam. – Odłożył laptop na bok i wstał, by objąć żonę, lecz kobieta odsunęła się do tyłu, patrząc na niego z urazą. –

Basiu, przepraszam, po prostu jestem w samym środku czegoś arcyważnego. To może zmienić wszystko, rozumiesz? Nie gniewaj się, proszę. Nie powinienem podnosić głosu, wiem, ale naprawdę jestem bardzo zajęty.

– Najwyżej będziesz jadł zimne – parsknęła i odwróciła się do niego plecami. – Idę się położyć. Chłopcy wrócą za pół godziny, wpuść ich i podaj obiad. A krzyknij tylko na nich, to pożałujesz.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Później ją przeprosi, wytłumaczy wszystko. Zresztą jak odpowiednio poprowadzi tę sprawę, to nie będzie musiał niczego tłumaczyć. Do tego czasu wytrzyma, najwyżej będą ze sobą mniej rozmawiać. Baśka przebaczy mu wszystko, kiedy zabierze ją w jakieś egzotyczne miejsce i będzie go stać na to, by rozpieszczać żonę.

Odetchnął głęboko i ponownie usiadł, włączając komputer. Powinien obejrzeć film do końca, a czuł, że im szybciej to zrobi, tym lepiej. Po powrocie dzieciaków będzie miał cały dom na głowie, a musiał jeszcze pogadać z Robertem.

Kliknął kursorem strzałeczkę, wznowiając film. Na nagraniu

Brzyski przyglądał się bezwładnej kończynie, by w końcu machnąć barkiem, przez co przedramię oderwało się już do końca i poleciało poza kadr. Fartuch mężczyzny zalany był krwią, a jeszcze więcej płynęło z otwartej rany. Inżynier sprawną dłonią pozrzucał narzędzia ze stołu, by za chwilę położyć się na nim. Dziennikarz nie chciał nawet zgadywać, jaki pomysł wpadł do głowy samobójcy. To, co działo się na nagraniu, przechodziło ludzkie pojęcie, wychodziło poza wszelkie granice absurdu.

Paweł poczuł napływ mdłości, kiedy nagrywany mężczyzna, ułożywszy się na brzuchu, zaczął kręcić korbą, poszerzając przestrzeń między szczękami imadła. Zakończył dopiero, gdy udało mu się wepchnąć tam głowę. Dziennikarz żałował, że Brzyski nie zmasakrował sobie obu rąk, by nie być w stanie wcielić w życie chorego pomysłu zmiżdżenia własnej czaszki. Tak się jednak nie stało, efekty czego Paweł mógł podziwiać na własne oczy. Postanowił oszczędzić sobie widoku, przesuwając wskaźnik postępu nagrania kilka minut w przód, na ostatnie kilkadziesiąt sekund filmu, jakby miał nadzieję na szczęśliwe zakończenie.

Widok przerósł najskrytsze obawy dziennikarza, który zaskoczony odsunął się gwałtownie od wyświetlacza, prawie zrzucając laptop z kolan. Spodziewał się po prostu zakrwawionego faceta leżącego na stole, podczas gdy głowa denata była zmiżdżona do grubości palca, jakby po działaniu prasy zgniatającej karoserię. Jego czaszka musiała eksplodować jak arbuz, gdyż stół obryzganym był fragmentami mózgu. Mimo to dłoń Brzyskiego wciąż poruszała korbą, pomimo że dawno powinna już leżeć bez ruchu.

Paweł mrugnął i spojrzał ponownie. To musiał być fotomontaż.

Wcześniej myślał, że nieszczęśnika poddano hipnozie, a ukryty w cieniu terapeuty rozkazywał mu wykonywanie tych wszystkich okropności. Nie było jednak możliwości, by martwe ciało wciąż poruszało tą przekłętą korbą. Może i współczesna psychologia potrafiła zdziałać cuda, ale bez przesady.

Podenerwowany, wybrał numer Roberta. Jeśli ktoś w redakcji robił sobie z niego żarty, wysyłając sfabrykowane nagranie, to pożałuje. Nie po to pędził do domu na złamanie karku, żeby oglądać efekty czyjejs pracy w programie graficznym.

– No, wreszcie – usłyszał podekscytowany głos kolegi. – Już miałem do ciebie dzwonić. Obejrzałeś?

– Mówisz o tym kiepsko złożonym nagraniu, nadającym się co najwyżej do pracy zaliczeniowej dla średnio zdolnego studenta? –

Paweł blefował. W rzeczywistości film stanowił majstersztyk, nie sposób było dopatrzeć się żadnych ingerencji. – Stary, jeśli to miało być śmieszne, to miałem o tobie lepsze mniemanie.

– Co ty pierdolisz? Chłopie, mamy prawdziwą bombę w garści, a ty stroisz jakieś fochy. Co to był w ogóle za tekst? Zresztą nieważne, słuchaj, bo tu trzeba działać ekspresowo. Skoro ten psychol działa w miesięcznym odstępie, to musimy go pograć przed dziesiątym lipca. Już to czuję, to musi się udać!

Paweł westchnął. Nie mógł odmówić koledze zaangażowania i energii, ale albo Roberta zbyt poniosła fantazja, przez co uwierzył w autentyczność sfingowanego nagrania, albo konsekwentnie brnął w ten oryginalny fortel.

– Słuchaj, nie wiem, co ty robiłeś w liceum na lekcjach biologii, ale człowiek z roztrzaskanym mózgiem ma ograniczone pole manewru, a z całą pewnością nie jest w stanie kręcić dalej korbą

od imadła. Zajebisty żart, ale pora wziąć się do pracy.

– Też mnie to zastanowiło. – Robert brzmiał już nieco spokojniej, lecz wciąż wydawał się pobudzony. – No, ale co zrobisz, gość, od którego dostałem nagranie, ręczy za jego autentyczność. Nie mam powodów, żeby mu nie wierzyć.

„Brzmi wiarygodnie” – pomyślał Paweł. To jednak wcale nie było wielkim pocieszeniem. Dalsza współpraca z człowiekiem niepodającym w wątpliwość nagrania na kilometr zalatującego oszustwem nie mogła przynieść niczego dobrego. Obaj pracowali wystarczająco długo w zawodzie, by nauczyć się oddzielać fakty od wyspanych z palca insynuacji, jednak Robert najwyraźniej zbyt pragnął rozgłosu. Poza tym w grę wchodzić mogły również osobiste porachunki. Musiał czuć urazę z powodu spławienia przez Konrada, za co teraz planował się zemścić. Za wszelką cenę.

– Wiem, że to miało być tajne działanie, ale musisz pokazać ten film naszym specjalistom – stwierdził Paweł. Podejrzał, że jeśli Robert pojawi się z tym w dziale graficznym, to chłopaki będą tarzać się po podłodze ze śmiechu, ale postanowił o tym nie wspominać. – Najlepiej puść to Dawidowi, on jest najlepszy w te klocki. Jak on powie, że nikt przy tym nie majstrował, to rzeczywiście mamy temat na Pulitzera. Ja ze swojej strony umówię się na sesję z Małeckim i będę dalej ciągnął znajomość z tą fryzjerką. Pasuje?

– Dawidowi? – Robert wyraźnie sposepniał. – Kurwa, sam nie wiem. On to od razu wypapla i tyle będzie z przykrywki. Jak stary się dowie, że coś przed nim ukrywamy, to nas usadzi.

Paweł parsknął ze zniecierpliwieniem. Już miał udzielić koledze po fachu wykładu na temat profesjonalizmu, gdy usłyszał

dzwonek do drzwi. Odruchowo chciał krzyknąć Baśce, by otworzyła, ale w porę przypomniał sobie, że jego żona poszła spać. Że też nie miała kiedy zachorować. Akurat teraz, kiedy trafił na najważniejszy temat w swojej karierze, musiała zwalić wszystko na jego głowę. Nie mógł przecież odrabiać lekcji z chłopakami i jednocześnie planować dekonspiracji psychopatycznego mordercy.

– Muszę kończyć – odpowiedział do słuchawki, wyłączając w tym samym czasie komputer. – Leć z tym do Dawida, inaczej nawet nie kiwnę palcem. Muszę teraz załatwić parę spraw, a wieczorem przedzwonię do tego terapeuty. Do usłyszenia.

Zakończył połączenie i wziął kilka głębokich wdechów, by uspokoić bijące szybko serce. Na kilka godzin wcieli się w rolę perfekcyjnego ojca, mając nadzieję, że chłopaki szybko znajdą sobie zajęcie, dając mu możliwość kontynuowania pracy.



## Rozdział IV

Przez pierwsze dwa lata funkcjonowania gabinet terapeutyczny nie przynosił Konradowi żadnych zysków. Jego początkowy entuzjazm zderzył się z brutalną rzeczywistością, w której bydgoszczanie niechętnie zwierzali się ze swoich problemów obcemu człowiekowi. Żeby chociaż był psychiatrą i przepisywał leki na receptę, ale rozmawiać?! Rynek warszawski obfitował w kilkanaście podobnych gabinetów, z których praktycznie każdy cieszył się ogromną popularnością. Bydgoszcz jednak nie była stolicą, a zarobki większości jej mieszkańców nie pozwalały na wydatek dwustu złotych za godzinne spotkanie.

Po dwunastu miesiącach działalności, gdy zdobył zaledwie czterech stałych klientów, zaczął poważnie rozważać zwinięcie biznesu. Zawsze mógł wrócić do prowadzenia szkoleń ze skutecznej sprzedaży, komunikacji czy przywództwa, zwłaszcza że te wciąż finansowane były często przez milionowe dotacje z Unii Europejskiej. Średnio raz w miesiącu odbierał telefon od firm pilnie poszukujących trenera, lecz wszystkich przekierowywał do Tymona. Dobrze wiedział, że wskutek gigantycznego finansowania przetargi na warsztaty i szkolenia często wygrywały firmy bez przygotowania, wykwalifikowanych trenerów czy nawet własnego lokalu, czego efektem były regularnie pojawiające się oferty kilkudniowych zleceń.

Przełom nastąpił dopiero za sprawą Weroniki. To ona wzięła na siebie marketing szeptany, rozpuszczając zachęcające informacje

wśród zamożnych kobiet z nadmiarem wolnego czasu. Zaczęła uczęszczać do renomowanych salonów kosmetycznych, gdzie łączyła przyjemne z pożytecznym. Ucierpiał na tym ich domowy budżet, ale wspólnie stwierdzili, że była to udana inwestycja, nie tylko ze względu na wygładzoną skórę i wypielęgnowane paznokcie.

Owoce jej zaangażowania Konrad zbierał do dzisiaj. Szybko pogodził się z faktem, że wśród jego klientów przeważa płeć piękna, jednak miesiące niemal identycznych rozmów stopniowo doprowadzały go do szału. Tym większą czuł radość z każdego mężczyzny umawiającego się na spotkanie.

– Jak najbardziej mi pasuje – powiedział do słuchawki. – Czyli, panie Pawle, widzimy się jutro, to jest we wtorek dwudziestego piątego czerwca, o godzinie dziesiątej. Zapisał pan adres czy powtórzyć?

– Nie ma takiej potrzeby. – Jego rozmówca odpowiedział podniesionym głosem. W tle słychać było dziecięce okrzyki. – Do zobaczenia, miłego dnia!

– Pozdrawiam serdecznie.

„Nie dość, że mężczyzna, to jeszcze dzieciaty” – zauważył z zadowoleniem Konrad, chowając komórkę do kieszeni spodni. Dawało to szansę na głębsze problemy, których przepracowanie pochłonie co najmniej dziesięć sesji.

Ukontentowany, wyszedł do ogrodu, gdzie spodziewał się spotkać Weronikę. Słońce stopniowo chyliło się ku zachodowi, nadając niebu nad horyzontem barwę purpury, a w powietrzu czuć było zapach truskawek. Konrad sięgnął do miski leżącej na stole i wsunął do ust słodki owoc.

„Idealna chwila, by wziąć żonę w objęcia i dać ponieść się romantycznym uniesieniom” – pomyślał. Weronika siedziała na wiklinowym krześle, na stoliku obok stały dwie ceramiczne filiżanki i czajnik w maki, z którego wciąż unosiła się para. Kobieta jednak nie zauważyła nawet obecności męża, siedząc ze wzrokiem utkwionym w nieokreśloną dal. Zamyślona, wyglądała, jakby ktoś odłączył jej wtyczkę od zasilania.

Konrad dosiadł się obok. Miał nadzieję na szczerą rozmowę, której oboje tak bardzo potrzebowali. Ciche dni nie były niczym nadzwyczajnym w małżeństwach o wieloletnim stażu, jednak tym razem trwało to już zbyt długo. Mężczyzna nie pamiętał nawet, od czego się zaczęło, jednak żadne nie chciało ustąpić.

– Słoneczniki niedługo już dojrzeją – zagaił, wskazując jasnożółte kwiaty rosnące niedaleko.

Weronika obróciła się powoli i spojrzała na niego jak na obcego człowieka. Oczy miała podkrążone, jakby przepłakała całą noc. Jak mógł wcześniej tego nie zauważyć?

– Kochanie, wszystko w porządku? – Głupie pytanie, przecież wiedział, że nic nie jest w porządku. – Dobrze się czujesz?

– Kondziu... – Kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu, lecz jej oczy pozostały smutne i zmęczone. – Ale się do mnie zakradłeś. Napijesz się herbaty? Dopiero co zaparzyłam.

Dawno nie zwracała się do niego w ten sposób. Kondzio i Wera, dwójka zapatrzonych w siebie małolatów, wierzących, że świat czeka na nich z otwartymi ramionami. Każdy dzień był nową przygodą. Nic nie miało znaczenia, gdy byli razem. Znajomi mówili, że wszystko minie po ślubie, że sformalizowanie związku utnie szaleńcze uczucie, zmieniając je w codzienną rutynę,

niezwłocznie zmierzającą ku rozwodowi. Jednak w ich przypadku wszystko zostało po staremu. Kiedy świętowali siódmą rocznicę małżeństwa, znaleźli się kolejni wszystkowiedzący, tym razem wyrokując, że pierwsze kilka lat po ślubie to czysta sielanka, a później czar pryska. Ci również nie mieli racji. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że Kondzio i Wera na zawsze pozostaną uzależnionymi od siebie kochankami, zasypiającymi wtuleni w siebie niczym para nastolatków pierwszy raz spędzających wspólną noc.

Kiedy to się zepsuło? Rok temu jeszcze wszystko było idealnie, czyli nie wynikało to z jego czterdziestych urodzin. A może jednak? Może przechodził coś w rodzaju kryzysu wieku średniego? Wprawdzie nie interesowały go młodsze kobiety, a od sportowych samochodów wolał praktyczne kombi, ale rzeczywiście stał się jakby bardziej sceptyczny i sarkastyczny. Mniej zainteresowania poświęcał również swoim klientom, coraz częściej wyłączając uwagę w trakcie sesji.

– Truskawki prawie nie mają smaku – oznajmiła, nalewając herbatę do filiżanek. – To nie to samo, co te kaszubskie.

Konrad przyjął z jej rąk gorące naczynie, pociągnął łyk aromatycznego napoju i nagle zamarł. Dopiero teraz zauważył bandaż na przedramieniu żony. Przyjrzał się uważniej, tym razem zwracając uwagę na więcej szczegółów. Wciąż była nieobecna, jakby otumaniona. Brała lekarstwa na uspokojenie? Do tego jeszcze ten „Kondzio”. Na usta cisnęły mu się pytania, lecz postanowił nie naciskać.

Weronika spojrzała w jego kierunku, a on podniósł filiżankę do ust i uciekł wzrokiem od jej rąk. Być może ich małżeństwo

ucierpiało bardziej, niż mu się dotychczas wydawało. Nie mógł być pewien, lecz psychotropy i bandaże kojarzyły mu się tylko z jednym.

Pół roku temu prowadził pacjentkę, która wpadła w depresję z powodu zdrady męża i próbowała popełnić samobójstwo. Nie wystarczyło jej odwagi, by porządnie podciąć sobie żyły, ale mocno się poharatała. Bardzo ją bolało, więc zażyła garść tabletek. Konrad przypomniał sobie jej opowieść i zagryzł wargę.

Nie mógł uwierzyć w to, że Weronika chciałaby się zabić. Nie, to niemożliwe, może po prostu była zmęczona i się przypadkiem skaleczyła.

– Co ci się stało w rękę? – spytał, próbując uspokoić rozszalałe myśli.

Kobieta przez chwilę patrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby nie usłyszała pytania, po czym spojrzała na opatrunek.

– Ach, to? Pożarły mnie jakieś meszki. Posmarowałam olejkim z przychodni i zabandażowałam, tak jak poleciła farmaceutka.

„Kłamiesz” – pomyślał Konrad, ale nic nie powiedział. Jakie meszki? W tym roku nie widział ich jeszcze ani razu. Nawet komary występowały jedynie sporadycznie, choć rok temu upodobały sobie jego krew, regularnie budząc ich w nocy irytującym brzęczeniem. Dlaczego kłamała? Dlaczego w tak głupi sposób?

Weronika ponownie odwróciła się w stronę ogrodu i zapatrzyła na zachodzące słońce. Patrzył na nią z boku, jak podnosi filiżankę do ust i przymyka oczy. Poczul ból w sercu.

Odłożył filiżankę na stół i podniósł dłoń, by dotknąć ramienia żony, jednak powstrzymał się. To była jego wina. Źle ją ostatnio

traktował, doprowadził do sytuacji, że nawet nie potrafią już ze sobą rozmawiać o problemach. Nawet nie przyszło mu na myśl, żeby się jej poradzić w sprawie morderstw, a ona sama również ewidentnie coś przed nim ukrywała. Nigdy wcześniej nie mieli przed sobą tajemnic, podczas gdy teraz zbyła go kiepskim kłamstwem. Była energiczną, silną kobietą i tak naprawdę nie wierzył, by mogła targnąć się na własne życie, ale jej zachowanie go niepokoiło. Nie chciał naciskać, nie teraz, i tak nie wyciągnąłby z niej niczego. Przeczeka noc i z samego rana spróbuje wypytać.

Pociągnął łyk herbaty i wyciągnął się wygodniej na krześle, podziwiając zachodzące słońce.

\* \* \*

Obudziło go rytmiczne stukanie w szybę. Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, jakby w nadziei, że niechciany gość da za wygraną i pójdzie męczyć kogoś innego. Odgłos jednak, miast odpuścić, przybierał na intensywności. Konrad mruknął coś i po omacku sięgnął po komórkę, chcąc sprawdzić godzinę. Był potwornie zmęczony. Jego dłoń trafiła najpierw na *Wiele demonów* Pilcha, książkę, której nie mógł skończyć od ponad miesiąca. Tuż za opasłym woluminem leżał telefon. Terapeuta otworzył opuchnięte jeszcze od snu oczy i zerknął na aparat, spodziewając się odczytać z niego nieprzyzwoicie wczesną godzinę, wyświetlacz nie reagował jednak na przeciąganie palcem. Znowu zapomniał naładować baterię.

Podniósł się i oparł plecami o wezglowie, ponownie zamykając oczy. Dopiero teraz powiązał nieznośny odgłos z deszczem padającym za oknem. Na wpół przytomny przypomniał sobie o stoperach do uszu, które Weronika trzymała w szufladzie po

swojej stronie łóżka na wypadek kłopotów z zaśnięciem. Zawsze miała lekki sen. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, chcąc ją pogłaskać, jego dłoń jednak napotkała puste miejsce. Otworzył oczy. Kołdra, odrzucona na bok, była zupełnie chłodna, co znaczyło, że kobieta musiała być na nogach już od dłuższego czasu. Spojrzał w kierunku łazienki, lecz drzwi były otwarte, a światło zgaszone.

– Kochanie? – spytał cicho. Niedostatecznie głośno, by mogła go usłyszeć choćby z korytarza. Odchrząknął i krzyknął: – Kochanie, już wstałaś?

Odpowiedziała mu cisza, przerywana jedynie odgłosem padającego deszczu.

Przeciągnął się i z miną cierpiénika zwlókł z łóżka. Ostatnie, na co miał ochotę, to szukać żony po domu w środku nocy, lecz wczorajsze zachowanie Weroniki nie dawało mu spokoju. Z ich dwojga to jej częściej zdarzało się wylegiwać w sypialni do południa, toteż przedwczesna pobudka nie zwiastowała niczego dobrego.

– Weronika? – zawołał ponownie. – Kochanie, gdzie jesteś?

Wyszedł na korytarz. Piętrowy dom urządzili zgodnie z zaleceniami znajomego architekta, który pomógł im wydzielić strefę dzienną od wypoczynkowej, sytuując na górnym poziomie sypialnię i dwa dodatkowe pokoje, przeznaczone dla gości i ewentualnego dziecka. Gdy wieloletnie próby spłodzenia potomka spełzły na niczym, jasne stało się, że na liczącej ponad siedemdziesiąt metrów kondygnacji korzystać będą z zaledwie jednego pomieszczenia. Teraz żałował decyzji o budowie domu.

Z dołu dochodziła muzyka. Z każdym kolejnym krokiem słyszał ją coraz wyraźniej, aż wreszcie, schodząc po schodach, rozpoznał

charakterystyczną chrypkę Joe Cockera, zawodzącego *You are so beautiful*.

– Wera, co się z tobą dzieje? – warknął, kierując się do kuchni, skąd dochodziła melodia. – O tej godzinie...

Zamarł, widząc lecący w telewizji program. Poranna pobudka ze starymi przebojami była ulubionym programem Weroniki, więc nie powinno go to zaskoczyć. Sęk w tym, że audycja ta rozpoczynała się o godzinie siódmej.

Jego żona siedziała na kuchennym stołku ze wzrokiem wbitym w teledysk, choć angielskiego wokalisty zdecydowanie lepiej było słuchać, niż oglądać. Miała na sobie jedwabny szlafrok, spod którego wystawała koronkowa koszula nocna. Przed nią na wyspie kuchennej leżał talerz z nietkniętą kanapką. Na blacie znajdowały się jeszcze dwa niechlujnie rozrzucone czasopisma i kubek z herbatą.

– Która godzina? – nerwowo spytał Konrad. – Jezu, telefon mi się rozładował, przez co nie zadzwonił budzik. Dlaczego mnie nie zawołałaś? Przecież wiesz, że o ósmej mam klientkę.

Weronika nie odpowiedziała. Konrad omiół wzrokiem pomieszczenie. Jego wzrok przykuły naczynia spiętrzone w zlewie. Momentalnie przypomniał sobie o uszkodzonej zmywarce, którą miał się zająć w weekend, ale tak zabalował z Tymonem, że całą sobotę leczył kaca, a później zapomniał. Widok brudnego kopczyka tak go zirytował, że najchętniej od razu zakasałby rękawy i wziął się za zapchany filtr. Jednak telewizor pokazywał godzinę siódmą czterdzieści jeden, czyli miał tylko niecałe dwadzieścia minut, by doprowadzić się do jako takiego stanu i przedrzeć przez korki do gabinetu w centrum, co bez przenośnego urządzenia



teleportacyjnego było niewykonalne. Dobrze, jeśli zdąży na dziesiątą.

Szybkim krokiem ruszył z powrotem do sypialni, by podłączyć telefon do prądu i zadzwonić do klientki, przeprasząc za konieczność odwołania sesji w ostatniej chwili. Dorzuci jej jakiś bonus w postaci przedłużenia następnego spotkania o pół godziny i będzie po sprawie, ale sam fakt zaspania powodował u niego niesmak do samego siebie. Jak na ironię, deszcz, który jeszcze parę minut wcześniej stanowił obiekt jego złorzeczeń, teraz okazał się zbawienny – gdyby nie ta pobudka, pewnie straciłby nowego klienta.

\* \* \*

Do gabinetu dotarł dwadzieścia minut przed godziną dziesiątą. Przed wyjściem z domu nie pożegnał się nawet z Weroniką, która wciąż tkwiła przyklejona do telewizora, niczym bohaterka *Requiem dla snu*. Konrad nie miał wątpliwości, że była to konsekwencja zażywania silnych leków. Żeby je dostać, musiała udać się do specjalisty, tylko dlaczego o niczym mu nie powiedziała?

Przynajmniej klientka, z którą umówiony był na ósmą, zgodziła się bez większych problemów na przesunięcie terminu. Pomarudziła przez chwilę, po czym stwierdziła, że to nawet lepiej, bo i tak doskwierała jej migrena. Psycholog jedynie uśmiechnął się pod nosem, próbując sobie przypomnieć, ile to już razy na poprzednich sesjach raczyła mu wspomnieć o tej dolegliwości. Za pierwszym razem nawet jej uwierzył, ale później po prostu włączał wyuczony mechanizm rytmicznego przytakiwania z miną pełną zrozumienia.

Nowy klient miał przyjść dopiero za kwadrans, co dawało możliwość szybkiego przejrzenia mejli. Od piątku zebrało się sporo wiadomości, z czego większość od razu wylądowała w śmietniku. Odpowiedział szybko na dwa pytania o cenę sesji – jakby ludzie nie potrafili przeczytać informacji zamieszczonej na stronie – na koniec zostawiając sobie mejl od Tymona.

Jego przyjaciel zawsze pisał w podobny sposób, niestety, nie uznając polskich znaków. Bardzo długa wiadomość opisywała dane, które zdołał zebrać na temat dwóch zabitych kobiet. Co ciekawe, morderstw dokonano z równo miesięcznym odstępem czasowym, co wzbudziło zaniepokojenie Konrada. Zbyttno przypominało to celowe działanie, żeby mógł być to zwykły zbieg okoliczności. Do wiadomości dołączonych było również kilka linków przekierowujących do artykułów z „Super Faktu”, autorstwa Roberta Kozłowskiego, którego terapeuta miał wątpliwą przyjemność spotkać w poprzednim tygodniu. Już same tytuły sugerowały docelową grupę odbiorców żądnych pikantnych newsów. *Masakra w domu rozpusty*, którym zapewne była posiadłość Krzysztofa i Sylwii, czy *Obietnica niewinnej krwi* zdradzały poziom artykułów nastawionych jedynie na wzbudzenie taniej sensacji.

Konrad zamknął program pocztowy i włączył przeglądarkę internetową, by rzucić okiem na wiadomości sportowe. Polska liga odpoczywała przed kolejnym sezonem, toteż nie musiał się martwić o wzrost ciśnienia spowodowany kolejnym kiepskim występem Zawiszy. Za to spekulacje na rynku transferowym kwitły w najlepsze. Do otwarcia letniego okna pozostało jeszcze pięć dni, co nie przeszkadzało dziennikarzom w publikowaniu niby

„potwierdzonych” rewelacji dotyczących zmian przynależności klubowych połowy największych gwiazd ligi.

Konrad oderwał się od szperania po newsach, słysząc pukanie do drzwi. Zamknął komputer, głęboko wciągnął nosem powietrze, nastawiając się pozytywnie do nieznanego, i ruszył w stronę drzwi. Spotkania zapoznawcze niosły z sobą ryzyko zrażenia klienta niekonwencjonalnymi metodami, toteż zwykle przybierały formę prostej rozmowy. Dopiero na drugim spotkaniu, lub w przypadku wyjątkowo zamkniętego w sobie osobnika na trzecim, Konrad zaczynał przemycać metafory terapeutyczne czy mniej skomplikowane zadania, opierające się w głównej mierze na wyobraźni i kreatywności.

– Dzień dobry, punktualny co do minuty – powiedział, otworzywszy drzwi. – Proszę, zapraszam. Trafił pan bez problemu?

Stojący za drzwiami mężczyzna kiwnął głową.

– Tak, tak, trochę namęczyłem się w poszukiwaniu miejsca na parking, ale na szczęście miałem zapas czasu.

– Najważniejsze, że już nie pada. – Terapeuta wyciągnął dłoń.

– Proponuję od razu mówić sobie po imieniu, to ułatwi nam komunikację. Jestem Konrad.

– Paweł, miło mi.

Mężczyzna miał mocny, zdecydowany uścisk. Ubrany w spodnie dżinsowe i nieco wygniecioną, średniej jakości koszulę w kratę, śmierdział mentolowymi papierosami. Jego garderoba odstawała poziomem od większości klientów uczęszczających na sesje, lecz Konrad dawno się przekonał, że osoby prawdziwie zamożne, które nie muszą wszystkim naokoło udowadniać, jacy to oni są wspaniali, często nosiły się w podobny sposób.

– Zapraszam dalej. Usiądź wygodnie. – Terapeuta wpuścił Pawła do gabinetu i zadał rutynowe pytanie: – Napijesz się kawy?

– Jasne. Z mlekiem, jeśli można.

Konrad już dawno nauczył się, że klient, który na przywitanie dostaje kawę, jest bardziej zadowolony od osoby poczęstowanej za ledwie szklanką wody. Wyjątkiem byli jedynie stroniący od kofeiny.

– Pierwsze spotkanie jest darmowe, więc to mleko będzie moją inwestycją w ciebie, ale myślę, że mogę sobie pozwolić na taką ekstrawagancję.

Na wszelki wypadek posłał mężczyźnie uśmiech. Ponownie nie trzymał się zasady niezartowania przy nowych klientach, ale przynajmniej mógł w jednoznaczny sposób podkreślić, iż nie mówił poważnie.

Podłożył filiżanki pod ekspres, kiedy przypomniał sobie o czymś.

– W jaki sposób się o mnie dowiedziałeś?

Paweł zmrużył lekko oczy i przed dłuższą chwilę nie odpowiadał. Konrad nie wiedział jeszcze, co się za tym kryło, ale postawił sobie za wyzwanie rozszyfrować rozmówcę. Nie chcąc jednak zrażać go do siebie, dodał ostrożnie:

– O ile to nie tajemnica, rzecz jasna. Każdemu zadaję to pytanie na początku terapii.

– Żona znajomego kiedyś o tobie wspomniała – odparł w końcu Paweł. – Poza tym poszperałem trochę w sieci i masz nie najgorsze opinie. Do wyboru była jeszcze jakaś kobitka, nie pamiętam teraz nazwiska, ale jakoś tak dziwnie omawiać poważne problemy z babą.

Terapeuta uśmiechnął się w duchu, wyłączając ekspres. Tego typu komentarze wbrew pozorom zawierały sporo informacji. Paweł nieświadomie otwierał się przed nim, zdradzając pewne drobiazgi ze swego życia, które w późniejszej fazie terapii wykorzystają przy trudniejszych zadaniach.

– Dobrze wiedzieć, że w sieci można jeszcze znaleźć coś innego niż ten cały hejt.

Podszedł do stolika, kładąc na nim filiżanki. Była tam już cukierniczka, łyżeczki oraz mleczko do kawy, przez poranny pośpiech zapomniał jednak wyjąć ciasteczka. Usiadł w fotelu i gestem zaprosił mężczyznę, by zajął miejsce obok.

Paweł rozsiadł się wygodnie i upił łyk kawy.

– Dobrze, nie traćmy więc czasu – zaczął Konrad. – Pierwsze spotkanie ma zwykle rolę zapoznawczą. Ja opowiadam o swoich licznych sukcesach, o zadowolonych klientach, o tym, że nie ma co iść do konkurencji, bo przegrywają ze mną w przedbiegach. –

Uśmiechnął się, kolejny raz podkreślając żart. – A tak poważnie, powiedz mi, dlaczego postanowiłeś do mnie zadzwonić?

– Czyli prosto z mostu? No dobrze, sam się o to prosiłem. Widzisz, średnio wierzę w te wszystkie terapie. Zawsze miałem wrażenie, że to zwykle naciąganie ludzi, wmawianie im, że są doskonali i mogą wszystko, byle tylko regularnie płacili za spotkania. Ostatnio jednak obejrzałem taki polski serial z Radziwiłowiczem w roli psychologa. W ogóle obsada iście gwiazdorska: Janda, Gajos, Dorociński, Stenka. Nawet ta babka z *Rancza* tam grała, ta Amerykanka.

– *Bez tajemnic* – odparł Konrad, uważnie panując nad twarzą. Absolutnie nie mógł po sobie pokazać, jak bardzo go to rozbawiło.

Jeśli to on rozważałby rozpoczęcie terapii u psychologa, to akurat ten serial w żadnym wypadku by go do tego nie zachęcił.

– Być może, nie mam pamięci do tytułów – zachnął się Paweł. – W każdym razie pomyślałem sobie, że może warto spróbować. Osobiście uważam, że nie można czegoś krytykować, jeśli samemu się tego nie spróbowało choć jeden raz. No i jestem. – Rozłożył ręce, wyczekująco patrząc na terapeutę.

Konrad uważnie mu się przyglądał. Na pierwszy rzut oka mężczyzna nie wyglądał na gadułę, jednak mówił swobodnie, bez niepotrzebnych przerw i nerwowej gestykulacji. Sprawiał wrażenie pewnego siebie.

– Z tym akurat się zgadzam. Pytając o powód, miałem bardziej na myśli problem, który cię dręczy.

– A jaki można mieć powód w moim wieku? – Paweł ponownie zmrużył oczy. – Żona, dzieci, od wielu lat ta sama praca. Czuję się po prostu zmęczony tym wszystkim. Chciałbym czegoś nowego, jakiegoś zastrzyku energii, czegoś, co mnie pobudzi do działania, rozumiesz? Takiego doładowania baterii. Nie mówię tu o wczasach pod palmami czy wspinaczce górskiej. Mam na myśli coś trwałego.

– Masz już jakiś pomysł?

Mężczyzna odłożył filiżankę i wstał z fotela. Wolnym krokiem podszedł do okna, gdzie stanął i odchylił firankę, wyglądając na zewnątrz. Z umieszczonego na trzecim piętrze gabinetu roztaczał się widok na park i okalające go alejki, bujnie porośnięte aktualnie kwitnącymi lipami. Z dołu dobiegały hałasy, jakby sygnał policji lub pogotowia. Deszcz wprowadził za wygraną, ale niebo wciąż zasnuwane było ciemnymi chmurami, z których lada chwila mogła spaść ulewa.

Czekając na odpowiedź, Konrad poczuł nagłą ochotę, by wrzucić do kawy kostkę cukru. Nigdy tego nie robił, więc teraz również się powstrzymał, pozałował jednak wciąż schowanych w szafce ciasteczek, które zaspokoilyby nagłą zachciankę.

– Myślałem o własnym biznesie – wypalił wreszcie Paweł, wciąż patrząc na pogrążoną w szarości ulicę. – Masz nawet przed sobą dobry przykład tego, czym chciałbym się zająć.

„Mycie okien” – pomyślał Konrad, ale na szczęście ugryzł się w język.

– Prywatny parking strzeżony – kontynuował mężczyzna. – W niektórych rejonach miasta tak trudno znaleźć wolne miejsce, że aż krew człowieka zalewa. Trzeba oczywiście wyłożyć trochę gotówki na pusty plac i urządzenie go, ale sama robota byłaby wręcz idealna. Siedzisz sobie w stróżówce i czytasz książki, a kasa sama leci do portfela. Może nawet kogoś bym zatrudnił, a po paru latach postawił kolejny parking, w innej części miasta.

Odwrócił się do Konrada. Na jego twarzy widać było zakłopotanie, jakby plany wypowiedziane na głos zabrzmiały gorzej niż w głowie. Stanowiło to częstą reakcję ludzi po raz pierwszy ujmujących swe marzenia w słowa. Pragnienia tłumione całymi miesiącami nabierały pewnego magicznego charakteru, który trudno było wytłumaczyć drugiej osobie. Niemniej sam fakt, że Paweł tak szybko otworzył się przed Konradem, dawał nadzieję na wspaniałe efekty dalszej współpracy.

Psycholog uśmiechnął się zachęcająco.

– Zastanów się, proszę, i spróbuj sformułować cel, który chciałbyś osiągnąć po zakończeniu naszych spotkań. Jakie masz przed sobą wyzwanie? Zastanów się nad czymś konkretnym, co

obaj będziemy w stanie zmierzyć.

– Nie myślałem o tym w ten sposób... – Paweł wrócił do stolika i wziął filiżankę do ręki, po czym ponownie podszedł do okna. – Chciałbym mieć pewność, że ten biznes wypali, że nie wpakuję się na jakąś minę. Żona śmieje się ze mnie, że to przejaw męskiego kryzysu wieku średniego, ale przecież jestem jeszcze na to za młody, co nie?

Konrad wpatrywał się w jego plecy. Nie lubił spacerowiczów, ale zwrócenie uwagi z pewnością zraziłoby klienta. W końcu przegrał wewnętrzny pojedynek. Wstał i podszedł do szafki, na której ustawiony był ekspres do kawy. Z dolnej szuflady wyjął opakowanie ciastek, po czym rozłożył je na szklanym półmisku, ukradkiem jedno kosztując, zanim wrócił do stolika. Najchętniej usiadłby ze słodkościami na kolanach, ale skoro jego pacjent preferował pozycję stojącą, to on musiał się dostosować.

– Nie ma właściwego momentu na kryzys – powiedział, rozglądając się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. W końcu stanął obok biurka, oparty o mebel. Powinien widzieć twarz swojego rozmówcy, ale ten uparcie wgapił się za okno. – Ale wróćmy do celu. Może być zdefiniowany różnie, ale musisz pamiętać, by był w całości zależny od ciebie. Przykładowo, jeśli marzyłbyś o nowej pracy, to czy cel brzmiący „chcę zmienić pracę” leży w stu procentach w twoich rękach?

– No, chyba tak. Nikt za mnie tego nie zrobi.

– Owszem, ale sam zobacz. Masz idealnie przygotowany życiorys, codziennie przeglądasz nowe oferty, aplikujesz na te spełniające twoje wymogi. Czytasz o pracodawcy przed każdą rozmową kwalifikacyjną, dokładnie studiujesz profil ich



działalności, jesteś przygotowany na każde pytanie, włącznie z tymi dziwnymi, zadawanymi przez panie z kadr.

– Słyszałem o tym. – Paweł wreszcie się odwrócił i spojrzał na niego z kwaśną miną. – Znajomemu kazano odpowiedzieć, co by zrobił, jakby jego ciało zmniejszyło się nagle do wielkości dwuzłotówki. Co więcej, ocknąłby się w środku miksera kuchennego i miał tylko chwilę, nim ktoś włączy urządzenie. Rozumiesz? Co za bzdura.

– Bzdura czy nie, ty znasz odpowiedź również na takie abstrakcyjne zagadki. I co, masz całkowitą kontrolę nad tym, czy cię przyjmą, czy nie?

Paweł spojrzał na terapeutę jak na idiotę domagającego się odpowiedzi na pytanie, czy dwa plus dwa to piętnaście. Oparł dłonie na biodrach, mimowolnie przybierając pozycję obronną.

– No wiadomo, że nie – odparł lekko podniesionym głosem. – Decyzja należy do jakiegoś gogusia za biurkiem, który pewnie nawet nie będzie uczestniczył w rozmowie.

– Dokładnie. – Konrad skopiował pozycję klienta, również kładąc dłonie na biodrach. Naśladownictwo zachowań i gestów pełniło ważną rolę podczas procesu „oswajania” pacjentów, pomagało również wczuć się w sposób myślenia drugiej osoby. – A jak w tym wypadku zdefiniowałbyś ten cel?

– No, zrobić wszystko, co w mojej mocy. Przeglądać te ogłoszenia, wysyłać, dzwonić, dopominać się, nie dać o sobie zapomnieć.

Mężczyźni stali w odległości dwóch metrów od siebie, lecz Konrad wyczuwał znacznie większy dystans bijący od Pawła. Wprawdzie początkowo fajnie się otworzył, opowiadając o swoim

pomyśle na biznes, ale teraz wyglądał na człowieka pragnącego udowodnić, że psychologia to jeden wielki stek bzdur. Terapeuta znał aż za dobrze ten pewny siebie wyraz twarzy i sarkastyczny ton. Natomiast same słowa wypowiedane przez Pawła pozostawały w sprzeczności z tymi oczywistymi sygnałami wysyłanymi przez mowę ciała. Było jednak zbyt wcześnie, by posądzać mężczyznę o kłamstwo. Zresztą po co ktoś miałby przychodzić do gabinetu i płacić za spotkanie, skoro nie mówiłby prawdy?

– Dokładnie, właśnie o to mi chodzi. – Konrad uśmiechnął się, wciąż pozostając w tej samej pozycji. – W takim przypadku zazwyczaj proponuję zastosować skalę zadowolenia z osiągniętego sukcesu. Czyli dzisiaj mi mówisz, że chcesz coś osiągnąć i uważasz, że jesteś przygotowany w danym temacie na czwórkę w skali dziesięciostopniowej, a chciałbyś mieć równą dychę. Wówczas wspólnie pracujemy nad tym, by określić rzeczy, które należałoby zrobić, byś zbliżył się do wytyczonej granicy, a następnie wdramamy plany w życie. Muszę cię też uprzedzić, że stosuję czasem nietypowe metody, żeby pozwolić spojrzeć klientom na problem z innej perspektywy. Pasuje ci to?

– Stosujesz hipnozę?

W oczach klienta coś zaiskrzyło. Ledwie widoczny błysk, szybko zakamuflowany odwróceniem wzroku. Przez sekundę wyglądał jak żądny wiedzy uczeń, dopytujący mistrza o tajniki wtajemniczenia.

Konrad podrapał się po głowie, lekko zaskoczony pytaniem. W myślach od razu zganił się za nieprofesjonalny gest i szybko opuścił rękę.

Paweł nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył w bok, po wcześniejszym zainteresowaniu nie było już śladu.

– Pytam, bo ostatnio sporo o tym czytałem – kontynuował. – Szczerze mówiąc, to zastanawiałem się, czy od tego nie zacząć. Nie myśl sobie, że moja wizyta była czymś spontanicznym, nic z tych rzeczy. Próbowałem nawet medytacji, ale pod skórą czuję, że mój problem tkwi gdzieś... – Zawahał się. – Aż głupio powiedzieć, ale myślę, że mój problem sięga dzieciństwa. Dlatego pomyślałem o hipnozie.

Konrad ponownie odniósł wrażenie, że język ciała mężczyzny nie współgra z wypowiedzianymi przez niego słowami.

– Przyznam, że do tej pory nie zdarzyło mi się rozpocząć terapii od hipnozy – odparł. – To bardziej działka psychiatry, ale owszem, czasem ją stosuję, jako metodę pomocniczą. Jednak aby poddać się hipnozie, trzeba najpierw przejść wcześniejsze fazy terapii, przepracować pewne tematy, omówić pewne problemy. Dopiero potem można podjąć decyzję, czy rzeczywiście należy sięgnąć po to narzędzie. Nie zrozum mnie źle, ale proces naszej pracy to złożony mechanizm, którego nie da się ot tak poprzestawiać. Wszystko musi mieć swoją kolej i uzasadnienie, w przeciwnym razie będzie to jedynie wykonywanie oderwanych od rzeczywistości eksperymentów, niepowiązanych ze sobą w żaden sposób. Jako terapeuta biorę odpowiedzialność za przebieg leczenia. Nie można tego porównać do zakupu w sklepie, gdzie kupujący wybiera dokładnie to, czego chce.

Starął się wytłumaczyć to jak najprościej, choć miał ochotę wyśmiać rozmówcę. Facet przychodzi do niego z pomysłem na biznes i twierdzi, że chce się upewnić, czy nie poniesie przy tym porażki, po czym nagle pyta o hipnozę. Co mogło przynieść jej zastosowanie? Nie był to jednak pierwszy klient, który z miejsca

pytał właśnie o to. Hipnoza ostatnimi czasy stała się popularna, wykorzystywano ją nawet do walki z nałogami czy nadwagą. Ludzie uważali, że wystarczy poddać się takiemu zabiegowi, by raz na zawsze zaprzestać używek, podczas gdy w rzeczywistości w ich życiu nic nie ulegało zmianie. Umiejętne wplecenie elementów hipnozy do terapii mogło przynieść dobre rezultaty, ale tylko wtedy, kiedy stanowiło element szerszej pracy nad problemem.

– Rozumiem, że u ciebie nie działa zasada „klient nasz pan”? – Paweł w końcu odszedł od okna i przysiadł na fotelu, wciąż go jednak nosiło, czemu dawał upust stukaniem palcami o przeszkłony blat stolika. – Nie będę naciskał, w końcu ty tu jesteś fachowcem.

Konrad spojrział na zegarek. Teoretycznie powiedział już wszystko, co należało poruszyć na pierwszym spotkaniu zapoznawczym, pozostało jedynie zarzucić haczyk, by nowy klient został stałym klientem. Niestety, nie miał na podorzędziu sprawdzonego zagrania, po którym wszyscy zbierali szczęki z podłogi, więc musiał opierać się na własnej intuicji i podchodzić do każdego indywidualnie.

– Tak z ciekawości... – Usiadł naprzeciwko mężczyzny, podobnie do niego nachylając się nieco nad stolikiem. – Sprawdziłeś rynek parkingów prywatnych? Rozmawiałeś z właścicielami takich miejsc?

Paweł kolejny raz zmrużył oczy. Konrad wciąż wiedział zbyt mało, by wyrokować, ale miał wrażenie, że nawyk ten oznaczał zakłopotanie i – być może – kłamstwo.

– Jeszcze nie – odparł spokojnie klient. – Póki co biję się z myślami. Oczywiście, nim zrobię jakiś ruch, to wybadam sprawę,

nie jestem idiotą.

– To brzmi jak plan. Dobrze, jeśli na następne spotkanie przyszedłbyś bogatszy o takie informacje. To nic nie kosztuje, a łatwiej nam będzie o tym rozmawiać.

Haczyk został zarzucony. Teraz Paweł musiał tylko zadeklarować się, że wykona zadanie, co powinno w jego głowie stworzyć zobowiązanie. Klienci, którzy wypowiadali to na głos, częściej przychodzili na kolejną sesję. Po minie mężczyzny widać jednak było, że wcale nie podchodził do tego z entuzjazmem. Odchylił się mocno w fotelu i założył nogę na nogę, przybierając wycofaną pozę.

– Stoi – odparł wreszcie. – Skoro ja poszedłem na kompromis, to może da radę utargować jakąś małą zniżkę? Dwieście złotych to naprawdę sporo. Jeśli coś spuścisz, to zjawię się na początku przyszłego tygodnia z gotowym researchem. Co powiesz na drugi lipca? Na przykład o dziewiątej?

„Czyli facet nie jest jednak bogaczem, nieprzejmującym się, co inni myślą na temat jego przeciętnie wyglądającego stroju – pomyślał Konrad. – No, chyba że dorobił się fortuny na tego typu skąpstwie”. Terapeuta zazwyczaj nie udzielał upustów, z wyjątkiem płatności za dziesięć spotkań z góry. Paweł jednak, wysyłając sprzeczne sygnały, zaintrygował go dostatecznie, by zrobić dlań mały wyjątek.

Skinął głową.

– Dobrze, pierwsze dwa spotkania za sto pięćdziesiąt. Ale nie mów nikomu, bo będę miał kłopoty.

Paweł uśmiechnął się z zadowoleniem. Wyglądał, jakby chciał jeszcze o coś spytać, lecz ostatecznie jedynie uderzył mocno dłońmi

w podłokietniki. Razem z Konradem wstali niemal jednocześnie. Psycholog ruszył w kierunku drzwi, myśląc o jak najszybszym przewietrzeniu gabinetu z nieprzyjemnego zapachu mentolowych papierosów. W przyszłości będzie musiał pamiętać, by zachować co najmniej godzinę przerwy między spotkaniem z Pawłem a następnym klientem, by nie zmuszać pacjentów do duszenia się w nikotynowym smrodzie.

\* \* \*

Dochodziła dwunasta, gdy do gabinetu Konrada zawitał elegancko ubrany mężczyzna. Pomimo upalnego dnia miał na sobie czarny garnitur, z pewnością szyty na miarę u bardzo dobrego krawca, używającego wysokiej jakości materiałów, a ciemnobordowy krawat dobrze pasował do szarej koszuli. Mężczyzna wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat. Psycholog automatycznie przykleił mu łatkę syna milionera, choć równie dobrze mógł być przecieź młodym założycielem genialnego biznesu, o których czasem pisali w gazetach. Jeden trafiony pomysł i konta wzbogacały się o niebotyczną sumę, pozwalając ich właścicielom na życie z odsetek.

– Przepraszam, że bez zapowiedzi – powiedział, gdy Konrad otworzył mu drzwi. – Prokurator Łukasz Dębiński, prokuratura okręgowa w Bydgoszczy. Możemy porozmawiać?

Terapeuta wpuścił go bez słowa. Od razu przypomniał mu się dziennikarz z „Super Faktu” ze swymi pytaniami o Sylwię i Agatę. Tamtego mógł wyrzucić z gabinetu, ale prokurator to już inna bajka.

Weszli do środka. Konrad chciał zaprowadzić gościa do głównej części gabinetu i zaproponować kawę, jednak ten zatrzymał się

w korytarzu. Miał poważną minę, przez co człowiek od razu czuł się o coś oskarżony.

– W czym mogę pomóc? – spytał Konrad.

– Prowadzę dwa równoległe śledztwa w sprawie śmierci pana klientek. Istnieją solidne przesłanki, by sądzić, iż sprawy te są ze sobą powiązane.

– Tak, wiem, Sylwia Karczewska i Agata Płóć.

Prokurator wydawał się zaskoczony. Zmarszczył czoło, uważnie patrząc na rozmówcę, jakby w oczach zainstalowany miał wykrywacz kłamstw. Teraz Konrad dostrzegł, że jego stosunkowo młoda twarz w rzeczywistości naznaczona była wieloma przeżyciami.

– Był u mnie dziennikarz śledczy – sprostował szybko terapeuta. – Uznałem wtedy, że to jakaś absurdalna głupota, ale potem poczytałem o tych sprawach i szczerze mówiąc, jestem zszokowany. Oczywiście, jeśli mogę tylko jakoś pomóc, to jestem do dyspozycji.

– Nie wątpię. – Mężczyzna wyjął notatnik z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Pamięta pan nazwisko tego dziennikarza?

– Robert Kozłowski z „Super Faktu”. Wyjątkowo nieprzyjemny typ. Może jednak usiądziemy, głupio tak rozmawiać w progu – zaproponował Konrad.

Prokurator zapisał nazwisko. Przez chwilę rozglądał się po korytarzu, nie zawieszając na niczym oka, po czym przytaknął i wszedł w głąb gabinetu. Fachowym okiem omiół pomieszczenie, zatrzymując się dłużej przy obszernym biurku. Nie skomentował jednak secesyjnego mebla, tylko z pytającym spojrzeniem skinął w kierunku foteli.

– Tak, tak, proszę siadać. – Konrad wciąż czuł się zakłopotany wizytą kogoś z organów ścigania. Wcześniej co najwyżej rozmawiał z dzielnicowym, a i tak było to dobre dziesięć lat temu. – Zrobić panu kawy?

– Nie, dziękuję. I tak piję za dużo kofeiny. – Prokurator rozejrzał się po gabinecie, po czym skupił wzrok na terapeutce. – Przejdźmy do rzeczy. Z zebranych przez policję informacji wynika, że pani Agata Płóć widziała się z panem dziesiątego maja, dokładnie w dniu swojej śmierci. Może mi pan powiedzieć, czy zachowywała się wówczas nietypowo? Wspominała o jakichś problemach?

Z otwartym notesem czekał na odpowiedź. Nie wyglądał na osobę pochopnie rzucającą oskarżenia, co nieco uspokoiło Konrada. Ta sprawa nie mogła wyjść na światło dzienne, oznaczałoby to koniec działalności gabinetu. Kto chciałby pracować z człowiekiem powiązanim z brutalnymi morderstwami?

– To było normalne spotkanie – odparł psycholog. – Pracowaliśmy nad jej nieudanymi związkami z mężczyznami. Obwiniła się o brak seksapilu i kiepskie umiejętności łóżkowe. – Spojrzał uważnie na siedzącego obok mężczyznę. – Ufam, że pozostanie to między nami, gdyż domyśla się pan, jak ujawnienie tych informacji wpłynęłoby na moją reputację?

Dębiński pokiwał głową i zapisał coś w notesie.

– Stwierdziłem u niej dysfориę postkoitalną, czyli spadek nastroju po odbyciu stosunku. Często objawia się to płaczem, nawet w przypadku, gdy zbliżenie było satysfakcjonujące. –

Konrad spojrział na rozmówcę, oczekując jakiejś reakcji. Ten jednak niewzruszony wciąż notował. – Agata unikała współżycia,



czego konsekwencją stanowiły kolejne negatywne emocje i kompleksy. Niestety, w zasadzie nie prowadzi się badań w tym temacie, ale część specjalistów uważa, że zaburzenia te mogą być spowodowane traumatycznymi wspomnieniami z dzieciństwa.

– Chodzi panu o molestowanie? – Prokurator podniósł wzrok znad notatnika. – Proszę powiedzieć, czy dobrze zapisałem, dysforia postkoitalna, tak?

– Dokładnie. Profesor Schweitzer w swoich publikacjach twierdzi, że osoby te podświadomie traktują zbliżenie jako karę. Nie stworzono jeszcze profilu emocjonalnego kobiet dotkniętych tym zaburzeniem, więc za wiele nie jestem w stanie powiedzieć w tym temacie. Szacuje się, że średnio co trzecia kobieta w jakimś stopniu odczuwa mniejszy lub większy spadek nastroju po stosunku, nawet po doświadczeniu szczytowania.

Prokurator przestał pisać. Przez chwilę przyglądał się terapeutce, analizując otrzymane informacje. Dopisał jeszcze kilka słów, po czym odłożył notes na stolik, zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie fotela. Pod jego pachami widać było niewielkie plamy od potu.

– Może podkreśli klimatyzację? – spytał Konrad. Sam nie przepadał za powietrzem z instalacji, preferując otwieranie okien.

– Proszę kontynuować. W jaki sposób przebiegała terapia?

– Agata nie pamiętała żadnych traumatycznych wspomnień z dzieciństwa. Wręcz przeciwnie, ten okres kojarzyła z beztróską i częstym pobytem na wsi. Dwa razy nawet poddałem ją hipnozie, by poszukać wypartych wspomnień, jednak niczego nie znalazłem. Pracowaliśmy więc nad jej samoakceptacją. W dniu ostatniej wizyty dałem jej zadanie, by kupiła sobie seksowną bieliznę.

Niczego więcej sobie nie przypominam.

Tempo pisania Dębińskiego zasługiwało na uznanie. Konrad miał wrażenie, że prokurator notuje wszystkie jego słowa, rytmicznie przewracając kolejne strony niewielkiego notesu.

– O panią Karczewską nie pytam, jej mąż wszystko nagrywał telefonem, podobnie jak poprzednie indywidualne spotkania z panem – powiedział mężczyzna, ocierając czoło, na którym perliły się kropelki potu. – Jest jeszcze jedna sprawa, która nie daje mi spokoju. Również chodzi o pana klienta, Romana Brzyskiego. Przyznam szczerze, że gdyby nie zeznania pana Karczewskiego i to, co nagrał, byłby pan naszym głównym podejrzanym.

Te słowa zmroziły terapeutę. Nie zdążył nawet zdenerwować się na Jacka za potajemne nagrywanie spotkań, gdy storpedowała go informacja o byciu podejrzanym w śledztwie. Nerwowo przełknął ślinę, czując nieprzyjemny ciężar na żołądku. Nie pamiętał, kiedy ktoś doprowadził go do takiego stanu.

– Co się stało z Romanem? – spytał, odchrząknawszy. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że on też...

– To się stało dziesiątego kwietnia. Wszystko wskazywałoby na to, że od paru miesięcy ktoś regularnie, dziesiątego dnia miesiąca, morduje pana klientów w skrajnie brutalny sposób. Sęk w tym, że dysponujemy nagraniem z miejsca, gdzie umarł pan Brzyski, i tu dopiero zaczynają się schody. Początkowo myśleliśmy, że to żart, że morderca podrzucił nam sfingowany dowód, ale nasi technicy wykluczyli jakąkolwiek ingerencję. Widzi pan, Brzyski popełnił samobójstwo. Okaleczył się w sposób wykraczający poza ludzkie zdolności. Tak jak wspomniałem, gdyby nie pan Jacek Karczewski,

kazałbym pana zatrzymać do wyjaśnienia, gdyż stanowi pan jedyne powiązanie między tymi trzema niewyjaśnionymi zgonami. Podejrzewaliśmy, że być może manipuluje pan w jakiś sposób swoimi klientami, jednak sesje z udziałem pani Sylwii Karczewskiej przebiegały w sposób niewzbudzający podejrzeń. Czy w świetle nowych informacji chce pan coś jeszcze dodać?

Konrad nie wierzył własnym uszom. Pochylił się w stronę prokuratora, opierając łokcie na kolanach. Chciał coś powiedzieć, zaprzeczyć wszystkim podejrzeniom, ale język stanął mu w gardle.

– Panie Konradzie, wszystko w porządku? – Mężczyzna rzucił psychologowi uważne spojrzenie. – Nie muszę chyba wspominać, że każda informacja jest cenna, a brak współpracy potraktuję jako utrudnianie śledztwa.

Terapeuta wstał i podszedł do szafki. Nerwowo sięgnął po stojącą tam butelkę z wodą, przewracając trzy pozostałe, przekręcił nakrętkę i wypił kilka łyków.

– Pan coś sugeruje? – spytał, wytarłszy usta. – Co ja niby mogę mieć z tym wspólnego? To chyba ja powinienem oczekiwać przydzielenia ochrony. Jakiś szajbus morduje moich klientów! Skąd wiadomo, że nie rzuci się na mnie albo na moją żonę?

Prokurator wstał i założył marynarkę. Spokojnym krokiem podszedł do psychologa i stanął tuż przed nim.

– Panie Konradzie, proszę nigdzie nie wyjeżdżać – powiedział, patrząc mu prosto w oczy. – Proszę też nie rozmawiać z żadnymi dziennikarzami. Jeśli ktoś zjawi się w tej sprawie lub przypomni pan sobie o czymś, proszę do mnie zadzwonić. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął czarne skórzane etui ze stalowym wykończeniem, otworzył je i podał Konradowi wizytówkę. – Nasza

następna rozmowa odbędzie się w prokuraturze. Mam jednak nadzieję, że nie będzie to konieczne. Dziękuję za poświęcony mi czas. Jutro z samego rana stawi się u pana ktoś z policji, do tego czasu proszę przygotować wykaz wszystkich pana klientów z ostatniego roku, wraz z numerami kontaktowymi.

\* \* \*

Pożegnawszy prokuratora, Konrad spędził ponad godzinę na poszukiwaniu w Internecie wiadomości prasowych o swoich zamordowanych klientach. Artykułów było wiele, lecz potwierdzonych informacji praktycznie zero. Same ogólniki, gdzieś tam kilka oskarżeń pod adresem Jacka Karczewskiego i oczywiście sensacyjne historie spod pióra Kozłowskiego, które prócz domysłów i spekulacji nie prezentowały sobą niczego interesującego.

Terapeuta czuł, że musi z kimś porozmawiać. Wyrzucić z siebie obawy, zwymyślać zwyrodnialca znęcającego się nad niewinnymi ludźmi i przede wszystkim usłyszeć stanowcze zapewnienie, że jemu i Weronice nic nie grozi. Nie mógł porozmawiać z żoną, jej obecny stan przekreślał możliwość nawiązania jakiegokolwiek dialogu, nie mówiąc już o udzieleniu rad czy wsparcia.

Ostatecznie umówił się z Tymonem w parku Jana Kochanowskiego, gdzie o tej porze można było podziwiać pełnię lata w otoczeniu rodzimych dębów, buków i jaworów. Konrad na miejscu zjawił się kwadrans wcześniej, by wyciszyć umysł na parkowej ławce. Zajął swoje ulubione miejsce, naprzeciwko posągu *Łuczniczki*. Wykonana z brązu postać atletycznie zbudowanej kobiety, ubranej jedynie w rzymskie sandały, dzierżącej w dłoniach łuk z napiętą cięciwą, stanowiła wizytówkę miasta.

Zawiesiwszy wzrok na dziele niemieckiego rzeźbiarza Ferdinanda Lepckego, Konrad wrócił myślami do Weroniki. Czuł się jak skończony egoista. Zamiast wrócić do żony, wybrał spotkanie z przyjacielem. Tłumaczył sam sobie, że kilka godzin zwłoki nie pogorszy jej stanu, wręcz przeciwnie, odreagowawszy, będzie mógł na świeżo zająć się problemami Weroniki.

Szeroko rozłożył ramiona, opierając dłonie na dwóch końcach oparcia ławki, po czym zamknął powieki i odchylił głowę do tyłu. Jego uszu dobiegały stłumione odgłosy ulicy, które przy odrobinie wyobraźni mogły brzmieć jak szum morza. Wysoko w koronach drzew radośnie świergotały ptaki, a delikatny wiatr wprawiał w ruch gałęzie pokryte liśćmi. Idealne okoliczności, by oddać się medytacji. Niestety, po dłuższej chwili starań stwierdził, że w obecnym stanie nie potrafi wyłączyć myśli i emocji, toteż otworzył oczy i powrócił do rzeczywistości.

„W samą porę” – pomyślał, kątem oka widząc podchodzącego na palcach Tymona.

– Jesteś za gruby – radośnie rzucił Konrad, wstając z ławki. – Ziemia aż się pod tobą ugina.

– Po prostu usłyszałeś pełne zauroczenia westchnięcie damy siedzącej na tamtej ławce. – Przyjaciół wskazał przytulającą się niedaleko parkę. – Nawet z twoim niskim ilorazem inteligencji mogłeś wydedukować, że tylko twój jedyny przyjaciel ma w sobie wystarczająco seksapilu, by wzbudzić taką reakcję.

Miał na sobie krótkie dzinsowe spodnie i niezawodną koszulę w czerwono-czarną kratę. Konrad czasem zastanawiał się, ile identycznych zestawów ubrań trzymał w szafie jego przyjaciel. Na gładko ogolonej twarzy Tymona widniał uśmiech, zwiastujący

szalony pomysł. Pod tym względem nie zmienił się przez ostatnie dwadzieścia lat, odkąd po raz pierwszy się spotkali.

– Zakład o piwo, że dostanę od niej numer. – Podeszedł do Konrada i uściskał go, mocno okładając otwartą dłońią po plecach. – Jak będziesz miał szczęście, to naciągniesz jej gacha na kilka spotkań na pocieszenie złamanego serca.

Konrad z chęcią pociągnąłby temat, licytując się z przyjacielem, kto z nich miał lepsze branie, lecz przechwałki musiały poczekać na inną okazję. Z każdą upływającą sekundą czuł coraz większe wyrzuty sumienia względem Weroniki. Siłując się z myślami, w końcu wyjął telefon i wybrał jej numer.

– Daj mi sekundę – powiedział do Tymona, siadając z powrotem na drewnianej ławce. – Jak z nią nie pogadam, to zaraz zwariuję. Wstrzymaj się z komentarzami, nim... – Przerwał, słysząc charakterystyczny sygnał braku możliwości nawiązania połączenia. – Szlag by to! Ma wyłączony telefon.

Tymon usiadł obok i założył nogę na nogę. Flanelowa koszula opinała się na jego dużym brzuchu, czym mężczyzna zdawał się nie przejmować.

– Wera? – spytał, ze zrozumieniem kiwając głową. – Przypomnij mi, ostatnio nazwałeś mnie pantoflarzem, zgadza się?

– To coś innego. – Konrad raz jeszcze wybrał numer żony, ponownie bezskutecznie. Ze zmartwioną miną schował telefon z powrotem do kieszeni. – Ona zachowuje się jakoś dziwnie. Nie miałem czasu z nią pogadać, ale jestem w stu procentach pewien, że bierze jakieś silne leki. Błądzi gdzieś wzrokiem, nie słyszy, co się do niej mówi...

– To dlaczego tu jeszcze siedzimy? Dawaj, jedziemy do ciebie,

pogadamy po drodze.

W ustach przyjaciela brzmiało to jak coś oczywistego. Jedyne słuszne posunięcie, na które Konrad powinien zdecydować się od razu. Wizyta prokuratora musiała wytrącić go z równowagi bardziej, niż początkowo zakładał. Chcąc jak najszybciej naprawić swój błąd, wstał z ławki, kierując się w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu.

– Nie ma za co. – Tymon westchnął teatralnie i ruszył jego śladem. – Tylko ja prowadzę, bo w tym stanie nadziejesz nas na jakąś latarnię. Ty lepiej mów, o co chodzi z tym prokuratorem.

Konrad po drodze opowiedział mu wszystko. O trzeciej śmierci, o nagraniu wskazującym, że Roman Brzyski popełnił samobójstwo, o podejrzeniach prokuratora, o obawie o życie własne i Weroniki. Mówił przez kilkanaście minut. Tymon tylko słuchał, a na jego twarzy pojawiało się coraz więcej troski.

– Jakim to trzeba być skończonym skurwysynem – skwitował. – Tego, co to robi, z miejsca powinni skazać na śmierć. Przez powolne wykrwawienie. Nie wiem, może się do was wprowadzę na jakiś czas? Będę miał oko na Werę, no i zawsze raźniej w kupie.

Konrad uśmiechnął się blado, błędząc wzrokiem po mijanych samochodach. Z głową opartą o szybę prześcigał się w wymyślaniu kolejnych obelg pod własnym adresem. Był egoistą, skończonym dupkiem, lekkomyślnym idiotą narażającym bliskich na niebezpieczeństwo i żalonym teoretykiem udzielającym porad innym, podczas gdy sam nie potrafił pomóc własnej żonie.

– Daj spokój – odpowiedział. – Masz swoje sprawy. Musisz dbać o Ankę. Nie powtarzaj moich błędów, rodzina jest najważniejsza.

– Mówisz, że wszyscy troje zginęli dziesiątego dnia miesiąca? –

Tymon zjechał z głównej drogi, wjeżdżając na ulicę prowadzącą bezpośrednio do domu Konrada i Weroniki. – Który dzisiaj mamy? Dwudziesty piąty, co nie? To jeszcze sporo czasu, może coś ruszy się w ciągu dwóch tygodni. A może po prostu spakujcie walizki i wyjedźcie gdzieś na urlop? Taka małżeńska terapia pod palmami, przy okazji oddalicie się od tego sadystycznego pojeba.

Trudno było nie przyznać Tymonowi racji. Wyjazd dobrze by zrobił Weronice, lecz dla gabinetu Konrada oznaczało to gwałtowne przełożenie kilkudziesięciu spotkań, co nie dość, że znacząco odbiłoby się na rodzinnym budżecie, to niosło ryzyko stracenia kilku stałych klientów. Jednak czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Masz rację – skwitował krótko Konrad. – Zawsze chcieliśmy pojechać na norweskie fiordy, a kiedy to robić, jak nie w letnie miesiące. Niby prokurator straszył, żebym nigdzie nie wyjeżdżał, ale przecież nic mi nie zrobią.

– Nie kuś, bo pojedę razem z wami. Przyda mi się przerwa od wiecznych fochów Anki.

Dojechali na miejsce. Tymon nalegał, by zostawić samochód na podjeździe, gdyż, jak twierdził, i tak zaraz Konrad będzie musiał podwieźć go na mieszczący się kilkadziesiąt metrów dalej przystanek autobusowy. Terapeuta wiedział, że była to wierutna bzdura, gdyż jego przyjaciel od zawsze jeździł taksówkami. Problem leżał w ciasnym garażu, gdzie zmieścić się obok zaparkowanego opla corsy należącego do Weroniki było nie lada wyczynem, któremu kilka miesięcy wcześniej Tymon nie podołał.

Gdy podeszli do wejściowych drzwi, uwagę Konrada przykuły pozamykane rolety antywłamaniowe. Weronika zazwyczaj je



podnosiła, nie lubiąc ciemności w domu. Należało to do jej codziennej marszruty, bez wykonania której nie potrafiła się na niczym skupić. Pamiętał doskonale, jaką kiedyś zrobiła aferę, gdy on raz spuścił rolety, kiedy przebywali w domu, by słońce nie odbijało się od ekranu telewizora. Przyrównała go do wampira unikającego światła i neandertalczyka chowającego się w ciemnych jaskiniach. Wówczas jej słowa potraktował bardzo poważnie i wczuwając się w rolę dzikiego człowieka, przerzucił żonę przez plecy i zaniósł do sypialni.

Przekręciwszy klucz, Konrad nacisnął klamkę i popchnął. Nie spodziewał się żadnego oporu, toteż zaskoczyło go, gdy odbił się od wciąż zamkniętych drzwi. Zdziwiony, spojrział na przyjaciela, który jedynie wzruszył ramionami.

– Nigdy nie używamy drugiego zamka – stwierdził psycholog, szukając odpowiedniego klucza. – Mówiłem ci, Wera dziwnie się zachowuje.

Otworzył górny zamek. Drzwi jednak wciąż pozostały zamknięte, tym razem z powodu zaciągniętej zasuwki, o której istnieniu Konrad dawno już zapomniał.

– Co, do cholery – jęknął, podenerwowany. – Do własnego domu dostać się nie można?

Dwukrotnie nacisnął dzwonek, ledwo powstrzymując się od przytrzymania palca na guziku. Tymon czekał obok spokojnie. Po jego minie widać było, że na język ciśnie mu się złośliwy komentarz, lecz nic nie powiedział. Stali tak z minutę, aż Konrad z triumfalnym uśmiechem pomachał przyjacielowi przed nosem kluczykami od samochodu i ruszył w kierunku auta.

– Wejdziemy garażem – stwierdził, otwierając drzwi pojazdu

i wyjmując z jego wnętrza pilota. – Mam tylko nadzieję, że z Wera wszystko w porządku.

Brama otwierała się jakby wolniej niż zwykle. Zniecierpliwiony Konrad schylił się i przemknął pod blaszaną konstrukcją, niemal zahaczając o nią głową. Tymon, odczekawszy kilka dodatkowych sekund, ruszył za nim. Wspólnie udali się do pralni, gdzie prostym korytarzem doszli do pogrążonego w mroku salonu.

– Weronika! Gdzie jesteś? – krzyknął Konrad, włączając oświetlenie.

Był przerażony. Zajrzał do kuchni i łazienki, po czym wbiegł po schodach, z sercem łomocącym w klatce piersiowej. Miał nadzieję ujrzeć ją w sypialni, pogrążoną we śnie, nieświadomą wywołanego zamieszania. Tak się jednak nie stało. Na łóżku leżała jedynie rozrzucona pościel.

– Wera! – Z korytarza dobiegł go głos przyjaciela. – Ja pierdolę!

Konrad poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Przed oczami stanął mu obraz martwej Weroniki leżącej na podłodze w kałuży krwi, z podciętymi żyłami. Albo jeszcze gorzej, dopadł ją psychopatyczny morderca.

– Gdzie?! – ryknął, rozglądając się po korytarzu.

Dopiero po chwili dostrzegł światło dochodzące z jednego z nieużywanych pomieszczeń, kiedyś zaplanowanego na pokój dziecięcy. Te kilka metrów ciągnęło się w nieskończoność. Konrad miał wrażenie, że przejście korytarza zamiast sekund zajęło mu godzinę, jakby powietrze zgęstniało, a on brodził w gęstej mazi. W myślach modlił się, by Weronika jeszcze żyła.

Wbiegł do pokoju, po czym stanął w drzwiach jak wryty. Widok najpierw wywołał u niego wielką ulgę, która po chwili przerodziła

się w niepokój. Weronika stała odwrócona do niego plecami, z twarzą skierowaną ku ścianie, rytmicznie pocierając czołem o jasnoniebieską tapetę. Tymon stał obok, próbując delikatnie pociągnąć ją do siebie.

– Wera – jęknął Konrad.

Podszedł do żony. Dopiero teraz zauważył czerwoną smugę odznaczającą się na ścianie. Ślad był równy, przypominał pojedynczy ruch wałka malarskiego. Weronika nie odpowiedziała, wciąż przesuwając głowę w lewo i w prawo. Jej czoło stanowiło jedną wielką ranę, a na oczy i policzki spływała krew, barwiąc jasną bluzkę, pozostawiając na podłodze czerwone krople.

– Kochanie, coś ty sobie zrobiła?

Objął ją mocno i odciągnął od ściany. Kobieta cały czas poruszała głowę, nie zwracając na niego uwagi. Oczy miała otwarte, lecz jej spojrzenie było nieobecne, puste, jakby nieprzytomne. Jakby poddano ją hipnozie.

Konrad poczuł, że robi mu się zimno ze strachu. Ten klient, który przyszedł do niego nad ranem... Od początku wyglądał podejrzanie, a pytanie o hipnozę powinno zaalarmować terapeutę. Nie znał jego nazwiska, ale dysponował numerem telefonu, który mógłby dać prokuratorowi, żeby namierzyli tego zwyrodnialca. Ale skąd miał mieć pewność? Przecież nie obciąży kogoś na podstawie przecucia.

Przytrzymał głowę Weroniki, próbując ją unieruchomić. Z ust kobiety popłynął stłumiony jęk. Ciało miała zimne, a dłonie lekko drżały. Czuł jej przyspieszony oddech. Bóg jeden wie, do czego by doszło, gdyby przyjechał kilka godzin później.

– Już jestem, kochanie. – Pogładził ją po włosach, ostrożnie, by

nie dotknąć krwawiącej rany. – Wszystko będzie dobrze. Kocham cię, kocham cię bardzo.

Kątem oka widział wystraszzonego Tymona. Konrad będzie musiał opowiedzieć mu o nowym kliencie. Razem postanowią, co dalej. Najważniejsze, że Weronika była już bezpieczna.

## Rozdział V

Przez godzinę nie mogła zdecydować się na odpowiednią sukienkę. Czuła się z tym idiotycznie, jak stereotypowa kobieta stojąca przed szafą pełną ubrań i twierdząca, że nie ma czego na siebie włożyć. Było w tym trochę prawdy, lecz winą leżała nie po stronie zbyt małego wyboru, co zbyt dużej ilości przybranego w ostatnich miesiącach ciała.

Ostatecznie wcisnęła się w czarną kreację z delikatnie wyciętym dekoltem. Z resztą garderoby poszło już gładko – długie srebrne kolczyki, bransoletka z naturalnych pereł, szal pasujący kolorem do sukni, no i główna atrakcja, czyli kipiące seksapilem czerwone szpilki, których nie powstydziliby się żadna kobieta.

Dopiero w taksówce naszała ją myśl, że przesadziła. A co, jeśli Paweł przyjdzie ubrany w dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem? Nie, to niemożliwe, przecież zamówił stolik we włoskiej restauracji, gdzie ceny za pojedyncze danie wynosiły od osiemdziesięciu złotych wzwyż. Musiała się uspokoić, nie wyobrazać sobie za dużo, nie pokładać wielkich nadziei w pierwszej randce. Przecież w ogóle go nie znała!

Spojrzała przez okno na mijane budynki. W ostrym świetle popołudniowego słońca kolory wydawały się wyblakłe, jakby gorąc wysysał wszystkie barwy. W samochodzie panowała jednak zupełnie inna temperatura. Elżbieta zadrzała, ściślej owijając się szalem, i zerknęła na deskę rozdzielczą, gdzie pośród różnych wskaźników widniała temperatura wewnątrz pojazdu.

„Dwadzieścia jeden stopni, akurat” – pomyślała. Instalacja najwyraźniej była zepsuta, gdyż powietrze z niej lecące oscyloowało w granicach zera.

– Może pan skrócić tę klimatyzację? – poleciła taksówkarzowi wiozącemu ją do centrum. Nie chciała jechać swoim samochodem, żeby móc napić się dobrego wina. Zresztą nie potrafiła prowadzić w butach na takim obcasie.

Mężczyzna warknął coś pod nosem, po czym wyłączył chłodzenie i szeroko otworzył okno po swojej stronie. Na zewnątrz panowała wysoka temperatura, ale do środka samochodu wpadało wyjątkowo chłodne powietrze. Fryzjerka nie chciała być nieuprzejma, ale tym razem nie miała wyboru. Nie dość, że ostatnio stała się wrażliwsza na niskie temperatury, to najwyraźniej trafiła na wielbiciela polarnych klimatów.

– Proszę to zamknąć – niemal krzyknęła, kładąc dłoń na oparciu kierowcy. – Chociaż do połowy, bo zaraz mnie tu zdmuchnie.

Taksówkarz spojrział w lusterko wsteczne, mierząc ją nieprzyjemnym wzrokiem. Jego okrągła twarz poczerwieniała ze złości. Nerwowo pogładził się po nieogolonej twarzy.

– Przecież jest gorąco jak w piekle – odparł z niezadowoleniem, podnosząc jednak szybę. – Radio też pani przeszkadza?

„Szczерze mówiąc, tak” – cisnęło jej się na język, ale postanowiła już nic nie mówić. Skoczne przyśpiewki, których autorów nie знаła, może i były energetyczne, ale jeszcze kilka minut takiego dudnienia i dopadną ją bóle głowy. Nie chciała jednak wyjść na zrzędę – o ile jeszcze na takową nie wyszła.

Czuła tremę. Powtarzała sobie, że to głupie, że jest za stara na

takie zachowanie, próbowała nawet jednego z ćwiczeń Konrada, lecz wszystko było nieskuteczne. Zawsze wierzyła w przeznaczenie, a jak inaczej nazwać spotkanie z Pawłem? To nie mógł być przypadek, że zarysował akurat jej samochód. Za tym musiało kryć się coś więcej.

Unikała wzroku taksówkarza, który co rusz zerkał w lusterko. Z jego obślizgłego uśmiešku wyczytać można było brudne myśli. Krępowało ją to, ale z drugiej strony świadczyło, że wyglądała całkiem atrakcyjnie.

– I co się pan tak gapisz? – spytała, niesiona tą myślą. Jeśli miała zaimponować Pawłowi, to trzeba było na kimś poćwiczyć. – Patrz pan przed siebie, bo jeszcze wypadek spowodujesz.

O ile wcześniej mężczyzna poczerwieniał na twarzy, tak teraz jego głowa wyglądała jak planeta Mars. Nic nie odpowiedział, jedynie zgłośił radio i mocniej wcisnął pedał gazu. Elżbieta uśmiechnęła się do siebie, przynajmniej na chwilę oddalając myśli od spotkania z Pawłem.

\* \* \*

Czekał na nią przy stoliku. Odetchnęła z ulgą, widząc go w czarnym garniturze. Postawił na tradycję, dobierając do stroju białą koszulę i błękitny krawat. Gdy tylko dostrzegł Elżbietę, wstał i odsunął jej krzesło. Kiedy przysuwał je ponownie, wciągnęła w nozdrza przyjemny zapach męskich perfum. Pachniał inaczej niż w dniu ich pierwszego spotkania, ewidentnie jemu również zależało na odpowiednim wrażeniu.

Wystarczyło rzucić okiem na wystrój restauracji, by zrozumieć, skąd tak wygórowane ceny. Lśniący drewniany parkiet, ogromny żyrandol w centralnym punkcie sali, biały fortepian, przy którym

do gry zasiadał właśnie starszy mężczyzna w czarnym smokingu, złote kinkiety, piękna dekoracja stołów, jednym słowem luksus. Nawet kelnerzy ubrani byli w garnitury wykonane z wysokiej jakości materiałów, być może nawet droższe od stroju Pawła.

– Pięknie wyglądasz – powiedział mężczyzna.

Elżbieta zarumieniła się lekko i podziękowała uśmiechem. Zdał pierwszy egzamin. Spróbowałby tylko powiedzieć coś innego.

Paweł wciąż na nią patrzył, kiedy podniosła spojrzenie. Uśmiechnął się szarmancko. Wyglądał na spokojnego i mającego wszystko pod kontrolą, co odpowiadało Elżbiecie.

– Muszę ci się przyznać, że nieczęsto bywam w takich miejscach, stąd wybaczone, jeśli podniosę niewłaściwy widelec – zażartował.

Na przystawkę zamówili carpaccio z rukolą i grzybami oraz małże w białym winie. Fryzjerka, pamiętając o żelaznej zasadzie unikania na pierwszej randce makaronów i potraw z roztopionym serem, by nie ubrudzić się jedzeniem, na danie główne wybrała eskalopki cielęce z prawdziwkami. Paweł zdecydował się na grillowanego łososa. Dodatkowo zamówili butelkę czerwonego wina, choć kelner do ryby sugerował inny wybór.

– Kto by się tym przejmował – skwitował Paweł, gdy mężczyzna oddalił się w stronę kuchni. – Moim zdaniem dobre wino powinno pasować do wszystkiego. Zresztą słyszałem, że według koneserów nie obowiązuje już takie rygorystyczne trzymanie się tych dziwnych wytycznych, że czerwone do mięs, białe do ryb i owoców morza. A co, jeśli ktoś ma ochotę na pangę, a nie lubi białego wina?

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Niekontrolowana reakcja



przykuła uwagę gości siedzących przy sąsiednich stolikach. Elżbieta czuła, jak się rumieni, ale postanowiła o tym nie myśleć.

– No to teraz każde z nas popełniło faux pas. – By zająć czymś dłonie, wzięła serwetkę i rozłożyła ją na udach. – Jak tak dalej pójdzie, to nas stąd wyproszą.

– Jak znam życie, to i tak po wszystkim skoczymy jeszcze do jakiejś normalnej knajpy, żeby się najeść.

Z wysiłkiem powstrzymała kolejny wybuch śmiechu. Nie rozumiała własnego zachowania. Nigdy tak nie rechotała, zazwyczaj albo nie rozumiała żartów, albo uznawała je za prymitywne. Nie miała w zwyczaju zachowywać się jak rozchichotana nastolatka!

– Skoro nasz czas w tym miejscu jest policzony, to powiedz mi coś o sobie. – Paweł oparł się łokciami o stół i nachylił w jej kierunku. Ela zauważyła, że mankiety jego koszuli zdobiły złote spinki z ciemnoczerwonym kamieniem. – Ostatnio nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać, a i tak zaintrygowałaś mnie swoim spokojem. Jeśli ktoś przerysowałby mój samochód, to boję się, że nie zachowałbym tyle klasy.

– Byłam akurat po sesji z terapeutą. – Wypowiedziawszy te słowa, kobieta zdała sobie sprawę, że nie planowała wspominać o tym aspekcie swojego życia. Nerwowo poprawiła się na krześle. –

No i się wygadałam. To nie tak jak myślisz, to żaden psychiatra czy coś, ja po prostu...

– Sam też to rozważałem – Paweł wszedł jej w słowo. – Do tej pory jakoś nie miałem w sobie odwagi, by otworzyć się przed kimś obcym.

Kelner w samą porę przyniósł przystawki. Na środku stołu

ustawił miskę z małżami, obok niego talerz z carpaccio. Przy gościach położył małe miseczki z wodą oraz dodatkowe serwetki, po czym skierował pytający wzrok na Pawła.

– Dziękujemy – mężczyzna odparł z poważną miną. – To ci dopiero heca, czerwone wino do dania w białym winie, słyszał pan kiedyś o takim procederze?

– Przestań. – Elżbieta odruchowo klepnęła go w dłoń, jak zwykła uspokajać Radka. – Dziękujemy panu.

Cofnęła rękę. Chciała skomentować zachowanie Pawła, powiedzieć, że krytykowanie kelnera, nim ten poda posiłek, mogło poskutkować dodatkowym składnikiem dodanym w ostatniej chwili, ale nagle poczuła na łopatkach nieprzyjemny powiew zimnego powietrza. Nie był to efekt przeciągu czy klimatyzacji. Miała wrażenie, jakby zanurzyła plecy w komorze kriogenicznej. Odwróciła się w poszukiwaniu źródła mroźnego powietrza, ale za sobą zauważyła jedynie kolejny stolik. Siedzące przy nim kobiety ubrane były w sięgające kolan sukienki, mimo to nie wyglądały na zziębnięte.

– Wszystko w porządku? – spytał Paweł, biorąc w dłoń otwartą małżę i próbując wyskrobać jej wnętrze widelczykiem. – Wyglądasz jakoś dziwnie.

– To miał być komplement? – zażartowała.

W rzeczywistości nie było jej wcale do śmiechu, chłód owiewający plecy coraz bardziej ją irytował. Poczucia gęsią skórę na przedramionach. Przypomniała sobie widzianą niedawno w telewizji reklamę, w której oddech aktora po spożyciu gumy do żucia zmieniał się w mroźny podmuch, zamrażający wszystko w okolicy. Wzdrygnęła się i dłonią dotknęła zimnej skóry ramienia,

lecz nie poczuła żadnego ruchu powietrza.

– Przepraszam – westchnęła. – To głupie, ale strasznie mi zimno. Możesz pożyczyć mi marynarkę?

Paweł otworzył szerzej oczy. Patrzył na nią z niedowierzaniem, jakby poprosiła go o klepnięcie kelnera w pośladki. Dopiero po chwili zreflektował się, opłukał w miseczce brudne od małży dłonie, wytarł je w serwetkę i wstał z krzesła. Zdejmując marynarkę, obszedł stół i nałożył ją na plecy swej towarzyszki.

– Źle się czujesz? – spytał. – Tu jest naprawdę ciepło. Dawno zdjąłbym marynarkę i podciągnął rękawy koszuli, gdyby nie twoja obecność i te wszystkie naburmuszone miny pozostałych klientów. Może złapałaś jakiegoś wirusa?

– Jest dobrze – odparła, opatulając się marynarką, wciąż ciepłą od jego ciała. – Od kilku dni mam takie dziwne fale zimna. Przepraszam, wszystko zepsułam.

Najchętniej wróciłaby do domu, włożyła najgrubszy sweter i schowała się pod pierzynę. Być może tak właśnie by zrobiła, gdyby nie zachowanie Pawła, mężczyzna bowiem przykucnął i objął ją ramieniem. To było niestosowne, zakazane na pierwszej randce. Ingerowało w jej strefę intymną, ale... było cholernie przyjemne, na dodatek poczucie chłodu zelżało. Wciąż czuła, jakby krzesło wyrzeźbiono z bryły lodu, ale teraz przynajmniej chłód nie przenikał do kości.

– To teraz ja przepraszam – powiedział uśmiechnięty, po czym wyprostował się i wrócił na swoje miejsce. – Mamy remis, dwa do dwóch w strzelaniu gaf. Proponuję na tym etapie zawiesić rywalizację i skupić się na przyjemnościach.

Był naprawdę uroczy. Elżbieta straciła apetyt, ale wzięła do

ręki małżę i zaczęła wydłubywać jadalną część. Drobnny kawałek mięsa zawzięcie uciekał spod jej widelca, co rusz wyslizgując się w ostatniej chwili. Fryzjerka najchętniej chwyciłaby go palcami, lecz nie chciała wyjść na ignorantkę.

– Wracając do tematu terapii... – Paweł, trzymając w dłoni kieliszek, oparł się łokciem na stole. – Jeśli to nie jest żaden sekret, możesz uchylić mi rąbka tajemnicy? Od dawna łamię się, czy nie spróbować, ale jakoś brakuje mi odwagi. Może polecisz mi kogoś?

Elżbiecie wreszcie udało się rozprawić z niesforną małżą. Pewnie była pyszna, co zresztą sugerowała cena, ale kobieta i tak wcale nie czuła smaku. Po uldze spowodowanej miłym gestem Pawła nie pozostał już ślad, a wzdłuż jej kręgosłupa zaczął wspinać się chłód. Lepkie, lodowate macki sunęły po skórze coraz wyżej, zajmując już prawie całe plecy. Niewidzialny płaszcz z kryształków lodu objął ramiona, odbierając w nich czucie. Miało to swoje dobre strony – ustąpiło szczypanie skóry i rozsadzający ból w kościach, jakby te zamarzły i zaraz miały wybuchnąć jak butelka z wodą włożona do zamrażarki. Czuła się niczym lodowa rzeźba, tak łudzaco przypominająca prawdziwego człowieka, że każdy chce sobie zrobić z nią zdjęcie.

Spojrzała na swoje pokryte szronem ciało i błyszczącą skórę, wyglądającą jak obsypana brokatem. Naprzeciwko siedział jakiś mężczyzna. Nie знаła go, patrzył na nią dziwnym wzrokiem, pewnie też chciał sobie pstryknąć fotkę. Z jego ust wydobywał się niezrozumiały bełkot. Zignorowała go. Wszystkie dźwięki otoczenia powoli cichły, ustępując miejsca delikatnemu brzęczeniu dzwonek. Odchyliła głowę do tyłu, słysząc przy tym ciche

pęknięcia zamarznętej skóry, pokrytej lodem jak cienkim pancerzem. Dzwonienie przybierało na sile, zbliżało się do niej, zapraszało do siebie.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko szarpnął ją za ramię. Szybko poruszał ustami, jakby coś krzyczał, lecz z jego ust nie wydobywały się żadne dźwięki. Patrzył na nią przerażonymi oczami, chciał wszystko zepsuć. Niedoczekanie. Wstała, przewracając krzesło. Czuła się doskonale, z łatwością mogłaby skrócić kark temu idiotcie albo wydłubać mu ciekawskie ślepia, żeby już tak się w nikogo nie wgapiał. Nie miała jednak na to czasu, dzwonki były tuż obok. Wyczuwała ich zapach, słodką woń rozkładającego się ciała, starej powłoki, którą czas było wymienić. To właśnie Eli przypadł ten zaszczyt.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę wyjścia. Ktoś próbował zajść jej drogę, ale był zbyt wolny i niezdecydowany. Cholerne buty na obcasie utrudniały bieg, więc zatrzymała się, zdjęła je i cisnęła szpilkami w pokrzykującego coś mężczyznę. Ktoś zaatakował ją z boku, jakiś kolejny idiota, niemający pojęcia, co robi. Straciła równowagę. Dzwonienie było już na wyciągnięcie ręki, podczas gdy jakieś cielsko przyciskało ją do podłogi.

– Puść mnie, skurwysynu! – ryknęła.

Z jej ust wyfrunęła biała chmurka, szron, tworząc ostre igły, które poleciały w kierunku bezmyślnego śmiałka. Zanurzyły się w jego szyi, pozostawiając czerwoną otoczkę na skórze. Poczowała smak żelaza w ustach. Mężczyzna zmarł w bezruchu, a ona patrzyła, jak biały nalot przenika przez skórę i dostaje się do krwiobiegu. Nie czuł bólu, gdy jego krew zamarzła, choć zasłużył na śmierć w męczarniach.

Odrzuciła bezwładne ciało. Nad nią stało dwóch kolejnych samobójców. Za chwilę ich żony będą płakać po stracie małżonków, a dzieci dopytywać, kiedy wróci ich kochany tatuś. Nikt nie będzie rozumiał, co się stało, eksperci naukowci prześcigać się będą w kolejnych teoriach, lecz ich ograniczone umysły nie dadzą rady pojąć...

Dzwonki nagle ucichły. Chciała wstać, pobiec do nich, przeprosić za zwłokę, na kolanach błagać o wybaczenie, zerwać skórę z twarzy i złożyć ją w ofierze. Wszystko na próżno.



Oślepiające światło nie pozwalało podnieść powiek, jakby ktoś świecił latarką prosto w jej oczy. Na całym ciele czuła mrowienie, a w tle słyszała rytmiczny szum dominujący nad innymi dźwiękami, których nie potrafiła rozpoznać. Miała wrażenie, że znajduje się we wnętrzu olbrzymiej maszyny, tuż obok mechanicznego serca. Jak przez mgłę pamiętała kolację z Pawłem, śmiali się, żartowali, było dokładnie tak, jak zaplanowała. Coś jednak się wydarzyło, coś, co doprowadziło ją do tego stanu.

– Chyba się ocknęła. – Dobiegł ją męski głos. Rozpoznała go. – Ela, słyszysz mnie?

Poczuła czyjaś dłoń na swojej twarzy. Była przyjemnie ciepła. Kobieta mogłaby ułożyć się na niej niczym na puchowej poduszce i z miejsca zasnąć. Była tak potwornie zmęczona.

– Ela, błagam cię, powiedz coś. – Głos nie dawał za wygraną, jakby nie rozumiał, jak bardzo potrzebowała odpoczynku. Zaraz mu odpowie, pięć minut drzemki i odpowie na wszystkie pytania. – Gdzie ta cholerna karetka?

– Trzeba było od razu wezwać policję – odpowiedział inny,

wyższy, bardziej piskliwy głos. Jego właściciel brzmiał jakby był podenerwowany. – Macie natychmiast się stąd wynosić!

– Zamknij się, człowieku!

Elżbieta zacisnęła powieki w grymasie bólu. Stopniowo dochodziło do niej więcej zewnętrznych bodźców. Leżała na czymś twardym, najpewniej na podłodze, nad nią stał Paweł i jakiś rozgorączkowany mężczyzna. Musiała przewyciężyć zmęczenie i otworzyć oczy. Ale jeszcze chwila, jeszcze momencik...

– Gdzie ja jestem? – stęknęła, mrużąc oczy.

Świat był zamazany, jak na fotografii wykonanej w ruchu. Wszystko wyglądało nieostro, płynnie. Mimo to dostrzegła sylwetkę Pawła. Kucał tuż obok niej z trzymaną w rękach marynarką. Przypomniała sobie, że pożyczyła ją od niego, było wówczas tak zimno, tak przerażająco zimno. Miała wrażenie, że jej kości zamarzły od środka. A potem usłyszała dzwonki, mnóstwo dzwonek. Wzywały ją, obiecywały ukojenie.

– Ela, dzięki Bogu, możesz wstać? – W głosie Pawła słychać było prawdziwą troskę.

– Macie pięć minut albo wzywam policję. – Ten drugi brzmiał nieprzyjemnie. Widziała zarysy jego sylwetki, jak stał oparty o framugę drzwi.

Próbowała go nie słuchać. Musiała skoncentrować się na zebraniu sił, na podniesieniu się z podłogi i powrocie do rzeczywistości. Świat powoli odzyskiwał normalne barwy. Dostrzegła dwie ogromne lodówki, źródło hałasu, który przed chwilą tak ją niepokoił. Znajdowali się w jakiejś spizarni, w powietrzu czuć było zapach przypraw.

– Co się stało? – spytała, opierając się plecami o ścianę. –

Straciłam przytomność?

– A żeby tylko! – nieznajomy krzyknął i uderzył otwartą dłoń w ścianę. – Pani ma czelność pytać, co się stało? To ja się pytam, co się, do cholery, stało? Co to miało być? Żeby rzucać się na kelnera i gryźć po szyi? Pani jest naćpana czy jak?

– Zamknij się, idioto! – Paweł spojrział w jego kierunku. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał wstać i uderzyć mężczyznę, lecz ostatecznie wrócił spojrzeniem do Elżbiety. – Ale mnie przestraszyłaś. Spokojnie, nie ruszaj się, zaraz powinno przyjechać pogotowie.

Kobieta oparła dłoń o ścianę i z głośnym jęknięciem podniosła się z ziemi. Paweł chwycił ją pod ramię, asekurując, by nie upadła. Była mu za to wdzięczna, choć najpewniej sama dałaby sobie radę. W zasadzie czuła się już zaskakująco dobrze, jakby obudziła się z relaksującej drzemki. Wciąż była lekko oszołomiona, lecz po wcześniejszym wyczerpaniu nie pozostało ani śladu.

– Gdzie moje buty? – spytała, rozglądając się po pomieszczeniu. Na wyłożonej płytkami podłodze stało pełno kartonowych opakowań, spiętrzonych aż po sufit. Obok ogromnej lodówki ustawione były dwie kolejne, znacznie mniejsze chłodziarki. – Mówi pan, że kogoś... pogryzłam?

Dopiero teraz poczuła metaliczny smak w ustach. Podniosła dłoń do warg. Niczego nie pamiętała, i to właśnie przerażało ją najbardziej. To nie był pierwszy raz, kiedy zachowywała się dziwnie. W głowie wciąż miała scenę z suszarką, ale tym razem doszło do czegoś poważniejszego. Poszła na randkę, zamówiła jedzenie, po czym nagle obudziła się na zapleczu restauracji, której właściciel groził jej policją za pogryzienie kelnera. To już nie



mieściło się w ramach dziwnego zachowania. Coś zdecydowanie było nie tak.

Paweł wyciągnął rękę, w której trzymał jej szpilki, obrzucając ją jednocześnie dziwnym spojrzeniem. Nie była pewna, co się za nim kryło. Strach, obrzydzenie, drwina? Pewnie wziął ją za wariatkę. Co gorsza, pewnie miał rację. Będzie musiała porozmawiać o tym z Konradem, lecz gdzieś w środku wiedziała, że zapewne skończy się to otrzymaniem od niego namiaru do psychiatry. Po raz pierwszy od dawna poczuła, że się boi.

Bez słowa wzięła szpilki i wsunęła je na nogi, podtrzymywana przez Pawła. Unikała patrzenia mu w oczy, nie czuła się także na siłach, by rozmawiać o tym, co zaszło. Sama przecież nie wiedziała, co się stało. Ze schyloną głową ruszyła w kierunku tylnego wyjścia, który wskazał im właściciel lokalu, odprowadzający ich gniewnym spojrzeniem.

Zatrzymała się, kiedy usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi, i cicho westchnęła.

– Wszystko w porządku? Spokojnie, zaraz przyjedzie pogotowie – odezwał się Paweł zaniepokojonym głosem. – Napiszę o nich... to znaczy skargę do nich napiszę. Nie można tego tak po prostu zostawić, żeby osobę w takim stanie wyrzucać z lokalu.

– Dobrze się czuję, nie chcę jechać do żadnego szpitala. – Ela położyła dłoń na ramieniu mężczyzny. – Raz jeszcze przepraszam, że byłeś tego świadkiem. Teraz już wiesz, dlaczego chodzę do terapeuty.

Przymknęła powieki i zbliżyła ku niemu twarz, inicjując pocałunek. Niesiona spontanicznym impulsem przejęła inicjatywę, chcąc w ten sposób wymazać wcześniejsze wrażenie. Poczuła jego

dłoń na swojej twarzy. Być może wieczór nie był jeszcze skazany na porażkę.

– Nie powinniśmy. – Mężczyzna odsunął głowę w bok, unikając jej ust. – Przepraszam, nie jestem jeszcze na to gotowy.

Gorzej być nie mogło. Zgarnęła całą pulę idiotycznych zachowań, wychodząc na nieźrównoważoną psychicznie, groźną dla otoczenia i na dodatek puszczalską. Jeśli los specjalnie sprawił, że Paweł porysował jej samochód, to chyba tylko po to, by udowodnić Elżbiecie, jaka była beznadziejna, i dać jasny sygnał, że resztę życia spędzi w samotności.

W tle słychać było syrenę pogotowia. Kobieta spuściła wzrok i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Najchętniej pobiegłaby sprintem, by jak najszybciej zostawić wydarzenia tego wieczoru za sobą, jednak wysokie obcasy na to nie pozwalały.

– Ela, zaczekaj! – Mężczyzna ruszył za nią. – Pozwól się chociaż odwieźć do domu. Postój taksówek jest w drugą stronę.

Łzy same napływały jej do oczu. Resztką silnej woli zatrzymała je pod powiekami, lecz nie wiedziała, jak długo wytrzyma. Który to już raz zrobiła z siebie idiotkę? Wszystko było jej już obojętne, byle tylko zaszyć się w mieszkaniu i schować pod kołdrę.

\* \* \*

Połowę trasy taksówką pokonali w milczeniu. Po ruchach Pawła widać było, że walczy z sobą, że chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć. Jeśli zamierzał rzucić jakieś standardowe pocieszenie, to mógł sobie darować. Elżbieta nie miała ochoty wysłuchiwać, że to nie jej wina, że to on musi najpierw uporządkować własne życie, nim zdecyduje się na tak poważny krok, jak nowy związek. Lepiej niech powie wprost, że nie chce się

wiązać z niezrównoważoną kobietą, która zamiast wykwintnej kolacji wolała pogryźć Bogu ducha winnego kelnera.

– Wiem, że to nie jest odpowiednia chwila, ale muszę ci coś powiedzieć – zaczął wreszcie Paweł, spoglądając to na nią, to przed siebie, jakby upewniając się, że kierowca ich nie podsłuchuje. – Chodzi o tę terapię.

– Nie teraz, proszę. – Wbiła wzrok w widoczne na niebie obłoki. Chciałaby zamienić się z nimi miejscami, po prostu płynąć i nie musieć się o nic martwić. Nie być zmuszoną powstrzymywać łez.

Położył dłoń na jej kolanie. Co miał znaczyć ten gest? Przecież dopiero co dał jej kosza. Zreflektował się i cofnął rękę.

– To ważne, wysłuchaj mnie chociaż. Tak jak ci mówiłem, sam rozważałem skorzystanie z usług terapeuty. Mam mnóstwo swoich problemów, kiedyś na pewno ci o nich opowiem.

Czyli będzie jakieś kiedyś. Elżbieta odwróciła ku niemu wzrok pełen nadziei. Momentalnie zgaśniła się za naiwne myśli. Zbyt łatwo ulegała emocjom, koniecznie będzie musiała omówić to z Konradem, o ile wystarczy jej czasu po opowieści o zajściu w restauracji.

– Mam kolegę, w zasadzie to przyjaciela – kontynuował Paweł, co rusz zerkając na kierowcę. – Jest dziennikarzem i akurat opisuje temat klientów jednego z bydgoskich psychologów. Mówię ci o tym, bo ten facet, naprawdę podejrzany typ, akurat ma gabinet w biurowcu, obok którego cię po raz pierwszy spotkałem. Mam nadzieję, że to nie do niego chodzisz. Nazywa się Małecki.

– I co z nim? – Poczowała, jak przyspiesza jej serce. – Tak się akurat składa, że to mój terapeuta.

Paweł skrył twarz w dłoniach. Wyglądał na bardzo przejętego.

– Zerwij z nim kontakt – rzucił wreszcie z poważną miną. – Ten człowiek wkrótce trafi za kratki. Nie powinienem ci tego mówić, ale on manipuluje swoimi pacjentami, wprowadza ich w stan hipnozy i... – Ponownie położył dłoń na jej kolanie. – Ela, to nie są żarty. Troje jego pacjentów zginęło w brutalny sposób. On jakoś przejmuje nad nimi kontrolę. Wiem, jak idiotycznie to brzmi, ale nie ostrzegałbym cię, jeśli nie miałbym stuprocentowej pewności. Twoje zachowanie dzisiaj... Boję się, że ciebie również w to wciągnął.

Kobieta patrzyła na Pawła z niedowierzaniem. Jego słowa brzmiały tak absurdalnie, że nie wiedziała, czy mężczyzna po prostu nie żartował, aczkolwiek w bardzo nietrafiony sposób. Wyglądał jednak na poważnego.

– Słyszałaś pewnie o żonie projektanta mody, znalezionej ze zmasakrowaną twarzą – ciągnął dalej. – Chodziła do niego, podobnie jak dwoje innych, którzy zginęli w podobnie makabryczny sposób.

– Słyszałem o tej babce – do rozmowy wtrącił się kierowca. – Aż strach po zmroku wyjść z domu. Żonie to w ogóle powiedziałem, żeby nikomu nie otwierała, takie czasy.

Kobieta nie słuchała taksówkarza. Słowa Pawła huczały jej w głowie. A co, jeśli miał rację? Co, jeśli padła ofiarą człowieka, któremu ufała, któremu powierzyła wszystkie swoje sekrety? Otworzyła się przed nim jak przed nikim innym, stając się przy tym podatną na jego wpływy. Co więcej, na ostatniej sesji sama poprosiła o hipnozę. Czy możliwe, żeby wówczas nakazał jej odstawić ten cyrk w restauracji? Nie chciała w to uwierzyć, jednak nie potrafiła znaleźć innego wytłumaczenia tego, co się stało.

## Rozdział VI

Do domu wrócił po dwudziestej trzeciej. Pomimo zmęczenia nie wyobrażał sobie, że będzie w stanie zasnąć, wciąż mając przed oczami widok Elżbiety pogrążonej w hipnotycznym transie. Nie żywił najmniejszych wątpliwości, że była to robota Małeckiego, który pewnie obserwował wszystko z ukrycia. Paweł był wściekły na siebie, że przed wyjściem nie sprawdził wszystkich klientów restauracji, pozwalając tym samym psychopatycznemu terapeutce ulotnić się i tracąc jakikolwiek dowód do przedstawienia policji.

Czas działał na niekorzyść dziennikarza. Mężczyzna najchętniej od razu zadzwoniłby do Roberta i opowiedział mu o wszystkim w nadziei, że ten uzyskał nowe informacje. Sam w zanadrzu miał asa w rękawie, jednak by zeń skorzystać, potrzebował pomocy Dawida.

Leżąca obok Baśka słodko spała, nieświadoma podwójnej gry swego męża, który potajemnie zdejmował obrączkę i zaklejał palec plastrem, kamuflując nieopalony ślad na palcu, by kokietować inną kobietę. Jej szok po odkryciu prawdy byłby tym większy, gdyby dowiedziała się, że obiektem jego zainteresowań była wcale nie ładniejsza od niej i na dodatek o kilka lat starsza właścicielka salonu fryzjerskiego. Jeśli Paweł się nie pośpieszy, to za kilkanaście dni nie będzie już czego odkrywać, a domniemana kochanka spocznie kilka metrów pod ziemią.

Zakładając, że psycholog rzeczywiście widział ich spotkanie w restauracji i późniejsze zachowanie Elżbiety, to dalsze wizyty

w jego gabinecie nie miały sensu, mogły wręcz go niepotrzebnie sprowokować. Co jak co, ale na tym dziennikarzowi zupełnie nie zależało. Zdążył już zresztą zrobić najważniejsze – podczas spotkania zapoznawczego zamontował kamerkę w niewidocznym miejscu w gabinecie, tuż obok okna, przy którym stał dobrych kilka minut. Niestety, jak na złość psycholog zrobił sobie akurat wolne, w efekcie czego między wtorkiem a czwartkiem nie przeprowadził żadnych sesji. Paweł już zaczął mieć obawy, że jego podstęp został wykryty, jednak przed wyjściem na kolację z Elą dostał od Dawida wiadomość, że nagrały się trzy piątkowe spotkania.

Myśl o nakryciu Małeckiego na gorącym uczynku ekscytowała go. To mogło pogrążyć psychologa, a jemu zapewnić materiał na bestseller. Najchętniej spławiłby Roberta, którego pomoc na razie ograniczyła się do dostarczenia sfingowanego nagrania ze śmiercią Brzyskiego. Na pewno nie zasłużył na podział zysków pół na pół. Nazwisko Kozłowskiego Paweł może co najwyżej umieścić w dedykacji lub podziękowaniach, a jako bonus za przekazanie tematu podaruje mu dwutygodniową wycieczkę do ciepłych krajów.

Dziennikarz nie chciał dzielić skóry na niedźwiedziu, zwłaszcza że nie widział jeszcze nagrań z sesji Małeckiego, lecz wolał zawczasu upewnić się co do praw autorskich, by zaraz po otworzeniu szampana oświadczyć Robertowi, że nie dostanie żadnych tantiem.

\* \* \*

Wytrzymał w łóżku do szóstej, nie zmrużywszy oka i cały czas przewracając się z boku na bok. Zdawał sobie sprawę, że w sobotę

Basia i chłopaki skorzystają z wolnego dnia i nie wstaną przed dziewiątą, co powinno zapewnić mu trzy godziny spokojnej pracy.

Wypiwszy szybką kawę, ubrał się i zamknął w dużym pokoju, by wyciągnąć komórkę. Robert na pewno jeszcze spał, ale nie była to pora, by wylegiwać się pod ciepłą pierzyną. Jeśli chciał zapracować na dedykację, to musiał zacząć wreszcie pracować.

– Czego? – W słuchawce usłyszał zachrypnięty głos redakcyjnego kolegi. – Wiesz, która godzina?

– Wstawaj szybko, nie mamy czasu do stracenia. Po drodze zgarnij od Dawida pendrive'a i przyjedź do mnie. Mam kolejną ofiarę Małeckiego, musimy ustalić, co dalej.

– Ciężka sprawa. – Robert odkaslnął wprost do słuchawki, ogłuszając lekko Pawła. – Zapiłem trochę wczoraj, wiesz, piąteczek, kurwa, i te sprawy. Daj mi godzinę, może dwie, i doprowadzę się do porządku.

Mężczyzna poczuł, jak ogarnia go gniew. Ten nierób podający się za dziennikarza śledczego balował w najlepsze, podczas gdy on wykladał swoje prywatne pieniądze i zaniedbywał rodzinę, by uzyskać jak najwięcej informacji. Robert właśnie pożegnał się z dedykacją, a o wyjeździe pod palmy będzie mógł jedynie pomarzyć.

– Rusz tę tłustą dupę i przyjeżdżaj natychmiast – wycedził przez zęby. Najchętniej zwymyślałby rozmówcę, ale nie chciał postawić wszystkich domowników na nogi. – Jak za pół godziny cię nie będzie, to, kurwa, wywalam cię z projektu, słyszysz? I nie zapomnij tego jebanego pendrive'a. Cześć.

Zdenerwowany, wcisnął czerwoną słuchawkę. Usiadł w fotelu, zamknął oczy i głęboko oddychając, policzył do dziesięciu. Kiedyś

go to uspokajało, jednak teraz mógłby doliczyć do tysiąca i dalej z nerwów trzęsłyby mu się dłonie. Wątpił, by była to sprawka jedynie nieprofesjonalnego podejścia Roberta. Psycholog pewnie stwierdziłby, że wina leży po stronie wyrzutów sumienia, spowodowanych narażaniem życia Elżbiety. Doszukiwałyby się moralnych rozterek, próbowałyby przekonać dziennikarza, że nie pieniądze i sława są najważniejsze, że nie można dla nich okłamywać innych i stawiać ich w niebezpieczeństwie. Później pewnie wyjąłby swoje wahadełko i zahipnotyzował dziennikarza, by kazać mu wejść pod rozpędzony tramwaj.

Paweł przeklął po cichu, starając się wyrzucić z głowy głupie myśli. Mając trzydzieści minut do dyspozycji, włączył komputer i sprawdził pocztę oraz rachunek bankowy. O ile w skrzynce odbiorczej nie znalazł niczego interesującego, tak saldo bankowe zmusiło go do dłuższej refleksji.

– Minus czterysta trzydzieści złotych – przeczytał na głos. – A ty, idioto, łazisz po drogich restauracjach.

Dopiero co rozpoczęły się letnie wakacje. Chłopaki zaraz zaczną wiercić mu dziurę w brzuchu o obiecany im pół roku wcześniej obóz, na który, a jakże, jechać będą sami fajni ludzie, a kogo tam nie będzie, ten już na zawsze zostanie odcięty od reszty grupy. O ile Paweł dobrze zapamiętał, koszt takiego wyjazdu oscylował w granicach tysiąca pięciuset złotych od osoby, do czego należało jeszcze doliczyć samodzielny dojazd i drobne kieszonkowe.

Bez przygotowanego konspektu nie miał co uderzać do wydawców. Nie mógł również liczyć na wsparcie naczelnego „Super Faktu”, który oszczędzał na czym tylko się dało. Jedyna nadzieja w Robercie. Skoro zamiast pracować, wolał łązić po



klubach nocnych, to niech przynajmniej sfinansuje połowę poniesionych przez Pawła kosztów. Będzie to i tak kropla w morzu potrzeb. Może by tak pożyczyć od niego kilka tysięcy?

Ziewnął, szeroko otwierając usta. Nie bardzo wiedział, za co się zabrać o tak wczesnej godzinie. W końcu postanowił włączyć przeglądarkę internetową i poszukać informacji na temat hipnozy. Lista wyników przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Okazało się, że obecnie hipnozą leczyć można praktycznie wszystko, od impotencji, przez otyłość, na alergiach kończąc. Dziennikarz powstrzymał się od wejścia na stronę oferującą walkę z katarem siennym, choć korciło go, by poczytać na ten temat.

By zawęzić pole poszukiwań, skupił się na udokumentowanych samobójstwach pod wpływem hipnozy. Tu również wyskoczyło sporo stron, głównie opisujących problemy ludzi nękanych przez myśli samobójcze. W gąszczu bezwartościowych informacji znalazł jednak coś, co przykuło jego uwagę.

„Troje nastolatków popełnia samobójstwo po sesji hipnotycznej u dyrektora szkoły North School of Business” – przeczytał nagłówek. Rodziny ofiar domorosłego hipnotyzera otrzymały łącznie około sześciuset tysięcy dolarów odszkodowania, czytał dalej z coraz większym zdumieniem. Pięćdziesięcioletni Paul Simons w trakcie prowadzonego przez miejscową policję śledztwa przyznał, że dzień przed samobójczą śmiercią Scotta poddał go sesji hipnotycznej. Twierdził jednak, iż nie miała ona żadnego wpływu na dalsze losy szesnastoletniego chłopca, który zwrócił się do pedagoga z prośbą o pomoc w zwiększeniu koncentracji przy nauce. Rodzice nieżyjącego chłopca nie mieli pojęcia, iż w zaciszu szkolnego gabinetu ich latorośl poddawana była tego typu

manipulacjom.

Mimo ogromnego skandalu, który wstrząsnął całą lokalną społecznością, Paul Simons zachował swoją pozycję w szkole. W jego gabinecie wciąż odbywały się sesje, których tragiczne efekty są już nieodwracalne. Według nieoficjalnych danych w trakcie swojej działalności pedagogicznej mężczyzna poddał hipnozie minimum dziewięćdziesiąt osób.

Niespełna pół roku po tragicznej śmierci Scotta w niewyjaśnionych okolicznościach zmarł jego rówieśnik, Nathan. W dniu swojej śmierci chłopak zachowywał się normalnie – wspólnie z rodzicami zjadł śniadanie, wyprowadził na spacer psa, umówił się z dziewczyną w centrum handlowym. Niestety, nie dojechał na spotkanie. Dopiero z jego prywatnych zapisków wyczytano, że tuż przed feralnym wyjazdem Nathan poddał się autohipnozie według instrukcji Simonsa. Mniej więcej w połowie drogi szesnastolatek zjechał z drogi, wprost na nadjeżdżający z naprzeciwka samochód dostawczy.

Zaledwie dwa dni później, gdy dyrektor szkoły udał się na przymusowy urlop, znaleziono zwłoki siedemnastoletniej Olivii. Dziewczyna połknęła całą zawartość rodzinnej apteczki i zasnęła w swoim pokoju. Rodzice znaleźli ją dopiero późnym wieczorem.

Rodziny ofiar Simonsa, pomimo otrzymanego odszkodowania, wciąż są niepokieszone wyrokiem sądu. Wszystko za sprawą uniknięcia kary przez byłego dyrektora placówki, który – jak ustalili biegli – pracował zgodnie z wymogami statutu szkoły. Do dzisiejszego dnia nie zdobył się nawet na przeprosiny.

\* \* \*

Paweł ledwie zdążył doczytać artykuł, gdy usłyszał odgłos

dzwonka do drzwi. Poderwał się z miejsca, by jak najszybciej otworzyć Robertowi. O ile wcześniej zachowanie redakcyjnego kolegi go zirytowało, tak teraz gotów był kilka razy przyłożyć mu w tę pozbawioną mózgu łepetynę.

– Popieprzyło cię? – syknął, otworzywszy drzwi. – Nie mogłeś, debilu, dać mi znać na komórkę, żebym otworzył? Musiałeś wszystkich pobudzić?

Robert bez słowa wszedł do środka. Ubrany był w czarne spodnie dresowe i bluzę z kapturem. Zionął alkoholem na kilka metrów, a podkrążone oczy zdradzały udany wieczór.

– Mam nadzieję, że w tym stanie nie prowadziłeś samochodu. – Paweł ruszył do kuchni. – Chodź, zrobię ci mocną kawę.

Po pięciu minutach usiedli w dużym pokoju, każdy z kubkiem kawy w dłoni. Robert rozłożył się na kanapie, co rusz wzdychając i wspominając o bólu głowy. Wyglądał, jakby to jego nękały hipnotyczne transy.

– Czytałem akurat o podobnej sprawie w Ameryce. – Paweł sięgnął po kubek, lecz napój był jeszcze zbyt gorący i parzył w palce. – Wyobraź sobie, że dyrektor jednej szkoły poddawał hipnozie swoich uczniów bez wiedzy ich rodziców. To już było dla mnie dziwne. Co więcej, w wyniku jego działań troje nastolatków popełniło samobójstwo. Od tego można zacząć artykuł, nie sądzisz? Nie zdradzimy zbyt wiele, a stary da nam spokój, bo będzie miał kontrowersyjny temat.

– Aha – odparł Robert, zamykając powieki.

Najwyraźniej planował uciąć sobie drzemkę. Paweł czuł, jak rozpiera go złość. Nie mógł jednak wyrzucić wciąż pijanego kolegi z mieszkania, jeszcze nie teraz, gdy mógł być do czegoś przydatny.

Powstrzymując się od potrząśnięcia przysypiającym na kanapie mężczyzną, Paweł wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów i zapalniczkę. Nie zwykł palić w domu, nie chcąc narażać Baśki i dzieciaków na wdychanie toksycznej chmury, więc wyszedł na balkon. Uznał, że krótkie przewietrzenie umysłu dobrze mu zrobi. Zaraz wróci do Roberta, wyciągnie od niego wszystkie informacje, odbierze pendrive'a i wyprosi z mieszkania, by Baśka nie musiała oglądać jego zapijaczonych mordy. Początkowo chciał wtajemniczyć go w informacje o Elżbiecie, ale przychodząc w takim stanie na spotkanie, Robert sam skazał się na wyrzucenie z projektu. Co innego odczuwać skutki wczorajszej imprezy, a co innego wciąż być mocno wstawionym.

Dochodziła siódma. Ulicami przejeżdżały pojedyncze samochody, których kierowcy pewnie przeklinali konieczność pracy w sobotni poranek. „Już niedługo” – pomyślał Paweł, głęboko się zaciągając. Kilkanaście dni i sprawa ujrzy światło dzienne. Wówczas pozostanie tylko przelać wszystko na papier i wybrać wydawcę oferującego najlepszą promocję. Później kupi ogromną działkę budowlaną pod Bydgoszczą i zbuduje tam wymarzony dom. Koniec użerania się z nieudacznikami, koniec liczenia każdej złotówki, koniec odmawiania sobie przyjemności.

Najchętniej wypaliłby jeszcze jednego papierosa, ale czas naglił. Wrócił do salonu, gdzie Robert z zamkniętymi oczami pochylał się nad kubkiem.

– Daj tego pendrive'a od Dawida. – Paweł usiadł obok kolegi. – Mówił coś o tym sfabrykowanym nagraniu?

Przekrwione oczy Roberta jakby na chwilę odzyskały inteligencję. Wciąż były zamglone, ale wydawały się choć trochę

skupione.

– Nie uwierzysz, ale nie znalazł żadnych śladów ingerencji – odparł mężczyzna, wyjmując z kieszeni i kładąc na stół nośnik pamięci. – Mówi, że równie dobrze mógł mieć zbyt słaby sprzęt, ale w takim wypadku musiał za tym stać ktoś bardzo zdolny, posiadający prawdziwy kombajn graficzny, tak to określił.

– Dobra, co jeszcze ustaliłeś?

Robert upił kilka łyżek kawy, okropnie przy tym siorbiąc. Trzymając w obu dłoniach ciepły kubek, powoli dochodził do siebie.

– Ostatnio miałem mało czasu – stwierdził, wbijając wzrok w parę unoszącą się znad aromatycznego napoju. – Stary mnie ciągle goni o jakieś pierdoły. To wywiad z tym, to plotki o tamtym, wiesz, o co chodzi. Ale nie bój nic, dotarłem do nagrań z małżeńskiej terapii Sylwii i Jacka Karczewskich. – Zerknął na kolegę, ewidentnie pękając z dumy. – Tak, tej Sylwii. Mam też nagrania z indywidualnych spotkań Małeckiego z Jackiem.

Paweł był pod wrażeniem znajomości Roberta, jednocześnie czuł złość, że ten nie potrafił lepiej z nich skorzystać. Gdyby bardziej przykładał się do pracy, skupiał na obowiązkach i mniej pił, to dawno już piastowałyby posadę naczelnego w którejs z czołowych gazet.

– Masz je też na tym małym ustrojstwie. – Robert wskazał leżący na stole pendrive. – Niestety głównie z tego wynika. Nie było tam żadnej hipnozy, tylko jakieś pieprzenie głupot o wypaleniu zawodowym i problemach łóżkowych. Aż nie chce się wierzyć, że gość bierze za coś takiego dwie stówki. A co u ciebie?

– Tę fryzjerkę mam już w kieszeni – odparł Paweł, niechętnie łamiąc wcześniejsze postanowienie. Musiał uchylić rąbka

tajemnicy, by nie wzbudzić podejrzeń Roberta, zwłaszcza że ten wcale tak bardzo nie próżnował. – Małecki regularnie poddaje ją hipnozie. Przyznała mi się do chwilowych utrat świadomości, więc jak przyjdzie co do czego, to nakłonię ją do wywiadu na wyłączność. Póki co ruszmy z ogólną zajawką tematu niemoralnego stosowania hipnozy. Weź coś napisz o naciąganiu ludzi, ja skrobnę o tym dyrektorze szkoły. Potem damy chwytliwe pytanie, czy na lokalnym rynku nie mamy do czynienia z naśladowcą tego psychopaty.

– Tak jest, szefie. A co Dawid dla ciebie wgrał? Nie chciał nic powiedzieć, pedałek jeden.

Paweł uśmiechnął się. Grafik dostał dobrą flaszkę za milczenie plus obietnicę koperty po nagłośnieniu sprawy. Korzystanie z redakcyjnej kamery i specjalistycznego oprogramowania nie było czymś, o czym można głośno mówić, a Robert swoim podejściem do życia udowodnił, że nie wolno powierzać mu takich sekretów.

– Miał obrobić ten film z Brzyskim w roli głównej – skłamał, mimowolnie mrużąc oczy. – Dobra, kończymy. Jak Baśka cię zobaczy w takim stanie, to cały dzień będzie mi suszyć głowę za sprowadzanie pijaków do mieszkania. Ogarnij się trochę i skup na robocie. Na świętowanie przyjdzie jeszcze czas.

Robert mruknął coś pod nosem o niedopitej kawie, wzdychając, wstał z kanapy i poczłapał w kierunku drzwi. Paweł odprowadził go do wyjścia, po czym wrócił do salonu i pootwierał wszystkie okna. Korzystając z wolnej chwili, sam wyszedł na balkon, by odpalić kolejnego papierosa.

\* \* \*

W powietrzu wciąż unosił się zapach wódki, co mogło zirytować

Baškę, ale nie mógł sobie pozwolić na dalszą zwłokę. Jeszcze przed śniadaniem chciał przejrzeć nagrania z gabinetu Małeckiego, które miały ostatecznie pogrążyć psychologa. Żałował, że dysponował filmami z zaledwie trzech sesji, ale kamera wciąż była podłączona, więc wkrótce będzie miał znacznie więcej dowodów.

Wszystkie uwiecznione spotkania odbyły się dzień wcześniej, w piątek dwudziestego ósmego czerwca. Pierwsza klientka Małeckiego zawitała do gabinetu o godzinie dziewiętej pięćdziesiąt. Paweł wcisnął przycisk pauzy, po czym kursorem najechał na punkt oddalony o pięć minut, nie chcąc oglądać powitania i słuchać zwyczajowej gadki o pogodzie. Włączył odtwarzanie w momencie, gdy kobieta akurat siadała w skórzanym fotelu. Wyglądała atrakcyjnie, choć najpewniej przekroczyła już czterdziesty rok życia. Ubrana była bardzo elegancko, w zwężaną w talii białą sukienkę z czarnymi elementami, a jej zadbane blond włosy wyglądały, jakby kobieta dopiero co opuściła gabinet fryzjerski.

Małecki miał na sobie błękitną marynarkę, jasną koszulę i dżinsowe spodnie. Przyniósł do stolika dwie kawy, po czym usiadł naprzeciwko pacjentki, plecami do kamery.

– No i mówię ci... – Kobieta dłonią zaczesła włosy za ucho. – To wszystko na nic. Jakbym mówiła do ściany. Ja swoje, a on swoje. Tak dłużej nie może być, nie wytrzymam tego napięcia i wyrzucę wszystkie jego rzeczy przez okno.

Oglądający film dziennikarz uśmiechnął się pod nosem. Nie musiał cofać nagrania, by zgadnąć, że mowa była o mężu wystrojonej kobiety, który pewnie zarabia na wszystkie jej zachcianki, od czasu do czasu zdradzając ją z dwa razy młodszą

studentką. „Ciekawe, czy te wszystkie babki lecą na Małeckiego?” – pomyślał.

– Całe życie dla niego poświęciłam – ciągnęła dalej, wyglądając, jakby zaraz miała się rozplakać. – Moja kariera, uroda, dzieci mu urodziłam i co z tego mam? Rozstępy i drania, który jeździ na delegacje, by posuwać jakieś dziwki?

Dziennikarz upił łyk kawy i ponownie zatrzymał nagranie. Monolog rozhisteryzowanej kobitki mógł przyprawić go o niestrawność, więc wolał darować sobie jej wywody. To, co zobaczył, wystarczyło mu, by stwierdzić, że absolutnie nie rozumie fenomenu popularności gabinetów psychoterapeutycznych, niemniej jednak nie po to oglądał film. By zwiększyć efektywność pracy, zaczął przeskakiwać co pięć minut nagrania, cały czas przyglądając się Małeckiemu, który jedynie zmieniał pozycje na fotelu. Dziennikarz wznowił normalny tryb odtwarzania, gdy włączywszy kolejny fragment, nie dostrzegł nigdzie psychologa.

– Jak sama powiedziałaś, nigdy nie przyłapałaś go na zdradzie. – Słysząc było tylko jego głos. – Wyobraź sobie, że idziesz ulicą i widzisz brudnego, śmierdzącego mężczyznę, ubranego w podniszczone łachy, nieogolonego, z tłustymi włosami. Idzie w twoją stronę. Powiedz mi, co o nim myślisz?

– No brudas! – Kobieta zrobiła zniesmaczoną minę. – Pewnie chce poprosić o dwa złote, żeby sobie kupić piwo.

– A teraz wyobraź sobie, że ten sam mężczyzna jest za tobą i coś do ciebie woła. Co teraz o nim myślisz?

Kobieta założyła nogę na nogę. Dziennikarz musiał przyznać, że miała bardzo zgrabne uda i łydki, dodatkowo podkreślone wysokimi obcasami.



– Jak to, co myślę? – odparła, spoglądając w kierunku, gdzie zapewne stał Małecki. – No chce mi coś zrobić, okraść, zgwałcić, nie wiem. Czuję niepokój, przyspieszam kroku, na pewno nie oglądam się za siebie.

Terapeuta wrócił na miejsce, trzymając w dłoniach butelkę wody i dwie szklanki. Postawił je na oszklonym stoliku, napełnił do połowy i podał jedną kobiecie.

– A teraz wyobraź sobie, że mimo wszystko facet cię dogania i podaje portfel, który najwidoczniej wypadł ci przed chwilą z torebki. Co teraz o nim myślisz, czy podtrzymujesz swoją wcześniejszą opinię o nim?

Zniecierpliwiony dziennikarz ponownie przeskoczył do dalszej części filmu. Wyglądało jednak na to, że reszta rozmowy przebiegła w pozycji siedzącej, a Małecki ani razu nie wykonywał ruchów przypominających działanie hipnotyzera.

Wieczorem zmusi się do dokładnego przestudiowania nagrań, teraz jednak nie miał na to czasu ani ochoty. Pierwsza sesja zajęła mu nieco ponad pięć minut i miał nadzieję, że pozostałe spotkania przebiegały w bardziej interesujący sposób. Nim jednak do nich doszło, psycholog wykonał dwa telefony. Nie było go widać w kadrze, ale sądząc po odgłosach w tle, siedział przy swoim ulubionym, koszmarne wielkim biurku. Pierwsza rozmowa dotyczyła jakichś książek, które, jak zrozumiał dziennikarz, dawno już miały być dostarczone, natomiast drugie połączenie okazało się małym przełomem.

– No, cześć, Tymon. Mów, jak ona się czuje.

W głosie mężczyzny słychać było troskę. Dziennikarz żałował, że mikrofon nie nagrał słów jego rozmówcy, przez co musiał

zadowolić się sporadycznym przytakiwaniem Małeckiego.

– To dobrze – odpowiedział psycholog po ponad dwóch minutach słuchania monologu po drugiej stronie. – Mam u ciebie dług na całe życie. Wyjście z domu dobrze mi zrobiło. Od tego nieustannego pilnowania Weroniki sam zaczynałem popadać w paranoję. Panikowałem, gdy podrapała się po łydce, rozumiesz? – Ponownie kilka razy przytaknął. – No dobra, zrobię wszystko, żeby wrócić przed piętnastą. Raz jeszcze dzięki. Na razie.

Najwyraźniej w życiu prywatnym Konrada Małeckiego, psychopatycznego hipnotyzera, doszło do czegoś interesującego z punktu widzenia dziennikarskiego śledztwa. Być może terapeuta oberwał rykoszetem swojej działalności, tracąc kontrolę nad własną żoną. A może to właśnie wspomniana Weronika była pierwszym obiektem testowym sadystycznego psychologa? Z pewnością był to temat, któremu należało przyjrzeć się z bliska.

Drugi klient zapukał do drzwi gabinetu punktualnie o jedenastej. Paweł odetchnął z ulgą, słysząc męski głos. „Facet to facet” – pomyślał, przeskakując do piątej minuty spotkania, gdy obaj siedzieli już w fotelach, i z satysfakcją zobaczył młodego chłopaka, który przynajmniej nie będzie opowiadał farmazonów o nieszczęśliwym związku czy braku zainteresowania u partnerki.

– Miałem obawy, że będę musiał leżeć na takiej kozetce, jak czasem pokazują na filmach – zażartował gość, rozglądając się po gabinecie.

Ubrany w trampki, brązowe sztruksowe spodnie i koszulkę polo w biało-czarne paski, wyglądał na studenta lub świeżo upieczonego absolwenta uczelni. Skoro stać go było na wydatek dwustu złotych za zwykłą rozmowę, to musiał pochodzić z bogatego domu lub

trafić szóstkę w totka. Paweł uśmiechnął się do swoich myśli, wyobrażając sobie, jak młodziak biadoli Małeckiemu na zbyt wysoką wygraną, z którą nie ma pojęcia, co zrobić. Dziennikarz wiele razy czytał o osobach niepotrafiących poradzić sobie z nagłym zastrzykiem gotówki. Często zrywali kontakty z rodziną i znajomymi, popadali w nałogi, by po kilku latach stoczyć się na samo dno.

– Nie mamy najlepszego PR-u – odparł terapeuta, ponownie siedząc tyłem do kamery. – Musi minąć jeszcze kilka lat, nim społeczeństwo w pełni zrozumie, na czym polega proces terapii. Możesz więc czuć się w pewnym stopniu pionierem.

Na twarzy chłopaka pojawił się uśmiech zmieszany z zakłopotaniem. Niestety dla dziennikarza wszystko wskazywało na to, że klient pierwszy raz korzystał z usług Małeckiego, a co za tym szło, szansa na obserwację hipnozy oscylowała w granicy zera. By mieć całkowitą pewność, Paweł pozwolił mężczyznom kontynuować rozmowę, nie przeskakując jeszcze do dalszej części nagrania.

– Terapia w moim gabinecie zazwyczaj składa się z kilku, czasem kilkunastu spotkań – Małecki zaczął autoreklamę. –

Przeciętnie trwają one godzinę zegarową, lecz w uzasadnionych przypadkach, gdy zaplanowane przeze mnie ćwiczenie wymaga dłuższej pracy, zawczasu umawiamy się na półtorej, maksymalnie dwie godziny. Na dzisiaj zaplanowałem jedno przykładowe zadanie, aby przybliżyć ci styl mojej pracy i wskazać nam obu temat, nad którym powinniśmy popracować w pierwszej kolejności.

Cierpliwość dziennikarza wyczerpała się, gdy Małecki położył

czystą kartkę na stoliku i rozpoczął tłumaczenie zasad ustalania celów. Zrezygnowany, zaczął przeskakiwać po piętnaście minut do przodu, by po chwili natrafić na moment rozpoczęcia ostatniej sesji.

Ujrzawszy na ekranie nową klientkę usadowioną w fotelu, dziennikarz cofnął nieco nagranie, by sprawdzić, czy po opuszczeniu gabinetu przez chłopaka Małecki nie wykonał żadnego telefonu. Upewniwszy się, że nic takiego nie miało miejsca, Paweł wrócił do kobiety ubranej w błękitną bluzeczkę i białe rybaczki.

Już miał pozwolić, by opowiedziała terapeutce o swych problemach, gdy do salonu weszła rozespana Baśka. Jej czarne loki niesfornie opadały na twarz. Ubrana w białą koszulę nocną, wzbudziła w dziennikarzu chęć na poranne czułości. W myślach podziękował, że nie była jak klientki Małeckiego. Nie narzekała na swoje życie, nie obwiniała za wszystko męża, nie bała się pracy, troszczyła o cały dom, a przy tym wyglądała tak, że aż grzech.

– A kto to się obudził? – Wstał i podszedł do małżonki. Jedną dłonią odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy, drugą ścisnął za pośladek. – Jesteś piękna.

Basia uśmiechnęła się zalotnie, choć jej oczy wciąż wyrażały chęć powrotu pod pierzynę. Paweł znał upodobania żony i wiedział, że tuż po przebudzeniu nie wyrażała zainteresowania seksem, lecz odpowiednia gra wstępna powinna być w stanie ją rozgrzać. Nie dając kobiecie szansy na wycofanie, zaczął ją delikatnie całować po szyi, powoli, bez zbędnego pośpiechu podążając w stronę ucha, gdzie znajdował się jej najczulszy punkt. Jego dłonie pieściły ciało Basi, gładząc wrażliwą skórę między talią a zagłębieniem pod

pachą, co rusz lekko ściskając jędrne piersi i pośladki.

– Co robisz...? – westchnęła, odchylając głowę i odsłaniając najbardziej wrażliwą część szyi. – Dzieciaki pobu... Ach...

Miał ją w garści. Znał każdy milimetr jej ciała, którego przed laty smakował codziennie. Ich usta spotkały się, gdy jego dłoń z pośladka wędrowała w stronę łona. Delikatnie, by nie nacisnąć zbyt mocno, dłonią masował jej intymne okolice, słysząc coraz szybszy oddech kobiety. Ona również nie próżnowała. Sprawnym ruchem odpięła jego skórzany pasek i rozpięła rozporek. Dziennikarz poczuł jej ciepłe dłonie, poruszające się dokładnie tak, jak lubił. Znali siebie na wylot, gotowi w pięć minut zaspokoić swoje potrzeby, nie budząc przy tym dzieci. Tak też wyglądała większość ich ostatnich, sporadycznych zbliżeń. Szybko, wyuczonymi ruchami doprowadzali się do orgazmu, czyniąc to niemal automatycznie. Tym razem jednak miało być inaczej, tym razem Paweł pożądał jej nie tylko ciałem, ale i sercem.

Pogładził żonę po twarzy, na której zdążyły zakwitnąć różowe rumieńce podniecenia, i położył palec na jej ustach. Ostrożnie wychylił się na korytarz, by sprawdzić, czy chłopcy przypadkiem nie postanowili wcześniej rozpocząć dnia. Na szczęście droga była wolna, więc nawet nie zapinając rozporoka, wziął Basię na rękę i zaniósł ją do sypialni.

Położył kobietę na łóżku i zdjął z niej koszulę nocną. Jego żona była piękna. On również rozebrał się do naga, po czym usadowił nad nią i zaczął pieścić ciało Basi. Czuł jej palce w swoich włosach, gdy językiem penetrował najwrażliwsze punkty. Oddychała coraz szybciej, wyginając się przy tym, jakby zaraz miała osiągnąć orgazm. Paweł miał jednak inne plany.

– Jeszcze... – jęknęła, przyciskając mu głowę do swojego ciała.

Paweł odsunął się stanowczo i przemieścił wyżej. Przesunął dłońmi po jej rozgrzanej skórze, zatrzymując je na piersiach. Sterczące sutki wręcz zapraszały do pieszczot. Podniósł głowę i spojrzał na swą ukochaną. W jej oczach widać było błysk namiętności, ale i gniewu za przerwane w ostatniej chwili pieszczoty. Silnym ruchem przewrócił ją na bok i sam usadowił się na jej miejscu.

Widząc zmieszanie Basi, chwycił ją mocno w talii i przesunął nad siebie. Jedną dłonią chwycił delikatnie pierś kobiety, drugą zachęcająco pogładził po pośladkach. Nie trzeba było długo jej namawiać. Jak za dawnych lat, wyprostowała się jak struna i płynnymi ruchami zaczęła ujeżdżać go, nie zwracając uwagi na cichy jęk sprężyn w materacu. Dziennikarz podziwiał podskakujące piersi, z trudem powstrzymując się przed ściśnięciem ich mocno.

Energiczne ruchy szybko zmęczyły kobietę, a na jej twarzy prócz podniecenia widać było coraz większą determinację, by jak najszybciej osiągnąć ekstazę. Kropelki potu spływały po jej skroniach, choć jeszcze niedawno w tej pozycji potrafiła wytrzymać znacznie dłużej. Paweł również bliski był orgazmu. Silnym ruchem przytrzymał ją za biodra, zaparł się stopami i przejął inicjatywę. Jego uda obijały z głośnym plaskiem o pośladki kobiety, która nagle otworzyła szeroko usta i wygięła głowę do tyłu. Dziennikarz poczuł przeszywający go dreszcz rozkoszy. Wydał z siebie stłumiony jęk, powoli dochodząc do siebie.

Otworzył oczy, by spojrzeć na żonę i zamarł przerażony. Zamiast Basi dostrzegł nad sobą dyszącą z wyczerpania Elżbietę.

Włosy częściowo zakrywały jej twarz, lecz w brązowych oczach dostrzegł blask szaleństwa. Otworzyła szerzej usta, odsłaniając zęby zmierzające w kierunku jego szyi. Paweł zacisnął powieki, równocześnie z całej siły ściskając pośladki kobiety. W głowie powtarzał sobie, że to ułuda, że własna wyobraźnia spletała mu figla.

– Aua, nie tak mocno – usłyszał głos Basi.

Otworzył ponownie oczy, tym razem z ulgą widząc twarz żony, wciąż zarumienioną od pieszczot. Chciał ją przytulić, lecz ta zsunęła się z niego, sięgnęła szybko po stojące na nocnej szafce chusteczki i przyłożyła jedną do łona.

– Kocham cię – wyszeptał, opierając głowę na łokciu. – Powinniśmy to robić częściej.

– Zboczeniec – odparła uśmiechnięta, nakładając koszulę nocną. – Mam nadzieję, że chłopaki nic nie słyszeli. Idę pod prysznic, ogierze.

Westchnął. Przez lata zdążył przywyknąć do jej zasadniczego podejścia do higieny. Sam wolałby spędzić kilka minut wtulony w pachnące seksem ciało żony, podczas gdy pozostało mu jedynie ubrać się i odpalić papierosa na balkonie.

Nie chciał myśleć o Eli. Ani jej nie pożądał, ani właściwie nie lubił, dlaczego więc w decydującym momencie wyobraził sobie jej twarz? Mógł się jedynie domyślać, iż był to objaw skrupułów, wyrzutów sumienia, wszak wykorzystywał ją przy prowadzonym śledztwie. Pewnie najlepiej byłoby spytać Małeckiego o znaczenie jego wizji, on z pewnością wyskoczyłby z kilkoma teoriami, dorzucając do tego jakieś głupkowate ćwiczenie, ale z oczywistych względów było to niemożliwe.



Basia krzątała się po kuchni, gdy Paweł zasiadł ponownie przed komputerem, by obejrzeć nagranie z ostatniej sesji. Na ekranie kobieta w błękitnej bluzeczce wciąż czekała, by ponarzekać na swoje życiowe problemy siedzącemu naprzeciwko niej psychologowi. W momencie zatrzymania filmu akurat poprawiała się w fotelu, toteż ostatnie minuty spędziła w wyjątkowo niewygodnej pozycji.

– Przepraszam państwa za zwłokę. – Paweł odprężony położył sobie komputer na kolanach. – Już puszczam dalej, proszę mi tylko nie pierdolić głupot.

Kątem oka spojrzał w kierunku korytarza. Baśka nie tolerowała przekleństw w domu, ale na szczęście niczego nie usłyszała. Dziennikarz uśmiechnął się pod nosem i włączył nagranie, uwalniając klientkę Małeckiego z uśpienia.

– ...po prostu przesadzałam – zaczęła w pół zdania. – Dlatego teraz zero kawy, herbaty, że o alkoholu już nawet nie wspomnę. Sama woda. Muszę oczyścić organizm. Mam wrażenie, że jakbym wlała w siebie wrzątek, to po drodze do żołądka i tak by się coś zaparzyło, tyle tego tam zalega.

Konrad zniknął z kadru, by po chwili wrócić z butelką wody i dwiema szklankami. Powtarzalność jego zachowań sprawiała wrażenie, że praca terapeuty nie była wcale tak skomplikowana. Wystarczyło ładnie wyglądać, parzyć dobrą kawę, czasem rzucić żartem, a w przypadku braku pomysłów zaproponować ćwiczenie na kreatywność. Coś się nie podoba? Słabe efekty? Widocznie, drogi kliencie, zbyt mało nad sobą pracowałeś!

– Tak jak ci pisałam w mejlu... – Kobieta wyglądała na taką, co



może nawijać na okrągło. – Deadline projektu mija piętnastego lipca, a my, za przeproszeniem, jesteśmy w czarnej dupie. Nikt nie pilnuje terminów, wątpię, abyśmy byli w stanie wyrobić się do końca lipca, a co dopiero mówić o piętnastym.

Dziennikarz z zaciekawieniem oglądał nagranie. Babka wyglądała na zdecydowaną i wymagającą, Małeckiemu niełatwo będzie ją udobruchać. Wreszcie jakieś wyzwanie. Żałował, że nie widzi zakłopotanej miny psychologa.

– Rozumiem, że ten termin nie podlega żadnym negocjacom?

– Nego... co? – Zaśmiała się, pochylając w stronę rozmówcy. –

Konrad, my jesteśmy dla nich zerem, pyłkiem kurzu, który mogą zdmuchnąć. W kolejce na nasze miejsce czeka tuzin, jak nie więcej chętnych. Wygraliśmy tylko tą chorą datą zaproponowaną przez Błażeja. No tak, cały Błażejek, premia za sprzedaż poszła, a ty martw się kolejnym niewykonalnym zadaniem. No, ale co ja cię będę zanudzać pracą. Muszę ci się pochwalić, wreszcie zrobiłam zadanie domowe! – Z leżącej obok fotela torebki wyjęła tablet. –

Gdzie ja to mam, poczekaj, poczekaj. Jest! Będiesz ze mnie dumny.

Podawała urządzenie Małeckiemu. Dziennikarz momentalnie stracił zainteresowanie sesją. Miał nadzieję zobaczyć psychologa w opałach, podczas gdy szykowała się kolejna nudna rozmowa. Nawet udany seks nie był w stanie poprawić mu humoru, więc od niechcienia zaczął przeskakiwać po kolejnych fragmentach filmu.

Gdyby na podstawie trzech obejrzanych sesji Paweł miał określić, czy psycholog stoi za serią makabrycznych samobójstw, bez wahania stwierdziłby, że to fałszywy trop. Jedynym przewinieniem Małeckiego było naciąganie klientów na grube

pieniądze, jednak płacili mu świadomie, bez żadnego przymuszenia czy manipulacji. Gdyby dziennikarz nie widział na własne oczy zachowania Elżbiety, najprawdopodobniej zaniechałby pracy nad tym tematem i wrócił do pisania nisko dochodowych artykułów o sąsiedzkich sprzeczkach, drobnych kradzieżach czy wyjątkowo wysportowanym siedemdziesięciolatku, który zamierza startować w maratonie. Teraz jednak dziennikarz nie mógł tego zrobić, nie po tym, co zobaczył w restauracji. Psycholog dobrze się ukrywał, ale zachowanie Elżbiety musiało być spowodowane manipulacją w psychice.

Paweł przeskoczył do momentu, gdy na nagraniu widać już było jedynie Małeckiego. Oparty o ścianę szukał czegoś w telefonie. Do końca filmu zgranego przez Dawida zostało jeszcze dziesięć minut, co dawało nadzieję na podsłuchanie kolejnej rozmowy dotyczącej Weroniki. Tak się jednak nie stało, a psycholog ponownie zniknął z kadru. W tle słychać było odgłos otwieranych szuflad. Po chwili Małecki pojawił się ponownie, rozsiadając się w fotelu przeznaczonym dla klientów. Na pierwszy rzut oka mężczyzna po prostu siedział, patrząc na swoją dłoń. Dopiero po dwukrotnym zbliżeniu obrazu Paweł dostrzegł niewielki element, który psycholog obracał w palcach.

– Co to jest? – Dziennikarz pochylił się nad ekranem, próbując dostrzec coś więcej. – Moneta?

– Sówka: wracam, to drugie coś: wpadnę jeszcze do cukierni – powiedział Konrad, jakby w odpowiedzi na pytanie dziennikarza.

Mężczyzna kciukiem wyrzucił w powietrze srebrny przedmiot. Sądząc po krótkim opisie awersu i rewersu, była to moneta kolekcjonerska, jakich pełno na targach staroci.

Paweł nie dosłyszał wyniku, gdyż skupił się na dziwnym odgłosie słyszalnym w tle. Zdawało mu się, że to dzwonki wietrzne. Baśka kilka lat temu polubiła ten dźwięk, który podobno hamował zatrute strzały i autostrady energetyczne – cokolwiek by to nie znaczyło. Silne wichury szybko poradziły sobie z dzwonekami na ich balkonie, co rusz zrywając je z cienkich sznurków. Czyżby jego żona znowu zaczęła czytać o feng shui?

Zatrzymał nagranie i podszedł do drzwi balkonowych. Nie przypominał sobie, by wychodząc na papierosa, słyszał to charakterystyczne brzęczenie. Teraz również do jego uszu dochodził jedynie odgłos szurania kapciami z kuchni. Powstrzymał chęć zapalenia i wrócił do komputera. Cofnął film o dwadzieścia sekund, żałując, że nie miał nigdzie słuchawek, by odciąć się od odgłosów otoczenia i lepiej wsłuchać w nagranie. Sam nie wiedział, czemu tak bardzo zaniepokoiło go jakieś dzwonięcie, ale w tym dźwięku było coś dziwnego, coś niepozwalającego o sobie zapomnieć.

– Sówka: wracam, to drugie coś: wpadnę jeszcze do cukierni. – Na nagraniu psycholog ponownie cisnął monetą w powietrze.

Dziennikarz poczuł ściskanie w żołądku. Brzęczenie było głośniejsze, jakby dochodziło tuż zza jego pleców. Odruchowo obrócił się, mając nadzieję ujrzeć Baškę zawieszającą dzwonki na ścianie. To było niemożliwe, ale teraz dźwięk dochodził ze wszystkich stron.

Potrząsnął głową. Na nagraniu mężczyzna patrzył na trzymaną w dłoni monetę. Zachowywał się normalnie, jakby jego uszu nie dochodziły żadne nietypowe odgłosy. Paweł poczuł mdłości. Brzęczenie przenikało przez skórę, wchodząc coraz głębiej,

wprawiając w drganie narządy wewnętrzne. Miał wrażenie, że jego żołądek zamienił się w młot pneumatyczny. Przerażony, zatrzymał nagranie. Dzwonienie ustało.

– Co, do cholery? – jęknął, przerażony, odkładając laptop. – Baśka, słyszałaś to?!

Nie przejmował się śpiącymi chłopakami. Czyżby on sam również padł ofiarą Małeckiego? Niemożliwe, żeby podczas krótkiej rozmowy o parkingach psycholog zdołał wpłynąć na jego umysł. A może ich rozmowa trwała dłużej? Terapeuta mógł poddać go hipnozie i wymazać mu z pamięci pół godziny sesji. Jeśli tak, to kamera powinna była to utrwalić.

Rozemocjonowany, wbiegł do kuchni. Basia akurat rozpakowywała zmywarke. Trzymając w dłoniach kilka talerzy, ze zdziwioną miną spoglądała na męża.

– I czego się tak wydzierasz? – Odłożyła naczynia do górnej szafki. – Ty coś z tym Robertem piłeś czy jak?

– Słyszałaś to?!

Podszedł do żony i mocno chwycił ją za ramiona. Nie musiała odpowiadać, wyczytał wszystko z jej zdezorientowanej i przestraszonej miny.

– Puść, to boli. – Próbowała się uwolnić, ale trzymał ją zbyt mocno. – Co cię napadło?

Paweł oddałby wszystko za odpowiedź na to pytanie. Musiał się uspokoić, zebrać myśli, nie popadać w panikę i nade wszystko nie straszyć Baśki. Puścił żonę, pocałował w czoło, po czym szybkim krokiem wrócił do salonu. Z pokoju chłopaków nie dobiegały żadne hałasy, co w małym stopniu go uspokoiło. Tłumaczył sobie, że dał się ponieść wyobraźni. Nieprzespana noc, dziwne zachowanie

Elżbiety, historia dyrektora szkoły hipnotyzującego swoich podopiecznych – nic dziwnego, że umysł dziennikarza postanowił odreagować.

Z duszą na ramieniu cofnął nagranie do momentu, w którym Małecki wyrzuca monetę w powietrze. Głośniki ustawił na sto procent, chcąc mieć pewność, że to z gabinetu psychologa dobiegał dźwięk dzwonek, a cała reszta była jedynie wyobrażeniem zmęczonego umysłu. Przygotowany na najgorsze, nasłuchiwał brzęczenia. Tym razem jednak nie usłyszał niczego. Na nagraniu mężczyzna ponownie przyglądał się trzymanej w dłoni monecie. Siedział tak przez kilkadziesiąt sekund, po czym wstał i zaczął szykować się do wyjścia.

Dla pewności Paweł jeszcze dwukrotnie obejrzał ten sam moment. Po dzwonekach jednak nie zostało najmniejszego śladu, jakby ktoś w międzyczasie wykasował dźwięk. Dziennikarz bił się z myślami. Rozsądek tłumaczył wszystko zmęczeniem i nadmiarem stresu, jednak mężczyzna przeczuwał, że dzwonienie nie było tylko efektem jego wyobraźni. Było w nim coś mrocznego, jakby zapraszającego.

– Pieprzyć to – westchnął, zamykając komputer. – Jest weekend, zajmij się rodziną, bo skończysz jak ta fryzjerka.

## Rozdział VII

W ostatnich dniach Konrad dorobił się sporego poletka siwych włosów na skroniach. Nie mógł sobie darować, że wcześniej zbagatelizował dziwne zachowanie Weroniki. Wprawdzie obecnie stan psychofizyczny kobiety nie wymagał hospitalizacji, a ona sama podkreślała, że czuje się już dobrze, lecz psycholog i tak cały czas nie odstępował jej na krok. Dopiero trzeciego dnia, gdy przez czterdzieści osiem godzin nie doszło do niczego niepokojącego, zdecydował się wznowić odwołane wcześniej spotkania z klientami, lecz i tak tylko pod warunkiem, że ktoś cały czas będzie przy jego żonie. Na szczęście Tymon, za zgodą pełnej współczucia Anki, bez wahania zaoferował swoje wsparcie.

Przez cały czas Weronika zarzekała się, iż przed feralnym dniem nie zażywała żadnych leków. Fakt, iż nie pamiętała ani swojego wcześniejszego dziwnego zachowania, ani tego, jak znaleźli ją wraz z Tymonem, sprawiał, że traciła na wiarygodności, jednak choć Konrad kilkukrotnie przeszukał wszystkie pokoje, to nie znalazł wśród jej rzeczy niczego, co mogłoby wywołać takie skutki. Obawiał się najgorszego, ale na szczęście rezonans nie wykrył żadnych zmian. Jej stan nie pasował do żadnej jednostki chorobowej, w związku z czym lekarz zalecił jedynie odpoczynek i obserwację.

Każdy kolejny dzień nieco łagodził napiętą sytuację. Konrad wrócił do pracy, a Tymon okazał się nieocenionym przyjacielem, bez którego małżeństwo Małeckich nie przeszłoby tej ciężkiej

próby. Nie tylko zastępował psychologa w czuwaniu nad Weroniką, ale również załatwił natychmiastowe badania w klinice neurologicznej, gdzie pracował jego dobry znajomy.

Przez całe to zamieszanie Konrad zupełnie zapomniał o zamordowanych kobietach. Dopiero parząc poranną kawę, gdy przelotnie spojrzął na ścienny kalendarz, wskazujący dziesiąty lipca, dotarło do niego, że psychopata ścigający jego pacjentów wciąż był na wolności. Myśl ta sprawiła, że od razu chwycił za telefon i odwołał wszystkie zaplanowane na ten dzień spotkania. Na wszelki wypadek postanowił, że nie może pozwolić swojej żonie ani na chwilę pozostać bez nadzoru. Wszystkie artykuły prasowe stwierdzały, że do poprzednich śmierci doszło, gdy ofiara przebywała w samotności, a on nie zamierzał do tego dopuścić. Zamierzał również uprzedzić Tymona, żeby zwolnić go na ten dzień z opieki nad Weroniką, ale ostatecznie uznał, że z przyjacielem u boku będzie mu raźniej.

Z filiżanką aromatycznej kawy usiadł naprzeciwko żony i przyglądał się, jak ta czyta książkę. Leżała na białej skórzanej kanapie, odkładając akurat kubek z herbatą na stojący obok mahoniowy stolik, zawalony gazetami i niesprzątniętymi naczyniami po śniadaniu. W tle słychać było włączony telewizor, w którym wesoły prezenter przekomarzał się ze współprowadzącą. Nazwisko autora książki czytanej przez żonę nic Konradowi nie mówiło, ale okładka sugerowała opowieść pełną magii i rycerzy.

– To jakaś nowość? – zagaił. – Ten smok na grafice robi wrażenie.

Ubrana w legginsy i wygodną tunikę Weronika spojrzała na męża podejrzliwym wzrokiem.

– Co tam ci się urodziło w głowie, co? – spytała z zalotnym uśmiechem. Gdyby nie bandaż wciąż owijający czoło, wyglądałaby dokładnie tak, jak za dobrych czasów. Uśmiechnięta, gotowa na słowną potyczkę, pełna ciepłej energii. – Nie wciśniesz mi teraz kitu, że interesuje cię fantastyka.

– Przecież zawsze lubiłem takie klimaty.

Weronika zamknęła książkę i położyła ją na stole. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami, błędząc spojrzeniem po suficie. Konrad znał ten gest i tylko czekał na zaczepne pytanie z jej strony.

– Oglądanie *Władcy pierścieni* i *Gry o tron* nie czyni z ciebie fana.

– Wypraszam sobie! – Konrad wstał i z filiżanką w dłoniach usiadł koło żony. – W młodości czytałem wszystkie przygody Conana. Poza tym od dawna planowałem przeczytać jakąś ciekawą serię, ale ty mi zawsze wszystko streszczasz.

Przyglądał się jej reakcji. To była ich pierwsza luźna rozmowa od kilku tygodni. Gdyby wierzył w znaki zsyłane przez siły wyższe, uznałby, że choroba Weroniki miała na celu uratowanie ich małżeństwa. Monotonia codziennego życia stopniowo oddalała ich od siebie, podczas gdy teraz bawili się w najlepsze.

– Mam ci przypomnieć, jak długo już czytasz tę samą książkę, która leży na twojej szafce nocnej? – Weronika przystąpiła do ataku. – Czekaj, czekaj, ja w międzyczasie zaliczyłam dwie trylogie tego gościa z dziwnym nazwiskiem i cztery tomy Cornwella.

Konrad rozłożył ręce w geście kapitulacji. Najchętniej rzuciłby się na żonę i zastosował najskuteczniejszą terapię małżeńską, jednak w chwili, gdy z lubieżnymi myślami rozbierał kobietę wzrokiem, rozbrzmiał dzwonek do drzwi. „Może to i lepiej –



pomyślał psycholog – silne bodźce mogą w różny sposób wpłynąć na Weronikę”. Jej stan wprawdzie znacznie się poprawił, ale nie wiadomo było, kiedy choroba znów da o sobie znać.

Widok przyjaciela trzymającego bukiet czerwonych róż wprawił Konrada w osłupienie. Wrażenie potęgował strój Tymona, który zamiast ukochanej koszuli w kratę miał na sobie ciemne dżinsy, białą koszulę i czarną marynarkę.

– Chcesz mi się oświadczyć? – Psycholog z uśmiechem otaksował go wzrokiem.

– Ładnie, co nie? Idź sobie, bo kwiaty przy tobie więdną. – Tymon obszedł gospodarza i skierował się w stronę salonu. – Zastałem panią domu?

– Wera, jakiś absztyfikant z bożej łaski do ciebie!

Razem weszli do dużego pokoju. Weronika akurat sięgała po książkę, lecz cofnęła rękę, widząc odświętnie ubranego Tymona, podążającego w jej stronę z bukietem. Konrad oparł się o ścianę, obserwując scenę z szerokim uśmiechem.

– Piękne kwiaty dla pięknej damy. – Mężczyzna wręczył bukiet Weronice, po czym ucałował ją w dłoń. – Ty tam, w rogu! – Machnął pogardliwie w stronę psychologa. – Przynies jakiś wazon, tylko chybikiem!

Konrad westchnął przesadnie i poszedł do kuchni. Kolejny raz był wdzięczny przyjacielowi. Gdy już Weronika wróci do formy, a morderca zostanie schwytany, Konrad będzie musiał jakoś odwdzińczyć się za to wszystko, choć nie miał pojęcia, w jaki sposób. Poświęcenie Tymona było tym większe, gdyż jego Anka była już w zaawansowanej ciąży, a co za tym idzie, mężczyzna miał cały swój dom na głowie. Wprawdzie twierdził, że siedzi

z Weroniką z czysto egoistycznych pobudek, chcąc wyrwać się od humorzastej żony, a myślenie o cudzych kłopotach oddala rozterki przyszłego tatusia, lecz Konrad zbyt dobrze znał swojego przyjaciela, by uwierzyć w tak naciąganą historię. Zdawał sobie sprawę, jak ważna dla Tymona była kwestia ojcostwa i jakim wielkim poświęceniem z jego strony było czuwanie nad Weroniką zamiast nad ciężarną żoną.

Słuchając gromkich śmiechów dochodzących z salonu, psycholog sięgnął po stojący na półce kryształowy wazon, by napełnić go wodą z kranu. Zerknął na ogród widoczny przez okno. Lipcowe słońce, częściowo skryte za chmurami, zapraszało na wyjazd nad jezioro lub chociaż krótki spacer na świeżym powietrzu. Kusząca wizja wspólnego odreagowania napięcia musiała jednak uznać wyższość potencjalnego zagrożenia.

Konrad, wpatrzony w kwitnący krzak róży, zastanawiał się, jak będzie wyglądało dalsze życie jego i Weroniki. Dziękował losowi, że nie dane im było doczekać się dziecka, choć do niedawna ta myśl wprawiała go w depresję. Teraz jednak musiał założyć, że kobieta pogrążona w hipnotycznym śnie mogłaby zrobić krzywdę nawet najbardziej ukochanej istocie.

Odganiając negatywne myśli, wrócił do salonu. Rozbawiona Weronika głośno się śmiała, co momentalnie wprawiło go w dobry humor. Dawno nie słyszał tego dźwięku, który teraz nagradzał trud ostatnich dni.

– Nie ma mnie trzy minuty, a ty już się rozbierasz? – Rzucił groźne spojrzenie w kierunku Tymona, przewieszającego akurat marynarkę przez oparcie fotela. – Może mam jeszcze skoczyć do sklepu, żebyś zdążył zdjąć resztę?

– Ta koszula i w ogóle całe to niewygodne wdzianko to dla Anki – odpowiedział przyjaciel, siadając na kanapie. – Muszę jej wynagrodzić te moje ciągłe nieobecności. Wiesz, kolacja, świece, te sprawy.

– Ale kwiaty są moje! – Weronika zanurzyła twarz w czerwonych płatkach. – Nie oddam, kup sobie własne!

– To dla pani domu za to, że znosiła moją osobę przez tyle dni, że już nie wspomnę o ciągłym podjadaniu przeze mnie ciastek.

Konrad wyjął bukiet z rąk żony i włożył go do wazonu, po czym postawił na stoliku. Kwiaty kontrastowały z bałaganem, toteż ułożył gazety w jeden stosik i sprzątnął zalegające talerze.

– Komu kawy? – spytał, kierując się z powrotem do kuchni. – Tylko Tymon, nie odpinaj więcej guzików, bo ci biust wyskoczy.

– Taki jesteś zabawny? – odparł przyjaciel. – To dla mnie latte macchiato z podwójnego espresso. Na górę posyp, proszę, trochę kakao i kardamonu. A dla tej uroczej damy cappuccino, nie za mocne, ale też nie za słabe. Całość proszę podać z kruchymi ciasteczkami.

– Państwa życzenie jest dla mnie rozkazem. – Konrad uklonił się nisko, zostawiając za sobą rozbawione głosy.

\* \* \*

Przedpołudnie spędzili przed telewizorem, oglądając najnowsze przygody Jamesa Bonda. W trakcie filmu nie obyło się bez złośliwych komentarzy, skierowanych głównie pod adresem Konrada. Zmasowany atak ze strony Tymona i Weroniki nie dawał mu najmniejszych szans, toteż w połowie projekcji terapeuta zarządził zawieszenie broni.

W południe profilaktycznie wyciszył telefon. Nie chciał z nikim

rozmawiać, postanowił poświęcić całą uwagę najbliższemu. Tymon nie mógł sobie na to pozwolić, efektem czego były dwie rozmowy z Anną, która zaciekle tłumaczyła mężowi potrzebę zakupu dodatkowych akcesoriów do pokoju dziecięcego, tym samym nieświadomie narażając mężczyznę na serię drwin ze strony małżeństwa Małeckich.

Dochodziła trzynasta, gdy Konrad postanowił wziąć się za przygotowanie obiadu. W planach miał prosty makaron z kupnym sosem bolońskim ze słoika, ale otworzywszy pękającą w szwach lodówkę, postanowił zaszaleć. Kolejna korzyść wynikająca z częstych odwiedzin Tymona, który z racji dużego apetytu regularnie dbał o dostawy świeżych produktów. Cukinie, papryki, trzy rodzaje sałat, pierś z kurczaka, wieprzowina, duży płąt świeżego łososa, zielone i czerwone pesto, fasolka szparagowa, mleko kokosowe... Kiedy on to wszystko kupił?

Konrad stał dłuższą chwilę przed otwartą lodówką. Ostatecznie zdecydował się na polędwiczki wieprzowe w sosie musztardowym z dodatkiem podsmażonych pieczarek i talarków ziemniaczanych. Do tego sałatka z pomidorami i oliwkami, skropiona octem balsamicznym.

Od razu przystąpił do krojenia mięsa na plastry. Nie uważał się za dobrego kucharza, ale lubił czasem trochę poeksperymentować w kuchni. Zwykle po kilkunastu minutach wzywał Weronikę, by ta wyręczyła go w co nudniejszych pracach, co i tym razem było kuszące. Spojrzał na pieczarki i ziemniaki, czekające tylko, aż ktoś je obierze i umyje.

– Może jednak makaron? – stwierdził pod nosem, wyjmując z szuflady obieraczkę.

Za oknem piękna pogoda wciąż zachęcała do wyjścia na zewnątrz. Myśl ta podsunęła mu rozwiązanie, dzięki któremu uniknie nużącego obierania ziemniaków. Wziął do ręki deskę z pokrojoną wieprzowiną i ruszył w stronę salonu.

– Moi drodzy... – oznajmił, widząc Tymona leżącego obok Weroniki na kanapie. Mężczyzna trzymał w ręku pilota i przeskakiwał po kanałach telewizyjnych, komentując pod nosem bieżącą ramówkę. – Dostyc tego gnicia przed ekranem. Już, już, wstajemy i idziemy do ogrodu na przepyszne grillowane polędwiczki. Ja idę rozstawić sprzęt i przetrzeć krzesła, bośmy dawno ich nie używali, a wasza urocza dwójka niech weźmie z kuchni jakieś warzywa, talerze i sztucce.

Konrad oczekiwał entuzjastycznej reakcji, podczas gdy jego słowa spotkały się jedynie z pomrukami niezadowolenia. Tymon przeciągnął się leniwie, po czym rzucił przyjacielowi wrogie spojrzenie.

– A może lepiej obejrzymy coś jeszcze i zamówimy pizzę? – spytał. – Wera, weź coś powiedz, bo włączył mu się aktywny tryb męczydupy. – Mrugnął znacząco. – To znaczy męczyduszy, oczywiście.

– Chyba śniesz – odpowiedziała, ciskając w mężczyznę poduszką. – Rusz się, grubasie. Od ponad tygodnia nie puszczacie mnie na zewnątrz! Nie sądzisz chyba, że odpuszczę taką niespodziewaną przepustkę do wolności?

– Czyli postanowione?

Konrad, znając upodobania przyjaciela do złośliwych komentarzy, zawczasu wycofał się z pokoju i wyszedł przez główne wejście, nie pozwalając Tymonowi na odzywkę. Do ogrodu

znacznie łatwiej było mu przejść drzwiami balkonowymi, jednak wówczas z pewnością nie zdążyłby uniknąć okolicznościowej wiązanki z ust przyjaciela. Z dwojga złego psycholog wolał obejść budynek.

Otworzył drzwi wejściowe i zrobiwszy parę kroków, przeszedł przez furtkę oddzielającą ogród od chodnika. Lubił tę dzielnicę. Okolica była spokojna, ruch niewielki, a większość mieszkańców posiadała garaż na co najmniej dwa samochody, dzięki czemu mało kto parkował na ulicy. Dlatego też widok granatowego passata stojącego tuż obok podjazdu psychologa przykuł jego uwagę. Zamykając bramkę, zerknął w kierunku samochodu. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz przypomniał sobie, że już kilkakrotnie widział to auto przed swoim domem. Dwa dni temu nawet pomyślał, że to sąsiad z lewej strony sprawił sobie nową brykę, zwłaszcza że Ryszard, starszawy wojskowy, zawsze gustował w niemieckiej motoryzacji, ale siedzący w środku kierowca zdecydowanie go nie przypominał.

Konrad przez chwilę patrzył z ciekawością w kierunku mężczyzny, kiedy ten nagle zauważył jego spojrzenie i gwałtownie się odwrócił. Psycholog zmrużył oczy. O ile sam samochód zaparkowany przed domem nie był niczym specjalnym, to dziwne zachowanie kierowcy wydało mu się podejrzane.

Był dziesiąty – dzień, w którym od ostatnich dwóch miesięcy dochodziło do niewytłumaczalnych morderstw pozorowanych na samobójstwa. Konrad nie mógł sobie pozwolić na luksus ignorowania podejrzeń, nie kiedy w grę wchodziło życie jego żony. Zamknął porządnie furtkę i ruszył w kierunku drzwi balkonowych, skąd wrócił do salonu.

– Grill się dopiero rozpala, jeszcze nie musisz wychodzić! – krzyknął do Weroniki, która tylko machnęła ręką i dalej czytała książkę. – A ty pomóż mi jeszcze w kuchni. – Skinął na Tymona.

Przyjaciel posłusznie ruszył we wskazanym kierunku. Zanim jednak zdążył sięgnąć po miskę z sałatką, Konrad chwycił go za ramię i pociągnął ku sobie.

– Przed domem stoi granatowy passat – szepnął. – Wiem, że to ociera się o paranoję, ale wolę dmuchać na zimne. Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że ten samochód chyba stoi tam od dłuższego czasu. Jak spojrzałem w kierunku kierowcy, to ten gwałtownie odwrócił się, jakby nie chciał, żebym zobaczył jego twarz. – Zawahał się, patrząc Tymonowi w oczy. – Zachowanie Weroniki było zbyt dziwne... Być może ktoś jej czegoś dosypał do jedzenia, żeby miała halucynacje, coś szybko rozpuszczającego się w organizmie, a dzisiaj chce dokończyć dzieła? To właśnie dziesiątego dnia miesiąca dochodzi do morderstw. Może to zbieg okoliczności, może to po prostu jakiś facet w samochodzie, ale co jeśli nie?

– Myślisz, że jest taki głupi? – spytał Tymon, patrząc na niego z lekkim niedowierzaniem.

Po chwili jednak skinął głową i ruszył w kierunku korytarza. Obok drzwi wejściowych było niewielkie okno zasłonięte firanką. Mężczyzna wyjrzał przez nie, starając się nie odchyłać tkaniny, i przez dłuższą chwilę zerkał na ulicę. W końcu spojrzał na Konrada ze strapioną miną.

– Tak jak teraz o tym mówisz, to też mi się zdaje, że ten samochód już jakiś czas tu sterczy. A facet stał po drugiej stronie ulicy, patrząc na wasz dom i rozmawiając przez komórkę.

Rzeczywiście wygląda podejrzanie. Myślisz, że powinniśmy wezwać policję?

Konrad zastanowił się. Jeśli ich przypuszczenia były trafne, oznakowany radiowóz z pewnością wystraszyłby mężczyznę czatującego przed domem. Policjanci najprawdopodobniej w pierwszej kolejności zamiast zatrzymać podejrzanego, zadzwoniliby do drzwi psychologa w celu zebrania dokładnych informacji, co z kolei umożliwiłoby domniemanemu mordercy w porę się ulotnić. Rozjuszony, mógłby wrócić później, tym razem zachowując większą ostrożność. Idealnym rozwiązaniem byłoby przysłanie nieoznakowanego radiowozu, lecz Konrad wątpił, by dyspozytor przystał na taką prośbę.

– Chyba lepiej od razu do prokuratora. – Psycholog oparł się o blat i z kieszeni wyjął telefon. – W innym wypadku tylko przestraszymy tego gościa.

Wybrał numer, nie czekając na odpowiedź przyjaciela. Po trzech sygnałach w słuchawce rozbrzmiał głos prokuratora:

– Dębiński, słucham.

– Witam, Konrad Małecki z tej strony. Rozmawialiśmy o śledztwie...

– Tak, wiem, kim pan jest – prokurator przerwał mu w połowie zdania. Brzmiał na zdenerwowanego. W tle słychać było cichy szum, jakby mężczyzna jechał właśnie samochodem. –

Przypomniał pan sobie o czymś?

Psycholog pomasaował dłonią czoło, próbując zebrać myśli i powstrzymać potok słów, który cisnął mu się na usta. Wziął głęboki oddech.

– To może nic takiego, ale wie pan, dzisiaj akurat jest dziesiąty



lipca, a pod moim domem stoi podejrzany facet. Jestem niemal pewny, że widziałem go już wcześniej, jak kręcił się po okolicy. Normalnie wezwałbym policję, ale najlepiej, jakby jakiś nieoznakowany radiowóz przyjechał, żeby go nie spłoszyć.

Nastąpiła krótka cisza, podczas której słychać było jedynie lecąca w tle muzykę. Konrad spojrział na przyjaciela, dyskretnie wyglądającego przez firankę.

– Panie Konradzie, mówi pan o ciemnym volkswagenie?

Psycholog poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Czyżby wpadli na trop mordercy? Oznaczałoby to, że od kilku dni kręcił się wokół ich domu, a policja zamiast interweniować, jedynie obserwowała go z ukrycia. Może czekali, by złapać go na gorącym uczynku?

– Tak, granatowy passat! – niemal krzyknął. – Rozumiem, że cały czas macie go na oku?

– Tak jakby. Panie Małecki, gratuluję spostrzegawczości, ale muszę pana uspokoić. To są nasi ludzie. Pytanie, dlaczego w samochodzie jest tylko jeden funkcjonariusz, ale to już nie pana zmartwienie. Zaraz to załatwię. Coś jeszcze?

Animusz ulotnił się z Konrada jak powietrze z przekłutego balona. Powinien być wprawdzie zadowolony, że policja obserwuje jego dom, ale skoro on był w stanie ich namierzyć, to co dopiero morderca, dokonujący swych zbrodni z wyjątkową dbałością o szczegóły. Jeśli ktoś planował zaatakować Weronikę, to z pewnością znajdzie sposób, by dotrzeć do niej bez wzbudzania podejrzeń tajniaków.

– Nie, dziękuję. – Rozłączył się, przypominając sobie, że od dłuższego czasu Weronika siedziała sama w salonie. Spojrział na Tymona, który co rusz zerkał przez okno. – Fałszywy alarm, to

jacyś tajniacy. Chodź do Wery, lepiej jeszcze mieć ją na oku.

Tymon jedynie przytaknął, po czym podszedł do lodówki i wyjął dwie butelki piwa. Stał tak chwilę przed otwartymi drzwiami urzędnika, jakby chcąc ostudzić wciąż gorące emocje, po czym odłożył alkohol na miejsce.

– Sok będzie bardziej odpowiedni – powiedział sam do siebie, sięgając po karton z napojem. – Zresztą Anka by od razu wyczuła. Czyli co? Grill czy pizza?

Ściśnięty z nerwów żołądek Konrada sugerował trzecią opcję – ścisły post. Mężczyzna pominął pytanie przyjaciela milczeniem, kierując się prosto do salonu. Chciał tylko przytulić żonę i w takiej pozycji wyczekać następnego dnia. Cały czas powtarzał sobie, że czuwają nad nimi profesjonaliści, a zainstalowany system alarmowy powinien zareagować na każdą próbę włamania, ale i tak czuł potworny stres, gorzej niż przed egzaminem maturalnym.

– Idzie na deszcz, nic nie będzie z tego grillowania! – Zmusił się do uśmiechu, by kobieta nie wyczytała napięcia z jego twarzy. – Jak jesteś głodna, to zamówimy coś, ale ja nie mam ochoty na nic tłustego.

Podszedł do kanapy. Zamiast Weroniki zobaczył jedynie leżącą na ziemi książkę, którą czytała przed kilkoma minutami, oraz rozwinięte bandaż. Nerwowo rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Wera?! – krzyknął zaniepokojony. – Kochanie, gdzie jesteś?

Czuł, jak ogarnia go panika. Rozsądek sugerował, że kobieta po prostu wyszła do łazienki lub przed grillowaniem postanowiła przebrać się w coś odpowiedniejszego. Prawdopodobieństwo, że morderca wtargnął do ich domu akurat w momencie, kiedy Konrad

dzwonił do prokuratora, było minimalne, ale wyobraźni nie przeszkadzało to podsuwać czarnych scenariuszy, w których psychopata od dłuższego czasu przebywał w ich domu, czyhając na odpowiednią chwilę.

– Tymon, zobacz na zewnątrz. – Skinął na przyjaciela. – Może wyszła do ogrodu.

Sam biegiem ruszył na piętro. Bardzo chciał zobaczyć Weronikę szukającą w szafie swetra lub myjącą twarz w łazience. Przed oczami miał scenę sprzed dwóch tygodni, gdy pozbawiona świadomości szorowała czołem po ścianie, ścierając sobie skórę. Momentalnie pożałował, że nie zmusił jej do hospitalizacji, nawet jeśli oznaczałoby to pobyt w ośrodku zamkniętym. Tam byłaby przynajmniej bezpieczna.

– Weronika?! – krzyknął z całych sił.

Sypialnia była pusta, podobnie jak pozostałe pomieszczenia na pierwszym piętrze. Terapeuta przystanął w drzwiach feralnego pomieszczenia, na którego ścianie wciąż widniała ciemnoczerwona smuga. Czuł, jak ogarnia go bezradność. Nie mógł sobie darować, że stracił czujność. Musiał działać szybko, każda sekunda była na wagę życia Weroniki. Nigdy nie wybaczy sobie, jeśli coś jej się stanie.

\* \* \*

Ledwie słyszalny dźwięk dzwonków dobiegał gdzieś z garażu. Leżąca na kanapie Weronika ignorowała brzęczenie, jednak to z każdą sekundą przybierało na intensywności. Czuła drganie otaczającego ją powietrza, delikatnie drażniące ciało. Początkowo przyjemne uczucie stopniowo zaczynało irytować, jakby niewidzialna siła łaskotała ją po całym ciele. Odruchowo

podrapała się po obandażowanym przedramieniu. Drgające fale powietrza, wywołane coraz głośniejszym dzwonieniem, jakby skupiały się pod opatrunkiem. Epicentrum nieznośnego swędzenia zaczęło równomiernie pulsować. Weronika szybko zdjęła bandaż i aż wstrzymała oddech na widok ciemnozielonego płatu skóry, pokrytego drobnymi, sinymi zgrubieniami, wypełnionymi białym płynem. Nie mogąc się dłużej powstrzymać, rozdrapała je z obrzydzeniem, uwalniając lepką maź, która momentalnie pokryła całe jej dłonie. Zamiast spodziewanej ulgi poczuła jedynie jeszcze mocniejsze swędzenie.

Wstała z kanapy, kierując się w stronę garażu. Nie całkiem rozumiała dlaczego, ale podświadomie wiedziała, że tam znajdzie ukojenie. Z każdym krokiem coraz wyraźniej słyszała dźwięk dzwonek, który układał się w znaną z dzieciństwa melodię, nuconą do snu przez matkę. Weronika przymknęła powieki, pozwalając prowadzić się kołysance. Dźwięk otulał ją ze wszystkich stron. Czuła czyjąś obecność, nie był to Konrad ani Tymon. Nie znała go, ale wiedziała, że może mu zaufać, że tylko on może jej pomóc, że przybył tu specjalnie dla niej.

Z wciąż zamkniętymi oczami podeszła do umieszczonej na ścianie tablicy, na której wisiały podstawowe narzędzia i artykuły samochodowe. Nieużywane od lat, jedynie zbierały kurz, choć Konrad twierdził, że kiedyś poczuje zew majsterkowicza i zacznie samodzielnie grzebać przy samochodzie. Pomimo zamkniętych powiek kobieta dokładnie wiedziała, po co sięga. Najchętniej skorzystałaby z prostej szpachelki, którą zerwałaby podgniły płat skóry, jednak mając do wyboru klucze do kół, pas transportowy czy tuzin różnych nasadek, musiała zadowolić się kluczem

nastawnym.

Weronika przyłożyła chłodny metal do skóry, próbując ją podważyć. Swędzenie wciąż przybierało na sile, toteż działała w pośpiechu. Impulsywne ruchy zamiast zerwać częściowo martwą powierzchnię, jedynie ją poharatały. Kobieta z wściekłością cisnęła narzędziem o podłogę. Potrzebowała czegoś innego.

Z uśmiechem zadowolenia podeszła do regału stojącego tuż przy drzwiach prowadzących na korytarz. Dłonią przeciągnęła po karoserii samochodu, zostawiając na niej czerwone smugi. Nic nie widziała, lecz bez wahania sięgnęła po karton znajdujący się na samej górze metalowej konstrukcji i postawiła go na ziemi. Nie miała czasu na zachowanie porządku, więc wyrzuciła jego zawartość na podłogę. Po chwili w dłoniach trzymała niewielki, prostokątny kawałek papieru ściernego. Kobieta zacisnęła wargi z rozkoszy, gdy szorstka powierzchnia poradziła sobie z irytującym swędzeniem. Uldze towarzyszył dźwięk dzwonek.

Przez kilkadziesiąt sekund szorowała papierem przedramię. Krew ściekała po jej dłoniach, mieszając się z wyciekającym z bąbli białym śluzem. Jasna tunika zyskała nowy, czerwony wzór. Weronika czuła niesamowitą przyjemność. Chciała zachować błogie uczucie przy sobie, lecz to powoli zanikało. Tarła coraz mocniej i szybciej, próbując je zatrzymać, niestety bezskutecznie.

Przez rozbrzmiewające wokół niej dzwonki przebił się nagle głos Konrada. Mężczyzna coś krzyczał, chyba jej szukał, nie mając pojęcia, że i tak nie może nic zrobić. Kochała go i wiedziała, że działa w dobrej wierze, ale ulgę dać jej mógł tylko ktoś inny. Nie znała imienia, ale wciąż czuła jego obecność. To on nucił kołysankę z dzieciństwa. Nic nie mówił, mimo to słyszała głos

podpowiadający, że powinna szybko udać się do kuchni. Szukający jej mężczyźni akurat przebywali w innych miejscach, dzięki czemu Weronika będzie mogła dokończyć dzieła, raz na zawsze pokonując swędzenie.

Spokojnym krokiem wyszła z garażu i ruszyła korytarzem. Nie dbała o to, czy ktoś ją zauważy. Konrad panicznie nawoływał na piętrze, Tymon zaś pokrzykiwał coś z ogrodu. Potrzebowała jedynie kilku minut spokoju, podczas gdy oni za wszelką cenę próbowali jej w tym przeszkodzić.

Tak jak wcześniej, nie musiała otwierać oczu, by znaleźć potrzebne narzędzia. Jakby codziennie miała w nawyku gotować z zamkniętymi powiekami, pewnym ruchem sięgnęła po leżącą między garnkami tarkę do warzyw i podeszła do zlewu. Po chwili pierwsze drobinki ciała Weroniki przywarły do metalowej powierzchni. Jej przedramię, niczym marchewka ścierana do ryby po grecku, spadało kawałek po kawałku, rozpryskując naokoło krew. O ile użycie papieru ściernego przyniosło błogą ulgę, tak teraz poczuła prawdziwą ekstazę. Żaden orgazm, nawet ten podczas nocy poślubnej, nie mógł się temu równać. Było idealnie.

Nie słyszała już niczego poza dzwonkami. Przedramię wreszcie przestało doskwierać, lecz irytujące swędzenie przeskoczyło na czoło, na którym wciąż miała rany sprzed kilku dni. Tym razem nie popełni tego błędu, nie zadowoli się półśrodkami, od razu postawi na konkretne działanie.

Powoli rozwinęła bandażę z głowy, ignorując krew kapiącą z przedramienia. Przyłożyła metalową tarkę do czoła, trzymając ją oburącz. Ostre końcówki przyjemnie przecinały skórę, lecz kobieta nie była w stanie wykonywać długo odpowiednich ruchów.

Potrzebowała czegoś innego. Z szuflady wyjęła pierwszy z brzegu nóż. Skoro nie mogła wydrapać skóry, to wytnie ją tuż przy kości. Nie potrzebowała lustra, by stwierdzić, że chłodne ostrze wbiło się dostatecznie głęboko. Twarz Weroniki spłynęła krwią, a jej dłonie spokojnie odcinały skórę, jakby obierały soczyste jabłko.

Była już tak blisko. Mimo akompaniamentu dzwonek wyraźnie słyszała nawoływanie. Był obok, cierpliwie czekał, aż spełni jego prośbę. Zakrwawiony plaster skóry upadł na ziemię z nieprzyjemnym plaskiem. Weronika podniosła ociekające czerwienią ostrze i otworzyła szeroko usta. To był jej moment. To był ich moment.

## Rozdział VIII

Paweł obudził się zlany potem. Śnił o Konradzie Małeckim. Psycholog stał nad nim, trzymając w dłoni dziwną monetę, która wydawała z siebie dźwięk dzwoneczków. Dziennikarz leżał na kozetce, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Hipnoza odebrała mu kontrolę nad ciałem, choć wciąż zachował świadomość i z przerażeniem obserwował, jak wbrew własnej woli podnosi się i podchodzi do miejsca, w którym kilka dni wcześniej zamontował kamerkę. „To twoje pięć minut. – Pamiętał dokładnie słowa terapeuty, patrzącego na niego z uśmiechem. – Tak ci zależało na popularności, więc proszę bardzo, nie krępuj się, zagraj rolę swojego życia”. Dziennikarz chciał coś odpowiedzieć, krzyknąć, że zrozumiał ostrzeżenie, że nie będzie więcej wchodzić mu w drogę, ale było już za późno. Jego ciało ukłoniło się do kamery, po czym podeszło do stolika ustawionego między fotelami i podniosło mały, metalowy widelczyk do ciasta, rozpoczynając serię makabrycznych tortur.

Mógłby przysiąc, że chwilę przed przebudzeniem tuż nad jego głową rozbrzmiały dziesiątki małych dzwoneczków, wyrrywając go z koszmarne snu. Wystraszony, zerwał się z poduszki. Cały zlany potem, ciężko dyszał, szukając wzrokiem terapeuty. Dopiero wiercenie Bałki, przewracającej się na drugi bok, nieco go otrzeźwiło, lecz o dalszym śnie nie było już mowy.

Nie chcąc niepokoić żony, wstał z łóżka i ruszył w stronę salonu. Wprawdzie doszedł już do siebie, ale ciemność panująca



w mieszkaniu wydawała się kryć w sobie coś mrocznego. Z ulgą zamknął za sobą drzwi w dużym pokoju i zapalił światło. Podobny strach czuł ponad trzydzieści lat temu, gdy po obejrzeniu pierwszej części *Obcego* miał wrażenie, że z każdego zakamarka dobiega przeraźliwy skrzek, a zamknięciu powiek towarzyszył obraz kosmicznego potwora wiercącego dziurę w jego brzuchu. Wtedy przez tydzień zasypiał przy zapalonym świetle.

Zegar wiszący na ścianie wskazywał, że dochodziła trzecia nad ranem. Powtarzając sobie, że to był tylko sen, mężczyzna wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Powietrze przyjemnie chłodziło gorące, spocone czoło. Oparł się o barierkę i rozejrzał. W sąsiednim bloku wszystkie światła były zgaszone, z dołu dobiegała kłótnia podpitych małolatów, za nic mających ciszę nocną. Paweł starał się ich nie słuchać, skupiając uwagę na czystym, świeżym powietrzu i kojącym nerwy dymku. Nie musiał rozmawiać z żadnym specjalistą, by wiedzieć, że koszmar senny był przejawem obawy przed zemstą Małeckiego, którego od dwóch tygodni próbował zdemaskować. Wprawdzie dwa dotychczas opublikowane artykuły nie ujawniły jeszcze nazwiska terapeuty, ale nie pozostawiały złudzeń, że takowe wkrótce padnie. Dziennikarz skrupulatnie opisał związki pomiędzy trójką zamordowanych, kładąc nacisk na skrajną okrutność czynu oraz fakt, iż korzystali z usług tego samego psychologa. To oraz świadomość, że dzisiejszego dnia prawdopodobnie zginie kolejna osoba, musiały wywrzeć wpływ na Pawła, którego umysł odreagowywał, podsuwając koszmarne wizje.

Nie bardzo wiedział, co dalej zrobić. Obserwacja nagrań z kolejnych sesji z gabinetu Konrada wciąż nie przyniosła

oczekiwanych rezultatów. Jak na złość psycholog poruszał z pacjentami same błahe sprawy, ani razu nawet nie dotykając tematu hipnozy. Dziennikarz obawiał się, że jego fortel został od razu wykryty, a to, co oglądał, było jedynie zasłoną dymną przygotowaną przez psychologa. Oznaczałoby to, że od początku gra odbywała się pod dyktando Małeckiego, a artykuły, zamiast go pograć, zapewnią dożywotnią sławę.

Paweł wydmuchał z płuc papierosowy dym, zastanawiając się, jaki powinien być jego następny krok.

\* \* \*

Odkąd chłopcy wyjechali na obóz, który zmusił Pawła do zaciągnięcia szybkiej pożyczki w firmie specjalizującej się w tak zwanych chwilówkach, w mieszkaniu panował spokój. Basia sypiała pół godziny dłużej, nie musząc przygotowywać śniadania dla młodych, dzięki czemu dziennikarz miał więcej czasu na poranne oglądanie nagranych sesji terapeutycznych.

Tego dnia Paweł nie miał jednak ochoty na żaden film. Dziesiąty lipca miał być momentem jego triumfu, podczas gdy od dawna stał w miejscu, nie dysponując ostatecznym dowodem winy Konrada. Jediną interesującą informacją, mogącą wniesć coś do sprawy, był stan żony psychologa. Jak dowiedział się Robert od jednego ze swych licznych informatorów, Weronika Małecka trafiła do szpitala po tym, jak w niejasnych okolicznościach doznała obrażeń głowy. Dziennikarze dotarli do placówki, w której poddano ją badaniom neurologicznym, jednak ku ich zaskoczeniu lekarze nie byli chętni do dzielenia się informacjami o stanie pacjentki, odmawiając przyjęcia koperty przygotowanej przez Roberta.

Śledztwo, zamiast przynosić ogromne zyski, na razie tylko

regularnie zadłużało ich konto. Widmo rosnących odsetek zmuszało do zintensyfikowania prac. Jedynym pomysłem Pawła było kolejne spotkanie z Elżbietą, której zachowanie sugerowało, iż to właśnie ona może być następną ofiarą.

– Co ty wyprawiasz? – Z zamysłu wyrwał go głos Baški. – Palisz w mieszkaniu? Do reszty cię pogięło?

Dziennikarz spojrzał na trzymanego w dłoniach papierosa. Nie pamiętał, kiedy go odpalił. Siedział w fotelu, rozważając następny krok, podczas gdy jego ręce musiały automatycznie chwycić paczkę fajek.

– Przepraszam – rzucił, sięgając po popielniczkę. W metalowym pojemniku leżały już cztery pety, co oznaczało, że palił tak od dłuższego czasu. – Zamyśliłem się, raz jeszcze przepraszam.

– Ogarnij się, człowieku! – Podeszła do drzwi balkonowych i ostentacyjnie je otworzyła, machając dłonią na dym papierosowy. – Od kilku dni jesteś nieobecny. Myślałam, że wyjazd chłopaków wykorzystamy w inny sposób, przyjemnie, a ty tylko tak siedzisz i gapisz się w ścianę. Nie mogę już na ciebie patrzeć.

Chciał wszystko wytłumaczyć, lecz zamiast tego bez słowa spuścił głowę. Nie mógł jej w to mieszać, nie teraz, gdy zagrożenie było największe. Od razu zakazałaby mu kontynuowania śledztwa, wysuwając najcięższą artylerię – bezpieczeństwo ich dzieci. Zrzucanie winy na ciężką pracę było bezcelowe, zbyt dobrze się znali, by Baška kupiła oklepaną bajeczkę.

– Jutro, kochanie – odpowiedział po dłuższej chwili, wstając z fotela. Zamierzał zapalić jeszcze jednego papierosa, po czym zje szybkie śniadanie i pojedzie do redakcji, porozmawiać z Robertem. – Jutro będę cały twój. Wynagrodzę ci wszystko, masz moje słowo.

Nie gniewaj się.

Baśka machnęła ręką i zostawiła go sam na sam z dylematami. Chętnie zabrałby ją do eleganckiej restauracji, lecz nie stać go było nawet na kebab. Stojąc na balkonie, czuł, jak bardzo jego życie zależy od powodzenia śledztwa. Nie mógł już się wycofać, zbyt dużo zainwestował w przygotowania – i nie tylko pieniądze miał na myśli, choć ich brak doskwierał coraz mocniej.

\* \* \*

W redakcji jak zawsze panowała atmosfera chaosu. Osoba z zewnątrz mogła odnieść wrażenie, że pracujący tam ludzie są na wiecznym narkotykowym haju, który każe im krzyczeć, biegać i robić wszystko w nienaturalnie szybkim tempie. Nikt tam nie miał czasu delektować się kawą, toteż normą było zalewać kubek wrzątkiem do połowy, resztę wypełniając zimną wodą, by móc błyskawicznie wlać w siebie kolejną dawkę kofeiny.

Gołym okiem odróżnić można było starych wyjadaczy od świeżego narybku, z którego większość nie przetrwa trzech pierwszych miesięcy. Rozbiegane spojrzenia, wypieki na twarzach i nerwowe przebieranie nogami charakteryzowały wakacyjnych stażystów oraz świeżo upieczonych absolwentów, od razu rzuconych na głęboką wodę. Dwóch takich towarzyszyło Robertowi, z uwagą notując każde jego słowo. Mężczyzna wyglądał na zadowolonego, jakby był w swoim żywiole. Ubrany w swoje ulubione spodnie moro i wpuszczoną w nie koszulkę, wczuł się w rolę wykładowcy traktującego z góry wszystkich studentów. Widać było wyraźnie, jak łechce to jego przerośnięte ego.

– Do siedemnastej chcę to widzieć na swoim biurku. – Kończył akurat wydawać polecenia, gdy Paweł wskazał mu jeden z pokoi

konferencyjnych. Robert skinął głową i machnął niecierpliwie ręką na młodziaków niczym na irytujące muchy. – A teraz zniknąć mi z oczu, dość już czasu na was straciłem.

Paweł od razu ruszył do wolnego pomieszczenia. Ciasna salka na wyposażeniu miała sfatygowany stolik, na blacie którego niczym w szkole podstawowej można było wyczytać obraźliwe hasła o naczelnym i kilku dziennikarzach, sześć krzeseł, rzutnik multimedialny i stacjonarny telefon. Robert zajął miejsce przy drzwiach, rozkładając nogi na sąsiednim siedzeniu.

– Wiesz, jaki dziś dzień? – spytał Paweł, siadając po przeciwnej stronie stołu. – Jaki masz plan?

– W sensie, że dziesiąty, tak? – Robert wyciągnął ręce do tyłu i oparł głowę o splecione dłonie. – Jaki mam plan? A kto ty, kurwa, jesteś? Moja stara?

Nie było czasu na słowne przepychanki, do czego najwyraźniej dążył Robert. Jego podrażniona ambicja zasłaniała mu rzeczywistość, w której średnio przykładał się do pracy. Zamiast tego wolał wyrzucać Pawłowi samodzielne opublikowanie dwóch tekstów. Na nic zdały się tłumaczenia dziennikarza, iż były to jedynie fundamenty pod prawdziwą bombę, którą – według oficjalnej wersji – napisać mieli wspólnie.

– Nie strzelaj mi tu fochów, bo nie mamy na to czasu – spokojnym tonem odparł Paweł. – Już po jedenastej, a my siedzimy, zamiast działać w terenie. Pytanie, co jest ważniejsze: obserwacja Małeckiego, jego żony czy tej fryzjerki. Jest nas dwóch, więc kogoś trzeba będzie odpuścić.

Robert opuścił nogi na podłogę. Przez chwilę wyglądał, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć normalnie, czy kontynuować

chamskie odzywki.

– A jak, bystrzaku, niby chcesz obserwować żonę tego psychologa? – odpowiedział w końcu, ewidentnie decydując się na coś w rodzaju wewnętrznego kompromisu, godząc rolę obrazonego prostaka i rzetelnego dziennikarza. – Toć ona nosa nie wyściubia na zewnątrz, poza tym ciągle ktoś przy niej jest. Chcesz się włamać do ich domu? A może tam też zainstalowałeś kamerkę? –

Spojrzał na Pawła z triumfalnym uśmiechem. – Co, myślałeś, że się nie dowiem? Jesteś kawał chuja, tyle mam do powiedzenia. Ciesz się, że ci mordy nie obiję.

Sprawy przybrały niekorzystny obrót. Robert może nie był bardzo pomocny, ale sprowokowany potrafił człowiekowi uprzykrzyć życie. Cała redakcja pewnie wiedziała już o nieautoryzowanym użyciu sprzętu redakcji przez Pawła, do którego na dobre przyłganie łatka oszusta i złodzieja tematów.

– To nie pora na przepychanki – stwierdził, wstając z krzesła. – Nie chciałem nic mówić, póki nie znajdę czegoś ciekawego. Zresztą póki co to nic niewarta paplanina zakompleksionych bogaczy, pieprzących same farmazony o poszukiwaniu prawdziwego szczęścia. Powinieneś być mi wdzięczny, że oszczędziłem wiele godzin twojego czasu.

Robert również wstał i podszedł do niego z zaciśniętymi pięściami. Oddychał ciężko, jakby zaraz miał go zaatakować.

– Nie pierdol – odparł, patrząc mu głęboko w oczy. – Jesteś szczurem. Gównem próbującym wypromować się na czyichś plecach, ale nic z tego nie będzie. Jesteś zerem, nikt tu ci nie pomoże, a stary czeka na wytłumaczenie, dlaczego bez jego zgody używasz firmowego sprzętu.

Odwrócił się i podszedł do drzwi. Paweł odprowadził go niechętnym wzrokiem, próbując na szybko znaleźć wyjście z sytuacji. Jeśli naczelny rzeczywiście usłyszał o nielegalnym zainstalowaniu kamery, to jego przyszłość wisiała na włosku.

– Aha, jeszcze jedno... – Robert zatrzymał się w progu. – Masz czas do piątku na zwrot mojej kasy, którą wpompowałem w tę sprawę. Dobrze ci radzę, nie spóźnij się.

Wychodząc, trzasnął drzwiami. Nie zdążył zrobić kilku kroków, gdy doskoczyły do niego dwie kobiety z minami niepozostawiającymi wątpliwości co do poruszanego tematu. Ich oburzone spojrzenia i usta wygięte w ironicznym uśmiechu manifestowały niezadowolenie z powodu najnowszego newsa. Wyższa, Kaśka, ubrana w krótką spódniczkę i białą koszulę, dawno już przekroczyła czterdziestkę, co nie przeszkadzało jej dzielić garderoby z córką. Obok niej, przytrzymując Roberta za przedramię, stała Karolina, w redakcji nazywana Wdową. Jej strój zdradzał zamiłowanie do czerni, jakby przez całe życie nosiła żałobę. „Może wciąż oplakuje utratę mózgu” – Paweł uśmiechnął się do swoich myśli.

– Zawsze mi wyglądał na mendeę. – Doszły go słowa Kaśki, nic sobie nierobiącej z faktu, iż obgadywany mężczyzna stał w zasięgu wzroku. Musiała zdawać sobie sprawę, że oszklone drzwi nie tłumiły praktycznie żadnych dźwięków. – Źle mu z oczu patrzyło.

– Mnie podpadł na wigilii – odparła Karolina. – Nie dość, że przyszedł na ostatnią chwilę, to nie dorzucił się do składki na żarcie.

Robert nie słuchał, wpatrzony w ich dekolty. Jak na zapracowanego dziennikarza, za jakiego zawsze się podawał, miał

zadziwiająco dużo czasu na rozmowy z największymi biurowymi plotkarami. Nie było tajemnicą, że obie kobiety stanowiły istną skarbnicę wiedzy o kolegach i koleżankach z redakcji, którą nie omieszkiwały się dzielić przy każdej możliwej okazji. Paweł nie miał wątpliwości, że wcześniej obgadywały także Roberta, za imprezowy styl życia i nadużywanie alkoholu. Teraz nie przeszkadzało im to traktować mężczyzny jak superkumpla, o którym nie sposób było powiedzieć złego słowa. Obie stanowiły idealną wizytówkę „Super Faktu”.

– I co z nim teraz będzie? – „Wdowa” rzuciła w stronę Pawła spojrzenie pełne pogardy. – Stary go wywali? Nie będziemy przecież pracować z kimś takim!

– Dawida ponoć zjechał po całości. – Kaśka była w swoim żywiole, mogąc podzielić się najnowszymi informacjami. – Póki co go nie zwolnił, bo nie miał nikogo na zastępstwo. Mam nadzieję, że oszczędzi naszego Dawidka, przecież każdy wie, że to вина...

Dziennikarz wyszedł z salki, skupiając na sobie wzrok. W redakcji, jeszcze przed chwilą tętniącej głosami, zapanowała nagła cisza. Na wrogie spojrzenia Paweł odpowiedział uśmiechem. Wdawanie się w dyskusje z kimkolwiek poza naczelnym nie miało sensu, toteż przemknął bez słowa. Za plecami słyszał ściszone głosy. Zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli naczelny postanowi dać mu szansę, to współpraca z ludźmi mającymi go za ostatnią szuję skazana była na porażkę. Nikt porządnie nie obrobi mu zdjęć, nie podzieli się informacjami, nawet uniemożliwią mu wykorzystanie stażystów do podstawowego researchu, twierdząc, że wszyscy są wyjątkowo zajęci.

„Chyba że doprowadzę do końca śledztwo w sprawie



Małeckiego” – pomyślał, zawracając z drogi do gabinetu naczelnego. Stary nie był głupi, a nade wszystko zależało mu na głośnych tematach, więc powinien przymknąć oko na wszystko, gdy tylko na jego biurko trafi wywiad z Elżbietą, w którym kobieta, nawet nie podając nazwiska, opisuje swoją historię, nieco ubarwioną. Całość, spuentowana nawiązaniem do wcześniejszych artykułów o hipnozie, powinna zagwarantować Pawłowi zachowanie posady. Póki co potrzebował regularnych pensji, więc takie rozwiązanie wydawało się najbardziej rozsądne. Pozostało jedynie nakłonić fryzjerkę do wywiadu na wyłączność.

\* \* \*

Dochodziła czternasta, gdy dziennikarz zaparkował samochód na ulicy, przy której Elżbieta prowadziła salon. W ostatniej chwili znalazł wolne miejsce. Tuż przed nim rozpościerał się korek stojących samochodów. W wakacje o tej porze ulice powinny być przejezdne, toteż Paweł stwierdził, że musiało dojść do jakiejś stłuczki.

Wcześniej trzykrotnie telefonował do fryzjerki, ale nie odbierała. Nie chciał nachodzić jej bez zapowiedzi, zwłaszcza że od feralnej kolacji tylko raz z nią rozmawiał, lecz musiał działać szybko.

Z nieba lał się żar. Spikerka w radiu ostrzegała przed odwodnieniem i zalecała nie wychodzić z domu w największy upał. W najbliższej okolicy najwyraźniej nikt nie posłuchał jej wskazówek, gdyż na ulicy panował wyjątkowy tłok. Dopiero po pokonaniu kilkudziesięciu kroków dziennikarz zwrócił uwagę na dwa wozy strażackie blokujące przejazd na wysokości salonu Elżbiety, obok nich stała karetka pogotowia i dwa radiowozy.

Paweł przyspieszył kroku. Przedzierając się przez tłum gapiów, dosłyszał kilka komentarzy o wielkiej tragedii. W powietrzu czuł swąd dymu. Z wysiłkiem dotarł do strefy oddzielonej przez dwóch policjantów, trzymających ludzi na dystans i co chwila nakazujących, by wszyscy wrócili do swoich obowiązków. Za plecami mundurowych w asyście ratowników medycznych kuciała oparta o ścianę Kamila.

– Proszę się odsunąć – policjant uparcie powtarzał formułkę.

Paweł wyciągnął legitymację prasową, po czym zdecydowanym krokiem ruszył w stronę dziewczyny.

– Halo, panie, gdzie pan leżesz?

Dziennikarz machnął identyfikatorem w jego stronę, ale mundurowy nawet nie spojrzał.

– Nie ma przejścia, żadnych zdjęć!

– Jestem dziennikarzem – odparł Paweł pewnym siebie głosem, jakby fakt ten uprawniał go do wszystkiego.

– Stój, człowieku. – Policjant mocno chwycił mężczyznę za ramię i pociągnął do tyłu. – Jeszcze jeden taki wybryk i będę zmuszony pana zatrzymać. Jasne?

Kamila spojrzała w ich stronę. Zapłakana twarz dziewczyny była opuchnięta od łez. Jeden z ratowników kończył opatrywać jej dłoń, podczas gdy drugi rozmawiał przez telefon. Nigdzie nie było widać właścicielki salonu.

– Gdzie Ela? – krzyknął dziennikarz do stażystki. – Co tu się stało?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Rozmazany makijaż spływał jej po policzkach, sprawiając, że wyglądała na jeszcze bardziej zrozpaczoną. Ratownik powiedział coś do niej, po czym skinął na

drugiego i obaj weszli do zaparkowanego obok ambulansu. Po chwili samochód ruszył, a do Kamili podszedł jeden z policjantów.

Paweł stał w tłumie, rzucając pełne irytacji spojrzenia na mundurowego, który ostentacyjnie patrzył w jego stronę. Musiał porozmawiać ze stażystką, musiał dowiedzieć się, co zaszło. Rozejrzał się, wyglądając Elżbiety. Stojący obok chłopak trzymał w dłoni telefon z włączonym nagrywaniem, udając komentatora. Dziennikarz miał ochotę wyrwać mu aparat i roztrzaskać o chodnik. Obawa, że Eli stało się coś złego, nie pozwalała mu zebrać myśli. Jeśli przyjechałby godzinę wcześniej lub gdyby zawczasu zdradził fryzjerce swoją tożsamość, być może dałoby radę uniknąć tego wszystkiego.

„A może to zwykły pożar?” – próbował się uspokoić. Może Elżbieta została w domu, a ta stażystka, która przecież podobno była strasznie niezdarna, doprowadziła do jakiegoś zwarcia w instalacji, czego efekty miał właśnie przed sobą. Może kobieta zaraz do niego oddzwoni i przeprosi, że nie odbierała, bo akurat była na planowanym od dawna masażu w SPA.

– Kamila! – krzyknął, gdy tylko policjant odsunął się od dziewczyny. – Chodź tu szybko!

Stażystka patrzyła na niego jak na zupełnie obcego człowieka, jakby go nie rozpoznawała. Musiała być w szoku, gdyż przecież rozmawiali już kilkakrotnie. Wówczas ochoczo opowiadała o szefowej, przekonana, że rozmawia z jej skrytym adoratorem.

Fartuch w kolorze cappuccino, którego niedawno Elżbieta nie mogła się nachwalić, brudny był od popiołu. Włosy dziewczyny również pokryte były ciemnym nalotem, lecz wyglądało na to, że

prócz zranionej ręki i ogólnego roztrzęsienia nic jej nie dolegało.

– Gdzie Ela? – Paweł podszedł do niej, ponownie ściągając na siebie uwagę funkcjonariusza. – No mówże, co tu się stało?!

– Ona... Nic nie mogłam zrobić... – Kamila wybuchnęła płaczem i objęła dziennikarza, wciskając twarz w jego koszulę. – Nie wiem jak. Nie wiem!

Mężczyzna najchętniej potrząsnąłby nią, by wreszcie zaczęła normalnie mówić. To nie był czas na histerię i łzy.

– Gdzie Ela? – powtórzył, starając się zachować spokojny ton, i niezgrabnie objął dziewczynę. – Zabrało ją pogotowie? – Poczul dłoń policjanta na ramieniu i szarpnął się gniewnie. – Zostaw mnie, człowieku, jestem jej ojcem, do cholery!

Funkcjonariusz wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zmienił zdanie i podszedł do chłopaka nagrywającego całe zajście komórką. Najwidoczniej był przekonujący, gdyż młodziak niechętnie wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

Dziennikarz skupił się na wtulonej weń dziewczynie. Jej reakcja nie zwiastowała niczego dobrego. Oczyma wyobraźni widział pogrążoną w hipnotycznym transie Elżbietę, jak wylewa na siebie kanister z benzyną.

– Pani Ela... – Kamila załkała, wciąż ściskając Pawła. – Ona...

– Ta chora baba oblała się wrzątkiem z czajnika – wtrącił chłopak, któremu policjant zakazał dalszego nagrywania. – Akurat miała strzyc mojego brata, gdy jej odjechało. Na własne oczy widziałem.

Słowa nastolatka, bezceremonialnie relacjonującego przebieg zdarzeń, dobiły młodą fryzjerkę, która jeszcze głośniejszą zaczęła szlochać. Paweł rozumiał jej ból, ale nie miał czasu głaskać ją po

głowie i tłumaczyć, że wszystko będzie dobrze. Musiał błyskawicznie zmienić strategię działania. Skoro wywiad z Elżbietą przepadł na dobre, to może uda się wyciągnąć jakiś ciekawy materiał z tego pożaru. Relacja naocznego świadka to jedno, ale przydałyby się znajomości Roberta w policji.

– Uważaj na siebie. – Paweł odruchowo przytulił Kamilę. – Niech ktoś po ciebie przyjedzie. Trzymaj się.

Odsunął od siebie wciąż zapłakaną dziewczynę, unikając jej spojrzenia. Nawet nie stawiała oporu. Stojący obok policjant patrzył na nich, kręcąc z politowaniem głową. Paweł przez ułamek sekundy uśmiechnął się, wyobrażając sobie myśli mundurowego, pełnego niesmaku, jak ojciec może być tak nieczuły na rozpacz córki.

– Chcesz być sławny? – Dziennikarz podszedł do amatora kręcenia filmów komórką i wziął go pod ramię. – Przejdźmy gdzieś w spokojniejsze miejsce. Wszystko mi opiesz, a gwarantuję, że twoje nazwisko wydrukują na pierwszej stronie.

– Gazeta? – Nastolatek jęknął, zawiedziony, ale posłusznie podążył za mężczyzną.

Po chwili znaleźli się po drugiej stronie ulicy. Chłopak, ubrany w dresowe spodnie i luźną koszulkę z anglojęzycznym sloganem, wyglądał na ucznia liceum. Cały czas gmerał w telefonie, nie patrząc nawet, gdzie stawia kroki.

– Gówno nie chce się załadować – wycedził nagle, akurat gdy dziennikarz zamierzał zadać pierwsze pytanie. – Pieprzone limity.

– Możesz na chwilę to odłożyć?

– Chyba cię pogięło – odparł, nie odrywając wzroku od komórki.

– Ten film będzie miał miliony wyświetleń. Wardega przy tym to

nic. Sorry, ale twoja gazeta może mi skoczyć, potrzebuję tylko jakiegoś hotspota.

Dziennikarz nie był pewny, czy dobrze zrozumiał rozmówcę, ale ten najwyraźniej ekscytował się nagraniem własnego autorstwa. Widząc łażących wokół policjantów, Paweł powstrzymał pierwszą myśl, by wyrwać chłopakowi telefon i wykorzystać film do napisania artykułu. Zamiast tego wyciągnął paczkę papierosów.

– Pokaż mi, czym się tak podniecasz – rzucił, jakby od niechcienia. – Jeśli to jest coś warte, to mogę ci zrobić taki rozgłos, o jakim nawet nie śniłeś. To może być na pierwszej stronie w całym kraju.

Z chytrej miny chłopaka można było odczytać, że złapał haczyk. Oczyma wyobraźni widział swoją pokrytą młodzieńczym trądzikiem twarz, tym razem idealnie wyretuszowaną przez grafików, uśmiechającą się z gablot we wszystkich kioskach. Być może poszedł krok dalej i w myślach udzielał już wywiadu do jednego z telewizyjnych programów śniadaniowych. Dziennikarz wykorzystał chwilę zadumy nastolatka, by przejąć telefon. Niestety, ekran dotykowy stanowił przeszkodę uniemożliwiającą szybkie znalezienie nagrania.

– Odpal ten cholerny filmik – wycedził do podnieconego chłopaka. – Jak ty w ogóle masz na imię?

– Ja? Arek. Mogę fajkę? Z nerwów aż się spociłem. A w ogóle to w jakiej gazecie pan pracuje?

– W „Super Fakcie” – odpowiedział Paweł, częstując nastolatka papierosem. – Dawaj ten filmik, trzeba działać szybko, bo zaraz ktoś nas wyprzedzi i nic z tego nie będziemy mieli.

Chłopak zaciągnął się, po czym rozkaszał gwałtownie, jakby

nigdy w życiu nie palił. Z wypiekami na twarzy kilka razy dotknął ekranu telefonu, włączając nagranie. Wyciągnął aparat w kierunku dziennikarza.

Na pięciocalowym wyświetlaczu pojawiła się Elżbieta ubrana w fartuch, spod którego wystawała elegancka biała koszula. W tle słychać było śmiechy zmieszane z ogólnym hałasem panującym wewnątrz salonu. Kobieta przez kilka sekund stała wpatrzona w lustro, czemu towarzyszył komentarz nagrywającego.

– Naćpała się jak nic. – Paweł rozpoznał głos Arka. – Niezła beka.

– Nie nagrywaj tego. – Przez moment Kamila widniała na pierwszym planie. – Zachowuj się grzeczniej, bo cię zaraz wyproszę.

Dziewczyna podeszła do szefowej, objęła ją za ramię, mówiąc coś ściszonego głosem. Elżbieta nagle odepchnęła stażystkę, która wpadła na stojący obok fotel. Ręka kamerzysty zadrżała, przez co przez chwilę na planie widać było jedynie podłogę.

– Tu dałem dupy – oznajmił Arek, zatrzymując nagranie. – Trzeba było kręcić dalej, a ja głupi schowałem telefon i podszedłem do tej blondyny. Myślałem, że jak jej pomogę, to wie pan... No, ale nic, na szczęście nie przegapiłem najważniejszego. – Wyrzucił papierosa na chodnik, po czym włączył kolejny filmik.

Na ekranie znów widać było Elżbietę. Kobieta stała w tym samym miejscu co poprzednio i z lekko przechyloną głową przeglądała się w lustrze. Dopiero po kilku sekundach dziennikarz dostrzegł w jej dłoniach parujący czajnik elektryczny. W tle słychać było Arka. Podniesionym głosem nakłaniał ją, by coś powiedziała, lecz fryzjerka nie odpowiadała. Po chwili Elżbieta

podniosła czajnik nad głowę i przechyliła go, wylewając gorącą wodę przy wtórze panicznych krzyków w tle. Tym razem Arek wykazał się zimną krwią, wykonując zbliżenie na twarz kobiety, którą momentalnie pokryły czerwone bąble. Ręka kamerzysty zadrżała, gdy Elżbieta cisnęła plastikowym czajnikiem w lustro, roztrzaskując je na drobne kawałeczki. Dźwiękowi tłuczonego szkła towarzyszył znajomy dziennikarzowi odgłos dzwonek, głośnie dzwonienie zagłuszało krzyk Kamili i znajdujących się w salonie klientów.

– Słyszysz to? – Paweł nerwowo spojrzał na chłopaka.

– Ale że co?

– Dzwonki, do cholery! Słyszysz je?

Arek zmarszczył niepewnie czoło. Z jego miny można było wyczytać zmieszanie i strach, jakby uświadomił sobie, że zamiast spodziewanej sławy może spotkać go niebezpieczeństwo.

– W sensie, że komuś dzwoni telefon? – spytał, obrzucając go uważnym spojrzeniem. Wzrok chłopaka zdradzał wątpliwości, czy aby na pewno jego rozmówca był tym, za kogo się podawał.

Na nagraniu Elżbieta z poparzoną twarzą ruszyła w stronę drzwi na tyłach salonu. Arek ewidentnie poszedł za nią, cały czas ją nagrywając. Przez głośnie dzwonienie przebijał się głos Kamili, lecz trudno było rozpoznać słowa. Dziennikarzowi zdawało się, że słyszał coś o pogotowiu. Tymczasem Ela otworzyła drzwi i podeszła do pomalowanej czerwoną farbą metalowej szafki, na froncie której widniało ostrzeżenie o środkach łatwopalnych. Kobieta chwilę szarpała się z drzwiczkami, po czym chwyciła w obie dłonie znalezione wewnątrz plastikowe butelki i odkręciła je zębami, by następnie wylać zawartość chemikaliów na poparzoną skórę.



Tym razem chłopak nie wytrzymał presji, co rusz gubił Elżbietę z kadru. Ręce musiały mu drżeć, gdyż nagranie skakało, mimo to widać było, jak fryzjerka sięga po zapalniczkę i podpala samą siebie. Twarz kobiety nie wyrażała bólu, raczej szczęście. Paweł wpatrywał się w jej uśmiech, niknący w płomieniach.

– Pojebana babka – skwitował Arek, wyłączając filmik i chowając telefon do kieszeni. – No i co, petarda, co nie?

Paweł pomyślał, że empatia na poziomie zerowym sprawiała, że chłopak z łatwością odnalazłby się w roli dziennikarza „Super Faktu”. Być może taką właśnie obierze drogę, zwłaszcza że nagranie rzeczywiście powinno zapewnić mu upragnione pięć minut sławy. On sam musiał od razu spisać roboczą wersję artykułu, zgrać filmik na swój telefon i pognać do naczelnego, by otrzymać pierwszą stronę jutrzejszego wydania gazety, jednak nie potrafił na niczym się skupić, wciąż słysząc w głowie dźwięk dzwonek.

\* \* \*

Dochodziła siedemnasta, gdy Paweł zaparkował samochód przed biurowcem, w którym mieścił się gabinet Małeckiego. Wcześniej zawitał w redakcji, gdzie napisany naprędce artykuł o bydgoskiej fryzjerce podpalającej się żywcem na oczach klientów przypadł do gustu naczelnemu, który momentalnie zapomniał o wcześniejszej złości na podwładnego. Oczywiście nie obyło się bez ustnej reprimendy, lecz dziennikarz potraktował ją z przymrużeniem oka.

Po krótkiej dyskusji wspólnie postanowili, iż najwyższa pora upublicznić tożsamość terapeuty. Tekst w głównej mierze oparty był na relacji Arka, jako naocznego świadka, według którego

Elżbieta zachowywała się jak zahipnotyzowana, zaś Paweł dodał, iż najprawdopodobniej w momencie wylewania na siebie chemikaliów kobieta mamrotała pod nosem nazwisko psychologa. Była to wierutna bzdura, ale dzięki użyciu określenia „najprawdopodobniej” można było sobie pozwolić na drobne nadużycie zwiększające atrakcyjność artykułu.

Przez cały czas dziennikarza nie opuszczał odgłos dzwonek, który ledwo pozwalał zebrać myśli. Dobrze pamiętał, że dźwięk ten po raz pierwszy usłyszał, oglądając nagranie, gdzie Małecki bawił się monetą. Od tamtego momentu Paweł nie potrafił się go pozbyć. Dzwonienie dobiegało z różnych stron, czasem rozbrzmiewało tuż obok, czasem dochodziło jakby z daleka, a niekiedy zniknęło całkowicie, lecz zawsze po jakimś czasie wracało.

Dzwonki ponownie odezwały się głośnie, kiedy wyszedł z redakcji, tak jakby ulica była nimi obwieszona. Przystanął i przycisnął obie dłonie do uszu, próbując osłonić je przed ogłuszającym hałasem. Bez skutku, dzwonienie nie ustąpiło. Dziennikarz czuł niewidzialną siłę pchającą go w stronę monety, którą Małecki bawił się na pierwszym nagraniu z ukrytej kamery. Do głowy przychodziły mu irracjonalne myśli o magicznych mocach tego drobnego przedmiotu, ale nawet na nich nie mógł się skupić, dręczony przez dźwięk dzwonek.

Wyszedł z samochodu i spojrzął na nowoczesny budynek. „Terapeuta wybrał sobie ładne miejsce na gabinet” – pomyślał. Biurowiec wyglądał naprawdę ekskluzywnie. Minąwszy automatycznie rozsuwane szklane drzwi, Paweł skierował się do recepcji. W dużym pomieszczeniu, dodatkowo powiększonym przez lustro zajmujące całą ścianę, siedziała za ladą ładna, długowłosa

dziewczyna. Paweł wyjął z kieszeni telefon i udając, że rozmawia, ukradkiem się rozejrzył. Recepcja wyglądała identycznie, jak w każdym innym budynku tego typu – dużo szkła, stonowane kolory, ze dwie palmy w kącie i biała doniczka ze storczykiem stojąca na jasnym blacie oddzielającym recepcjonistkę od reszty pomieszczenia.

Rzucił okiem na listę nazw firm mieszczących się w budynku, wywieszoną na dużej tablicy nad głową dziewczyny siedzącej za ladą. Tak jak zapamiętał, „Gabinet psychoterapeutyczny – Konrad Małecki” mieścił się na trzecim piętrze, pod numerem 3.15. „Bingo” – pomyślał. Po dzisiejszej śmierci Elżbiety, w którą psycholog z pewnością był zamieszany, gabinet musiał stać pusty. Teraz pozostało jedynie nakłonić dziewczynę, by ta pozwoliła Pawłowi zajrzeć do szuflad ulubionego mebla terapeuty.

Podszedł do recepcjonistki. Ubrana w elegancki żakiet dziewczyna wyglądała na dwadzieścia lat. Choć miała rude włosy, na twarzy nie widać było żadnych piegów, co zasugerowało dziennikarzowi, że nie jest to naturalny kolor.

– Dzień dobry. – Oparł się łokciami o ladę. – Wie pani, mam taką głupią sprawę. Mój szwagier, Konrad Małecki, ma tutaj biuro. Jakoś koło południa dostał telefon od mojej siostry, a jego żony, że ta zaczęła rodzić. No i wie pani, jak to z przyszłymi ojcami bywa, chłopak się spakował na szybko i zapomniał wziąć ze sobą portfela.

– Rozumiem, ale jak mogę panu pomóc? – Dziewczyna pomimo szerokiego uśmiechu wyglądała na znudzoną.

– No właśnie chodzi o to, że w tymże portfelu znajdują się jego dokumenty oraz karta wejściowa do biura. I dlatego zadzwonił do

mnie o pomoc. Niech pani będzie taka miła i pójdzie ze mną do pokoju trzy piętnaście. Wejdziemy na sekundę, ja szybko podejść do biurka i z szuflady wyjmę, co trzeba. Niech pani nie da się prosić.

– Ma pan jakieś upoważnienie?

Miał nadzieję, że jego urok osobisty wystarczy, ale najwyraźniej dziewczyna była dobrze wyszkolona przez przełożonych. Choć bardzo tego nie chciał, w ostateczności gotowy był wyjąć z portfela dwieście złotych, które wyłuskał od naczelnego w ramach zaliczki. Planował przeznaczyć je na zakupy, gdyż Baśka rano marudziła o pustej lodówce, ale przeklęte dzwonki nie dawały mu spokoju. Musiał zdobyć tę dziwną monetę.

– Niechże pani ma trochę litości. – Uśmiechnął się jak najzyczliwiej potrafił. – Facet trzyma teraz moją siostrę za rękę, podczas gdy ona... No, nie wdawajmy się w szczegóły.

– Przykro mi, taki jest regulamin.

„Pieprz się, pazerna szujo” – chciał wykrzyknąć jej w twarz, lecz zamiast tego jedynie ciężko westchnął.

– Ja to wszystko rozumiem, ale jest gdzieś chyba miejsce na zwykłą ludzką serdeczność i współczucie?

Dziewczyna zapatrzyła się w monitor, jakby tam znaleźć miała instrukcję postępowania z upierdliwym gościem, koniecznie próbującym uzyskać dostęp do jednego z biur. Najwyraźniej przypomniawszy sobie któryś z punktów regulaminu, gdyż po chwili zaczęła szukać czegoś w komputerze.

– Mówił pan, że który to pokój?

– Trzecie piętro, pokój piętnasty – odparł zadowolony. –

Po waszemu to będzie trzy piętnaście. Naprawdę bardzo pani

dziękuję.

– Pan Konrad Małecki, zgadza się? – Oderwała wzrok od monitora, kierując go z powrotem na rozmówcę.

– Dokładnie, Kondziu nasz kochany. Jak tylko wróci do pracy, to z pewnością bardzo pani podziękuję.

Spodziewał się otrzymać kartę magnetyczną, podczas gdy dziewczyna wyciągnęła rękę po telefon.

– Pani chce do niego dzwonić? – Poczul, jak na twarz wychodzi mu nerwowy rumieniec.

– Inaczej nie będę mogła panu pomóc.

„Głupia babo” – pomyślał, z nerwów zaciskając pięść. Nie pozostawiła mu wyboru. Oby te pieniądze stanęły jej w gardle.

– Przecież on jest na porodówce! – Z trudem powstrzymał cisnące się na usta złośliwości i sięgnął po portfel, ale w ostatniej chwili wpadł na nowy pomysł i zamiast gotówki wyjął legitymację dziennikarską. – Wie pani co, chciałem być miły, ale sama się pani o to prosiła. Jestem z prasy i specjalnie dla pani napiszę artykuł pokazujący nieludzkie podejście do klienta. Facet był w szoku, każdy na jego miejscu by był, do cholery, syn mu się rodzi. Ma pani moje słowo, pani... – Spojrzał na jej identyfikator. – ...Kasiu. Ze szczegółami opiszę pani zachowanie i nieprzyjemne, wręcz chamskie odzywki. Z pewnością pani przełożony to doceni.

Mignął jej legitymacją przed twarzą, tak by nie była w stanie przeczytać nazwiska. Tego z pewnością nie uczyli na żadnym szkoleniu, w efekcie czego dziewczyna nie wiedziała, jak się zachować. Otworzyła szeroko oczy i odłożyła słuchawkę.

– Ale ja nie mogę opuścić stanowiska pracy – jęknęła. – Proszę mnie zrozumieć, pracujemy zgodnie z odgórnymi wytycznymi,

szefowa by mnie zabiła, jeśli o tym usłyszała.

Jak na zawołanie Paweł dostrzegł ochroniarza. Mężczyzna w niebieskiej koszuli wpuszczanej w spodnie, opiętej na widocznie zarysowanym brzuszku, spacerował po parkingu, racząc się popołudniowym słońcem. Wyglądał na typowego strażnika z grupą inwalidzką, który najprawdopodobniej nawet nie zauważyłby złodzieja, a nawet jeśli, to i tak nie byłby w stanie zareagować.

– Proszę poczekać. – Paweł ciężko westchnął i skierował się w stronę wyjścia.

Dźwięk dzwonek nie opuszczał go, wystawiając na próbę jego wytrzymałość. O mały włos, a zwymyślałby dziewczynę tylko za to, że ta zachowuje się profesjonalnie, nie chcąc złamać regulaminu. Przystanął na zewnątrz i wciągnął głęboko powietrze, tłumiąc chęć zapalenia papierosa.

– Dzień dobry. – Pomachał w stronę ochroniarza, który na jego widok zbliżył się powolnym krokiem. – Przepraszam najmocniej, ale pani Kasia bardzo prosi, żeby zastąpił ją pan na sekundkę.

Mężczyzna nie wyglądał na podejrzliwego. Odruchowo spojrzął przez oszkloną ścianę w stronę recepcji, po czym uśmiechnął się. Paweł pomyślał, że facet pewnie leci na rudowłosą, toteż okazja do wyświadczenia jej przysługi może mu być po drodze.

– Nie odmawia się damie w opresji – odparł ochroniarz, wzruszając ramionami.

– Z pewnością złapie pan u niej plusa. – Paweł znacząco spojrzął na mężczyznę, szczerzącego się, jakby wyobrażał sobie dziesięć pozycji, w których dziewczyna mu podziękuje.

Po chwili podenerwowana Kasia jechała już windą z dziennikarzem. Recepcjonistka nie wiedziała, co zrobić z rękoma,

co rusz poprawiając to włosy, to rękawy zakietu. Na jej twarzy wciąż gościł uśmiech, lecz miała marne umiejętności aktorskie, przez co zdradzała zakłopotanie. Pewnie spędzi cały wieczór, rozpamiętując tę chwilę, być może nawet nie da spać chłopakowi, żaląc się na upokarzające wydarzenie.

Paweł wciąż słyszał w głowie dzwonienie. Teraz już był pewien, że to wszystko spowodowała moneta. Wzywała go, jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało, wołała do niego z szuflady w biurku. Odgłos coraz bardziej kusił, wywołując dziwne uczucie w podbrzuszu, do złudzenia przypominające pożądanie.

Mężczyzna zagryzł wargi i lekko odwrócił się w stronę ściany windy, próbując ukryć wybrzuszenie spodni.

– Szwagier będzie pani bardzo wdzięczny – wypalił, przerywając niezręczną ciszę. – Proszę mi wybaczyć, jeśli byłem nieuprzejmy, sam też się denerwuję, to w końcu moja siostra.

– Nic się nie stało – odparła, skubiąc dłonią rękaw bluzki. – Ale tylko wejdziemy i od razu wychodzimy.

– Oczywiście.

Wyszli z windy i ruszyli długim korytarzem wyłożonym granatową wykładziną. Białe ściany, brak krzeseł i stolików dla oczekujących, bardzo jasne światło oraz czytniki kart przy każdych drzwiach sprawiały, że Paweł czuł się jak w tajnej rządowej placówce. Brakowało jedynie kamer śledzących każdy jego krok.

Gabinet Małeckiego znajdował się w połowie korytarza, tuż obok przeszklonego pomieszczenia pełniącego rolę kuchni i pokoju socjalnego dla ludzi pracujących w biurowcu. Dwa niewielkie stoliki mogły pomieścić do dziesięciu osób jednocześnie, toteż w godzinach lunchu musiał panować tam niezły tłok.

– Mam nadzieję, że nie będę miała przez pana żadnych kłopotów. – Dziewczyna przeciągnęła kartą wzdłuż czytnika, otwierając drzwi. – Dorabiam tu do studiów.

Nie odpowiedział. Nawet nie słyszał jej słów, skutecznie zagłuszył je dźwięk dzwonek. Nie była już mu zresztą do niczego potrzebna. Nie zwracając na nią więcej uwagi, przepchnął się obok i doskoczył do biurka. Doskonale wiedział, gdzie szukać monety. Czuł ją wyraźnie, kusiła go, rozkoszując się grą wstępną poprzedzającą ich spotkanie. Paweł zapomniał o całym świecie. Nie pamiętał, gdzie się znajduje ani w jakim celu, ważna była tylko wzywająca go moneta.

Wysunął odpowiednią szufladę i jak narkoman szukający ukrytej na czarnej godzinę działki wytrząsnął zawartość na biurko.

– Jesteś... – szepnęła, chwytając w dłoń niewielki przedmiot.

Dzwonienie ustąpiło, gdy tylko pod palcami poczuł chłodny metal. Całe szczęście recepcjonistka została na korytarzu, w przeciwnym razie z pewnością dzwoniłaby teraz po ochroniarza – jeśli nie z powodu wyrzuconej zawartości szuflady i zagarniętej monety, to już na pewno na widok rozgorączkowanej twarzy dziennikarza. Gdyby zajrzała do środka, z pewnością pomyślałaby, że mężczyzna wygląda jak szaleniec. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu, a źrenice miał rozszerzone niczym po zażyciu narkotyków. Czuł drgawki na całym ciele. Resztkami sił odsunął się od biurka i zmusił dłoń do rozwarcia palców, mocno zaciśniętych na metalowym przedmiocie. Pięść otworzyła się niechętnie, a moneta upadła na wyłożoną wykładziną podłogę.

Paweł wziął głęboki oddech, kiedy siła, która przejęła wcześniej



jego ciało, ustąpiła. Przez chwilę wpatrywał się w kawałek metalu leżący na podłodze, wyglądający tak niewinnie. Teraz już nie miał wątpliwości, że to właśnie ten przedmiot stał za wszystkimi zbrodniami.

Wziął kartkę z biurka i schylił się. Ostrożnie, uważając, by nie dotknąć monety, chwycił ją przez papier, który następnie zawinął i schował do kieszeni. Teraz piłka była po stronie Małeckiego.

## Rozdział IX

Biuro Łukasza Dębińskiego wyglądało dokładnie tak, jak Konrad sobie wyobrażał miejsce pracy urzędnika państwowego. Prokurator wprawdzie dbał o porządek, w efekcie czego podłogi nie były zavalone opasłymi segregatorami i teczkami pokrytymi grubą warstwą kurzu, ale duża liczba prowadzonych śledztw miała swoje odzwierciedlenie w postaci kilku stosów papierzysk, niemal w całości zajmujących blat biurka. Większość dokumentów leżała w plastikowej kuwecie podpisanej „do przeczytania”, co sugerowało duże zaległości.

Prokurator, ubrany w ten sam garnitur, w którym odwiedził gabinet psychologa, siedział na obrotowym fotelu i rozmawiał przez telefon. Mebel skrzypiał przy każdym ruchu mężczyzny. W pomieszczeniu prócz ciemnego biurka znajdowały się jeszcze dwa regały z książkami o tytułach sugerujących nieskończoną ilość nudnych paragrafów oraz ogromny kaktus, sięgający niemal sufitu. Konrad poprawił się na niezbyt wygodnym krześle i na dłuższą chwilę zawiesił wzrok na roślinie, myślami wciąż wracając do Weroniki.

Nie mógł sobie darować, że drugi raz pozwolił jej wyrządzić samej sobie krzywdę. Najchętniej cały czas czuwałby przy szpitalnym łóżku, lecz dwóch ubranych po cywilnemu policjantów jasno dało mu do zrozumienia, że jeśli dobrowolnie nie odwiedzi prokuratury, to czekać go będzie czterdziestoosmiodzinna odsiadka w areszcie. Przynajmniej Tymon został przy Weronice,

obiecując, że zaopiekuje się nią pod jego nieobecność.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. – Odłożywszy telefon, prokurator odchylił się do tyłu w fotelu, który zatrzeszczał niczym nienaoliwione zawiasy. – Koledzy wspominali, dlaczego prosiłem o natychmiastowe przybycie?

– Pan wybaczy, ale moja żona leży w szpitalu. Muszę zaraz do niej wracać, ona... – Konrad schował twarz w dłoniach. – Znow się okaleczyła. Nie wiem, czy ma to jakiś związek z tym psychopata... nie wiem, nic panu nie mogę powiedzieć.

– Dojdziemy do tego. Panie Małecki, sprawa się coraz bardziej komplikuje. – Prokurator wstał z fotela, który zatrzeszczał przy tym przeraźliwie, i obszedł biurko. Stał na chwilę przy kaktusie, jakby zastanawiając się, kiedy ostatni raz go podlewał, po czym przesunął stos papierów i usiadł na brzegu drewnianego mebla. –

Widzi pan, dzisiaj w okolicach godziny czternastej pana klientka, Elżbieta Jaworska, właścicielka salonu fryzjerskiego Beauty Look, popełniła samobójstwo.

Słowa Dębińskiego brzmiały jak kiepski żart. Gdy Konrad zadzwonił po karetkę, aby zabrała Weronikę na pogotowie, zauważył kilka nieodebranych połączeń od Elżbiety. Zlekceważył je jednak, mając na głowie większe zmartwienia. Teraz poczuł ciężar na sercu. Jeśli prokurator nie kłamał, a nie miał przecież żadnego powodu, by to zrobić, to najprawdopodobniej jego pacjentka przed śmiercią próbowała skontaktować się ze swoim terapeutą. A on zamiast pomóc, zignorował ją.

– Nie muszę chyba dodawać, jaki dzisiaj mamy dzień – ciągnął dalej Dębiński. – To już czwarta ofiara, która zginęła dziesiątego dnia miesiąca. Koniec żartów, panie Konradzie. Jeśli do tej pory

coś pan ukrywał, to proszę w tej chwili podzielić się tym ze mną.

– Jestem o coś podejrzany?

– Niczego takiego nie powiedziałem. – Prokurator oparł dłonie na kolanach, pochylając się w stronę rozmówcy. – Proszę mi wierzyć, wykonujemy swoją robotę skrupulatnie. Gdyby istniał choć cień szansy, że to właśnie pan za tym stoi, to rozmawialibyśmy w zgoła innych okolicznościach, przez kraty. Wiemy, że to nie pan, ale z jakiegoś powodu jest pan w to wszystko zamieszany. – Lekko się skrzywił. – Zachowanie pańskiej małżonki pasuje do schematu poprzednich ofiar. Jeśli nie zależy panu na śledztwie, to proszę przynajmniej przejąć się własną żoną.

Tego było już za wiele. Konrad o niczym innym nie myślał, podczas gdy wymuskany prokurator podawał to w wątpliwość. Gdyby istniało cokolwiek, co łączyłoby ją i poprzednie śmierci, niezwłocznie powiadomiłby o tym organa ścigania. Zachowanie Weroniki sugerowało coś powiązanego z hipnozą. Zarówno Roman Brzyski, jak i Agata oraz Elżbieta poddawani byli przez niego temu zabiegowi w trakcie terapii. Tę teorię podważała jednak postać Sylwii, z którą widział się zaledwie dwa razy, i to w towarzystwie jej męża. Podczas tych spotkań nie było mowy o żadnej hipnozie.

– Naprawdę nie mam nic do dodania – odparł zrezygnowany. –

Gramy w tej samej drużynie, proszę mi uwierzyć. Kocham Weronikę i zrobię wszystko, by jej pomóc, ale póki co jestem bezradny. Spuściłem ją ze wzroku dosłownie na minutę. Dzwoniłem wówczas do pana. Kilkadziesiąt pieprzonych sekund wystarczyło, by doprowadziła się do takiego stanu. – Nie potrafiąc poradzić sobie z emocjami, wstał z krzesła i zaczął krążyć po

ciasnym pomieszczeniu. Najchętniej wyszedłby na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. – Może pan szerzej otworzyć? Duszno tu trochę.

Zerknął na prokuratora, który niespiesznym krokiem podszedł do okna. Dopiero teraz Konrad zauważył rząd miniaturowych kaktusików ustawionych wzdłuż parapetu. Odruchowo wrócił spojrzeniem do największej rośliny, stojącej pod ścianą, gdy jego wzrok przykuł drobny przedmiot połyskujący w ziemi, dokładnie w miejscu, w które wcześniej patrzył Dębiński. Psycholog podszedł bliżej, mając nieodparte wrażenie, że w doniczce leży moneta. Nie byle jaka, tylko jego moneta, którą zwykł stosować w trakcie hipnozy. Było to niemożliwe, ale musiał sprawdzić.

Podszedł do kaktusa i przykucnął.

– Co pan robi? – spytał prokurator na widok Konrada grzebiącego w ziemi.

– Przepraszam, sam nie wiem, co mnie naszło. Nieważne – odpowiedział psycholog, otrzepując dłonie. To, co wcześniej wyglądało jak moneta, w rzeczywistości było zwykłym kamyczkiem, który teraz w niczym nie przypominał srebrnej pamiątki z wyjazdu do Meksyku. – Jestem po prostu zmęczony. Zdawało mi się, że coś zauważyłem.

– Chce się pan czegoś napić? Nie wygląda pan najlepiej.

– Po prostu miejmy to już za sobą.

Prokurator wrócił na swoje miejsce za biurkiem i spojrzał na niego uważnie.

– Bez owijania w bawełnę. Muszę pana prosić, by do czasu zakończenia śledztwa zawiesił pan działalność swojego gabinetu. Ponadto proszę nie kontaktować się ze swoimi klientami,

oczywiście poza jednorazowym uprzedzeniem ich o nagłej przerwie. Proszę powiedzieć coś o dalekim wyjeździe, zresztą nieważne, na pewno coś pan wymyśli.

Konrad słuchał tego z niedowierzaniem. Spełnienie tej prośby, a w zasadzie żądania, oznaczało w praktyce ogłoszenie bankructwa. Już kilka dni niezaplanowanej przerwy wzbudziło niezadowolenie klientów. Wprawdzie ostatnie wydarzenia sprawiły, że zapewne i tak odwołałby spotkania z paru kolejnych dni, ale przecież nie wiadomo, ile potrwa zamknięcie tej sprawy. Tydzień, miesiąc, kwartał? Wizja totalnego braku dochodów nabrała teraz realnych kształtów. Z Weroniką mieli kilkadziesiąt tysięcy złotych oszczędności, co gwarantowało spokojne życie przez parę miesięcy, jednak perspektywa budowania biznesu od zera przy jednoczesnej opiece i stałym nadzorze nad żoną dodatkowo go przygnębiła.

– Wziąwszy pod uwagę zachowanie pani Weroniki, zachodzi prawdopodobieństwo, że to właśnie ona będzie kolejną ofiarą – ciągnął prokurator z kamiennym wyrazem twarzy, jakby relacjonował nudny mecz piłkarski. – Musimy więc wspólnie przeanalizować, czy jednak nie istnieje coś łączącego pańską żonę z poprzednimi ofiarami. Cokolwiek, jakiś drobiazg, który do tej pory pan przeoczył. Proszę się skupić, od tego zależy zdrowie i życie pani Weroniki.

– Oni wszyscy kompletnie się od siebie różnili – odparł Konrad z bezradnością w głosie. – Gdyby nie Sylwia, gotów byłbym sam siebie oskarżyć, że nieświadomie coś im zaprogramowałem w trakcie hipnozy, ale na Boga, Karczewską widziałem dwa razy i te spotkania w zasadzie pełniły jedynie rolę zapoznawczą, bez

stosowania jakichkolwiek technik. Chcę panu pomóc, naprawdę, ale po prostu nie potrafię. – Zawahał się przez chwilę. – Był taki jeden dziwny facet, który jakiś czas temu przyszedł na pierwsze, bezpłatne spotkanie. Zachowywał się nienaturalnie, jakby chciał tylko mnie wybadać. Nie podał nazwiska, toteż nie chciałem nikomu zawracać tym głowy, ale gość wyraźnie wypytywał o hipnozę. Umówiliśmy się nawet na kolejne spotkanie, ale już nie przyszedł, a numer, z którego wcześniej dzwonił, był nieosiągalny. Gdyby chodziło o zwykłe morderstwo, od razu bym to zgłosił, ale kurde, obaj wiemy, że tu się dzieje coś dziwnego, nie wiem, nadprzyrodzonego?

– Proszę podać mi ten numer, spróbujemy go namierzyć. – Prokurator zignorował ostatnie zdanie. – Będę musiał teraz spisać pańskie zeznania, to zajmie chwilę. – Sięgnął po pusty formularz.

Konrad skinął głową i ukradkiem rzucił spojrzenie w kierunku doniczki z kaktusem. Nie miał pojęcia, dlaczego ubzdurał sobie, że znajdowała się tam jego moneta, ale fakt ten nie dawał mu spokoju.

\* \* \*

Jeszcze przed dwudziestą Konrad wrócił do szpitala. Wprawdzie pora odwiedzin pacjentów w Wojskowym Szpitalu Klinicznym wyznaczona była w godzinach od czternastej do siedemnastej, ale za sprawą Tymona udało się nagiąć regulamin. Znajomości przyjaciela w kręgach medycznych kolejny raz pomogły, a lista jego zasług rosła z dnia na dzień.

Jednoosobowa sala, w której umieszczono Weronikę, wręcz biła po oczach sterylnością. Minimalistyczny wystrój ograniczał się do łóżka i stojącej obok szafki nocnej. Konrad rozejrzał się

w poszukiwaniu krzesła.

– Tu w zasadzie nie można wchodzić – wyjaśnił Tymon, opierając się o zamknięte drzwi. – W jej stanie odwiedziny są zakazane, więc nikt nie pomyślał o krzesłach dla gości łamiących przepisy. Myślę, że spokojnie możesz usiąść na łóżku. Wera i tak jest na mocnych lekach.

Konrad skinął głową i przysiadł obok pogrążonej we śnie żony. Wyglądała niewinnie, jak Śpiąca Królowna czekająca, aż wybudzi ją pocałunek ukochanego. Jej głowę i rękę ponownie owijały śnieżnobiałe opatrunki. Rany, które sobie zadała, nawet po zagojeniu będą ją szpeciły już do końca życia, codziennie przypominając o makabrycznym zajściu. Konrad pogładził Weronikę po policzku. Oddałby wszystko, by cofnąć czas o tych kilka przeklętych godzin i powstrzymać ją od samookaleczenia.

– Kolejna moja klientka nie żyje. Popełniła samobójstwo, ale wiadomo, że ktoś inny do tego doprowadził – powiedział przyciszonym głosem, nie odrywając wzroku od żony. – Ten skurwiel bawi się moim kosztem.

Bezsilność była najgorsza. Zmęczony umysł podpowiadał różne scenariusze, coraz bardziej niesamowite teorie o mocach nadprzyrodzonych. Na własne oczy widział, jak Weronikę opętała niewidzialna siła, sterująca nią niczym marionetką. Zakrwawiona postać, którą znalazł w kuchni, z nożem w ręce, nie zachowywała się jak jego żona. Demoniczne moce wyjaśniałyby wszystkie poprzednie śmierci, ale dlaczego niby akurat jemu miałyby przydarzyć się coś tak abstrakcyjnego?

– Ona na pewno niczego nie słyszy? – dopytał przyjaciela, który potwierdzająco pokiwał głową. – Mów, co chcesz, ale ja już tego nie



ogarniam. Sam widziałeś, że coś przejęło nad nią kontrolę. Nie wiem już, co robić, wzywać egzorcystę? Przecież to zupełnie bez sensu.

– Dzwoniłem do jednego gościa, gdy byłeś w prokuraturze. – Tymon usiadł na podłodze i oparł głowę o ścianę. Jego podkrążone oczy zdradzały wyczerpanie. – Żaden nawiedzony ksiądz, nie bój nic. To w zasadzie kolega kolegi, ale kiedyś wymieniliśmy się numerami. On... jak by to powiedzieć... – Przerwał, uciekając spojrzeniem na przeciwległą ścianę. – ...zajmuje się skrajnymi przypadkami natręctw. Tam w grę wchodzi naprawdę silne leki i codzienna, indywidualna terapia. To jakiś program na amerykańskiej licencji, kosztuje niemało, ale ponoć gość ma całkiem niezłe rezultaty.

Przed rozmową z prokuratorem Konrad z marszu przyznałby rację przyjacielowi i od razu by tam zadzwonił. Pobyt w ośrodku zamkniętym, gdzie Weronika poddana byłaby całodobowej obserwacji przez profesjonalnych psychiatrów, wydawał się najrozsądniejszym rozwiązaniem. Jednak fakt, iż kolejna jego pacjentka popełniła samobójstwo, podawał w wątpliwość wszystkie racjonalne uzasadnienia.

– Wierzysz, że jej dolega coś innego niż tym wszystkim samobójcom? – Spojrzał na Tymona, który nie odpowiedział. –

Możesz nazwać mnie idiotą, ale jedyną możliwością, jaka przychodzi mi do głowy, to działanie innej siły, nie wiem, kurwa, jakiej, nie znam się na tym.

– Sądzisz, że o tym nie myślałem? Obaj wiemy, że nie ma możliwości nikogo do tego stopnia poddać hipnozie. Ale duchy i demony? Konrad, dlaczego akurat ty? Sorry za drwinę, ale

popęłniłeś jakiś śmiertelny grzech? Zabiłeś kogoś i teraz ten ktoś mści się z zaświatów?

Sama rozmowa o tym sprawiała, że Konrad czuł się głupio. Normalni ludzie nie mieli takich problemów, zwłaszcza że jak zauważył Tymon, nie wyrządził nikomu krzywdy, może pomijając niesortowanie śmieci. W filmach i książkach postacie nękanie przez demony zwykle same sprowadzały na siebie siły nieczyste, wzywając je, dokonując niebezpiecznych rytuałów czy zamieszkując w nawiedzonych domostwach. Poza tym zazwyczaj to ofiara demona miała problemy, a nie inni ludzie z jej otoczenia.

Konrad wstał i podszedł do okna. Czegokolwiek by nie wymyślił, to i tak nie wiedział, do kogo zwrócić się o pomoc. Nie zadzwoni przecież na pierwsze lepsze ogłoszenie z Internetu, oferujące usługi w zakresie wypędzania duchów.

– Po prostu nie wiem, co robić – odparł, opierając czoło o szybę. Szkło przyjemnie chłodziło rozpaloną skórę. – Przecież nie będę czekać kolejny miesiąc, aż stanie się z nią to samo, co z Elżbietą i innymi. Jeśli mam wziąć jakiegoś biskupa za sutannę i zmusić do egzorcyzmów, to tak zrobię. Nie mam żadnego innego punktu oparcia.

W miejscu, gdzie jego usta zbliżały się do szyby, oddech powodował zaparowanie szkła. Biały obłoczek coraz to pojawiał się, to znikał. Konrad zamknął na chwilę oczy. Gdy je otworzył, zamarł w bezruchu. Oddech odznaczający się na szybie stworzył tym razem ślady podobne do kwiatnych wzorów, które jako dziecko uwielbiał oglądać za oknem w zimowe, mroźne poranki. „Chyba mam zwidy z przemęczenia – pomyślał. – Przecież oddech jest ciepły, nie może zamarzać”. Jednak srebrzyste wzory nie znikwały.

Odsunął głowę i dotknął dłonią szyby. Kwietny motyw jakby się poruszył, uciekając przed jego palcami. Przez chwilę utworzył wzór kojarzący mu się z sową i tymi dziwnymi falistymi znakami widniejącymi na odwrocie monety, której używał do hipnozy. Tej samej, którą zdawało mu się, że widział w gabinecie prokuratora.

– To się zaczęło dziesiątego kwietnia, tak? – Słowa Tymona wyrwały go z letargu. Odruchowo spojrział na przyjaciela. – W takim razie to, czego szukamy, przywarło do ciebie pod koniec marca lub na początku kwietnia. Co wtedy...

Przerwał w pół zdania. Spojrzenia mężczyzn wyrażały tę samą myśl.

– Myślisz, że... – Konrad ponownie spojrział na szybę, na powierzchni której nie widać już było żadnych wzorów. – Pieprzona moneta, to ona, to ta cholerna moneta!

Dwudziestego marca, dokładnie w dniu urodzin Weroniki, jeszcze jako szczęśliwe, rozmawiające o wszystkim małżeństwo, wyruszyli w podróż życia. Palenque, leżące sto pięćdziesiąt kilometrów od Zatoki Meksykańskiej, od dawna było ich marzeniem. Mieszczące się tam ruiny miasta Majów ze słynną Świątynią Inskrypcji stanowiły ostatni punkt ich turystycznej mapy wyzwań, na której wcześniej odhaczyli niemal całe Indie, Wietnam, północną część Chin oraz największe europejskie stolice.

To właśnie wewnątrz świątyni Konrad znalazł srebrną monetę. Wcześniej w kilku punktach widział sprzedawców oferujących identyczne pamiątki, toteż uznał ją za zwykły turystyczny gadżet, upuszczony przez nieuważnego zwiedzającego. Weronika podsunęła mu myśl, by przełożyć rzemień przez otwór znajdujący się z boku monety i zacząć stosować ją jako nietypowe wahadełko

do hipnozy.

– Musimy jechać do mojego gabinetu. – Odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

– Myślisz, że stoi za tym jakiś pieniążek? Niby co, siedzi w nim jakiś demon i przeskakuje na twoich pacjentów? Konrad, przecież to kompletnie bez sensu.

Słowa Tymona może i były racjonalne, ale nie mógł wiedzieć, że cała czwórka nieżyjących pacjentów miała styczność z monetą. Nawet Sylwia, której Konrad wprawdzie nie poddał hipnozie, zaciekała się srebrnym przedmiotem leżącym akurat na stoliku. Kobieta była zafascynowana Ameryką Południową, szczególnie Brazylią, ale rejony Meksyku również traktowała z dużym zainteresowaniem. Małecki pamiętał, jak dzielił się z nią wrażeniami z niedawno odbytej podróży.

– Nie obchodzi mnie to, czy mi wierzysz, czy nie – rzucił, podchodząc do Weroniki i pochylając się, by na pożegnanie pocałować ją w usta. – Ja jadę, a ty jak chcesz, to zostań. Nie mogę tego zignorować.

\* \* \*

Recepcję w biurowcu, gdzie mieścił się gabinet Konrada, zamykano o dwudziestej. Po tej godzinie w budynku rezydował jedynie stróż, do obowiązków którego należało nadzorowanie całego kompleksu włącznie z podziemnym parkingiem. Główny hol, zazwyczaj wypełniony wiecznie zagonionymi pracownikami biurowymi, pogrążony był w półmroku. Mężczyźni bez słowa wjechali windą na trzecie piętro. Dopiero na korytarzu Tymon postanowił podzielić się swoimi wątpliwościami.

– Zdajesz sobie sprawę, że to jest co najmniej dziwne? – spytał,

gdy dochodzili do drzwi gabinetu. – Co zrobimy z tą monetą? Znasz jakiegoś numizmatyka specjalizującego się w bilonie używanym przez Majów? Czy Majowie w ogóle stosowali monety jako środek płatniczy?

– Nie wiem. – Konrad wyjął z portfela kartę magnetyczną otwierającą drzwi. – Poszukam jakiegoś archeologa lub pracownika uczelni. Ktoś na wydziale historii na pewno będzie coś wiedział. Jak nie w Bydgoszczy, to w Warszawie lub Krakowie. To nasz jedyny trop.

W dalszym ciągu nie rozumiał, dlaczego moneta, lub ewentualnie istota w niej ukryta, nie atakowała właśnie jego, tylko innych. Nie znał się na demonologii czy okultyzmie, toteż mógł jedynie snuć podejrzenia, że to nie on znalazł pieniądz, lecz pieniądz znalazł jego, wybierając sobie nowego gospodarza. Sam nie mógł w to uwierzyć, tym bardziej nie dziwił się Tymonowi, który traktował tę teorię z dystansem.

Weszli do gabinetu. Psycholog włączył światło i zatrzymał się w drzwiach. Jego uwagę przykuły porozrzucane na podłodze papiery. Nie przypominał sobie, by wychodząc, zostawił taki bałagan. Przeczuwając najgorsze, szybko podszedł do biurka i otworzył szufladę. Nerwowymi ruchami przerzucił jej zawartość, nie natrafił jednak na poszukiwaną monetę. Zawsze odkładał ją w to samo miejsce, lecz dla pewności przeszukał również półkę w zamykanej szafce. Tymon z troską przyglądał się przyjacielowi.

– Może zostawiłeś ją w domu? – powiedział, siadając w fotelu przeznaczonym dla klientów. – Kiedy ostatni raz jej używałeś?

– Ktoś tu był. – Konrad podniósł z ziemi dokumenty i odłożył je na biurko. – Był na tyle bezczelny, że nawet po sobie nie

posprzątał.

„A może na tyle zdesperowany” – dokończył w myślach. Wciągnął głęboko powietrze, wyczuwając znajomy zapach.

– Fajki mentolowe – rzucił, zrywając się do wyjścia. – Ten gnój tu był, rozumiesz? Raz przyszedł do mnie na wizytę, dzisiaj nawet rozmawiałem o nim z prokuratorem.

– Gnój?

– Nieważne. Gość od razu wydał mi się podejrzany i śmierdział dokładnie takimi fajkami. Dopytywał o hipnozę. Musiał tu przyjść i zwinąć monetę!

– Nawet jeśli to prawda, to po co mu ona? – Tymon próbował ostudzić zapał przyjaciela. – Pomyśl tylko. Jeśli to rzeczywiście ten gość, to wcześniej musiał sobie radzić bez niej, po cholere więc teraz by ją kradł. Gdzie tu logika?

Konrad wzruszył ramionami. Nie znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Wiedział jedynie, że ktoś włamał się do jego gabinetu i ukradł monetę, którą z jakiegoś powodu akurat tego dnia zaczął widzieć w różnych miejscach. To nie mógł być przypadek.

– Muszą tu mieć monitoring – rzucił, wychodząc na korytarz. – Chodź, musimy znaleźć stróża.

Nie czekając, aż drzwi się za nim zamkną, popędził w kierunku windy. Tymon, z nie do końca przekonaną miną, poszedł za nim. Koncepcja przeklętej monety Majów wcale do niego nie trafiała.

Poszukiwanie strażnika okazało się trudniejsze, niż zakładali. Facet albo do perfekcji przyswoił sztukę kamuflażu, albo po prostu przysnął w jednym z biur, gdzie planował przeczekać do świtu. Przeszukawszy parter, podziemny parking oraz okolice budynku, Konrad zmęczony opadł na jedno z krzeseł stojących przy głównym

wejściu.

– Może się minęliśmy – stwierdził, patrząc na uśpione windy.

– Chyba że to właśnie jego wezwała do siebie moneta i go zdematerializowała. – Tymon usiadł obok przyjaciela i ziewnął.

– Jak masz dość, to zrozumiem. Wracaj do Anki, i tak poświęciłeś mi za dużo czasu. Nigdy ci się nie odplacę.

– Płatności rozłożę ci na raty. Co prawda moja stawka godzinowa ostatnio wzrosła, ale najwyżej weźmiesz jakieś nadgodziny.

Pomimo zmęczenia i napięcia słowa przyjaciela wywołały uśmiech na twarzy psychologa. Po chwili jednak Konrad ponownie poczuł irytację. Nie dość, że włamano się do jego gabinetu, to jeszcze strażnika nigdzie nie było widać. Zabił go włamywacz czy co? Psycholog najchętniej stłukłby jakąś szybę lub podpalił śmietnik, byle tylko ochroniarz opuścił kryjówkę. Zdawał sobie jednak sprawę, że takie zachowanie przysporzyłoby mu jedynie kłopotów, więc pomimo poczucia traconego czasu siedział i czekał.

Jego cierpliwość została wynagrodzona po niespełna pięciu minutach. Tymon akurat wyszedł na zewnątrz, by zatelefonować do ciężarnej żony, gdy z głębi korytarza dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi. Dźwięk ten był dla Konrada niczym wystrzał pistoletu startowego. Poderwał się i ruszył korytarzem, by po chwili dostrzec znajomą sylwetkę strażnika, z którym w przeszłości kilkakrotnie uciał parę krótkich rozmów o niczym.

– Pan Konrad? – Ochroniarz poprawił koszulę w spodniach. Wyglądał na zaskoczonego. – Coś się stało?

– Gdzie się pan szlajasz? – szorstko zapytał Konrad, z trudem dławiąc chęć użycia ostrzejszych słów.

– Popędziło mnie na kibelek.

Jego szczerość rozbroiła terapeutę. Z ust mężczyzny czuć było sos czosnkowy, który zapewne stał za nadprogramową wizytą w toalecie.

– Niech pan mnie teraz posłucha... – Staął naprzeciw strażnika, patrząc mu prosto w oczy. – Ktoś był w moim biurze i dokonał kradzieży cennego przedmiotu. Nie chcę sprawy zgłaszać na policję, żeby nie miał pan problemów w pracy, ale musi mi pan udostępnić nagranie z monitoringu, żebym wiedział, kim był złodziej.

W rzeczywistości zgłaszanie na policję kradzieży pamiątkowej monety mijało się z celem. I tak nikt nie uwierzyłby w historię przekłętą przedmiotu, który zmuszał pacjentów Małeckiego do popełnienia makabrycznych samobójstw. W najlepszym razie kazano by mu odespać zmęczenie i skupić się na opiece nad żoną. Jediną osobą godną zaufania był prokurator, ale z racji zajmowanego stanowiska musiał postępować zgodnie z odgórnymi wytycznymi, w których zapewne nie było wzmianki o opętaniu i demonach.

– A, pamiętam! – Strażnik ruszył w stronę recepcji. – Był tu pana szwagier. Właśnie, jak tam małżonka?

Przez chwilę Konrad analizował usłyszane słowa, mając nadzieję, że się przesłyszał. Zarówno on, jak i Weronika nie mieli rodzeństwa. Jeśli tak niewyszukany fortel wystarczył, by dostać kartę magnetyczną do biura, to po co w ogóle zatrudniać ochroniarza?

– Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że wpuścił do mojego gabinetu kogoś z ulicy pod tak głupim pretekstem?



– Ja nie – błyskawicznie odparł strażnik. – Tylko zastąpiłem Kaśkę na recepcji.

„Facet dostał grupę inwalidzką z powodu dysfunkcji mózgu” – pomyślał Konrad, z trudem powstrzymując się przed podniesieniem głosu. Musiał do końca zachować spokój, w przeciwnym razie strażnik poczuje urazę i odmówi udostępnienia nagrania z kamer. Psycholog później się z nim policzy, najpierw jednak musiał nabrać pewności, kto za tym wszystkim stał.

– Czyli pańska żona nie urodziła? – Do ochroniarza powoli dochodziło, że nabrał się na tanią sztuczkę. – O cholera. Nie no, kurde, no! Co teraz? Ja pierniczę... Ale kanał.

– Lepiej bym tego nie ujął. Być może nie zgłoszę tego na policję i nie wniosę prośby o pańskie natychmiastowe zwolnienie, jeśli zaraz pokaże mi pan nagrania z monitoringu.

Drzwi otworzyły się, ukazując Tymona. Nie musiał o nic pytać, widząc Konrada ze strażnikiem. Korzystając z faktu, że otyły mężczyzna stał odwrócony do niego plecami, przyjaciel podniósł do góry kciuk w geście uznania, że może uda się przekonać ochroniarza do udostępnienia nagrań, do których wgląd miała jedynie policja.

– Ale ja nie mogę. – Facet ewidentnie walczył sam ze sobą. Gdyby wyszło na jaw, że dopuszcza osoby postronne do zapisów z monitoringu, to oprócz utraty pracy groziłaby mu kara pozbawienia wolności. Z drugiej strony była spora szansa, że jeśli spełni prośbę Małeckiego, to sprawa rozejdzie się po kościach i wszyscy zachowają posady. – Zniknęło panu coś wartościowego? Może mogę to po prostu odkupić? Nie no, kurde, zaraz, zaraz.

Ja o niczym nie wiem, to Kaśka z nim poszła, a ja ją tylko z uprzejmości zastąpiłem, więc proszę mnie w to nie mieszać.

W sytuacji zagrożenia ochroniarz nagle skorzystał z uśpionego dotychczas rozumu. Jego odpowiedź była zaskakująco trafna. Konrad jednak nie zamierzał odpuszczać, zwłaszcza że przez kilka miesięcy zdążył z grubsza poznać swego rozmówcę. Znał jego słabe strony, takie jak skłonność do przekładania rzeczy na później, wszak już w zeszłym roku wspominał o zamiarach rozpoczęcia nauki na studiach, kiepska samoocena mająca bezpośredni wpływ na pensję, niższą o trzysta złotych od pozostałych strażników, oraz głęboka miłość do matki, z którą mieszkał pod jednym dachem. Pamiętał słowa ochroniarza, narzekającego na niską emeryturę kobiety, przez którą to na jego barkach spoczywała większość wydatków. Choć było to niemoralne, Konrad musiał uderzyć właśnie w ten punkt.

– Nadużywa pan mojej cierpliwości. Ma pan moje słowo, że jeśli zaraz nie pokaże mi tego filmu, to z samego rana złożę na pana skargę. – Zaatakował bez skrępowań. – Wspomnę nie tylko o włamaniu, ale również o pana ciągłych przechadzkach poza teren budynku oraz o robieniu zakupów w trakcie pracy. Ciekawe, za co wówczas utrzyma pan swoją matkę, co?

Stojący kilka metrów dalej Tymon z uznaniem pokiwał głową. Zgoła inne emocje wyrażała twarz strażnika, który bez słowa odwrócił się i zniknął za blatem recepcji. Konrad blefował, nie zamierzał robić kłopotów gapowatemu mężczyźnie, nikt jednak nie musiał o tym wiedzieć.

## Rozdział X

Po opublikowanym artykule telefon Pawła nie przestawał dzwonić. Redakcyjni koledzy okazali się bardziej wyrozumiali wobec jego zachowania względem Roberta, niż na to wcześniej wyglądało, najwidoczniej uznając, że sukces wymagał takich właśnie kroków. Uśmiech na twarzy dziennikarza wywołała wiadomość od „Wdowy”, która do zwykłych gratulacji dopisała notkę, jaki to z Roberta warchoł psujący atmosferę w firmie. Zmiana frontu w jej przypadku nie była niczym zaskakującym, lecz zwykle zajmowało to dłużej niż jedną dobę, podczas gdy tym razem w ciągu kilkunastu godzin przeszła przemianę z zatwardziałego wroga w wiernego sojusznika, gotowego służyć pomocą o każdej porze dnia i nocy.

Mniej przyjemną rozmowę odbył z prokuratorem, który odwiedził go w redakcji, ostrzegając o konsekwencjach prowadzenia indywidualnego śledztwa bez współpracy z policją oraz rzucania bezpodstawnych pomówień. Wprawdzie nie powiedział tego wprost, ale z jego słów wyczuć można było, iż Konrad Małecki nie znajdował się w kręgu podejrzanych. Paweł zbył go standardową gadką o wolności słowa i niezależnej prasie, lecz domyślał się, że od teraz będzie na celowniku prokuratury.

Wszystko to traciło na znaczeniu, gdy dziennikarz wracał myślami do monety ukradzonej z gabinetu terapeuty. Co kilka godzin odzywał się odgłos dzwonków, którego nie słyszał nikt inny. Teraz już był pewien, że powodował to ten właśnie tajemniczy

przedmiot. Najgorsza była noc, podczas której dzwonienie rozbrzmiewało najdonośniej, powodując wręcz wibracje jego ciała, jakby to on był źródłem dźwięku, co naturalnie nie było możliwe.

Jeszcze przed północą wysłał mejla do znajomego numizmatyka z Torunia, z którym współpracował niegdyś przy serii artykułów o pasjonatach jeżdżących po całym kraju w poszukiwaniu antyków, starych monet, dzieł sztuki czy innych wartościowych obiektów sprawiających pozory rupieci. Do wiadomości chciał dołączyć zdjęcia monety, która jednak z niewiadomych powodów nie dawała się sfotografować. Każde ujęcie wychodziło rozmazane, obojętnie, czy używał telefonu, służbowej lustrzanki czy zwykłego kompaktowego aparatu cyfrowego. Efekt każdorazowo był ten sam, co było bardzo niepokojące. Ostatecznie wysłał jedynie informację, że odwiedzi numizmatyka jutro z samego rana.

Sklepik Bogdana Zająca mieścił się w samym sercu Torunia, zaledwie dwieście metrów od Rynku Nowomiejskiego. Tak atrakcyjną lokalizację starszy pan zawdzięczał dawnym znajomościom, o których wolał się jednak nie wypowiadać. Jak wyznał kiedyś Pawłowi, były to inne czasy i takie sprawy załatwiała się w kameralnym gronie, nie stroniąc od alkoholu. Niemniej nawet idealne położenie lokalu nie zmieniało faktu, iż z roku na rok jego obroty spadały, zmuszając właściciela do myśli o wcześniejszej emeryturze.

Paweł na miejscu był już o dziewiątej, choć numizmatyk zwykł otwierać dopiero godzinę później. Dziennikarz i tak nie mógł usiedzieć w miejscu, a nieustanne telefony wolał odbierać poza domem, nie przeszkadzając Baśce, poza tym nie chciał sobie odmówić spaceru po toruńskiej starówce, gdzie z każdego kiosku

biła po oczach pierwsza strona „Super Faktu” z artykułem jego autorstwa.

Wreszcie dopiął swego. Ciężka praca przyniosła pierwsze wymierne efekty, które wprawdzie nie miały jeszcze przełożenia na zarobki, ale wierzył, że wkrótce stan ten ulegnie zmianie. Starał się nie myśleć o Elżbiecie, o tym, że gdyby przyjechał do niej wcześniej, to być może kobieta wciąż by żyła. Jej śmierć traktował jako niezbędne poświęcenie dla dobrej sprawy.

Usiadł w kawiarni, z której miał widok na sklepik Bogdana. Zamówił jajecznicę i podwójne espresso, po czym wyłączył dźwięk w telefonie, by choć na chwilę móc zebrać myśli. Te wciąż krążyły wokół monety i tajemniczych dźwięków w jego głowie, które wywoływała. Zastanawiał się, czy Konrada również nękał odgłos dzwonek, a jeśli tak, to w jaki sposób dawał sobie z nimi radę.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli z przewieszanej przez krzesło torby zaczął dobiegać znajomy dźwięk. Paweł rozejrzył się po kawiarni, by sprawdzić, czy ponownie jest jedynym, który był w stanie go usłyszeć, i nagle zamarł. Tym razem działo się coś znacznie bardziej niepokojącego.

Sąsiedni stolik, gdzie jeszcze chwilę wcześniej siedziały dwie atrakcyjne kobiety zatopione w rozmowie, był pusty. Przewrócone filiżanki leżały obok porcelanowego czajniczka, a obrus zalała herbata ściekająca na podłogę. Pojedyncze krople płynu kapały co parę sekund na drewniany parkiet, w momencie uderzenia wydając niosący się echem odgłos, niczym dźwięk kamienia wrzuconego do studni. Rytmiczne kap, kap, kap zagłuszało nawet dzwonki w głowie dziennikarza.

Pozostałe stoliki również były puste, jakby opuszczono je

w pośpiechu. Na niektórych wciąż leżały talerze z niedokończonym jedzeniem i na wpół pełne filiżanki. „Gdzie się wszyscy podziali?” – pomyślał Paweł, czując ukłucie strachu. Zerknął w kierunku lady, gdzie powinna stać uśmiechnięta kasjerka. Tam również nie było nikogo, zaś na oszklonej gablocie, za którą rozłożone były kanapki, drożdżówki i soki jednodniowe zachęcające do zakupu, dostrzegł duże pęknięcie, rosnące na jego oczach.

Trzask szkła był dziwnie rytmiczny. Dopiero po chwili Paweł zrozumiał, że rysa pogłębiała się z każdym odgłosem kapiącej na podłogę kropli herbaty z sąsiedniego stolika. Na szybie powoli powstawał jakiś wzór. Odkryciu towarzyszyła ekscytacja zmieszana z przejmującym strachem. Dziennikarz czuł ciarki na całym ciele, nie potrafił jednak oderwać wzroku od powstającego obrazu. Miał wrażenie, że jego umysł niczym w dziecięcej kolorowance łączy z sobą określone punkty, tworząc na tafli szkła kolejne elementy. Pozornie niepowiązane z sobą fragmenty zaczęły stanowić całość, odsłaniając przed dziennikarzem rysunek ludzkiej twarzy.

– Elżbieta... – wymamrotał.

Podobizna fryzjerki spoglądała na niego z niewzruszoną miną. Dziennikarz nawet nie zauważył, kiedy oszklona gablota zmieniła się w lustro, odbijające poparzoną twarz Elżbiety, a on sam z kawiarnianego krzesła przesiadł się na fryzjerski fotel. Stojąca za jego plecami kobieta trzymała w dłoniach suszarkę do włosów. Chciał coś powiedzieć, przeprosić, ale nie był w stanie wypowiedzieć żadnego słowa. Fryzjerka włączyła suszarkę, z której zamiast ciepłego powietrza buchnęła fala płomieni, momentalnie obejmując całą jej twarz i włosy. Paweł czuł bijący od

niej żar, kobieta jednak nie krzyczała ani nie próbowała ugasić ognia. Wciąż patrzyła na lustrzane odbicie dziennikarza, a na jej twarzy widniał delikatny uśmiech.

Kap, kap, kap... Odgłos spadających kropeł przybrał na sile, wrywając Pawła z salonu fryzjerskiego. Znow siedział w pustej restauracji, a ze stolika obok kapiała na podłogę herbata, rozbrzmiewając echem. Mężczyzna miał wrażenie, że jego bębniaki lada chwila eksplodują. Rozejrzał się. Płonąca Elżbieta zniknęła, lecz jej portret wciąż widniał na szklanej gablocie. Spojrzał uważniej. Coś mu nie pasowało, wyglądała jakby trochę inaczej, rysy wydawały się nieco zniekształcone. Wstał i podszedł bliżej, po czym zastygł w bezruchu, zdawszy sobie sprawę z makabrycznej prawdy. To nie była fryzjerka. Podobizna przedstawiała inną czaszkę, na którą niedbale naciągnięto skórę twarzy Elżbiety.

Kap, kap, kap... Kolejne pęknięcia pojawiły się na szkle, dorysowując kilka węży wyrastających bezpośrednio z głowy, jak u mitycznej Meduzy. Kapanie powoli przyspieszało, powodując powstawanie dodatkowych rys, coraz szybciej, aż Paweł odniósł wrażenie, że gady poruszają się i wysuwają rozdwojone języki.

Kap, kap, kap... Krople nie dawały za wygraną.

Kap, kap, kap... Postać wyryta na szkle wykrzywiła się nagle w przerażającym uśmiechu, aż Paweł z okrzykiem przestraszenia odskoczył do tyłu. Makabryczna twarz zaczęła poruszać ustami, wprawiając w drgania całą taflę.

Kap... Dziennikarz poczuł, że czas zwalnia. Gablota eksplodowała nagle bezgłośnie, ciskając w powietrze tysiące drobnych odłamków. Widział ostro zakończone igły lecące w jego

kierunku, powoli, tak bardzo powoli, a jednak nie potrafił wykonać uniku. Stał jak zaczarowany, patrząc na zbliżającą się do niego falę zabójczego szkła.

Kap... Odgłos rozbrzmiał dudnieniem w uszach, wprawiając całe ciało w wibracje. Fragmenty szyby były już milimetry od twarzy Pawła, widział, jak rosną, przybliżając się do jego źrenic.

Kap... Poczł przeraźliwy ból, gdy szkło zagłębiło się w ciele. Chciał otworzyć usta, by krzyknąć, lecz nie był w stanie zrobić nawet tego. Trwał w bezruchu, czując, jak ostre odłamki wbijają się głębiej i głębiej, aż całkowicie zniknęły.

Czas przyspieszył.

\* \* \*

– Jajecznicza zaraz będzie – powiedziała kelnerka, kładąc przed nim espresso.

Paweł poderwał się gwałtownie, prawie przewracając filiżankę. Odruchowo wymacał twarz w poszukiwaniu tkwiących tam fragmentów szkła, napotykając jedynie na dwudniowy zarost. Dla pewności spojrział w stronę sąsiedniego stolika i odetchnął z ulgą na widok siedzących tam kobiet. Kawiarnia rozbrzmiewała cichą muzyką i szmerem rozmów.

– Tak, tak, dziękuję – odparł, próbując ukryć zażenowanie.

Najwyraźniej nieprzespana noc zrobiła swoje. Uciał sobie drzemkę w oczekiwaniu na kawę, choć nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się coś podobnego. Sen był tak realny, że dziennikarz co rusz nerwowo zerkał w stronę gabloty, upewniając się, że nie ma tam żadnej zjawy z ludzką skórą naciągniętą na twarz.

Sięgnął po torbę i zajrzał do środka, sprawdzając, czy moneta wciąż tkwi na swoim miejscu, w bocznej przegródce. Była tam,



zawinięta w ściereczkę kuchenną. Dziennikarz zagryzł wargę i ponownie odłożył torbę na sąsiednie krzesło.

Zależność między nieplanowaną drzemką a monetą zdawała się oczywista. Oddalał jednak od siebie myśli o magicznych mocach przedmiotu, paranormalne zjawiska nie należały do popularnych tematów. Poza tym starcie z psychologiem – nawet najbardziej okrutnym i nieprzewidywalnym – było łatwiejsze niż stawienie czoła istotom z innego świata.

„Być może gnój mnie zahipnotyzował – pomyślał, upijając łyk kawy. – Może od początku mną manipuluje, przewiduje każdy ruch, wręcz nakazuje mi go wykonać. Oznaczałoby to, że Małecki sam zaplanował zarówno opublikowanie oskarżającego go artykułu, jak i kradzież monety. Tylko po co? Chce mnie zrobić w morderstwa?”. Wielokrotnie oglądał nagranie ze swojej jedynej sesji w gabinecie Małeckiego. Nie było tam mowy o żadnej hipnozie, zwykła paplanina, którą równie dobrze mogli odbyć w zatłoczonym autobusie. Wolał jednak wierzyć, iż psycholog posiadał umiejętność hipnotyzowania w trakcie nic nieznaczącej rozmowy niż w tajemną moc monety.

Szybko rozprawił się z jajecznicą, gdy tylko kelnerka podała ją do stołu. Zostawiając przy talerzu odliczoną co do grosza zapłatę, wyszedł na zewnątrz, by zapalić. W obliczu chwilowych kłopotów finansowych powinien przyhamować z nałogiem, jednak napięcie, jakie odczuwał, nie pozwalało mu zebrać myśli bez kojącego dymku. Perspektywa bycia marionetką w rękach człowieka potrafiącego zmusić innych do makabrycznego samobójstwa stanowiła wystarczającą wymówkę, by ulec pokusie.

Kończąc drugiego z rzędu papierosa, kątem oka dostrzegł

starszego mężczyznę otwierającego sklep numizmatyczny. Określenie „sklep” nie do końca pasowało do ciasnej kłitki, otoczonej przez znacznie większy dyskont spożywczy z jednej strony i kantor z drugiej. Zaledwie kilka lat temu, gdy Paweł pierwszy raz odwiedził numizmatyka, po drodze minął dwie księgarnie oraz jubilera specjalizującego się w biżuterii z kamienia naturalnego, podczas gdy teraz zewsząd atakowały go placówki banków i kantorów. W takim sąsiedztwie Zając wychodził na ostatniego strażnika dobrego smaku, odpierającego ataki bezwzględnych finansistów, krok po kroku przejmujących toruńską starówkę.

– Panie Bogdanie! – zawołał Paweł, wyrzucając niedopałek na ziemię. – Może pomogę?

Numizmatyk, ubrany w szarą koszulę wpuszczoną w jasne, materiałowe spodnie podciągnięte pod sam pępek, rozprawiał się akurat z kratą antywłamaniową. Nieufnym wzrokiem spojrzął na podchodzącego dziennikarza, mrużąc oczy.

– Ach, tak, pan Paweł – odpowiedział wreszcie. – Przepraszam, zostawiłem wczoraj okulary w sklepie, a bez nich jestem ślepy jak kret. No, ale nic, zapraszam do środka.

Z kieszeni spodni wyjął gruby pęk kluczy, które głośno zabrzęczały. Ten dźwięk zmroził krew w żyłach dziennikarza, przywołując nieprzyjemne wspomnienia z niedawnego snu. Paweł spuścił wzrok na ziemię, wpatrując się w czubki swoich butów, aby tylko nie spoglądać w stronę szklanej wystawy. Jak na złość numizmatyk przez dłuższą chwilę nie mógł znaleźć odpowiedniego klucza, wydłużając brzęczenie w nieskończoność.

– Mam cię! – rzekł w końcu, uśmiechnięty, po czym otworzył

drzwi i zapraszającym gestem skinął głową do dziennikarza. – Zaraz zrobię nam coś do picia, tylko najpierw znajdę te przeklęte okulary. Wie pan co, cały wieczór zmarnowałem, nie mogąc niczego poczytać. Z braku laku włączyłem telewizor, ale odkąd zrezygnowaliśmy z kablówki, mamy tylko kilka kanałów na krzyż, wie pan, te darmowe, co to wystarczy abonament płacić. Mówię panu, oszczędności oszczędnościami, ale teraz nie mogę obejrzeć nawet dobrego boksu, bo wszystko na tych płatnych dekodkach czy innych urządzeniach.

Upodobanie leciwego specjalisty od monet do gadulstwa zwykle pasowało Pawłowi, który nawet nie musiał zadawać pytań, by uzyskać informacje. Tym razem jednak było mu to wyjątkowo nie w smak. Małecki, przeczytawszy artykuł, zapewne uda się do swojego gabinetu, gdzie nie znajdzie monety. Nie powinien mieć wątpliwości, kto stoi za kradzieżą. Pytanie tylko, jaki będzie jego następny krok?

Ukrywając zniecierpliwienie, dziennikarz rozejrzał się po pomieszczeniu. Wnętrze sklepu nie uległo zmianie przez ostatnie lata. Na kilku metrach kwadratowych upchano gabloty z najcenniejszymi unikatami oraz dwa regały z numizmatycznymi albumami. Praca Bogdana w głównej mierze polegała na skupywaniu monet od prywatnych właścicieli, nie do końca świadomych ich rzeczywistej wartości. Idąc z duchem czasu, mężczyzna sprzedawał je później na internetowych aukcjach, przez co jego sklep pełnił głównie funkcję dodającą mu wiarygodności. Prędzej bowiem potencjalny sprzedawca bilonu odziedziczonego po dziadku zaufa specjalistce posiadającemu własną placówkę niż przypadkowemu kupcowi z sieci.

– Ja tylko na chwilę – powiedział Paweł, gdy znaleźli się w środku. – Mam jedną monetę, o której pilnie potrzebuję informacji.

Numizmatyk, jakby oprócz okularów zapomniał również aparatu słuchowego, nie odpowiedział, znikając gdzieś na zapleczu. Dziennikarz westchnął, szukając wzrokiem krzesła. Nie znalazłszy żadnego, położył torbę na blacie i ostrożnie wyjął z bocznej przegródki zawiniętą w kuchenny ręcznik monetę. Dzwonki błyskawicznie rozbrzmiały cichym dzwonieniem, dochodzącym jakby z zewnątrz.

– Wy, młodzi, zawsze gdzieś pędzicie. – Bogdan wrócił, trzymając w dłoniach dwa kubki. Na nosie nałożone miał okulary w grubej plastikowej oprawce. – Nie napije się pan nawet herbaty?

– Bardzo mi zależy na czasie. – Paweł skinął na zawiniątko. – Obiecuję, że następnym razem wpadnę na dłużej.

– Jak tam pan sobie chce. – Staruszek wzdrysnął ramionami, po czym podszedł do lady, na której postawił puste kubki. – Dobrze więc, pokaż pan, jakież to cudenko tu mamy.

Pochylił się nad blatem i rozwinął ściereczkę, po czym ujął monetę w dłoń, przyglądając się jej uważnie. Dziennikarz oczekiwał eksplozji dźwięków, podczas gdy dzwonienie wcale nie przybrało na sile. Wprawdzie wciąż jego uszu dochodził cichy odgłos, lecz można było go zignorować.

– I co pan o tym sądzi? – spytał zniecierpliwiony. – Ma to jakąś wartość? Co to w ogóle jest?

– Nie wiem – odparł numizmatyk, odkładając monetę.

„Jak to nie wiesz – pomyślał dziennikarz. – Co ma znaczyć, że nie wiesz? Jesteś specjalistą od monet, a to jest moneta. Nie ma

takiej odpowiedzi jak «nie wiem»”.

– To mi wygląda na jakiś bardzo stary amulet – ciągnął Zając.

– Tak, amulet to dobre słowo. Skąd pan w ogóle to ma?

– Może przyjrzy się pan dokładniej? Co mogą znaczyć te symbole?

W tle słychać było gotującą się wodę. Bogdan bez słowa odwrócił się i ponownie zniknął na zapleczu, wystawiając cierpliwość dziennikarza na próbę. Po chwili wrócił, w dłoniach niosąc elektryczny czajnik.

– Na pewno pan się nie napije? – spytał, zalewając herbatę.

– Panie Bogdanie, bardzo mi zależy na pana opinii. To naprawdę bardzo, bardzo ważna sprawa.

Określenie „amulet” nasunęło Pawłowi najgorsze myśli. A co, jeśli to rzeczywiście był magiczny przedmiot? Co, jeśli Małecki był kimś w rodzaju wtajemniczonego guru, stojącego na czele jakiejś niebezpiecznej sekty, a ów przedmiot był ichnim artefaktem używanym podczas zakazanych rytuałów?

– Ja panu nie pomogę. – Numizmatyk ponownie pochylił się nad monetą. – To, co mogę stwierdzić z pewnością, to fakt, iż czymkolwiek by to nie było, jest to bardzo, bardzo stare, być może nawet z czasów przed Chrystusem. Jak pan zapewne wie, kiedyś nie istniało pojęcie pieniądza, dlatego jestem raczej przekonany, że pomimo sugestywnego kształtu ten przedmiot nie jest środkiem płatniczym. Więcej mógłby powiedzieć historyk, a najlepiej to archeolog. Nie chcę pana naprowadzić na fałszywy trop, ale sugerując się tą sową, obstawiałbym czasy prekolumbijskie. –

Skierował wzrok na dziennikarza. – Wie pan, Majowie i te sprawy. Strasznie dziwna sprawa, bo to jest prawdziwe srebro.

– Majowie? – Paweł nie mógł uwierzyć. Słyszając o starych czasach, spodziewał się co najwyżej epoki wielkich odkryć geograficznych.

– Ale powtarzam, to jest tylko osąd totalnego laika. – Staruszek przez chwilę zastanowił się i dodał: – Mam znajomego na uniwersytecie, archeologa, może go to nawet zainteresować. Jak pan chce, to do niego zadzwonię. – Wziął monetę w dłoń i przyjrzał się uważniej, podnosząc ją do oczu. – Zastanawia mnie ten otwór, nie mam pojęcia, do czego mógł służyć.

Gdy Paweł znalazł monetę w gabinecie Małeckiego, przez wspomniany otwór przewleczony był rzemyk, przez co monetę można było nosić na szyi. Dziennikarz zastanowił się, kto normalny trzymałby tak unikatowy przedmiot w zwykłym biurku, a tym bardziej zakładał jako wisiołek.

– Co do tych znaków na rewersie... – Zając obrócił monetę i odłożył na ściereczkę. – Cóż, tutaj nie mam za wiele do powiedzenia. To są jakieś symbole, zapewne religijne, ale tak jak mówiłem, to nie jest moja działka. Niemniej radziłbym nie obnosić się z tym cacuszkiem, bo jeszcze je panu skonfiskują pod pozorem ochrony dóbr narodowych, wie pan, o czym mówię.

– A ile to może być warte?

– Nie chcę pana okłamać – odparł numizmatyk, z głośnym siorbnięciem upijając łyk gorącego płynu. – Jeśli to rzeczywiście pochodzi z tamtych czasów, to możemy mówić o całkiem sporej sumce.

Dziennikarz zadumał się. Spora suma mogła oznaczać, że zamiast męczyć się dalej z artykułem, powinien raczej spakować rodzinę i wyjechać jak najdalej, by po jakimś czasie cichcem

spieniężyć monetę u zamożnego kolekcjonera. Tylko jak takiego znaleźć? Poza tym równie dobrze mogło się okazać, że zamiast setek tysięcy złotych dostanie parę marnych stówek. Nie mówiąc już o tych przeklętych dzwonkach, które prędzej czy później doprowadziłyby go do szaleństwa.

– Wspominał pan o jakimś znajomym. – Paweł ostrożnie zawinął monetę w materiał i schował całość do torby. – Bardzo proszę o jego namiary. No i wie pan, zależy mi na dyskrecji.

Staruszek wzruszył ramionami.

– Zaraz po niego zadzwonię. On tu niedaleko mieszka, a sprawa może go zainteresować. Napijemy się herbaty, a tymczasem on tu przyjedzie.

Dziennikarz nie miał większego wyboru – szukanie informacji na własną rękę sprowadziłoby mu na głowę jedynie kłopoty. Im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej.

– Dobrze, ale proszę zadzwonić przy mnie – odparł, przyciskając torbę do ciała.

\* \* \*

Nie minęło pół godziny, gdy do sklepu wparował zziębnięty mężczyzna mniej więcej w wieku Zająca. Przerzedzone, siwe włosy opadały mu na czoło, a na gładko ogolonej twarzy perlily się krople potu. Ubrany w eleganckie skórzane buty, czarne spodnie od garnituru i starannie wyprasowaną koszulę, wyglądał na zirytowanego.

– Oby to było coś ważnego – wysapał, z trudem łapiąc oddech. Z kieszeni spodni wyjął inhalator i użył go dwukrotnie. –

Pieprzona astma, w te upały nie powinienem wcale wychodzić z domu. A w ogóle to dzień dobry.

– Witaj, Henryku. – Numizmatyk skinął w kierunku dziennikarza. – To jest pan Paweł, o którym wspominałem przez telefon. Wybacz te tajemnice, ale zaraz sam zobaczysz, że nie marnuję twojego czasu.

Profesor Henryk Wisławski, kierownik Katedry Archeologii na Wydziale Nauk Historycznych toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, nie miał sobie równych w całym kraju – tak przynajmniej twierdził Zając. Oczekując na niego, Paweł wysłuchał niekończących się pochlebstw pod adresem profesora, który pomimo wieku emerytalnego wciąż czynnie pracował na wielu płaszczyznach.

– Dzień dobry. – Dziennikarz uścisnął jego dłoń. – Na początku zastrzegam, że nasza rozmowa nie może opuścić tych murów.

– Nie gadaj pan tyle. – Profesor machnął ręką i podszedł do lady. – Najpierw zobaczmy, czy mój przyjaciel nie przesadza. Potem zastanowimy się, co robić, ale drogi panie, warunków to mi pan stawiać nie będziesz.

– Spokojnie, Henryku – wtrącił numizmatyk, spoglądając przepaszająco na dziennikarza. – Nie fatygowałbym cię, gdyby to nie było coś interesującego.

Wyniosła mina profesora zniknęła, gdy tylko zobaczył, co kryło zawiniątko rozpakowane przez Pawła. Na widok srebrnej monety starszy pan zmrużył oczy, przyglądając się dokładnie, po czym mruknął coś pod nosem. Niespiesznie wziął ją do ręki i zaczął oglądać ze wszystkich stron. Dziennikarzowi przyszło do głowy skojarzenie z koneserem win, który zamiast po prostu posmakować trunku wacha zawartość kieliszka, ocenia kolor i gęstość płynu.



Na widok monety w cudzych dłoniach Paweł odczuwał dziwny niepokój, jakby zaraz miało wydarzyć się coś złego z tego powodu. Powstrzymał jednak chęć wyrwania przedmiotu z rąk profesora i zacisnął palce w pięść.

– Zaiste, interesujące – odparł wreszcie profesor, nie odrywając wzroku od monety. – Skąd pan to wytrzasnął?

– To nie jest ważne. Proszę mi powiedzieć o niej coś więcej. Czy to naprawdę pochodzi z epoki Majów?

– Drogi panie, po pierwsze nie ma czegoś takiego jak epoka Majów – odparł Wisławski głosem nauczyciela karcącego ucznia za brak podstawowej wiedzy. – Jak już to cywilizacja. Mówimy tu o późnym okresie preklasycznym, pomiędzy pierwszym a trzecim wiekiem naszej ery. Tak, niewątpliwie ten przedmiot wyglądem przypomina znaleziska, które miałem okazję w przeszłości oglądać. Ten ptak to zapewne Muan, ale nijak on nie pasuje do tych wszystkich pozostałych symboli. Proszę spojrzeć. – Wyciągnął monetę w kierunku dziennikarza i palcem wskazał jeden ze znaków. – To przykładowo jest symbol boskiej trójcy z Palenque, a tu zaraz obok rozpoznaję znaki ichniego świata piekieł, w którym prym wiódł Ah Puch. Niestety, muszę pana rozczarować. To, co oglądamy, nie zostało nigdzie sklasyfikowane, co w skrócie oznacza, że mamy do czynienia z oszustwem.

– To znaczy?

– To znaczy dokładnie to, co powiedziałem przed chwilą – odparł archeolog, głośno wzdychając. – Skoro nikt nigdzie tego nie opisał, to w jaki sposób wszedł pan w jego posiadanie? Chyba że...

– Zamarł nagle, a w oczach rozbłysnęły mu iskierki podekscytowania. – Proszę mi powiedzieć, skąd pan to ma.

Paweł podrapał się po głowie i zmrużył lekko oczy, myśląc nad odpowiedzią. Nie mógł przecież przyznać, że ukradł monetę. Nie było wyjścia, musiał zmyślić coś na poczekaniu, inaczej ten profesorek nie da mu spokoju.

– Odziedziczyłem po dziadku. Umarł niedawno, a sprzątając jego mieszkanie, natknąłem się właśnie na to. – Urwał, gdy przyszedł mu do głowy pewien pomysł, po czym pospiesznie dodał: – Raz, że może być coś warte, a dwa, że zainspirowało mnie to jako dziennikarza. Akurat zastanawiałem się nad serią artykułów o przedmiotach przeklętych. Może zna pan jakieś ciekawostki związane właśnie z tego typu monetami? Chodzi mi o magię, szamanów, amulety, coś w tym stylu.

– A szanowny dziadek był...

– Pilotem wojskowym – skłamał Paweł.

Profesor patrzył na niego podejrzliwie, ale nie skomentował. Raz jeszcze przyjrzał się monecie, obracając ją w palcach.

– Pańska ignorancja jest niesamowita. Po dziennikarzu spodziewać by się można czegoś więcej, ale widocznie takie mamy czasy. Dobrze, nie wnikajmy już w tego dziadka, niech sobie nawet będzie polarnikiem.

Paweł zacisnął zęby, żeby nie odpowiedzieć profesorkowi czegoś przykrego, kiedy jego uwagę zwrócił nerwowy uśmiech archeologa i spojrzenie, którym obrzucił monetę. „Coś tu jest nie tak – pomyślał. – Być może starszy pan jedynie udawał brak zainteresowania, wszak wcześniej ewidentnie podekscytował się na widok znaleziska”.

– Żeby powiedzieć coś więcej, muszę zabrać monetę do siebie, znaleźć więcej informacji w katalogach i książkach oraz porównać

symbole. Rozumiem, że nie ma pan nic przeciwko? – dodał profesor.

Teraz dziennikarz nie miał już wątpliwości. Jego rozmówca najwidoczniej wpadł na jakiś trop, którym nie chciał się z nikim podzielić. Z drugiej strony trudno było oczekiwać od jakiegokolwiek archeologa, że z miejsca odczyta starożytne znaki. Normalnie pozwoliłby mu zrobić zdjęcie, lecz z doświadczenia wiedział, że to niemożliwe.

– Przykro mi, ale monetę zabieram ze sobą. – Wyciągnął dłoń po srebrny przedmiot, profesor jednak odsunął się, jakby nie zamierzał go oddać. – Nie wiem, może pan sobie przerysować te symbole.

– Pan nic nie rozumie – rzucił archeolog, wyraźnie podenerwowany. O ile wcześniej radził sobie ze skrywaniem emocji, tak teraz zaczęło go to przerastać. – Być może, powtarzam, być może ten przedmiot rzeczywiście pochodzi z czasów prekolumbijskich. Doświadczenie jednak doradza mi daleko idącą ostrożność, zbyt wiele razy naciąłem się na oszustów. Tak więc jeśli zależy panu na mojej opinii, a sądzę, iż tak właśnie jest, musi pan mi go udostępnić przynajmniej na jeden dzień.

– Henryku, może zrobisz po prostu zdjęcie – wtrącił numizmatyk uspokajającym tonem. – Nie ma co się kłócić.

Dla świętego spokoju Paweł skinął głową, mając nadzieję, że po nieudanej próbie sfotografowania monety archeolog odpuści. Profesor oddychał ciężko, jakby zaraz miał go chwycić atak astmy. Zamiast inhalatora z kieszeni wyjął komórkę.

– Nie sądzisz chyba, że czymś takim złapię dobre ujęcie. – Pokazał telefon wyglądem przypominający kultową „cegłę”. Nie

trzeba było znać się technologii, by przyznać mu rację. – Boguś, będziesz tak miły?

Numizmatyk kolejny raz zniknął na zapleczu. Po chwili wrócił z aparatem, którego nie powstydziliby się profesjonalny fotograf. Paweł uśmiechnął się na wspomnienie sprzed kilku lat, gdy sam namówił Zająca do okazijnego kupna sprzętu od jego redakcyjnego kolegi. Ostatecznie stanęło na dwóch tysiącach złotych, co – zważywszy, że sam obiektyw wart był osiem stówek – stanowiło bardzo atrakcyjną cenę.

– Proszę czynić honory. – Numizmatyk podał aparat fotograficzny Wisławskiemu.

Archeolog przez chwilę jakby wazył myśli, po czym z niechęcią wypisaną na twarzy wziął go w dłonie. W jego spojrzeniu widać było niezadowolenie, jednak pozycja negocjacyjna nie pozwalała na stawianie warunków. Mógł wprawdzie postawić wszystko na jedną kartę i zagrozić, że albo moneta zostanie mu udostępniona, albo będą musieli szukać pomocy gdzie indziej, lecz gołym okiem było widać, że nie zamierzał odpuścić tematu, niczym poszukiwacz złota, który natrafił na drobny samorodek zwiastujący prawdziwy skarb.

– Ciemno tu jak w trumnie – zamruczał pod nosem, po czym odłożył monetę na przygotowaną przez Bogdana podkładkę. –

Doprawdy, to szczyt braku profesjonalizmu. Kto to słyszał, żeby prowadzić badania na podstawie zdjęć.

Nikt nie skomentował jego słów. Dziennikarz tkwił w gotowości, by w odpowiedniej chwili odzyskać monetę, nie chcąc ryzykować, że profesor nie będzie chciał jej wypuścić z rąk. Lampa błyskowa kilka razy rozświetliła pomieszczenie. Gdy tylko Henryk

odsunął aparat, by sprawdzić jakość zdjęć, Paweł chwycił srebrny przedmiot i wsunął go do kieszeni. Wystarczyła chwila, by jego uszu dobiegł ponownie przeraźliwie głośny dźwięk dzwonek, jakby karzący go za to, że pozwolił obcym dotknąć skarbu. Odruchowo zatkał uszy, jednak szybko cofnął dłonie, widząc spojrzenia pozostałych mężczyzn.

– Co pan wyprawiasz? – Historyk odłożył aparat na blat. – Proszę tego nie dotykać, muszę zrobić jeszcze jedno zdjęcie.

– I tak żadne nie wyjdą. – Paweł podniósł głos, próbując przekrzyknąć dzwonienie. – Sam pan widzi, że to nie jest zwyczajny pieniądz.

– Czego się pan tak wydzierasz? Chyba że... – Profesor podszedł do dziennikarza, stając z nim twarzą w twarz. – Pan coś słyszysz, prawda? Jakies głosy? Szepty? Dlatego pan tu jesteś, prawda? Stąd ta gadka o szamanach.

– Henryku... – Zaniepokojony numizmatyk zrobił dwa kroki w stronę mężczyzn. – Myślę, że wszyscy troszeczkę się zapędziliśmy.

– Nie teraz, Bogdan, proszę cię, nie teraz. Daj mu odpowiedzieć, to jest ważne, naprawdę ważne.

Dziennikarz ledwo słyszał słowa stojącego przed nim profesora. Z kieszeni, do której schował monetę, wydobywały się wibracje wprawiające w drżenie całe jego ciało. Czuł się jak na symulatorze trzęsienia ziemi, do którego wsiadł kiedyś w parku rozrywki.

– Halo, panie Pawle! – Archeolog chwycił go za ramię. – Dobrze się pan czuje? Słyszysz mnie pan?

Zamiast słów dziennikarz słyszał jedynie dźwięk dzwonek. Spuścił głowę w dół, by tylko nie patrzeć na oszkloną ladę, dobrze

wiedząc, iż zobaczy tam twarz Elżbiety, skórę naciągniętą na trupa czaszkę. Czuł jej obecność, wzywała go, a on nie mógł nic zrobić.

– To naprawdę ten amulet... – wyszeptał profesor z ekscytacją w głosie. – Niesamowite, doprawdy niesamowite.

Resztką sił dziennikarz podniósł rękę, chcąc sięgnąć do kieszeni, by wyjąć z niej przekłętą monetę. Gotów był ją oddać i zapomnieć o całej sprawie, byle tylko wszystko wróciło do normy. To, co czuł w tej chwili, przekraczało jego wytrzymałość. Zaprzagnął pojechać do domu, przytulić Baškę i wyznać jej całą prawdę. Przyznać się do potajemnego zdejmowania obrączki, kolacji z Elżbietą i prowadzenia niebezpiecznej gry z Małeckim. Zaniechałby dalszego śledztwa, zaciągnął się na drugi etat, spłacił kredyt i długi. Pomału wyszliby na prostą, ciesząc się spokojnym życiem.

Brzęczenie i wibracje nagle ustąpiły. Gdyby nie miny pozostałych mężczyzn, gotów byłby pomyśleć, że doświadczył kolejnej drzemki.

– To mnie zaczęło przerastać – przyznał, wystraszony. – Sam pan widział, że to nie jest jakiś tam zwykły pieniążek.

Włożył rękę do kieszeni. Chciał oddać monetę historykowi, by ten mógł przynajmniej odrysować ją na kartce papieru. Po chwili spojrział na wpatrujących się w niego starszych panów z zaskoczeniem, gdy jego dłoń napotkała jedynie zapalniczkę i paczkę papierosów.

– Co, do cholery? – jęknął.

Zerknął pod nogi. „Być może mam dziurawe kieszenie” – pomyślał, rozglądając się po podłodze. Mało prawdopodobne,

wszak reszta rzeczy była na swoim miejscu. Dla pewności schylił się i przetrzepał rękoma całe spodnie, po monecie jednak nie było śladu.

– Wszystko w porządku? – zapytał numizmatyk, patrząc na niego z niepokojem.

Archeolog wręcz przeciwnie, wyglądał na zadowolonego.

Dziennikarz wyprostował się powoli, czując, jak przerażenie utrudnia mu oddychanie.

– Nic nie jest w porządku – odpowiedział. – Proszę mi pomóc. To wszystko wymknęło się spod kontroli.

# Rozdział XI

Zasnął dopiero o świcie. Natłok myśli spowodowanych obawami o stan zdrowia Weroniki, kradzieżą monety z jego biura i śmiercią kolejnej pacjentki skutecznie utrudniał oddanie się w objęcia Morfeusza.

Po obejrzeniu nagrań z monitoringu ochrony Konrad od razu chciał zgłosić sprawę prokuratorowi. Na szczęście przyjaciel szybko uświadomił mu, że nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzy w teorię o przeklętej monecie, która z niewyjaśnionych powodów nakłania ludzi do popełnienia makabrycznych samobójstw. W najlepszym wypadku policja znajdzie złodzieja, po czym i tak umorzy sprawę z powodu niskiej szkodliwości czynu.

Sam fakt, że ktoś ukradł monetę, świadczyć mógł o tym, że nie tylko Konrad odgadł jej związek z kolejnymi ofiarami. Gdyby terapeuta znał tożsamość złodzieja, z chęcią skontaktowałby się z nim, chociażby w celu poznania jego drogi dedukcji. Próbował dzwonić na numer podany mu przez mężczyznę, który przedstawił się w jego gabinecie jako Paweł i dopytywał o hipnozę, jednak najprawdopodobniej był to numer na kartę, już dawno wyrzuconą do kosza na śmieci. Kimkolwiek był złodziej monety, z pewnością badał sprawę od dłuższego czasu. Cała ta szopka z terapią, pomysłem na założenie strzeżonego parkingu, wszystko to musiało prowadzić do jakiegoś celu. Tylko jakiego? Dlaczego od razu nie ukradł tej przeklętej monety? Po co te podchody? Gdyby tylko mógł z nim porozmawiać!



Przewrócił się na drugi bok. Nocował u Tymona, który za nic nie chciał pozwolić mu na pobyt w pustym domu. W głębi duszy Konrad był wdzięczny przyjacielowi za wsparcie, jednak wyczuwał, że ten nie wierzy w magiczne moce monety. Trudno było się dziwić, ludzi opowiadających podobne historie zawsze traktowali z przymrużeniem oka, określając ich mianem niegroźnych dziwaków. Sam by się wyśmiał, gdyby nie to, czego doświadczył.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma, co oznaczało, że spał maksymalnie dwie do trzech godzin. Nie miał ochoty dłużej gnić w łóżku. Mieszczący się na piętrze pokój gościnny wprawdzie urządzone był ze smakiem, ale zbyt twardy materac zafundował mu ból wszystkich mięśni pleców. Nie marudził na głos, zdając sobie sprawę, że i tak nadwyreża cierpliwość Anki, ale przez lata przywykł do zasypiania na małych poduszkach, podczas gdy na łóżku znajdowała się ogromna poducha, którą ostatecznie i tak rzucił na ziemię.

Planował ubrać się po cichu i niezauważony wyjść z domu. Panele podłogowe, jakby chcąc pokrzyżować jego zamiary, skrzypiały przy każdym kroku. Przez chwilę czuł się jak nastolatek, po nocy wymykający się z sypialni swojej dziewczyny, ostrożnie, by nie nakryli go jej rodzice.

Doszedł do schodów, gdy uświadomił sobie, że na stoliczku nocnym zostawił telefon. Przeklinając w myślach, wrócił do pokoju. Ze znajdującej się po drugiej stronie korytarza sypialni Tymona i Anki dobiegało rytmiczne pochrapywanie.

Plan był prosty – wziąć telefon, wyjść na ulicę i wezwać taksówkę, którą pojedzie prosto do szpitala. Gdy upewni się, że stan Weroniki jest stabilny, poszuka w Internecie informacji na

temat innych przedmiotów związanych z cywilizacją Majów. Spodziewał się znaleźć dziesiątki wyssanych z palca historii dla osób lubiących opowieści z dreszczykiem, jednak nie miał żadnego innego pomysłu. Nie znał nikogo, kto byłby w stanie mu pomóc.

Wrócił do pokoju z myślą, by jak najszybciej opuścić dom Tymona. Gdy jednak podniósł z szafki komórkę, z wrażenia aż usiadł na łóżku. Nie wierzył własnym oczom. Tuż pod telefonem, jak gdyby nigdy nic, spoczywała jego moneta. Szybko obrzucił wzrokiem pomieszczenie, szukając przyczajonego w kącie włamywacza. Czy to możliwe, żeby ktoś mógł się tu w nocy zakraść?

O ile wcześniej mógł żywić wątpliwości co do magicznych zdolności przedmiotu, tak teraz nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia. Nie miał pojęcia, dlaczego wróciła do niego, ale musiał zrobić wszystko, by dłużej nie wciągać w to Tymona. Wstał i sięgnął po monetę, w ostatniej chwili cofając rękę. Na jego oczach powierzchnia pieniądza zaczęła lekko bulgotać jak wrzątek. W powietrzu czuć było spaleniznę, a moneta momentalnie stopiła się, zalewając szafkę srebrną cieczą.

Konrad zerwał się do wyjścia. Nie miał pojęcia, co właśnie się wydarzyło, ale jak najszybciej chciał od tego uciec. Jeśli wcześniej, zarówno w gabinecie prokuratora, jak i w szpitalnej sali, moneta informowała go, że ktoś sprzątnął mu ją sprzed nosa, tak teraz być może ostrzegła, że złodziej planuje ją przetopić. Wszystko to sięgało granic absurdu, jednak nie mógł ciągle sobie wmawiać, że to efekt przemęczenia i stresu. Widział to na własne oczy, co gorsza czuł, że to dopiero początek.

\* \* \*

Taksówka przyjechała po piętnastu minutach. Widok kobiety za kierownicą zdziwił psychologa, ale na głowie miał zbyt wiele problemów i zmartwień, by zagaić nieznaną o kulisy pracy w tak męskim zawodzie. Zamiast pogawędki wołał zatonać w myślach, nieustannie krążących wokół zdarzeń sprzed kwadransa. Czuł się bezradny, stłamszony niewidoczną siłą, która z jakiegoś powodu wybrała właśnie jego.

Wspomnieniami wrócił do świątyni w Palenque. Próbował sobie przypomnieć, czy w jakikolwiek sposób mógł urazić tamtejsze bóstwa. Nie zachowywał się przecież inaczej niż przeciętny turysta. Wprawdzie pstryknął kilka fotek w miejscach, gdzie było to zakazane, ale nie był w tym osamotniony. A może o czymś zapomniał? Może umysł odciął go od fragmentu wspomnień? W takim wypadku pomogłaby mu hipnoza, ale nie chciał narażać innego psychologa na niebezpieczeństwo. Zresztą co takiego mógł tam zrobić? Wyrzucić papierek na grób jakiegoś szamana?

Dzień, w którym znalazł monetę, teoretycznie nie różnił się zbyt wiele od pozostałych. Spali z Weroniką do dziesiątej, zjedli obfite śniadanie i wyruszyli zwiedzać. Nie wykupili grupowej wycieczki z przewodnikiem ani nawet zestawu słuchawkowego z nagraniami opisującymi poszczególne atrakcje. Preferowali samodzielne odkrywanie tajemnic, co w tym wypadku było utrudnione przez ściśle wyznaczone trasy, poza które nie można było wyściubić nosa. Sama Świątynia Inskrypcji oczarowała ich od pierwszego wejrzenia. Gdy później, przy kolacji, porównywali ją ze zwiedzanymi kilka lat wcześniej piramidami w Egipcie, zgodnie przyznali, że Majowie mieli większą fantazję. Weronika nawet żartowała, że odnalazłaby się w ich kulturze.

Nie przypominał sobie, by znalezieniu monety towarzyszyło coś nietypowego. Podziwiali odkryty stosunkowo niedawno grobowiec któregoś z władców Palenque, lecz Konrad nie był w stanie zapamiętać jego imienia. Ładnie udekorowana płyta nagrobna przedstawiała sceny śmierci i jednocześnie odrodzenie władcy. Zrobiwszy kilka zdjęć, skierowali się w stronę wyjścia, gdzie na podłodze dostrzegł połyskującą monetę. Nie ukradł jej ze świętego ołtarza, po prostu uznał, że ktoś ją upuścił. Czy to był wystarczający powód, by doprowadzić do śmierci tylu osób?

– Może być ten parking za rogiem? – Ze wspomnień wyrwała go kobieta prowadząca taksówkę.

Konrad zamiast spodziewanego szpitala za oknem dostrzegł biurowiec, w którym mieścił się jego gabinet. Zawahał się.

– Jaką ulicę pani podałem? – spytał niepewnie.

– Jagiellońską.

– Jest pani pewna? Nie Powstańców Warszawy?

Kobieta obejrzała się przez ramię i obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Chciał pan jechać na Jagiellońską.

– Ach, no tak – wybąkał zakłopotany.

Był święcie przekonany, że jedzie do Weroniki, ale najwyraźniej zamyślił się i odruchowo podał adres gabinetu. Przez chwilę chciał poprosić, żeby kobieta zawiozła go jednak do szpitala, w końcu jednak wzruszył ramionami i wyjął portfel z kieszeni.

Idąc w stronę biurowca, zaczął się zastanawiać, po co w ogóle tam zmierza. Było to bardziej przeczucie niż konkretna potrzeba – tak jak zdarzało mu się kilkukrotnie cofać i sprawdzać, czy zamknął drzwi wejściowe, choć dobrze pamiętał, że zrobił to

minutę wcześniej, tak teraz czuł potrzebę zajrzenia do gabinetu. „Być może to przez tę kradzież” – pomyślał. Kilkoro jego klientów doświadczyło włamań, po których skarżyli się na bezsenność, problemy żołądkowe, długotrwałe problemy z obdarzeniem innych ludzi zaufaniem czy zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, inaczej nerwicę natręctw. Czy w jego przypadku doszło do czegoś podobnego?

Pracująca w recepcji rudowłosa kobieta unikała jego spojrzenia. Nie stać ją było na zwykłe „przepraszam”, co w normalnych warunkach sprowokowałoby Konrada do wykładu o tłumionych wyrzutach sumienia, które doprowadzić mogą do nagłego przyrostu wagi, tym razem jednak nie miał ku temu weny. Sam czuł wyrzuty sumienia. Powinien właśnie pytać lekarzy o stan Weroniki, jednak wierzył, że nieprzypadkowo w taksówce podał niewłaściwy adres. Ciągle był w szoku po tym, jak moneta nagle pojawiła się w domu Tymona. To musiał być jakiś znak, podpowiedź mająca naprowadzić go na rozwiązanie. Tylko jakie?

Po wejściu do gabinetu od razu skierował się w stronę biurka. Miał wrażenie, że od jego ostatniej wizyty minęło co najmniej kilka tygodni, podczas gdy byli tu z Tymonem zaledwie kilkanaście godzin wcześniej. Wszystko wokół wydawało się obce, jakby ktoś w nocy podmienił meble na łudząco podobne. Nie potrafił wskazać niczego konkretnego, po prostu coś mu nie pasowało. „Trochę za dużo tych nieuzasadnionych przeczuć” – pomyślał, otwierając szufladę. Być może powinien zafundować sobie krótką autoterapię, by wziąć się w garść, jednak po chwili stwierdził, że racjonalne metody nie miały już zastosowania. Moneta wróciła na swoje miejsce, cała i nieuszkodzona, błyszcząc prowokująco na samym

środku szuflady.

Ścisnął srebrny przedmiot w dłoni. Był ciepły i drgał rytmicznie. Konrad poczuł się nagle lekko i przyjemnie.

– Już nigdy cię nie opuszczę – wyszeptał, nie do końca świadomy swoich słów, drugą dłonią otwierając inną szufladę. – Przepraszam za wszystko.

Wyciągnąwszy rzemyk, przewlekł go przez otwór i zawiesił monetę na szyi. Delikatne drganie rozchodziło się po jego klatce piersiowej. Przymknął powieki, gotów uciąć sobie krótką drzemkę. Gdzieś z tyłu głowy resztki świadomości walczyły o uwagę, próbując przywołać obraz Weroniki leżącej w szpitalu, nie miały jednak szans z kojącym działaniem amuletu. Psycholog poczuł lekkie łaskotanie pod nosem, lecz je zignorował. Nie zauważył nawet, że cieknie mu krew. Cienka czerwona strużka pojedynczych kropeł przecięła usta, by niczym górski strumyk spłynąć po brodzie wprost do monety.

Konrad usiadł w fotelu i oparł czoło na blacie biurka. Mimo to krew w dalszym ciągu podążała tą samą drogą, ku amuletowi przylegającemu do jego ciała, zamiast siłą grawitacji skierować się ku podłodze. Na koszuli nie odznaczyła się nawet najmniejsza plamka, srebrny przedmiot wchłaniał gęsty płyn jak gąbka.

– Kondziu... – W tle usłyszał głos Weroniki. Dochodził gdzieś z daleka, zniekształcony, jakby mówiła przez zasłonięte usta. – Pomóż mi, Kondziu!

Nie miał siły jej odpowiedzieć. Dlaczego akurat teraz musiała zawracać mu głowę. Niech sobie włączy telewizję albo poczyta te swoje durnowate książeczki o smokach, elfach i czarodziejkach z pieprzonego księżyca. Niech da mu święty spokój, i tak ostatnio

poświęcał dla niej wszystko.

– Kondziu...

Gdyby miał więcej sił, wstałby i wygarnął jej wszystko. To przez nią nie mógł spać po nocy, to jej Tymon zawdzięczał zaniechanie własnej żony, to ona chciała tego pieprzonego wyjazdu do Palenque, od którego wszystko się zaczęło. Ostatnia myśl podziałała nań kojąco. Rzeczywiście to Weronika była inicjatorką wycieczki, to dzięki niej trafił na monetę, która dopiero teraz odsłoniła przed nim prawdziwą moc.

– Co tylko zechcesz, moja królowo – odparł, czując nagły przypływ wdzięczności.

– Kondziu...

Westchnął ciężko i podniósł głowę. Ostatkiem sił otworzył oczy. Widok żony, ubranej w białą koszulę nocną, przepoconą i poplamioną krwią, nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Twarz Weroniki była nienaturalnie blada. To, co początkowo Konrad wziął za rozmazany makijaż, w rzeczywistości było krwią płynącą z oczu.

– Pomóż mi...

Choć stała na środku gabinetu, jej głos brzmiał, jakby dochodził z jakiegoś tunelu. Wyciągnęła dłoń w jego kierunku. Wychudzoną, kościstą, ledwo trzymała się ciała, a paznokcie były postrzępione. Terapeuta uśmiechnął się z politowaniem, po czym wstał i chwycił kobietę za rękę. Czuł, jak jego uścisk miażdży kruche ciało.

– Kondziu... – wyszeptała mu do ucha.

Między wyschniętymi piersiami Weroniki, widocznymi przez rozchełstany dekolt, dostrzegł monetę przewieszoną przez jej szyję. Nerwowo obmacał swoją klatkę piersiową, czując paralizujący

strach, iż kolejny raz pozwolił ukraść swój drogocenny skarb. Dopiero co obiecał, że już nigdy do tego nie dopuści.

– Pomóż mi. – Tym razem usta kobiety się nie poruszyły, głos dochodził prosto z monety. Jej powierzchnia zafalowała, tworząc drobne wybrzuszenia, którym towarzyszyło ciche bulgotanie. Srebro zaczęło się stapiać, wnikając w skórę kobiety. – Kondziu!

Ogarnęła go panika. Chwycił w dłoń zawieszony na szyi kobiety rzemyk i szarpnął z całej siły, ciągnąc głowę żony w dół. Weronika zaśmiała się, jej głos brzmiał nienaturalnie nisko, jakby poddano go komputerowemu zniekształceniu.

– Mój ty kochany Kondziu. – Podniosła głowę. Jej twarz wyglądała teraz inaczej. Wzdłuż górnej linii czoła i na skroniach widać było nici, jakby ktoś założył szwy, zaś z głęboko osadzonych oczodołów zerkały na niego dwa czarne punkty. – I tak już za późno, mój kochany Kondziu.

Istota o twarzy Weroniki położyła dłoń na topiącej się na jej piersiach monecie. Towarzyszący temu syk przypiekanej skóry sprawił, że Konrada ścisnęło w żołądku.

– Spalę tę kurwę żywcem! – ryknęła nieswoim głosem, zaciskając nagle palce na jego szyi i ściskając mocno. – Będiesz patrzył, jak cierpi. Zaskwierczy jak ta poprzednia!

Włosy Weroniki stanęły w ogniu, płomienie momentalnie objęły jej twarz. Konrad próbował wyrwać się z uścisku, ale ten był zbyt mocny. Ból szyi narastał, brakowało mu oddechu, przed oczami zobaczył mroczki. Ostatnim, co usłyszał, był odgłos dzwonków.

\* \* \*

Obudził go dźwięk telefonu. Niespiesznie sięgnął do kieszeni, jakby ocknął się po zwykłej popołudniowej drzemce. Dopiero po



chwili zrozumiał, że zamiast na wygodnej kanapie, leżał na podłodze w gabinecie. Przerażony, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu zwęglonego ciała Weroniki. Po chwili odetchnął z ulgą, widząc jedynie przewrócony fotel. W powietrzu jednak wciąż czuł zapach spalenizny.

„To był sen, pieprzone omamy wzrokowe” – pomyślał, ignorując dzwonek przypisany połączeniom od Tymona. Zaraz oddzwoni do przyjaciela i przeprosi, że bez słowa wymknął się o poranku. Najpierw jednak musiał dojść do siebie.

Na klatce piersiowej czuł dotyk chłodnego metalu. Czyli jednak moneta mu się nie przyśniła. Jakimś cudem wróciła na swoje miejsce, najwidoczniej chcąc mu coś powiedzieć. Już po raz drugi w wizjach pokazała mu, że się stapia, jakby dając do zrozumienia, że jeśli tego nie zrobi, jeśli jej nie przetopi, cykl makabrycznych morderstw trwać będzie w nieskończoność.

W ustach czuł metaliczny posmak. Podniósł dłoń do twarzy i z zaskoczeniem stwierdził, że jego usta i brodę pokrywa warstwa zaschniętej krwi, która zapewne pociekła mu z nosa. Nie było to coś, co mu się często zdarzało. O ile wcześniej miał do czynienia ze zwykłymi omamami, tak teraz najwyraźniej moneta posunęła się o krok dalej.

Wstał i poprawił przewrócony fotel, na którym usiadł, po czym włączył wyszukiwarkę w telefonie, by sprawdzić, w jaki sposób przetopić srebrną monetę. Miał nadzieję, że wystarczy zwykła kuchenka gazowa, jaką dysponował w domu, jednak szybko przekonał się, że temperatura topnienia poszczególnych metali wynosiła ponad tysiąc stopni, co dało się osiągnąć jedynie poprzez zastosowanie skupionego płomienia. Większość metali można było

przetopić w domowych warunkach, aczkolwiek potrzebny był do tego palnik gazowy i specjalna łyżka pokryta mieszanką grafitu i krzemianu sodu, na którym umieszczano się metal, by skierować nań płomień.

Na portalu aukcyjnym znalazł sporo zestawów do samodzielnej pracy jubilerskiej. Całe oprzyrządowanie składało się ze specjalnej komory i foremek, jednak Konrada interesowało najprostsze rozwiązanie. Nie zamierzał przetworzyć przetopionego metalu, by coś z niego na nowo stworzyć, chciał się go po prostu pozbyć.

W zamówieniu zestawu przeszkodziło mu kolejne połączenie od Tymona. Zważywszy na okoliczności, Konrad postanowił odebrać, nie chcąc dodatkowo martwić i tak już strapionego przyjaciela.

– Cześć, stary – powiedział, siląc się na wesoły ton. – Przepraszam, że rano...

– Zajebię cię kiedyś – bezceremonialnie przerwał mu Tymon. – Pogięło cię do reszty, żeby mi taki numer wywinąć? Gdzie jesteś?

– Wiem, głupio wyszło, ale nie mogłem dłużej leżeć w łóżku. –

Konrad postanowił nie wtajemniczać przyjaciela w szczegóły swojego planu. I tak zbyt długo narażał go na niebezpieczeństwo. –

Wróciłem na chwilę do domu, wiesz, szybki prysznic i będę się zbierał do Weroniki.

W tle usłyszał głos Anki, która kazała mężowi nie wygłupiać się i od razu jechać do Konrada.

– Przyjadę po ciebie. – Tymon posłusznie zastosował się do polecenia.

– Nie, nie rób sobie kłopotu. Słuchaj, muszę kończyć. Spotkajmy się w szpitalu, tak gdzieś za dwie godzinki, dobra?

– Dwie godzinki? Konrad, co ty planujesz?

– Do zobaczenia – rzucił szybko i wcisnął czerwoną słuchawkę.

Ignorując kolejne połączenie, wrócił do poszukiwania odpowiedniego sklepu w okolicy. O ile specjalistycznych sklepów oferujących sprzęt, na jakim mu zależało, było kilka, tak wszystkie znajdowały się po drugiej stronie miasta.

„Jak pech, to na całego” – pomyślał, wybierając w telefonie numer do korporacji taksówkarskiej.

\* \* \*

Tym razem upewnił się, czy podał taksówkarzowi prawidłowy adres. O mały włos, a wyszedłby z biurowca z twarzą brudną od krwi. Rudowłosa recepcjonistka w niewielkim stopniu zrehabilitowała wcześniejszą lekkomyślność i brak profesjonalizmu, z przerażeniem dopytując się, czy ktoś go pobił. Dziewczyna wyraźnie przejęła się stanem jego zdrowia, chciała nawet wezwać pogotowie. Szybko jednak ją spławił, tłumacząc krwawienie osłabieniem naczynek krwionośnych nosa, choć nie miał pewności, czy coś takiego w ogóle istniało.

O ile bez trudu pozbył się w toalecie zaschniętej krwi z twarzy, tak nic nie mógł poradzić na smród spalenizny, który cały czas mu towarzyszył. Fakt, iż recepcjonistka nie zwróciła na to uwagi, dawał nadzieję, iż to tylko jego zmysł węchu zaczął szwankować z nadmiaru wrażeń.

Skoro i tak musiał jechać taksówką, to wybrał sklep oferujący największy wybór akcesoriów domorosłego jubilera. Mieszczący się na Osowej Górze punkt zajmował się również wyceną i skupem biżuterii, a właściciel urządzał dodatkowo warsztaty, w trakcie których uczestnicy poznawali strukturę omawianego metalu, jego historię i występowanie, by wreszcie samodzielnie przetopić go

i wytworzyć własne rękodzieło. Konradowi przypadł ten pomysł do gustu, w innych okolicznościach zaproponowałby nawet jubilerowi współpracę, wszak takie manualne zajęcia idealnie wpasowywały się w pracę nad rozwojem osobistym.

Smród spalenizny był nie do zniesienia. Psycholog opuścił szybę, lecz taksówka stała w korku, więc i tak w niczym to nie pomogło.

– Nie wiem, co tak tu się zaczęło – rzucił taksówkarz, zerkając w lusterko wsteczne. – Może lepiej zamknąć okna i włączyć klimatyzację?

– Pan też to czuje? – Konrad nerwowo spojrzał na kierowcę. Dotychczas był przekonany, że to kolejny omam.

– Aż żałuję, że nie mam kataru. Wie pan, ja z Włocławka jestem i przyznam szczerze, że w pierwszej chwili przypomniała mi się młodość. Panie, jak tam zaczęli palić kawę, to normalnie tak dawało z komina, że aż oddychać nie szło. Do tego czasem ten czarny popiół, czy co to tam było, opadał na samochody. Co rusz na myjkę trzeba było jeździć. Koszmar.

Konrad nie odpowiedział, wyglądając przez okno. Na zewnątrz panował upał, niebo było prawie bezchmurne. Zamknął oczy, wystawiając twarz na słońce.

Kiedyś słyszał, że oddychając przez usta, człowiek nie czuje aż tak bardzo nieprzyjemnych zapachów. „Ten, kto tak twierdził, z pewnością nigdy nie miał styczności z mocami demonicznej monety, która nic sobie nie robiła z tej reguły” – pomyślał Konrad, otwierając po chwili oczy. Rwana jazda w korku, a w zasadzie nieustanne ruszanie i hamowanie, nie pozwalała dłużej trzymać powiek zamkniętych – powodowało to u niego mdłości. W takim

tempie dojadą na miejsce nie wcześniej niż za godzinę.

Zawiesił wzrok na stojącej na sąsiednim pasie srebrnej octavii. Siedząca za kierownicą kobieta wykorzystywała ślamazarny ruch na drodze, by poprawić makijaż. Z zadziwiającą precyzją radziła sobie z równoczesnym malowaniem ust i prowadzeniem samochodu. Brakowało jedynie, by przy tym wszystkim odebrała jeszcze telefon, stając się wzorem kobiety obdarzonej wybitną podzielnością uwagi.

Na zamontowanych z tyłu fotelikach siedziały dwie dziewczynki w zbliżonym wieku. Nie wyglądały na bliźniaczki, toteż Konrad uznał, że kobieta najprawdopodobniej przy okazji odwozi koleżankę córki do przedszkola. Jedna z dziewczynek, ciemnowłosa, ubrana w błękitną sukienkę, jakby wyczuła spojrzenie psychologa i odwróciła się w jego stronę. Na jej puciołowatej buzi gościł psotny uśmiech. Przez chwilę z uwagą patrzyła na mężczyznę, po czym zaczęła stroić głupie miny. Wyszczrzyła się szeroko, rozciągając palcami usta i wystawiając język na zewnątrz, a następnie nie spuszczać z niego wzroku, zrobiła zeza. Konrad nie zareagował, co nie zniechęciło dziewczynki. Przyłożyła dłonie do uszu i energicznie zaczęła kołysać się na boki, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zwróciła na siebie uwagę siedzącej obok blondyneczki. Ona również po chwili zerknęła na psychologa, który w końcu uległ i pomachał w ich stronę. Jego gest nie uszedł uwagi spokojniejszej dziewczynki. Podczas gdy jej towarzyszka wciąż wykrzywiała buzię w coraz to dziwniejszych minach, ona jedynie odmachwała nieznajomemu, nieśmiało się przy tym uśmiechając. Konrad pomyślał, że taką właśnie chciałby mieć córkę. Spokojną, cierpliwą

i grzeczną, a przy tym wesołą i ciekawą świata. Zawsze współczuł rodzicom nadpobudliwych dzieci, które nie potrafią chwili usiedzieć w miejscu.

Oderwał wzrok od dziewczynek, czując wilgoć na szyi. Podniósł rękę do ucha i spojrzał na dłoń. Przez chwilę z zaskoczeniem patrzył na czerwień pokrywającą jego palce, by w końcu z przerażeniem stwierdzić, że to krew. Nie miał przy sobie żadnych chusteczek, by zatamować krwawienie.

– Użyj mojej sukienki – usłyszał dziecięcy głos. – Ja i tak już jej nie potrzebuję.

Na siedzeniu obok siedziała dziewczynka, którą chwilę wcześniej widział w sąsiednim samochodzie. Konrad wzdrygnął się nerwowo, nie wierząc własnym oczom. Zamrugał kilkakrotnie, po czym obrócił się w stronę skody octavii, mając nadzieję ujrzeć tam obie dziewczynki. Zamiast tego dostrzegł jedynie przerażoną minę małej brunetki, która momentalnie przestała stroić miny. Jakimś cudem jej koleżanka siedziała teraz obok Konrada.

– No co się tak dziwisz? – słodkim głosem spytała blondyneczka. – Tak bardzo pragnęłaś córeczki, to teraz masz. Twoja dupcia przynajmniej nie nabawi się rozstępów.

Psycholog spojrzał w stronę kierowcy, który jednak z zamyślonym wzrokiem patrzył w przednią szybę.

– Kondziu, co się dzieje? – Dziewczynka wyciągnęła ku niemu rączkę. – Przytul mnie, tatusiu, proszę, przytul mnie.

Konrad wciąż wpatrywał się w nią zdumiony, nie będąc w stanie wykrztusić słowa. Jej skóra i włosy przybrały nagle ciemniejszy kolor. Psycholog w pierwszym momencie założył, że to chmury zakryły niebo, lecz po chwili zauważył ciemnoczerwone

pajęczynki, które pokryły twarz dziewczynki. Początkowo ledwo widoczne, stopniowo przybierały na intensywności, by wreszcie zacząć mienić się jak rozżarzone węgielki.

– Boli mnie, tatusiu – jęknęła ze łzami w oczach. – Przytul mnie, tak bardzo się boję.

Konrad nie wiedział, co zrobić. Kierowca nie zareagował na nagłe pojawienie się dziewczynki ani na fakt, że jej skóra przybrała kolor rozżarzonego węgla, co wskazywało, że to wszystko było wytworem wyobraźni psychologa. Dlaczego więc w sąsiednim samochodzie w miejsce dwóch wesołych dziewczynek siedziała jedna, która zamiast wygłupiać się, wlepiła przerażony wzrok w taksówkę?

– No, przytulaj! – Blondyneczka podniosła głos. – Dziecko cię prosi! Nic dziwnego, że nigdy nie byłeś ojcem, ty tępą skurwysynu!

– Przepraszam, może pan na mnie spojrzeć? – Konrad pochylił się w stronę kierowcy, który podniósł wzrok na lusterko wsteczne.

– Słucham? – Zdziwiony mężczyzna zmarszczył czoło.

– Zwrócił pan uwagę na coś dziwnego?

Psycholog kątem oka spojrzał na miejsce obok siebie. Było puste. Poczul ulgę, choć wciąż ciężko oddychał. Cokolwiek to było, próbowało wytrącić go z równowagi. Najważniejsze jednak, że w miarę potrafił nad tym panować.

– Ale na co takiego niby? Mówi pan o tej babce obok? – Kierowca wrzucił jałowy bieg i odwrócił się w stronę pasażera. – Takie rzeczy już mnie nie dziwią. Tyle lat spędzonych za kółkiem sprawiło... – Urwał, przyglądając się Konradowi. – Wszystko w porządku? Leci panu krew z ucha!

\* \* \*

Z trudem przekonał taksówkarza, by nie odwoził go na izbę przyjęć. „Byłoby to zdumiewające zrządzenie losu” – pomyślał Konrad. Najpierw zamówił taryfę do szpitala, którą ostatecznie dojechał do gabinetu, by po niespełna godzinie trafić do pierwotnego miejsca docelowego mimo podania zupełnie innego adresu. Nie był to jednak czas na analizę zbiegów okoliczności. Nie dość, że wizje przybrały na intensywności, to jeszcze to krwawienie. Najpierw z nosa, teraz z uszu, co będzie następne, zacznie płakać krwawymi łzami?

Szybkim krokiem ruszył w stronę piętrowego domu mieszczącego się pod wskazanym adresem. Budynek niczym się nie wyróżniał – ot, zwykły podjazd wyłożony kostką brukową, spadzisty dach, firanki i kwiaty w oknach. Gdyby nie tabliczka na drzwiach, to psycholog nigdy by się nie domyślił, że znajdzie tu zakład jubilerski. Przyzwyczajony do sklepów z wielkimi wystawami prezentującymi ekskluzywne akcesoria, odruchowo spojrzał w kierunku okna, to jednak zasłonięte było żaluzjami.

Niepewny, czy rzeczywiście trafił w odpowiednie miejsce, uważnie przyjrzał się tabliczce. „Pracownia jubilerska, Ludwik Sosnowski”. To musiało być tutaj. Okolica, głównie zabudowana domami jednorodzinnymi, nie wyglądała na atrakcyjną do prowadzenia tego typu działalności. Mało kto był tak zdesperowany jak Konrad, by przebijać się przez całe miasto. Dla właściciela biznesu zapewne oznaczało to jednak znaczną wygodę związaną z możliwością pracy w domu, dzięki czemu nie musiał tracić czasu na dojazdy – tym samym przenosząc tę konieczność na klientów – oraz miał możliwość spożywania posiłków w domu. Istniał jeszcze jeden aspekt takiego rozwiązania: kiedy właściciel



firmy nie planował pracy w danym dniu, a jednak zjawiał się nietypowy klient, to był go w stanie przyjąć w pracowni o każdej porze.

Konrad miał już chwycić za klamkę i wejść do środka, gdy kątem oka dostrzegł z lewej strony znajomą sylwetkę. Momentalnie oblał się zimnym potem na widok Weroniki, trzymającej za rękę blondyneczkę z samochodu. Tym razem kobieta ubrana była w trampki, spódniczkę sięgającą kolan oraz bluzkę na ramiączkach, śmiało odsłaniającą pełny dekolt. Stojąca obok dziewczynka miała na sobie jednoczęściowy strój w kolorowe kwiaty, przypominający piżamę.

– A gdzie ty się, Kondziu, wybierasz? – Kobieta podeszła do niego i zbliżyła twarz, chcąc go pocałować w usta. Konrad odsunął się w ostatniej chwili. – Co jest, kochanie?

– Widzisz? Mówiłam ci. – Dziewczynka mocno się do niej przytuliła, rękoma obejmując talię kobiety. – Tatuś jest bardzo niegrzeczny. Trzeba go ukarać.

– Kondziu, dlaczego nam to robisz?

Chciał jak najszybciej wejść do sklepu i zostawić je za sobą, zamiast jednak chwycić za klamkę, podniósł dłoń ku twarzy Weroniki. Nie zamierzał tego zrobić, wiedział przecież, że to nie jest ona, ale nie potrafił się opanować. To było jak urzeczywistnienie najbardziej skrywanych marzeń o stworzeniu prawdziwej, szczęśliwej rodziny. Latami wypierał te pragnienia po tym, jak wiadomość, że nigdy nie będą mogli mieć dzieci, wypaliła w jego sercu dziurę niemożliwą do zagojenia. Nigdy nie przeszło mu nawet przez myśl, by obwinić Weronikę za to, że była bezpłodna, ale nie potrafił stłumić żalu.

– Po co się tam pchasz? – Kobieta chwyciła jego dłoń i położyła na swoim policzku. Wyglądała pięknie, niemalże jak w dniu ich ślubu. – Zostań z nami. Wreszcie nasze życie będzie pełne, będziemy szczęśliwi!

– On mnie nie kocha... – załkała dziewczynka, wciąż wtulona w Weronikę. – Nigdy mnie nie chciał.

Mieszało mu się w głowie. Zdawał sobie sprawę, że spowodowane to było działaniem monety, ale nie potrafił oprzeć się pokusie pocałowania żony i wzięcia dziewczynki na rękę.

– Kocha nas obie i nie da nas skrzywdzić. – Kobieta pogłaskała dziewczynkę po głowie. – Nie mylę się, prawda, Kondziu?

Smród spalenizny stał się nie do wytrzymania, a powietrze zgęstniało. Konrada ogarnęły mdłości. Jego twarzy dotknęło nagle coś miękkiego, po chwili to samo poczuł na dłoni. Opuścił wzrok i dostrzegł ciemne drobinki popiołu. Z każdą sekundą było ich więcej, wirowały w powietrzu, opadały z nieba jak śnieg. Strzepnął szare płatki, które rozmazały się, pozostawiając na skórze brudny nalot, i z trudem wziął do płuc kolejny oddech. Dopiero teraz dostrzegł, że popiół opadał nie z nieba, lecz z ciała dziewczynki, która odwróciła się twarzą do niego. Jej skóra przybrała ciemną barwę, a podmuchy wiatru zrywały z niej kolejne fragmenty zwęglonej skóry niczym nasiona z dmuchawców na łące. Wyciągnęła w jego kierunku drobną rączkę, która rozsypała się w powietrzu.

– Tatusiu, pomóż mi... – jęknęła ze łzami w oczach. – Nie zostawiaj nas, proszę.

Ostatkiem sił chwycił za klamkę i naparł na drzwi. Wpadając do środka, stracił równowagę i potknął się o próg, w efekcie czego

upadł na kamienną podłogę.

– Panie, wszystko w porządku?! – usłyszał nad sobą. Poczul, jak ktoś chwyta go mocno za ramię i podciąga do góry, pomagając stanąć na nogi.

Przerażony Konrad obejrzał się na wciąż otwarte drzwi. Za nimi dostrzegł jedynie pokryty kostką brukową podjazd, równo przystrzyżony trawnik i wysoki świerk zasadzony przed domem. Jeden płatek popiołu delikatnie poszybował w powietrzu, porwany wiatrem.

– Nic panu nie jest? No wiem, muszę zlikwidować ten próg, sam też się na nim kilkakrotnie przewróciłem.

Niewysoki, dystyngowany mężczyzna o szpakowatych włosach, zapewne jubiler, otrzepał ramię Konrada, spoglądając na niego z troską w oczach. Gdyby psycholog miał wyobrazić sobie wiekowego pasjonata, specjalistę w swojej dziedzinie, obojętnie czy byłby to właśnie jubiler, zegarmistrz czy też bibliotekarz, wyglądałby mniej więcej tak, jak Ludwik Sosnowski. Gładko ogolona twarz, okulary na nosie, biała koszula, wełniana marynarka i przede wszystkim to spojrzenie – pełne ciepła i ufności, charakterystyczne dla ludzi szczęśliwych, którzy potrafili spełniać się w pracy.

– Co tu tak śmierdzi? – spytał jubiler, zamykając drzwi. – Przepraszam pana najmocniej, nie dość, że ten próg, to jeszcze teraz taki fetor. Nie wiem, pewnie któryś z sąsiadów znowu zaczął palić w piecu plastikami. W ramach zadośćuczynienia ma pan u mnie dziesięć procent rabatu.

Konrad rozejrzał się po pomieszczeniu. Sklep nie bez powodu nosił nazwę pracowni jubilerskiej. Gdzie nie spojrzeć, na półkach

leżały narzędzia i oprzyrządowanie, którego przeznaczenia mógł się jedynie domyślać. Samej biżuterii było jak na receptę, nieliczne pojedyncze sztuki, jakby upchnięte po kątach. Terapeuta nie miał jednak czasu na podziwianie wnętrza, zjawy mogły wrócić w każdej chwili.

– Muszę to przetopić – powiedział, zdejmując z szyi monetę. – Zdaję się na pana profesjonalizm. Proszę mi dać jakiś palnik i taką łyżkę pokrytą... – Zawahał się. Z tego wszystkiego zapomniał, co zamierzał kupić. – Jakaś tam substancją. Zresztą pan na pewno wie jaką.

– A po cóż ten pośpiech? – Mężczyzna spojrzał na niego znad okularów, po czym skierował wzrok na monetę.

Zanim Konrad zdążył zareagować, jubiler wyciągnął dłoń i dotknął srebrnego przedmiotu, przyglądając mu się z ciekawością. Konrad szybko wciągnął powietrze do płuc, powstrzymując okrzyk strachu. Nie chciał narażać pocziwego starszego pana na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo i nie zamierzał pozwolić mu dotknąć monety ze względu na zagrożenie z tym związane. W pierwszym odruchu chciał cofnąć dłoń i wyrwać amulet z ręki Sosnowskiego, jednak stwierdził, że szkoda już się dokonała.

Niechętnie wyciągnął rękę w kierunku jubilera, podając mu przedmiot. Domyślał się, że ten musi sprawdzić rodzaj metalu, żeby odpowiednio dobrać sprzęt. Na twarzy Ludwika Sosnowskiego widać było zainteresowanie. Psycholog przyglądał mu się uważnie, szukając oznak pożądania lub szaleństwa wywołanego kontaktem z monetą, jednak niczego nie dostrzegł. Jubiler z uznaniem pokiwał głową, po czym zwrócił przedmiot.

– Zapraszam dalej – powiedział, wskazując przejście do kolejnego pomieszczenia. – Zaletą małego ruchu jest możliwość spędzenia większej ilości czasu z klientem takim jak pan. Proszę mi wybaczyć, ale muszę zapytać. – Zerknął na psychologa z ciekawością. – Skąd pan ma tę monetę, no i dlaczego chce pan ją zniszczyć? Złe wspomnienia? Przecież to taka piękna robota.

„Nie twoja sprawa, dziadku” – cisnęło się na usta Konradowi. Co go to obchodziło? Nie było czasu na pogaduszki, w każdej chwili mogło dojść do tragedii.

– Po prostu muszę ją zniszczyć – odpowiedział, nerwowo zerkając przez okno. – Nie wchodźmy w szczegóły. Pan mi da niezbędne akcesoria i będzie po sprawie. Zapłacę.

Przeszli do nieco mniejszego pokoju, w którym znajdowały się dwa stoły i kolejna niezliczona ilość sprzętu. Na ścianach wisiały gabloty zawierające metalową biżuterię, sądząc po nietypowych, wręcz nieprofesjonalnych kształtach, będącą najprawdopodobniej dziełem kursantów uczestniczących w warsztatach jubilerskich.

– Przepraszam za niepoprawną ciekawość. – Sosnowski podszedł do jednego ze stołów i zaczął przygotowywać sprzęt. – Rozumiem, że nie ma możliwości, bym to od pana odkupił?

Konrad nic nie odpowiedział. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Chciał mieć to już za sobą, chciał zniszczyć monetę, wrócić do Weroniki i upewnić się, że jego żona wyzdrowieje i że nikt więcej nie umrze przez niego.

– Dobrze, o nic więcej już nie pytam. – Jubiler najwyraźniej wyczytał odpowiedź z miny psychologa. – Skoro panu tak zależy na czasie, to proszę mi powierzyć to cacuszko. Przetopimy je na miejscu.

Ponownie pochylił się nad przymocowanym do stołu palnikiem, kiedy Konrad poczuł delikatnie drganie monety, którą wciąż trzymał w dłoni. Smród spalenizny przybrał na sile. Wiedział, że zwiastuje to kolejną wizję, pojawienie się demona przybierającego postać Weroniki lub małej dziewczynki.

– To pudełeczko to tak zwana komora. – Sosnowski wziął do ręki niewielki sześcian z otworem w środku i pokazał psychologowi. – Do niej włożymy łyżkę pokrytą pastą charakteryzującą się odpornością w okolicach tysiąca trzystu stopni Celsjusza, więc naprawdę sporo. Na łyżkę położymy monetę, całość włożymy do komory i skierujemy na to wszystko strumień ognia. Stopiony metal przelejemy...

– Wyleje pan go do zlewu albo do kibla, wszystko jedno – przerwał Konrad, nerwowo przełykając ślinę. Szybko, aby nie postanowił nagle zmienić zdania, podał monetę jubilerowi.

– Ale... – Starszy pan wyglądał, jakby chciał zaprotestować przeciwko takiemu potraktowaniu cennego metalu, ale najwyraźniej ugryzł się w język, gdyż tylko lekko skrzywił usta i skinął głową. – Dobrze więc, zaczynamy.

Mężczyzna położył monetę na niepozornie wyglądającej łyżce, którą ulokował wewnątrz komory, i włączył palnik. Długi na kilka centymetrów, skoncentrowany płomień o niebieskiej barwie pojawił się z głośnym sykiem. Konrad jednak odwrócił spojrzenie od jubilera, gdyż na sąsiednim stole zauważył Weronikę. Naga, leżała na plecach, ponętnie wijąc się na drewnianym blacie, obiema dłońmi pieszcząc swoje strefy intymne.

– Pomóż jej, tatusiu. – Stojąca obok dziewczynka zachichotała i zasłoniła oczy. – Nie będę podglądać, obiecuję. Może sprawicie mi

siostrzyczkę? Zawsze o takiej marzyłam, prooszę!

Weronika jęczała z rozkoszy. Jedną dłoń podniosła wyżej, by ścisnąć pierś, drugą wciąż trzymała między nogami, wykonując nią coraz szybsze ruchy. Gładkie ciało zasyczało nagle do wtóru palnika i zmieniło barwę na ciemniejszą, zwęgloną. Z jej skóry uniósł się ciemny dym, a spopielone drobinki zaczęły opadać na stół i podłogę, co wywołało głośniejszy śmiech dziewczynki.

– No, dalej, tatusiu. – Spojrzała przez palce. – Nie daj się prosić. Mamusia chce, żebyś ją zerznął tu i teraz.

Przerażony Konrad oddychał szybko, nie wiedząc, jak zareagować. Spojrzał na jubilera, który w pełnym skupieniu pochylał się nad stołem. Gorący płomień niemal w całości przetopił monetę.

– Panie Ludwiku! – zawołał Konrad, starając się przekrzyczeć dźwięk wydawany przez palnik. – Niech pan spojrzy na tamten stół.

– Że co proszę? – Starszy pan wyłączył palnik i odwrócił się, by zerknąć na klienta.

– Niech pan tylko tam spojrzy, bardzo pana proszę.

Konrad spodziewał się, że mężczyzna rzuci okiem i wzruszy ramionami, podobnie do taksówkarza nie zauważając niczego dziwnego, co być może ponownie doprowadzi do zniknięcia wizji, tak bardzo realistycznej. Starał się zachować spokój, w końcu był już tak blisko zniszczenia monety. Jeszcze dosłownie kilka sekund i będzie po wszystkim.

– Ale na co konkretniej...? – Jubiler odwrócił się i zamarł w bezruchu. – Co, do diabła? Kim pani jest? Co pani...?

Weronika zaprzestała pieszczot i przewróciła się na brzuch.

Skóra jej twarzy i ciała była zwęglona i pokryta ciemnoczerwonymi pęcherzami. Spojrzała na Sosnowskiego, rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu i obiema dłońmi wbiła paznokcie w czoło. Przebiła skórę i oderwała ją z ciała jak plaster z ohydny, mlaszczącym dźwiękiem. Zamiast krwi poleciała czarna maź, przypominająca smołę.

– To ją boli, tatusiu. – Dziewczynka ostentacyjnie tupnęła, po czym sama podniosła ręce i powtórzyła ruchy Weroniki, podobnie jak ona z zadziwiającą łatwością odrywając skórę z czoła. Jej twarz zalał czarny płyn, ściekając na pizamkę. – Pomóż nam, tato.

– Pan to widzi? – Konrad z trudem oderwał wzrok od istoty udającej jego żonę.

Jubiler stał bez ruchu, poruszając ustami, z których jednak nie wydobył się żaden dźwięk. Przerażonym wzrokiem spojrzał na psychologa, by po chwili jakby nigdy nic uśmiechnąć się i wrócić do pracy, ponownie włączając palnik. Gdy tylko płomień dotknął niemal już całkiem przetopionej monety, uszy Konrada prawie rozsadził dźwięk dzwonków. Staruszek zdawał się niczego nie słyszeć.

Weronika i towarzysząca jej dziewczynka wiły się z bólu, jakby to ich ciała niszczył niebieski płomień. Kobieta zsunęła się na podłogę, przeraźliwie wrzeszcząc, a dziecko padło na kolana z płaczem.

– Pomóż nam, tatusiu... – Jej głos jakimś cudem przebijał się przez ogłuszające dzwonienie. – Dlaczego nam to robisz?

Konrad nie reagował, wpatrzony w plecy Sosnowskiego, zasłaniające mu palnik. Starał się nie słuchać zjaw i nie patrzeć na ich cierpienie. W myślach powtarzał sobie, że to tylko sztuczka



monety, rozpaczliwie broniącej się przed nieuniknionym zniszczeniem. Był wdzięczny jubilerowi, że ten zachował zimną krew i zignorował nieproszonych gości. Zastanawiał go jedynie spokój, z jakim mężczyzna oddawał się pracy. To, co ujrzał chwilę wcześniej, z pewnością musiało nim wstrząsnąć.

Dzwonki nagle ucichły, a Konrad odetchnął głęboko, z ulgą przyjmując ich odejście. Wyczerpany, ale też pełny nadziei, że cały ten koszmar wreszcie się skończy, spojrział na stół, gdzie jeszcze przed chwilą jęczała Weronika. Nie było śladu po niej ani dziewczynce.

– No i po strachu. – Jubiler wyłączył palnik i z komory wyjął łyżkę z roztopionym metalem, połyskującym niewinnie. – Przyznam, że to było doprawdy zaskakujące przeżycie.

– Pan to widział, prawda?

– Widział i słyszał. No, ale najważniejsze, że się z tym uporaliśmy. To co teraz?

Spokój staruszka był wręcz niepokojący. Nikt normalny nie zachowałby się na jego miejscu w taki sposób. Przecież dopiero co zobaczył płonąca kobietę i dziecko zdzierające sobie skórę z twarzy, a mówił o tym, jakby opowiadał o sztywności pleców, który doskwiera mu, gdy za długo nie robi sobie przerwy od pracy.

– Na pewno chce pan to wylać do ścieków? – Trzymając w dłoni łyżkę, podszedł do Konrada. – Nie szkoda panu?

– Przecież sam pan widział te... – Psycholog zawahał się. Co innego w myślach nazywać to zjawami, a co innego wypowiedzieć na głos. – Nie wiem, co to w ogóle było. Duchy? Demony? Zjawy? Niech pan to czym prędzej wyrzuci.

Staruszek uśmiechnął się życzliwie. Wzruszył ramionami,

jakby chciał powiedzieć, że w życiu niejednego już doświadczył i nie tak łatwo wyrzucić na nim wrażenie, po czym podszedł do miejsca, gdzie przed chwilą leżała Weronika.

– Nie jest pan za stary na takie historie? – spytał. Przez chwilę spoglądał w nieokreślony punkt, po czym zaśmiał się do siebie. – Tak, oczywiście, nie ma najmniejszego problemu – powiedział. – Najwidoczniej jeszcze tego nie zrozumiał.

– Co pan wyprawia?

Konrad miał złe przeczucia. Podszedł do jubilera, chcąc potrząsnąć nim i wyrwać z dziwnego transu. Chwył Sosnowskiego za ramię, ten jednak odepchnął go z zaskakującą siłą, posyłając na kamienną podłogę. Konrad jęknął, uderzywszy żebrami o twardą powierzchnię.

– Taki niby wykształcony, taki obyty w świecie. – Jubiler zaśmiał się, podnosząc dłoń, w której trzymał łyżkę. – Radzi innym, jak mają postępować. Na ich nieszczęściu zbudował sobie dom, który już zawsze pozostanie pusty. W zasadzie nie różnimy się aż tak bardzo. Dlatego właśnie ciebie wybrałem.

– Co pan...?

Ludwik Sosnowski otworzył szeroko usta, podnosząc twarz do góry, i wlał sobie gorący metal do gardła. Konrad krzyknął w przerażeniu. Tego było już za wiele. Zaledwie chwilę wcześniej uwierzył, że udało mu się zniszczyć demoniczną monetę, a teraz bezradnie patrzył, jak ta pozbawia życia kolejną ofiarę. Co gorsza, nie miał pojęcia, jak jej się przeciwstawić.

Jubiler upuścił łyżkę, która z brzękiem upadła na podłogę. Zamiast jednak chwycić się za szyję i zwijać w męczarniach, uśmiechnął się szeroko.

– Nie masz najmniejszych szans – odpowiedział pomimo gardła wypalonego płynnym metalem, jakby czytając w myślach Konrada.

– Oni wszyscy zginą w cierpieniach, a my będziemy patrzeć. Tak, Kondziu, my. Od dawna jesteśmy już jednością.

– Dlaczego? Przecież on w niczym nie zawinił. – Małecki podniósł się z podłogi. – Ja mu kazałem zniszczyć monetę.

– Nic nie rozumiesz, to od początku cię przerastało. Amuletu nie da się zniszczyć. Mnie nie da się zniszczyć. Pomyliłeś pojęcia, to ja tu jestem od niszczenia, a ty możesz tylko patrzeć.

Ludwik Sosnowski rozłożył szeroko ręce, a końcówki jego palców wybuchły płomieniem, który w kilka sekund zajął całe ciało. Unoszący się dym częściowo zasłonił twarz jubilera, jednak Konrad miał wrażenie, że ta uległa metamorfozie. Kości policzkowe wysunęły się do przodu, a czoło wydłużyło, napinając skórę do granic możliwości. Buchający z mężczyzny ogień zajął zasłony w oknie i drewniany stół, powoli rozprzestrzeniając się po pomieszczeniu. „Muszę uciekać” – pomyślał psycholog. Zamiast jednak ratować własne życie, wciąż wpatrywał się w płonącego jubilera, wykonującego dziwne ruchy. Choć płomienie i dym zasłaniały mu szczegóły, to byłby gotów przysiąc, że wychudzone dłonie, z pewnością nienależące do Sosnowskiego, układają skórę z jego twarzy na czaszce zupełnie innej istoty.

– Biegnij do swojej ukochanej – usłyszał złowieszczy szept. – Naciesz się nią, bo będzie następna.

Słowa demona, zjawy, czy czymkolwiek była diaboliczna postać, ocuciły psychologa. Zasłaniając usta przed dymem, rzucił się do ucieczki. Za plecami słyszał śmiech dziewczynki, śpiewającej piosenkę w nieznanym mu języku. Jej głos brzmiał radośnie, jakby

bawiła się w najlepsze.

Nie wiedział dlaczego, ale istota, która zamieszkiwała monetę, pozwoliła mu ujść z życiem. Wcześniej wspomniała, że od dawna byli jednością. Nie miał pojęcia, co to mogło znaczyć. Zniszczenie monety było jego jedynym pomysłem na uratowanie Weroniki, a teraz, gdy okazało się nieskuteczne, pozostało mu jedynie czekać, aż zginie ona i kolejni ludzie. Co gorsza, przeczuwał, że demon przywieziony z Meksyku pod postacią niepozornego przedmiotu od początku z nim pogrywał, a teraz wykorzystał go, by uzyskać większą moc. Ludwik Sosnowski był pierwszą osobą, która zginęła jedenastego dnia miesiąca, a nie dziesiątego. Policja jasno dała Konradowi do zrozumienia, że właśnie data zwróciła ich uwagę. Z pewnością napomknęliby mu o podobnych zgonach z innych dni.

Wyprostował się i spojrzął na dom jubilera, powoli zajmowany przez płomienie. Odczuwał niepokojącą pewność, że właśnie uwolnił prawdziwe, pierwotne zło.

## Rozdział XII

Sam nie wiedział, w jakim celu przyjechał do szpitala. Z jednej strony bał się konfrontacji z Małeckim, z drugiej – słowa archeologa i nagłe zniknięcie monety nie pozostawiały wątpliwości, iż Paweł nieświadomie wdepnął w sprawy przerastające ludzką percepcję. Najchętniej cofnąłby czas i nie przyjął propozycji Roberta, która zamiast obiecanej sławy i fortuny kosztowała go bezsenność i nieustanne brzęczenie w uszach.

Nie spał już drugą dobę. Był zmęczony, bolały go mięśnie i stawy. Coraz więcej rzeczy wyprowadzało go z równowagi. Nawet Bogu ducha winna Baśka wysłuchiwała reprimendy, gdy jej szuranie rano doprowadziło go do wściekłości. Czuł, że dłużej tak nie da rady, że kolejna zarwana noc przeciągnie strunę jego wytrzymałości. Zaczął rozumieć, jak krucha jest ludzka psychika, jak niewiele trzeba, by budowane latami relacje legły w gruzach.

Przypomniawszy sobie o Elżbiecie. Jeśli on tracił zmysły po dwóch dniach, to co dopiero ona musiała odczuwać? Teraz lepiej rozumiał jej zachowanie w restauracji. Bał się, że czeka go coś podobnego, że lada dzień straci kontrolę nad własnym ciałem i zaatakuje bez powodu jakiegoś przypadkowego przechodnia lub krzątającą się po kuchni żonę.

Wysiadł z windy na drugim piętrze, gdzie w północnym skrzydle leżała Weronika Małecka. Pielęgniarka, która wskazała mu numer sali, jasno zaznaczyła, że jej stan nie zezwala na odwiedziny, ale przyszedł tu w innym celu – był pewien, że przed

salą spotka Konrada. Żaden kochający mąż nie byłby w stanie zająć się czymkolwiek innym, choć wszyscy wkoło pewnie powtarzali mu, by odpoczął, by wrócił do domu i przespał się kilka godzin.

Nie wiedział, jak rozpocząć rozmowę. Przeprzić za niezbyt pochlebny artykuł? Wyjaśnić, że okradł go w dobrej wierze? Opowiedzieć o rozmowie z numizmatykiem i archeologiem, po której moneta nagle rozpląnęła się w powietrzu? Wszystkie możliwości wydawały się co najmniej głupie.

Dostrzegł go na końcu korytarza. Ubrany w dzinsowe spodnie i wymiętą koszulę, wyglądał, jakby również miał za sobą kilka nieprzespanych nocy. Siedział z nogami wyprostowanymi w poprzek wąskiego przejścia, z głową opartą o ścianę i zamkniętymi oczami. Przechodząca akurat korytarzem pielęgniarka nie zwróciła mu uwagi, zapewne rozumiejąc i współczując troski o żonę.

Nie było czasu do stracenia. Jeśli Małecki kontrolował moc monety, to i tak los Pawła był już przesądzony. Istniała jednak szansa, że psycholog również padł ofiarą jej magicznych mocy.

– Panie Konradzie... – Stał nad psychologiem. Głos drżał mu nerwowo, choć nie zwykł tak stresować się przy żadnej rozmowie.

– Nazywam się Paweł Szymański, jestem dziennikarzem...

– Wiem, kim pan jest – odparł beznamiętnie mężczyzna. – Nie interesuje mnie nic, co ma pan do powiedzenia.

Nawet na niego nie spojrział. Wyglądał na skrajnie zmęczonego.

– Rozumiem, ale musi mnie pan wysłuchać. Chodzi o tę monetę. Wszystko, co do tej pory robiłem...

– Nic nie muszę. – Małecki otworzył powieki i rzucił Pawłowi

groźne spojrzenie. Przekrwione oczy przepelniały żal i gorycz. – Człowieku, pisz te swoje artykułiki i nie zwracaj mi głowy. Już mi to nie robi różnicy. Możesz mnie nazywać mordercą, psychopata, to i tak już nie ma najmniejszego znaczenia.

W niczym nie przypominał mężczyzny sprzed kilku tygodni, gdy poznali się w jego gabinecie. Optymizm i energia rozplynęły się w powietrzu, ustępując miejsca wściekłości. Było to zrozumiałe, biorąc pod uwagę stan jego żony. Jednak pograżanie się w żałobie, gdy istniał jeszcze cień szansy na dobre zakończenie, było najgorszym, co mógł teraz zrobić.

Paweł poczuł, jak wraca w nim siła. Zachowanie Małeckiego zmuszało go do przejścia inicjatywy. To nie był czas na wylewanie łez. Jeszcze nie teraz.

– Przepraszam za wszystko. Mogę się tylko domyślać, przez co pan przechodzi, ale proszę mnie wysłuchać. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że był w posiadaniu potężnego artefaktu. Ta pańska dziwna moneta... Rozmawiałem o niej z pewnym archeologiem. Nie będę owijał w bawełnę. Nie jest to jakiś tam zwykły pieniążek, a potężny amulet pochodzący z cywilizacji Majów, najprawdopodobniej przeklęty. To on spowodował samobójstwa pańskich pacjentów. Przez niego ja sam słyszę dziwne dźwięki, które nie dają mi spokoju, być może pan również tego doświadczył. I być może właśnie to on... – zniżył głos – doprowadził do obecnego stanu pańską żonę.

Psycholog nie odpowiedział. Patrzył na Pawła, lecz jego spojrzenie wciąż było puste, jakby myślami był gdzieś bardzo daleko.

– Sęk w tym, że moneta zniknęła w momencie, gdy ten

archeolog zaczął domyślać się jej pochodzenia – kontynuował dziennikarz. – Początkowo mnie to przeraziło, ale teraz dostrzegam w tym szansę. Co, jeśli ten przedmiot po prostu uciekł? Wiem, głupio to brzmi, ale proszę tylko pomyśleć. Umówiłem się z tym człowiekiem w jego gabinecie na uczelni w Toruniu. Musi pan ze mną jechać, musi pan opowiedzieć wszystko o okolicznościach, w jakich wszedł pan w posiadanie monety. On być może będzie w stanie nam pomóc.

– Nie mrużysz oczu, czyli chyba nie kłamiesz – odparł nagle Małecki. – Przejrzałem cię już na pierwszym spotkaniu. Nie zmienia to jednak faktu, że nigdzie z tobą nie pojadę. Nie chcę już nikogo więcej w to wplątać, nie chcę nikogo narażać. Wiem, że moneta spowodowała to piekło, próbowałem ją zniszczyć, ale niczego to nie dało. Nie można już nic zrobić. Przegrałem.

„Ty debilu” – Paweł miał ochotę wykrzyknąć mu w twarz i potrząsnąć mocno, by wyrwać mężczyznę z letargu. Zachowanie Małeckiego wskazywało na to, że czegokolwiek doświadczył, mocno to nim wstrząsnęło, ale ta bierność była co najmniej irytująca. Niby psycholog, terapeuta, a tak łatwo pogodził się z porażką. Paweł wyznawał zasadę, że dopóki istniał cień szansy, należało dać z siebie wszystko. A że ktoś po drodze mógł przy tym ucierpieć? Cóż, cel uświęcał wszystkie środki.

– Pojedziesz, i to zaraz. – Naśladując Małeckiego, przeszedł z nim na ty. W ramach spoufalania najchętniej spoliczkowałby go kilkakrotnie, by ten wreszcie zaczął zachowywać się jak mężczyzna. – Zrozum, że istnieje szansa, żeby coś z tym zrobić, zakończyć to wszystko!

Konrad przeniósł wzrok na zamknięte drzwi sali, w której



leżała Weronika. Przyglądał się im chwilę, po czym podniósł ręce i zaczął rozmasowywać kark. Ciche strzelanie w kościach sugerowało, że od dawna nie zmieniał pozycji.

– Nasza szansa, powiadasz? – Uśmiechnął się do dziennikarza.  
– Czyli ciebie też dopadła? W sumie mogłem się tego spodziewać. Wiem, że ukradłeś mi monetę, czyli zapewne jej dotknąłeś. Najwyraźniej tyle wystarczy, by przejęła nad tobą kontrolę. Jak myślisz, co sobie zrobisz? Skoczysz z budynku, powiesz się czy zerwiesz sobie skórę z twarzy?

„Pieprzony dupek” – Paweł próbował odsuwać od siebie myśli, że moneta już go opętała i że zapewne niedługo zacznie tracić zmysły, by w końcu popełnić makabryczne samobójstwo, jak poprzednie ofiary. Miał już dziwne sny, a dźwięk dzwonekó w towarzyszył mu prawie bez przerwy. To prawda, nie zależało mu na życiu żony psychologa, tylko na swoim. Ale Małecki też miał coś do stracenia. Zamiast jednak ruszyć dupę i spróbować ratować żonę, wolał siedzieć i czekać, aż ta dokona żywota. Jeśli taki człowiek miał pomagać innym w rozwiązywaniu problemów, to nic dziwnego, że liczba osób pogrążonych w depresji wciąż rosła. To Paweł lepiej by sobie poradził z motywowaniem ludzi. Fundowałby im terapię wstrząsową, składającą się z niewielkiej przemocy fizycznej i kilku szczerych słów. Pierwszy pacjent właśnie siedział przed nim, prosząc się o eksperymentalne leczenie.

– Myliłem się co do ciebie – skwitował, z politowaniem patrząc na Małeckiego. – Niczym się nie różnisz od tych wszystkich nieudaczników, którzy do ciebie przychodzą. Jak jest wszystko dobrze, to wymądrzasz się na lewo i prawo, ale wystarczy, że

napotkasz problem i od razu chowasz ogon pod siebie. Jesteś żaloszny.

– A to co, terapia prowokatywna? – Konrad zaśmiał się głośno.

– A co ten twój archeolog może nam powiedzieć? Tego czegoś nie da się pokonać, rozumiesz? Im dłużej walczysz, tym więcej osób w to wciągasz. Już mówiłem, próbowałem zniszczyć monetę. Przetopiłem ją u jubilera. Uzyskałem tylko tyle, że facet, który mi pomógł, nie żyje. Wlał sobie roztopiony metal w gardło i spłonął w pożarze. Gdybyś tam był, nie trułbyś mi tu teraz o nadziei.

– Ja pierdolę.

Pawła nie stać było na bardziej wyszukany komentarz. Teraz po części rozumiał reakcję Małeckiego, sam pewnie miałby podobne rozterki, ale i tak koniec końców zrobiłby wszystko, by walczyć o swoje życie, dla Baśki i chłopców. Dylematy moralne w takich sytuacjach odchodziły na dalszy plan.

Zdecydował się na nieczyste zagranie. Skoro nie mógł go przekonać racjonalnymi argumentami, to posunie się do kłamstwa.

– Tym bardziej musisz ze mną pojechać. To już miało miejsce w przeszłości, a ten archeolog wie, jak wtedy udało się zapobiec dalszym nieszczęściom. Jeśli postąpimy według jego wskazówek, to być może już nikt więcej nie zginie.

Nie musiał robić doktoratu z psychologii, by z miny Konrada wyczytać wszystkie emocje. Gdy dojadą na uczelnię, będzie musiał wytłumaczyć się z fortelu, ale najważniejsze, że psycholog z nim tam pojedzie.

– Wstawaj, nie mamy czasu do stracenia. – Ruszył powoli korytarzem w nadziei, że Małecki wykona polecenie i podąży za

nim. Niestety, ten wciąż tkwił w miejscu, ze wzrokiem ponownie zawieszonym na zamkniętych drzwiach. Paweł westchnął głośno i rzucił podirytowany: – Wiem, że jesteś wyczerpany. Wiem, że to cię przerasta, myślisz, że ze mną jest inaczej? Chłopie, ja mam kochającą żonę i dwójkę dzieci, za które dam się pociąć, więc nie pierdol mi tu farmazonów, tylko podnoś dupę i jedziemy.

Poczuł na sobie wzrok przechodzącej obok pielęgniarki. Jej oburzony wyraz twarzy wystarczył za komentarz. Paweł jednak nie zamierzał przejmować się takimi drobiazgami, zwłaszcza że był bliski przekonania Małeckiego.

– Jak nie dla siebie, to zrób to dla niej. Siedząc tutaj, nie pomożesz Weronice. Jeśli ją naprawdę kochasz, to poświęć się dla niej.

Tego argumentu nie sposób było podważyć.

\* \* \*

Niespełna godzinę później weszli do gabinetu Henryka Wisławskiego. Przez całą drogę do Torunia wymienili zaledwie kilka zdań, co odpowiadało Pawłowi. Nie miał ochoty rozmawiać z Konradem ani go więcej pocieszać. Podejrzewał, że gdy wyjdzie na jaw fakt, iż zmyślił historię o podobnych przypadkach w przeszłości, psycholog się na niego wścieknie. Miał jedynie nadzieję, iż Małecki pójdzie po rozum do głowy i zamiast stroić fochy, zrobi wszystko, by spróbować przeciwstawić się siłom drzemającym w monecie. Po cichu liczył również na to, że archeolog rzeczywiście posiada informacje, które mogą im pomóc.

Większość przestronnego pomieszczenia zajmowały książki. Porozrzucane po wszystkich kątach pozycje sugerowały, iż gospodarz nie należał do osób ceniących porządek. Odczucie to

potęgowały pyłki kurzu unoszące się w powietrzu, podświetlane promieniami słońca wpadającymi przez uchylone okno.

Profesor siedział za dużym dębowym biurkiem, również zawalonym książkami i albumami. Tytuły widoczne na ich grzbietach nawiązywały do cywilizacji Majów. Dziennikarz przypomniał sobie czasy studiów, gdy kilkakrotnie wzywano go do tego typu gabinetów, gdzie siwi profesorzy z surowymi minami informowali go, że z powodu kiepskich wyników w nauce czeka go skreślenie z listy studentów, a on wręczał im butelki i koperty. Już wówczas obca mu była kwestia moralności, nic więc dziwnego, że trafił do takiej, a nie innej redakcji.

– To jest pan Konrad Małecki. – Paweł przedstawił swego towarzysza. – To właśnie on jest, a w zasadzie był, właścicielem tej monety.

Archeolog odchrząknął i zmierzył psychologa uważnym spojrzeniem znad okularów.

– Ach, czyli to świętej pamięci dziadek polarnik? Wyjątkowo młodo pan wygląda, no i, rzecz jasna, świetnie się pan trzyma, gratuluję. Nie widać najmniejszego śladu rozkładu, zapasek również niewyczuwalny. – Pociągnął nosem, po czym uśmiechnął się lekko.

Małecki zmarszczył brwi i odpowiedział spojrzeniem pełnym niezrozumienia. Wisławski wyglądał na poważnego profesora, jednak żart – a przynajmniej tak zrozumiał jego słowa – brzmiał dziwnie. Na dodatek środowisko naukowe kojarzyło się Konradowi z wiedzą czysto teoretyczną, często niemającą żadnego przełożenia na rzeczywistość.

– Nie wiem, o co panu chodzi. Jestem tu jedynie dlatego, gdyż

powiedziano mi, że dysponuje pan informacjami o tej przeklętej monecie i wie, jak nie dopuścić do kolejnych ofiar. Przejdźmy więc od razu do konkretów: jak zniszczyć demona?

– Że co, proszę?

Paweł poczuł, że musi zainterweniować.

– Już wszystko wyjaśniam – powiedział, rozkładając ręce w pokojowym geście.

Zamknął drzwi na wszelki wypadek, żeby Małecki od razu nie wybiegł, i gestem zaprosił psychologa na jeden z dwóch foteli ustawionych przed biurkiem. Psycholog niechętnie usiadł i patrzył na niego wyczekująco, gdy dziennikarz zajął miejsce obok.

– To moja wina – kontynuował Paweł. – Musiałem skłamać, inaczej nie doszłoby do tego spotkania. Gdy pokazałem monetę, profesor Wisławski rozpoznał ją jako cenny przedmiot archeologiczny, o którym krążą różne historie. Obiecał, że poszuka więcej informacji na jej temat, jak też wszelkich opowieści z nią związanych, zwłaszcza – lekko się zająknął – tych nieco mniej prawdopodobnych, które mogłyby wskazywać na ewentualną klątwę. Opowiedziałem profesorowi o ostatnich wydarzeniach, charakterystycznych samobójstwach, jak też o dziwnych dźwiękach, które słyszę, od kiedy zacząłem zajmować się tą sprawą. Przyznaję, że profesor Wisławski nie wspomniał, że podobne zdarzenia miały miejsce w przeszłości, ale... – Przerwał, widząc reakcję Małeckiego, który zamiast wpaść w atak wściekłości, pochylił się do przodu i schował twarz w dłoniach. – Konrad, przepraszam, ale sam mnie do tego zmusiłeś. Inaczej byś tu nie przyszedł.

Małecki wydał z siebie stłumiony jęk. Paweł spojrzał na niego

ze współczuciem. Psycholog w ciągu ostatnich dni schudł kilka kilogramów, co w połączeniu z podkrążonymi oczami sprawiało wrażenie, jakby to on miał zaraz umrzeć.

– Powiedz, skąd miałeś tę monetę i opisz wszystkie związane z nią sytuacje. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Jeszcze nie jest za późno, a te informacje mogą pomóc.

– Nie jest za późno? Powiedz to tym wszystkim martwym ludziom. – Małecki strącił jego dłoń, podniósł się z krzesła i podszedł do okna. – Co ja tu w ogóle robię? Kiedy wreszcie zrozumiecie, że z tym czymś nie da się wygrać? Na własne oczy widziałem, jak niewinny człowiek płonie żywcem tylko dlatego, że próbował mi pomóc.

Profesor z zaciekawieniem przyglądał się Konradowi, nie kryjąc entuzjazmu.

– Chce pan powiedzieć, że doszło do kolejnego... – Archeolog zamyślił się na chwilę, po czym kontynuował: – Sam nie wiem, jak to nazwać. Przyjmijmy robocze określenie „morderstwa”. Czyli amulet wywiera wpływ na ludzi już nie tylko dziesiątego dnia miesiąca? To komplikuje sprawę.

– A żebyś, kurwa, wiedział, że komplikuje! Robocze określenie? Człowieku, to nie jest materiał na publikację naukową ani tym bardziej na artykuł. – Małecki spojrzał na dziennikarza ze wściekłością. – Siedzicie sobie i kombinujecie, jak wypromować się na tragedii innych, tylko potem nie miejcie pretensji, jak ten skurwiel przyjdzie po wasze życia.

– Emocje w niczym tu nie pomogą. – Wisławski sięgnął po grubą książkę leżącą najbliżej. Jej mocno sfatygowana okładka przedstawiała dwie postacie wyglądające na szamanów. Ich ciała

pokryte były tatuażami, a zamiast włosów z głów wyrastały im wijące się węże. – O ile nie jestem w błędzie, to historia oraz opowieści związane z rzezoną monetą wskazują na jedno z najgroźniejszych bóstw z mitologii Majów, Ah Pucha, zwanego też Panem Śmierci. To właśnie on władał liczbą dziesięć, która była śmiertelną połową boskiej liczby dwadzieścia... Sam nie wierzę w to, co mówię. – Uśmiechnął się i lekko potrząsnął głową. – Zawsze myślałem, że to taka opowieść, coś w rodzaju miejskiej legendy dla archeologów, ale zachodzi bardzo duże prawdopodobieństwo, że w przeszłości pojawiała się już moneta, o której rozmawiamy. Muszę jednak dowiedzieć się, w jakich okolicznościach wszedł pan w jej posiadanie.

Słowa archeologa nieco uspokoiły Konrada, który wrócił na fotel i usiadł w nim wyprostowany.

– Nie mam w tym temacie wiele do powiedzenia – odrzekł, ciężko wzdychając. – Wiosną tego roku poleciliśmy z żoną do Meksyku, do Palenque. Nie robiliśmy tam niczego szczególnego, ot zwykle zwiedzanie, tak jak każdy turysta. Ta moneta, amulet czy czymkolwiek to jest, leżała na ziemi w Świątyni Inskrypcji. Leżała, to ją podniosłem. Gdybym tylko wiedział, jak to wszystko się skończy...

– To by się nawet zgadzało. – Profesor przewertował kilkadziesiąt stron. – Pan Paweł opisał mi wszystkie dotychczasowe morderstwa. Wszystko zaczęło się dziesiątego kwietnia. Rozumiem, że poleciliście tam państwo pewnie w marcu?

– Tak, to były urodziny mojej żony. Też sobie prezent wymyśliłem! Zabójczy.

Dziennikarz nie zareagował na żart. Z każdą minutą czuł coraz

głośniejsze dzwonięcie w uszach, jakby moneta zbliżała się do nich, zamierzając zakłócić rozmowę. Nie dawał jednak niczego po sobie poznać. Zdawał sobie sprawę, że to on może być następny na liście wspomnianego przez profesora Ah Pucha.

– Wszystko do siebie pasuje. – Archeolog nie spuszczał wzroku z otwartej książki. – Tak jak zapewne pan przeczytał w jakimś przewodniku, nim wyruszył pan w podróż, miasto Palenque zostało odkryte w tysiąc pięćset sześćdziesiątym siódmym roku przez hiszpańskiego podróżnika Pedra Lorenza. My jednak skupimy się na znacznie bliższych nam czasach, a dokładniej mówiąc na trzynastym czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Wtedy to odkryto największą perłę Świątyni Inskrypcji, czyli grobowiec K'inich Janaab' Pakala, największego władcy Palenque. I tu zaczynają się opowieści o amulecie.

Paweł pożałował, że nie wziął z sobą dyktafonu. Choć niedawno zarzekał się, że porzuci ten temat, wołając ratować własną skórę, to teraz ponownie poczuł materiał na prawdziwy bestseller. Rzecz jasna, wciąż pozostawała kwestia grożącej mu śmierci, ale jeśli uda się rozwiązać problem, to warto by to wykorzystać.

– Musicie panowie wiedzieć, że świątynia, o której mówimy, nie przez przypadek została zbudowana w taki, a nie inny sposób – profesor kontynuował wykład. – Składa się ona z dziewięciu platform, symbolizujących dziewięć poziomów świata podziemnego. Wspomniany przeze mnie Ah Puch władał ostatnim, najniższym poziomem. Gdy dodać do tego fakt, iż fasada świątyni skierowana jest w stronę północną, którą Majowie wiązali z krainą zmarłych, to nie powinniśmy mieć wątpliwości, z kim mamy do czynienia.



– Ale jak z tym walczyć? – Konrad wstał i ponownie podszedł do okna, wyglądając na zewnątrz jakby w obawie, że czai się tam demoniczne zło. – Na razie opowiada pan ciekawe historie, ale co z tego wszystkiego wynika? Jak, na Boga, możemy stawić czoło jakiejś antycznej nadprzyrodzonej sile?

– Dojdziemy i do tego. – Profesor oderwał wzrok od książki. Jego zmęczona twarz sugerowała, iż mężczyzna również miał za sobą nieprzespaną noc, jednak oczy lśniły mu energią. Najwyraźniej, podobnie jak dla Pawła, temat mógł dla niego oznaczać przełom w karierze. – Najpierw jednak skupmy się na wydarzeniach mających miejsce tuż po odkryciu rzezonego grobowca. Otóż meksykański archeolog, Alberto Ruz Lhuillier, który odkrył schody prowadzące do komory grobowej, tegoż samego dnia ponoć zaczął zachowywać się dziwnie. Niestety, nikt nie skonkretyzował, czym owa dziwność się charakteryzowała, niemniej warto jest to odnotowania. Gdy usunięto zalegający gruz, odkryto wąski kanał w formie węża, którym według wierzeń Majów dusza zmarłego mogła przechodzić do naszego świata. Sęk w tym, że po zawaleniu owego tunelu stało się to niemożliwe z oczywistych względów.

Wisławski zamilkł, jakby w oczekiwaniu na pytania. Te jednak nie padły, a jego dwóch słuchaczy skupionym wzrokiem wpatrywało się w profesora niczym studenci pierwszego roku.

– Dochodzimy do punktu, w którym kończą się oficjalne publikacje naukowe – ciągnął dalej, ewidentnie w swoim żywiole. –

To, co opowiem teraz, w żadnym stopniu nie jest potwierdzone badaniami. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków takie rewelacje traktujemy jak pseudonaukowy bełkot

nawiedzonego podróżnika, który najprawdopodobniej postradał zmysły. W tym wypadku jednak znalazły się łudząco podobne sprawozdania z aż trzech zupełnie niezależnych zjawisk, jakie miały miejsce od momentu odkrycia grobowca Pakala Wielkiego. Otóż proszę sobie wyobrazić, że w mniej więcej dziesięcioletnich odstępach czasowych w trzech różnych krajach zanotowano serie makabrycznych morderstw łudząco podobnych do tego, z czym mamy obecnie do czynienia. Pierwsze miało miejsce w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, dokładnie siedem lat po śmierci Lhuilliera. Co do dnia. Być może archeolog w jakiś sposób potrafił ujarzmić demoniczne moce, które ujawniły się dopiero po jego śmierci. Tego się nie dowiemy, ale artykuły prasowe ze wspomnianego roku dość dokładnie jak na tamte czasy opisują aż siedem zgonów. Co ciekawe, główny podejrzany, francuski malarz Cyprien Berthier, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach dokładnie dziesiątego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Jego zmasakrowane ciało znaleziono w pustej celi. Nie muszę chyba dodawać, że przed ową serią morderstw ów mężczyzna miał przyjemność zwiedzać świątynię w Palenque.

Dziennikarz wyteżał słuch, starając się dokładnie usłyszeć słowa archeologa, zagłuszane przez coraz donośniejszy dźwięk dzwonek. Siedzący obok Konrad również sprawiał wrażenie rozkojarzonego, jakby coś nieustannie odwracało jego uwagę. Jedyne profesora zdawało się nie odczuwać niczego nadzwyczajnego, choć przecież on też dotknął monety.

– Powiedźcie, że niczego nie widzicie za oknem – powiedział nagle Konrad, wbijając wzrok w podłogę. – Powiedźcie, że nic tam

nie ma.

Sprawiał wrażenie poważnie przestraszonego, co momentalnie udzieliło się Pawłowi. Z duszą na ramieniu dziennikarz spojrzał w kierunku okna, lecz nie dostrzegł niczego poza błękitnym niebem. Na wszelki wypadek wstał i wychylił się za framugę, rozglądając się dookoła. Gabinet archeologa znajdował się na trzecim piętrze, na dole wokół budynku biegł chodnik i rozciągał się starannie przystrzyżony trawnik, z którego wyrastało kilka starych dębów. Nie zobaczył niczego niepokojącego. Gałęzie drzew delikatnie falowały na wietrze. W normalnych warunkach pewnie usłyszałby szum liści, teraz dochodził go jedynie dźwięk dzwonek wietrznych. Być może jednak bezustanne dzwonienie nie było aż tak złe, jak dotychczas mu się wydawało. Z tego, co zrozumiał, Małecki miał gorzej, gdyż oprócz omamów słuchowych cierpiał również na zwiidy.

– Nic, zupełnie nic – odparł, patrząc na psychologa. – Ty coś tam widzisz?

Konrad rzucił szybkie spojrzenie w jego kierunku, po czym ponownie wbił wzrok we własne buty.

– Profesorze, czy gdzieś opisują omamy wzrokowe i słuchowe? –

Paweł podjął temat. – Na przykład nieustanne dzwonienie w uszach?

– Panowie, domyślam się, że targają wami emocje, ale uporządkujmy naszą dyskusję. Nie skończyłem mówić o poprzednich sprawach.

Dziennikarz z trudem powstrzymał komentarz cisnący się na usta. Akademickie przyzwyczajenia. Zamiast od razu przejść do konkretów, archeolog musiał przez godzinę opowiadać o pierdołach

pasujących do nudnego programu na kanale Discovery. Świat współczesnych mediów szybko zweryfikowałby jego upodobania do ciągnących się w nieskończoność wstępów, gdyby kazano mu całość treści w stu słowach, tak by wszystko zmieściło się w jednej rubryczce.

Paweł potrząsnął głową. Nieustanne dzwonienie oraz głód nikotynowy nie pozwalały mu skupić myśli. Kątem oka obserwował Małeckiego, który wprawdzie wyglądał już nieco lepiej, ale wciąż uparcie wpatrywał się w podłogę.

– Podobne zajścia miały miejsce w Anglii i Kanadzie – ciągnął archeolog. – Odpowiednio w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym i dwa tysiące szóstym roku. W pierwszym przypadku odnotowano pięć morderstw, w drugim sześć. W obu sprawach brakowało jednoznacznych dowodów, a główni podejrzani zginęli w równie zagadkowy sposób. Jak nietrudno zauważyć, liczba dziesięć znajduje tu swoje odzwierciedlenie. Wszystko wskazuje na to, że pan Konrad – skinął głową w kierunku Małeckiego – jest gospodarzem monety w roku dwa tysiące szesnastym. Tak jak wspomniałem, są to jedynie spekulacje, ale w różnych zapiskach pojawia się ów przedmiot i związana z nim legenda.

– Legenda? Taka jak o smoku wawelskim? – Konrad gwałtownie podniósł głowę i z niedowierzaniem spojrział na profesora. – I pan teraz zamierza nam ją opowiedzieć? Człowiek nauki?

Profesor odchrząknął z naganą i poprawił okulary.

– Nie leży to w moim zwyczaju, ale w tym wypadku jest to jedyny trop, który prowadzi do wskazówek, jak pozbyć się demona. Sam pan zauważył, że jego nie da się pokonać. To potężne bóstwo

śmierci. Możemy jednak zniechęcić go i przegonić, niemniej za dziesięć lat pewnie znowu opęta innego nieszczęśnika.

Pawłowi do głowy przyszło pewne rozwiązanie. Skoro do tej pory cykl śmierci przerywało samobójstwo nosiciela, to najprościej byłoby po prostu zabić Konrada. Nie wiedział, czy sam byłby w stanie pozbawić go życia, obawiał się raczej, że wymiękłby w decydującej chwili. Zamordować innego człowieka? Poniekąd byłaby to obrona własna...

– Czyli mam się zabić? – Konrad jakby czytał w myślach dziennikarza. – To ma być rozwiązanie?

– To byłaby ostateczność. – Profesor z dezaprobatą pokręcił głową. – Najpierw jednak wróćmy do wspomnianego przeze mnie tunelu, którym wedle podań dusza zmarłych mogła przenikać do świata zewnętrznego. Nie jest żadną tajemnicą, iż Ah Puch nie był lubianym bóstwem, zwłaszcza że obcinał głowy każdemu, kto bez powodu zawitał do jego królestwa, nawet jeśli było to inne bóstwo. Co ciekawe, on sam lubił odwiedzać zmarłych monarchów w ich grobowcach, by bawić się ich duszami. I tu de facto zaczyna się historia naszej amuletomonety. Otóż legenda głosi, iż w dniu zawalenia się korytarza prowadzącego na zewnątrz Ah Puch przebywał właśnie u K'inich Janaab' Pakala, którego z jakichś powodów wyjątkowo cenił i szanował. Jako że Pan Śmierci nie był w stanie opuścić grobowca, postanowił przeczekać, aż przejście zostanie odgruzowane. Jedna z legend głosi, iż na swoje miejsce odpoczynku wybrał srebrny amulet, który w grobowcu pozostawiła żona zmarłego władcy. Biedak nie spodziewał się, że przyjdzie mu czekać aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

– Zaraz, zaraz... – W Pawle obudził się instynkt dziennikarza.

– Zakładając, że to wszystko jest prawdą, jakim cudem ten archeolog powstrzymywał moc amuletu przez kilkadziesiąt lat? I czemu pierwsze ofiary pojawiły się dopiero siedem lat po jego śmierci?

– Możliwości jest kilka. Albo Ah Puch potrzebował czasu, żeby odzyskać dawne siły, albo pan Lhuillier rzeczywiście potrafił ujarzmić demona. Skłaniałbym się ku tej drugiej opcji, na czym planuję oprzeć moją radę dla pana Konrada. – Archeolog spojrzał na psychologa. – Powtarzam raz jeszcze: to jest tylko teoria, proszę o tym pamiętać. Otóż mitologia Majów mówi, że istniał sposób, by poradzić sobie z Panem Śmierci. Sprawa jest o tyle trudna, iż należy wykazać się niebywałą wytrzymałością i samozaparciem.

– Konkrety, profesorze – rzucił Małecki, masując skronie. – Nie ma pan pojęcia, co się dzieje w tym pokoju. Nie pytam, czy widzicie to co ja, bo gdybyście widzieli, z pewnością tak spokojnie byście sobie tu nie siedzieli. Więc błagam, streszczaj się, człowieku.

Paweł nerwowo rozejrzał się po gabinecie. Wciąż słyszał cichy odgłos dzwonek, dochodzący jakby zza okna, ale na szczęście dźwięk nie przybierał na sile. Najwyraźniej demon postanowił dręczyć Małeckiego.

– Puszczę tę uwagę mimo uszu. – Wisławski skrzywił się lekko i poprawił w fotelu. – Pana Śmierci przedstawiano na różne sposoby, najprawdopodobniej potrafił przybierać dowolne formy. Majowie opisywali go między innymi jako trupa czaszkę, na którą nakładał twarze swoich ofiar. Bardzo lubił obwieszać się dzwonekami, jedno ze źródeł podaje nawet, iż przez szyję przewieszoną miał chustę, której frędzle wydawały dźwięk dzwonek wietrznych.

– Ja pierdolę! – wyrwało się Pawłowi. Słowa archeologa aż zbyt dobrze pasowały do tego, co dotychczas doświadczył. Z wysiłkiem odepchnął wspomnienie twarzy Elżbiety spoglądającej na niego z kawiarnianej gabloty. Zauważywszy zniesmaczony wzrok profesora, machnął ręką. – Przepraszam, proszę kontynuować.

– Demonowi często towarzyszyła sowa Muan, dokładnie ta, która widniała na monecie. Do dziś w tamtych rejonach, gdy po zmroku ktoś usłyszy pohukiwanie sowy, czym prędzej ucieka do najbliższej świątyni, by nie dopadł go Ah Puch. Pan, panie Konradzie, będzie musiał pójść krok dalej, mianowicie będzie pan musiał zniechęcić do siebie demona. Ale dopiero w momencie, gdy będzie miał pan absolutną pewność, że on pana obserwuje. Zrobić to tylko można poprzez... – Zawahał się i jakby zawstydzony odwrócił spojrzenie od Konrada. – Ogólnie rzecz biorąc, musi pan świadomie zrobić to, co nieświadomie czyniły poprzednie ofiary Pana Śmierci.

– Czyli jednak mam się zabić? – Konrad nie wytrzymał i zerwał się z krzesła, niemal je przewracając.

Profesor spojrzał na niego ze współczuciem. Tym razem z jego głosu zniknął ton wykładowcy przekonanego o swojej wyższości nad rozmówcami, a słowa archeologa zabrzmiały wyjątkowo łagodnie:

– Niezupełnie. Musi pan zadać sobie niewyobrażalny ból. Musi pan cierpieć prawdziwe męki tak długo, aż demon nie uzna, że dopadł pana któryś z jego sługusów. Tak właśnie głoszą starożytne legendy. Wahałem się, czy o tym wspomnieć, ale bliscy Lhuilliera kilkakrotnie podkreślali zapędy archeologa do zadawania sobie cierpienia. Niestety, najprawdopodobniej nie miał on w sobie dość

siły, by na dobre przegonić Ah Pucha, potrafił go jedynie chwilowo zniechęcać. Pan będzie musiał pójść na całość. Ważne, żeby miał pan towarzysza, nie muszę chyba wskazywać palcem kogo. Taka osoba... – Wisławski przerwał nagle. Z kącików jego ust pociekła ślina, a spojrzenie stało się nieobecne, jakby w przeciągu kilku sekund postarzał się o dwadzieścia lat.

– Panie profesorze? – Paweł szybko wstał z krzesła i doskoczył do archeologa. Pochylił się nad starszym mężczyzną i potrząsnął za ramię, jednak ten nie reagował. – Słyszysz mnie pan? Jezu, to może być wylew czy coś. Konrad, wzywaj pogotowie!

Psycholog nawet nie sięgnął po telefon. Spokojnym krokiem podszedł do okna i otworzył je na oścież. Wychylił się lekko, jakby oceniając wysokość.

– On dotknął monety – powiedział wreszcie, opierając dłonie o parapet. – Od początku mówiłem, że to na nic. To ty go zabiłeś, ty go w to wszystko wplątałeś.

Słowa Małeckiego ginęły w ogłuszającym dzwonieniu. Paweł spojrzał na niego z rozpaczą. Psycholog ewidentnie nie zamierzał wzywać pomocy, wyglądał raczej jakby zamierzał popełnić samobójstwo. „Może rzeczywiście byłoby to najlepsze rozwiązanie” – pomyślał dziennikarz, wyjmując telefon z kieszeni. Jak na złość komórka nie reagowała na dotyk.

Stan Wisławskiego pogarszał się z każdą sekundą. Głowa bezwładnie opadła mu na biurko, Paweł w ostatniej chwili chwycił go za ramiona, powstrzymując uderzenie o blat. Delikatnie oparł głowę archeologa o otwartą książkę, po chwili jednak pożałował tego, kiedy z ust mężczyzny wypłynęła czarna, gęsta maź. Paweł szybko sięgnął po chusteczkę i próbował wytrzeć substancję,



jednak po chwili wypuścił papier z ręki, kiedy ten zaczął dymić. Z niedowierzaniem patrzył, jak chusteczka topi się pod wpływem płynu.

– Nie staje mi od pięciu lat – wymamrotał nagle profesor, podnosząc powieki i spoglądając na dziennikarza. – Wiesz pan, jakie to upodlenie? Nic nie pomogło, mój kutas przypomina rozgotowany makaron. Żadna podnieta na mnie nie działa, rozumiesz pan? – Archeolog powoli podniósł głowę z biurka i wstał z fotela, opierając się dłonią o blat mebla. – Jak tak na ciebie patrzę, to czuję, że nie wszystko jeszcze stracone.

– Proszę się nie ruszać! – Paweł chwycił go pod ramię, chcąc podtrzymać osłabionego mężczyznę.

Wisławski jednak okazał się pełen sił. Palce archeologa zaskakująco mocno zacisnęły się na szyi dziennikarza, który z wrażenia upuścił telefon. Paweł próbował się wyrwać, ale napastnik dysponował wręcz nadludzką siłą, uniemożliwiającą jakąkolwiek obronę. Dziennikarz bezradnie szarpał ściskające go dłonie, gdy poczuł, jak jego stopy odrywają się od ziemi. Błagalnie spojrział w kierunku Małeckiego, który wciąż tkwił przy otwartym oknie. „Skacz, skurwysynu! – chciał ryknąć Paweł, ale ściśnięte gardło nie pozwalało mu wydobyć żadnego dźwięku poza cichym skrzeczeniem. – To wszystko twoja wina, ocal resztkę honoru, zakończ to tu i teraz!”.

Wszystkie otaczające go dźwięki utonęły w przeraźliwie głośnym dzwonieniu. Wykrzywiona we wściekłości twarz archeologa rozmyła się, kiedy dziennikarz zaczął słabnąć z braku tlenu. Kątem oka zobaczył, że Małecki bierze do ręki jakiś przedmiot i rozbija szybę. Odłamki szkła rozprysnęły się

w powietrzu i nagle znieruchomiały, wyglądając niczym drobne dzwoneczki zawieszane na niewidzialnych nitkach. Odbijały się w nich promienie słońca, rzucając barwne odbłaski na ściany, tak kolorowe, że Pawłowi zakręciło się w głowie.

## Rozdział XIII

Niemal trzykrotnie przekroczył dozwolony limit prędkości. Gnał na złamanie karku, jakby łudząc się, że w ten sposób prześcignie demona. Przez myśl przeszło mu, żeby po prostu odbić w prawo i rozbić samochód o słup lub drzewo rosnące blisko jezdni. Wówczas z pewnością uratowałby Weronikę.

Syknął, ponownie poczuwszy ból w zranionym przedramieniu. Nie chcąc marnować czasu, owinął pospiesznie ranę chustką znalezioną w gabinecie archeologa, lecz wciąż krwawiła. Choć bał się uwierzyć, by ponownie nie przeżyć rozczarowania – jak wtedy, gdy łudził się, że przetopienie monety zdejmie klątwę – to w jego sercu na nowo zawitała nadzieja. Wydarzenia sprzed pół godziny wskazywały, że być może rzeczywiście był w stanie wpływać na demona.

Zanim archeolog stracił zmysły i zaczął dusić dziennikarza, wspomniął o konieczności zadania sobie bólu, by odpędzić Pana Śmierci. Konrad zaryzykował i wbił ostry fragment szkła z rozbitego okna we własne przedramię, raniąc się głęboko. Bolało jak cholera, ale podziałało. Profesor momentalnie wydał z siebie okrzyk przestachu, puścił bezwładnego Pawła i wybiegł z gabinetu. Konrad, nie przejmując się archeologiem, sprawdził stan zdrowia dziennikarza i odetchnął z ulgą – mężczyzna leżał nieprzytomny, lecz oddychał. A że dojście do siebie powinno zająć mu dłuższą chwilę, to nie powinien mieć pretensji do niego, że pożyczył sobie jego samochód.

Przez całą drogę czuł duszący fetor spalonego ciała. Z premedytacją unikał spoglądania w lusterko wsteczne, spodziewając się ujrzeć na tylnym siedzeniu pasażera na gapę. Czuł jego obecność, miał wrażenie, że lada chwila zmaterializuje się obok, z nieba sypnie czarny śnieg, a dźwięk dzwonek zagłuszy wszystko inne.

„A może rzeczywiście boi się mojej śmierci?” – pomyślał. Do tej pory demon był bardziej wylewny, wykorzystywał każdą okazję, by objawić się pod postacią Weroniki lub dziewczynki, podczas gdy teraz nie odezwał się ani słowem. A co, jeśli zamierzał przejść do kontrataku?

Zbliżając się do domu, w ostatniej chwili dostrzegł samochód Tymona, zaparkowany naprzeciwko. Rosły mężczyzna spacerował wzdłuż ulicy, na szczęście zajęty był rozmową przez telefon i nie zwrócił uwagi na przejeżdżający obok samochód dziennikarza. Konrad nie mógł zaparkować na podjeździe, zdradziłby tym samym swoją obecność, toteż dwa domy dalej skręcił w boczną uliczkę i tam się zatrzymał. Tymon miał dobre intencje, ale nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Lepiej dla niego, jak o niczym się nie dowie.

Nigdzie nie było widać granatowego passata. Być może prokurator przekierował swoich ludzi do szpitala, gdzie leżała Weronika, a może po prostu uznał, że do dziesiątego sierpnia pozostało zbyt dużo czasu, by zawracać głowę policjantom.

Konrad musiał działać szybko. Zależało mu, aby przyjaciel go nie zauważył. Całe szczęście Anka zawsze potrafiła wisieć na telefonie przez kilkanaście minut, susząc głowę mężowi z byle powodu, a po zejściu w ciążę zaczęła gadać za dwoje. Tymon

wielokrotnie przeklinał usługę darmowych połączeń między wybranymi numerami. Psycholog, przemykając ukradkiem do własnego domu, po cichu podziękował operatorowi telefonicznemu.

Do tej pory próbował nie myśleć o bólu, jaki miał sobie zadać, skupił się bardziej na szybkim powrocie do domu. Kiedy zamknął za sobą drzwi wejściowe, uderzyła w niego twarda rzeczywistość. Zamierzał się torturować. Nie za bardzo wiedział, co konkretnie miał zrobić ani jak poważne powinien mieć rany, po prostu uznał, że najlepiej będzie pójść na żywioł. Dla Weroniki gotów był na każde poświęcenie.

„Musisz pójść na żywioł” – powtórzył w myślach. Czemu więc nie zrobić tego dosłownie? Tylko skąd miał wziąć otwarty ogień? Przypalanie dłoni zapalniczką brzmiało raczej zbyt delikatne, a oblanie się benzyną i samospalenie zapewne by poskutkowało, ale rozsądniej byłoby znaleźć coś mniej drastycznego.

– A może wyrwij sobie wszystkie paznokcie? – usłyszał głos Weroniki. – Jeden po drugim, od małego palca do kciuka.

Siedziała na kuchennym stole, ubrana w koszulę nocną, którą Konrad zawiózł jej do szpitala. Przez chwilę pomyślał, że może tym razem to nie demon, może Tymon przywiózł ją do domu? Dlaczego jednak nie wszedł z nią do środka?

– Na niego przyjdzie jeszcze czas – odpowiedziała kobieta, jakby czytając mu w myślach. – To jak będzie z tymi paznokciami? Z doświadczenia powiem ci, że najlepiej użyć do tego kombinerek, wtedy naprawdę bardzo boli.

Smród spalenizny ponownie przybrał na sile. Konrad postanowił zignorować istotę udającą jego żonę, wiedząc, że nie ma czasu do stracenia, i sięgnął po sprawdzoną metodę. Z kuchennej

szafki wyjął szklanekę i rzucił ją na podłogę, rozbijając z trzaskiem. Chwyciwszy ostry kawałek szkła, przeciągnął nim po zewnętrznej stronie przedramienia, tuż nad poprzednią raną. Skrzywił się z bólu.

– Och tak... – Za plecami usłyszał westchnięcie Weroniki. – Rób mi tak jeszcze, nie przestawaj, mój ty ogierze.

Oparł się o blat, by nie stracić równowagi, po czym wbił szkło głębiej. Płynąca krew nasączyła i tak już wilgotną chustkę osłaniającą wcześniejsze skaleczenie. Konrad kątem okiem spojrzał na Weronikę, mając nadzieję ujrzeć skulonego ze strachu demona.

– Nie ociągaj się! – krzyknęła kobieta, pogrążona w ekstazie. Rozłożona na stole, dłonie włożyła pod koszulę nocną i poruszała nimi rytmicznie. Na jej lewym przedramieniu dostrzegł dwie głębokie rany, podobne do tych na jego ręce. – Nawet nie wiesz, jak mnie to kręci.

Przełknął ślinę. Nie zamierzał tak szybko rezygnować. Demon mógł jedynie udawać, że nic nie czuje, żeby go zniechęcić do dalszego samookaleczania. Konrad zacisnął zęby i wyjął z szuflady nóż, dokładnie ten sam, którym niedawno Weronika oszpeciła swoją twarz. Przez chwilę przeglądał się w ostrzu, w końcu jednak zmienił zdanie i odłożywszy nóż na blat, podszedł do czajnika elektrycznego. Uznał, że łatwiej będzie poparzyć się wrzątkiem, niż wycinać kawałki ciała.

Nalał wody do naczynia i nastawił na gotowanie, równocześnie odkręcając kurki płyty ceramicznej na maksimum. Cały czas powtarzał w myślach, że robi to dla Weroniki, że nie podda się, dopóki jego żona nie będzie bezpieczna, nawet jeśli będzie

zmuszony odebrać sobie życie.

– Po co ta cała dramaturgia? – Demon w skórze Weroniki wstał i podszedł do psychologa. Bose stopy kobiety przeszły po rozbitym szkle, nic sobie nie robiąc z odłamków powbijanych w ciało. Choć powinna krwawić, nie pozostawiała za sobą śladów. – Ja nie odczuwam bólu, kiedy wreszcie to zrozumiesz? Ja tylko sprawiam ból innym!

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Pulsacyjnemu wciskaniu dzwonka towarzyszyło kilka głośnych uderzeń.

– Nie otworzysz przyjacielowi? – Weronika rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu i przekrzywiła głowę, patrząc Konradowi w oczy. Jej policzki były zapadnięte, a popękana skóra zwisała z twarzy. – Może on ci pomoże, bo zabierasz się do tego jak prawiczek do pijanej koleżanki. Więcej zdecydowania! Bądź mężczyzną!

Psycholog odwrócił się od makabrycznej istoty i nie zastanawiając długo, położył obie dłonie na rozgrzanych palnikach. Syk przypalanej tkanki poprzedził falę nieopisanego bólu, która zalała całe ciało. Miał wrażenie, że krew gotuje mu się w żyłach. Czuł, jak jego dłonie zamieniają się w spalone mięso, czemu towarzyszył znajomy smród spalenizny.

– Kurwa! – ryknął z bólu, odskakując do tyłu. Fragmenty skóry przywarły do palników.

Padł na kolana, po czym zwymiotował na podłogę piekącą żółtawą ciecz, wstrząsany dreszczami bólu, strachu i adrenaliny. Przepocona koszula przylegała mu do ciała, uwierając i obcierając skórę. Wydał z siebie cichy śmiech, zakończony jękiem bólu.

Opętał go demon Majów, poranił się szkłem, przypalił sobie dłonie do żywego mięsa, a przeszkadzała mu niewygodna koszula. Otarł czoło zdrowym przedramieniem i powoli podniósł głowę. Z trudem zachowywał przytomność, ale najważniejsze, że demon zniknął. Konrad zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec, ale stanowiło to kolejny dowód, że obrona strategia przynosiła wyniki.

Dzwonek do drzwi przycichł, lecz wcale nie uspokoiło to psychologa. Jak się okazało, słusznie, gdyż po chwili usłyszał dźwięk wybijanej szyby. Nie zdążył wstać z podłogi, gdy w progu zobaczył zdyszanego Tymona.

– Gdzie on jest? – spytał mężczyzna, rozglądając się po kuchni.

Po chwili zobaczył poparzone dłonie oraz krwawiące przedramię przyjaciela i przypadł do niego z jękiem przerażenia.

– Uspokój się. – Konrad oparł się plecami o szafkę, nie mogąc zebrać sił, by stanąć na nogi. – Pomóż mi wstać. Muszę to zrobić, zanim będzie za późno.

– Co tu się dzieje? Słyszałem głosy, a potem twój krzyk. Co ci się stało? Twoje ręce wyglądają okropnie, musisz natychmiast jechać do szpitala.

Psycholog zamknął oczy, zastanawiając się, ile może mu zdradzić. Ból przeszkadzał zebrać myśli.

– Wiem, jak to wygląda – powiedział przez zaciśnięte zęby. Czuł mdłości i zawroty głowy spowodowane bólem i szokiem. Był niemal pewien, że jeszcze chwila, a straci przytomność. – Później ci to wyjaśnię, po prostu pomóż mi wstać i zaufaj mi.

– Dzwoniłem na policję, zaraz powinni tu być. Spodziewam się, że przyjedzie też karetka. – Tymon chwycił go pod ramię i podniósł, uważając, by nie dotknąć jego ran. – I bardzo dobrze, bo



potrzebujesz pomocy lekarskiej. Jest gorzej, niż myślałem. To ten gość od monety, tak?

– Uciekł, jak zbiłeś szybę – skłamał Konrad. Wiedział, że przyjaciel i tak mu nie uwierzy, a już z pewnością nie zaoferuje pomocy w dalszym samookaleczaniu. Woda w czajniku zaczynała powoli bulgotać. Musiał pozbyć się stąd Tymona. – Sprawdź, czy nie schował się w ogrodzie, ze mną już lepiej.

– Nie zostawię cię w takim stanie.

– Błagam cię, idź tam. On chce jechać do Weroniki, chce ją skrzywdzić, musisz go powstrzymać.

Nie stać go było na lepszy blef. Czuł, że długo tak nie pociągnie i prędzej czy później padnie na ziemię. Musiał przegonić demona, zanim do tego dojdzie.

– Uratuj ją!

Podniósł głowę i spojrzał przyjacielowi w oczy, modląc się, żeby ten już poszedł. Tymon nie wytrzymał jego wzroku – westchnął, zacisnął pięści i wyszedł na korytarz.

Konrad opadł na krzesło, trzymając dłonie w powietrzu, by dodatkowo nie urazić poparzeń. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, odsyłając przyjaciela, ale nie chciał, by ten sprowokował gniew demona. Na szczęście nie pozwolił mu dotknąć monety. Nie dawało to jednak całkowitej pewności – od kiedy przetopił przedmiot, moc istoty weń ukrytej zwiększyła się, pozwalając jej na wiele więcej niż dotychczas.

Odczekał kilka sekund, po czym z wysiłkiem wstał z krzesła i podszedł do czajnika, który akurat się wyłączył. Ruchy mężczyzny były niezgrabne, a potwornie obolałe palce nie chciały go słuchać. Nieporadnie chwycił czajnik, ściskając gorący plastik

przegubami. Czuł przerażenie na myśl o tym, co go czeka – poparzenie, po którym jego skóra nigdy się nie zregeneruje, być może straci także wzrok – ale jednocześnie pewność, że dla Weroniki jest gotów się poświęcić. Z wysiłkiem podniósł ręce do góry. Niestety, chwyt był niepewny, w efekcie czego czajnik wypadł mu z rąk, a część wrzątku wylądowała na klatce piersiowej. Konrad jęknął z bólu. Miał ogromną nadzieję, że to cierpienie wystarczyło, by zniechęcić demona.

– Nic z tego – w odpowiedzi usłyszał szept w swojej głowie. – Przegrałeś, a ceną za porażkę będzie Weronika.

– Zostaw ją – powiedział na głos psycholog, osuwając się na podłogę. – Błagam cię, zostaw ją.

– Bo co, przygryziesz sobie język? A może przytrzaśniesz palce?

Szafki kuchenne otworzyły się z hukiem, a talerze, garnki i sztucce wypadły z nich, z ogłuszającym hałasem lądując na ziemi. Konrad osłonił twarz ramieniem, chroniąc ją przed odłamkami porcelany i szkła. Czuł się zmęczony. Wszystko go bolało, było mu niedobrze z przerażenia. Opuścił głowę, czując, jak jego umysł powoli odpływa, dając za wygraną. Już tylko szepty trzymały go przy świadomości.

– Zmęczony? Chodź, coś ci pokażę.

Mimowolnie podniósł się z ziemi, opierając na poparzonych dłoniach. Stracił kontrolę nad własnym ciałem, które spokojnym krokiem wyszło z kuchni i skierowało się w stronę ogrodu. Ból nieco zelżał, być może kontrolowany przez demona.

Konrad przez chwilę walczył o władzę nad ciałem, jednak bez efektów. Jednocześnie czuł ogromną pokusę, by się po prostu poddać, ulec szepciom i odpłynąć w słodką nicość. Gdzieś na skraju

zmysłów wyczuwał świadomość demona, jego emocje i myśli, początkowo niewyraźne, lecz im dłużej ten sprawował nad nim kontrolę, tym klarowniej je słyszał. Ah Puch czuł radość. Po długim okresie oczekiwania znowu wyszedł na wolność, by z lubością rozkoszować się ludzkim cierpieniem i strachem. Ten nędzny pokurcz, który był jego gospodarzem przez kilka miesięcy, dał sobą odpowiednio pokierować i zrobił dokładnie to, co mu kazano. A tak niewiele brakowało, by osiągnął to samo, co ten nieznośny archeolog sprzed lat. Teraz już mu nie pozwoli.

Ciało terapeuty rozciągnęło usta w uśmiechu, kiedy Pan Śmierci zorientował się, że człowiek go wyczuwa. Ludzką psychikę tak łatwo złamać. Konrada zalały dziesiątki obrazów Tymona ginącego w makabryczny sposób. Psycholog szarpnął się, lecz jego ciało nie powtórzyło ruchu. Spokojnym krokiem wyszedł do ogrodu.

Przyjaciół podbiegł do niego, zaniepokojony.

– Trzymasz się? Na zewnątrz nikogo nie ma, przetrząsnąłem każdy centymetr. Musiał uciec.

– Już po wszystkim – odpowiedział Konrad, poruszając ustami wbrew swojej woli. – Dziękuję ci, to także twoja zasługa.

– Za co mi dziękujesz? Boże, jak ty wyglądasz. Zaraz przyjedzie policja i pogotowie.

Ciało psychologa podniosło ręce, chwytając Tymona za szyję i ściskając mocno. W oczach jego przyjaciela pojawiło się najpierw zdumienie, po chwili przerodzone w strach i zrozumienie. Mężczyzna chwycił trzymające go dłonie, nie potrafił jednak rozluźnić uścisku. Wydał z siebie ciche charczenie, świadczące o tym, że zaczyna brakować mu powietrza. Konrad krzyknął

głośno i z zaskoczeniem stwierdził, że usłyszał swój głos. Ponownie sprawował kontrolę nad własnym ciałem. Momentalnie puścił Tymona, który krztusząc się i kaszląc, chwiejnie odsunął się na kilka kroków.

– Przepraszam, to nie ja. Nie wiem, jak długo zdołam go powstrzymywać, musisz uciekać, zanim znowu przejmie nade mną panowanie. Nie pozwoliłem mu cię skrzywdzić, ale następnym razem może mi się nie udać. Uciekaj – wybełkotał niewyraźnie Konrad. Wargi miał obolałe, jakby wrzątkiem zalał nie tylko swoją pierś, ale także twarz.

Przyjaciel spojrzał na niego z niedowierzaniem, wciąż trzymając się za gardło.

– Co ty mówisz?! – wykrztusił.

– Uciekaj! – powtórzył psycholog, czując, jak do ust napływa mu gęsty płyn.

Wypluł na ziemię czarną maź i odchrząknął. Ból powrócił, zalewając ciało oraz umysł cierpieniem. Teraz jednak nie zamierzał się ponownie poddać, nawet jeśli będzie go to kosztować życie. Lepiej, żeby zginął on niż jego przyjaciel i Weronika, i kogokolwiek jeszcze demon postanowi zabić. Ze smutkiem pomyślał o żonie. Z oszpeconą twarzą będzie musiała nauczyć się żyć sama. Może kiedyś mu wybaczy.

Tymon coś powiedział, lecz Konrad nie słuchał. Zignorował również odgłos dzwonek, który otoczył go ze wszystkich stron.

– Mam cię, gnoju – wymamrotał i odwrócił się w stronę domu, otwierając drzwi.

Nie blefował. Przez jakiś czas dzielił z demonem nie tylko ciało, lecz także myśli. Tych kilka minut wystarczyło, by Konrad odkrył

jego słaby punkt.

Mężczyzna wszedł do kuchni i zaciskając zęby, podniósł z ziemi kawałek stłuczonego szkła. Poparzone ciało skręcało się z bólu, ale musiało wytrzymać jeszcze trochę. Z tyłu słyszał głos Tymona, krzyczał, jednak nie sposób było zrozumieć ani jednego słowa. Konrad zamknął powieki, zaciskając poparzone palce na ostrych krawędziach szkła. Nie patrząc, szybkim ruchem przeciął żyły wzdłuż przedramienia. Nawet tak bardzo nie bolało. Cięcia były głębokie, krew popłynęła gęstym strumieniem.

Nogą odsunął sztućce i potłuczone szkło, zajmujące większość podłogi, by zrobić dla siebie odrobinę miejsca. Z cichym jękiem usiadł na kafelkach, mokrych od wody wylanej z czajnika, i oparł głowę o szafkę. „Jeszcze tylko chwila” – pomyślał. Za moment wszystko się skończy, odpocznie, a ten potworny ból ustąpi.

– Zaraz będzie pogotowie! – usłyszał nagle głos. Brzmiał znajomo. Przez chwilę zastanawiał się, skąd go może znać, po czym sobie przypomniał. To był prokurator. – Zatamujcie krwawienie do tego czasu. Przeszukać dom i okolicę.

„Zostawcie mnie. Dajcie mi umrzeć” – próbował powiedzieć Konrad, ale nie był w stanie poruszyć ustami.

# Epilog

10 września

„Nie taki diabeł straszny, jak go malują” – pomyślał Konrad z ironią.

Nie mógł jeszcze stwierdzić, że stało się to dla niego rutyną, ale wspomnienie, jak nieudolnie kaleczył własne ciało za pierwszym razem, wywoływało u niego uśmiech politowania. Teraz, w pełni przygotowany, zamiast kawałkiem stłuczonego szkła, dysponując jednorazową żyletką, sprawnie przecinał sobie skórę na udzie. Miejsce to wybrał celowo. Jako terapeuta nie mógł dopuścić, aby ktokolwiek zauważył blizny – gdyby jego comiesięczny rytuał wyszedł na jaw, z miejsca okrzyknięto by go hipokrytą, który oferuje pomoc innym, a sam zachowuje się niczym nieźrównoważony emocjonalnie nastolatek. To zakończyłoby jego karierę, i tak mocno nadwyrężoną przez niezaplanowaną dwumiesięczną przerwę.

Regularne okaleczanie się nie było niczym przyjemnym, jednak skoro odkrywca grobowca w Palenque potrafił w ten sposób przez kilkadziesiąt lat ujarzmić demona, to Konrad również musiał sprostać temu wyzwaniu. Od kiedy zdołał przełamać kontrolę Ah Pucha nad sobą, wystarczyło dziesiątego dnia każdego miesiąca sprawiać sobie odrobinę bólu w odpowiedni sposób. Od tamtego strasznego momentu bóstwo Majów trzymało się w cieniu, jedynie od czasu do czasu przypominając o sobie dźwiękiem dzwonków.

Nałożywszy opatrunek na świeżą ranę, Konrad pieczołowicie schował zyletkę i plastry. Nawet Weronika o tym nie wiedziała i zamierzał utrzymać ją w nieświadomości tak długo, jak tylko było to możliwe. Nigdy nie powiedział jej całej prawdy. Wprawdzie rozszerzone ubezpieczenie, z którego rok temu planował zrezygnować w ramach ograniczania wydatków, teraz pozwoliło na częściowe sfinansowanie przeszczepu skóry, ale i tak czekała ją jeszcze długa rehabilitacja, której z pewnością nie ułatwiłaby wiedza o nowym nawyku męża.

Wyszedł do ogrodu i z przyjemnością rozsiadł się w fotelu ustawionym na równo przystrzyżonym trawniku. Jesień była jego ulubioną porą roku i zamierzał w pełni korzystać z jej uroków. Ze stolika obok wziął surową wersję książki Pawła Szymańskiego. Dziennikarz w najdrobniejszych szczegółach opisał zajścia sprzed kilku miesięcy, a teraz oczekiwał publikacji. Konrad otrzymał wydruk w podarunku, ale nie miał zamiaru czytać tych wypocin. Tym bardziej że wścibski pismak nie poznał całej prawdy. W swej naiwności uwierzył w pozytywne zakończenie, w którym heroizm i odwaga Konrada Małeckiego pokonały demona. Psycholog uśmiechnął się, przeglądając pobieżnie książkę, po czym odłożył ją ponownie na stolik. Najważniejsze, że nikt więcej już nie zginął.

Nazwiska zostały zmienione, jednak nie miał wątpliwości, iż dociekliwy czytelnik dotrze do artykułów opisujących prawdziwe wydarzenia, a stamtąd już krótka droga do odkrycia tożsamości głównego bohatera. Czy mogło mu to przysporzyć problemów? Wątpliwe, wszak kto normalny uwierzyłby w historię o demonie ukrytym w starożytnym amulecie?

– Cześć, Kondziu. – Z tyłu dobiegł go głos Weroniki.

Konrad wzdrygnął się, po czym obejrzał przez ramię. Zdrobnienie jego imienia przywodziło mu na myśl złe wspomnienia, choć była to kolejna rzecz, o której jego żona nigdy nie miała się dowiedzieć.

Weronika podeszła bliżej. Wyglądała wyjątkowo radośnie, jakby zaraz miała zacząć podskakiwać niczym mała dziewczynka na widok tęczy. Usiadła mu na kolanach i cmoknęła w policzek, budząc dzwonki, które odezwały się cichutko. Już nauczył się je ignorować.

– Nie uwierzysz, słowo daję, nie uwierzysz w to, co ci powiem.

– Nie doceniasz mnie – odpowiedział i sam się uśmiechnął. Lubił na nią patrzeć, gdy tak promieniała radością.

– Zgaduj!

– Wiesz, że nie lubię takich zabaw. Strzelę jakąś głupotę i się na mnie obrazisz.

– Kondziu... – szepnęła mu do ucha. – Nie każ mi prosić.

Westchnął ciężko. Ostatnio bardzo martwiła się o powikłania po przeszczepie, jakaś znajoma nagadała głupot o komplikacjach związanych z gojeniem tego typu ran. Nadzwyczaj dobry humor mógł więc oznaczać pozytywną diagnozę od lekarza. Nie chciał jednak ryzykować, że jeśli chodziło o coś innego, to przypominanie o bolesnej kwestii mogło zepsuć jej dobry humor. Przeszła już najważniejsze zabiegi, ale i tak cały czas nosiła opatrunki.

– Niech pomyślę. – Poglądził ją po policzku. Bliskość kobiety siedzącej mu na kolanach i ciepło jej ciała podniecały go. Miał coraz większą ochotę zakończyć tę grę w sypialni. – Stwierdziłaś, że masz bardzo przystojnego męża, który zaraz zdejmie z ciebie niepotrzebne ubrania?



– Blisko! – Wstała i radośnie klasnęła w dłonie. – Nie chciałam ci nic mówić, dopóki nie miałam stuprocentowej pewności. Ale dzisiaj byłam u lekarza i to już potwierdzone.

– Czyli wszystko goi się prawidłowo? Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę.

Weronika gwałtownie pokręciła głową, nieświadoma, że robi to w rytm dzwonek w jego głowie.

– Jestem w ciąży, głuptasie – powiedziała, uśmiechnięta od ucha do ucha, jakby zapomniała, iż diagnoza kilkunastu lekarzy wykluczyła możliwość poczęcia dziecka. – Myślałam, że przez to wszystko rozregulował mi się okres, ale byłam na badaniach i... będziemy mieli dziecko.

Konrad zmartwiał. Patrzył na żonę z miną pełną zaskoczenia, nie potrafiąc uwierzyć w jej słowa... nie chcąc w nie uwierzyć.

Rana na udzie szarpnęła gwałtownie i zapulsowała bólem. Gdzieś z tyłu głowy wciąż słyszał odgłos dzwonek, który przybrał na sile. Brzmiały wyjątkowo radośnie.

*KONIEC*